

AGNIESZKA PIETRZYK WYKONAŁA KAWAŁ DOBREJ  
PISARSKIEJ ROBOTY. TERAZ TWOJA KOLEJ. DAJ SIĘ PORWAĆ!

- ROBERT MAŁECKI

# PORWANIE

AGNIESZKA  
PIETRZYK



**AGNIESZKA  
PIETRZYK**

**PORWANIE**

Copyright © Agnieszka Pietrzyk, 2018

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2018

Redaktor prowadzący: Patryk Mierzwa

Redakcja: Magdalena Ciszewska

Korekta: Alicja Laskowska

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz

Konwersja: Grzegorz Kalisiak

ISBN 978-83-7976-847-9

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

fax: 61 853-80-75

redakcja@czwartastrona.pl

www.czwartastrona.pl

# Rozdział I

## *Dzień pierwszy, rano*

Była dopiero siódma trzydzieści, a termometr wskazywał już dwadzieścia sześć stopni Celsjusza. Zaczynał się kolejny piekielny dzień. Seweryn stanął przy oknie i rozpiął koszulę, którą przed chwilą włożył. Miał nadzieję, że pod materiał wpłynie trochę chłodniejszego powietrza, przynosząc ulgę jego rozpalonej skórze. Niestety z otwartego okna biło cuchnące asfaltem gorąco.

Wysoka temperatura rozleniwiała, skłaniała do wygodnego ułożenia się na kanapie ze szklanką czegoś zimnego w dłoni. Dobrze byłoby ułożyć teraz głowę na miękkim oparciu, przymknąć oczy i drzemać, a przede wszystkim nie myśleć. Szkoda, że nie można zniknąć z tego pokrytego kurzem i zalanego słońcem miasta, z dusznego i ciasnego domu, przenieść się tam, gdzie nie ma upału, gdzie żyje się spokojnie, bez kłamstwa i zdrady. Można byłoby wrócić, gdy temperatura się obniży, a ludzie staną się lepsi.

Wszedł z sypialni. W korytarzu pojawiła się Łucja, niosła pod pachą pluszowego psa, w dłoni trzymała łyżkę, z której skapywała kasza manna. Z piskiem podbiegła do niego, wziął ją na ręce. Poczował, jak brudna łyżka wsuwa się pod kołnierzyk jego koszuli. Wzdrygnął się i odruchowo odsunął od siebie córkę. Gdy jej ramiona wyciągnęły się w jego stronę, przytulił ją ponownie. Roześmiała się głośno. Tylko dzieci potrafią tak szczerze cieszyć się chwilą. Też by chciał się radować bliskością z córką i nie myśleć o tym, co było i co będzie.

Wszedł do kuchni, niosąc Łucję na rękę. Marta zalewała właśnie kawę, a Tymek siedział w foteliku i machał grzechotką. Sielanka, tak było co rano.

— Sewciu, uważaj trochę, przecież Łucja całego cię wymazała kaszką.

Urwał kawałek papierowego ręcznika i wytarł szyję. Teraz córka usiłowała włożyć mu łyżkę do ust. Posadził ją na taborecie i przysunął talerz z resztką mанны. Chciał wyjść z kuchni, ale Marta go zatrzymała.

— Potem się przebierzesz, teraz jedz.

Wrócił do stołu. Chrupiące tosty, domowy dżem ze śliwek, twarożek ze szczypiorkiem — same przysmaki. Nie wiedział, po co sięgnąć w pierwszej

kolejności.

Marta postawiła przed nim filiżankę z kawą.

— Myślałam, czy nie pojechać z dziećmi nad jezioro. W mieście jest upał nie do wytrzymania. Przyjechałbyś do nas w sobotę. Co ty na to?

— Wolałbym, żebyśmy wszyscy razem pojechali w sobotę albo w piątek po południu.

Spojrzał na żonę proszącym wzrokiem. Uśmiechnęła się.

— Jak chcesz, właściwie to już za trzy dni. Nie miałbyś nic przeciwko temu, żeby Zuza pojechała z nami? Zająłaby się Łucją i Tymkiem.

Zuza była siostrą Marty, zbuntowaną siedemnastolatką. Spędzała u nich sporo czasu, rzekomo pomagała w opiece nad dziećmi, a tak naprawdę godzinami snuła się po domu ze smartfonem w dłoni. Lubił ją, ale lubienie ma swoje granice. Gdyby widywał Zuzę raz na tydzień, zapewne cieszyłby się z jej towarzystwa. Ona jednak przesiadywała u nich codziennie. Nad jeziorem, w małym domku, jej obecność może się stać jeszcze bardziej męcząca.

— Okej. Niech z nami jedzie.

Zgodził się, ale jego przyzwolenie nic nie znaczyło, bo i tak nigdzie nie pojedą. On już o tym wiedział, Marta jeszcze nie. Uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością. Nie był w stanie patrzeć jej prosto w oczy, nachylił się więc do syna. Wyjął go z fotelika, posadził sobie na kolanach i zaczął karmić twarożkiem.

## *Dzień pierwszy, wieczór*

Drzwi do „Krypty” były otwarte. Z wnętrza dobywał się gwar rozmów i piwniczne powietrze. Seweryn schodził powoli po kamiennych schodach. Ponad pięćset lat temu tę trasę pokonywali panowie w habitach, aby w podziemiach kościoła paść na kolana i pogrążyć się w modlitwie przy zgromadzonych tam relikwiach. Na szczęście dzisiaj na dole czekały na gości inne rozrywki: jazz i alkohol. A może w średniowieczu braciszkwowie również zapewniali ukojenie swoim umartwionym ciałom, popijając w krypcie wino i przygrywając na fujarkach?

Za Sewerynem podążały dwie kobiety, Marta i Ramira. To był jego pomysł, żeby poszli posłuchać jazzu. Obiecywał sobie, że będzie wyglądał jak zrelaksowany, dobrze bawiący się młody mężczyzna, nawet Marta się nie zorientuje, że dzisiaj tkwi w nim demon.

Stanęli w surowym wnętrzu kościelnych podziemi. Kręciło mu się w głowie, chyba od papierosów, bo wypalił dzisiaj kilka po ośmiu latach przerwy. Ramira klepnęła go w ramię i wskazała najbliższy wolny stolik. On jednak ruszył na koniec lokalu pod samą scenę. Specjalnie wybrał to miejsce, tu będzie zbyt głośno na rozmowę, a więc będą się przede wszystkim do siebie uśmiechać. Podszedł do baru. Nie spieszył się, chwilę gawędził z barmanem o pogodzie. Gdy wracał do stolika z drinkami, muzycy zaczynali grać. Zajął miejsce naprzeciw dziewczyn, patrzył na nie i myślał, że nadal są to dwie najpiękniejsze kobiety w całym Elblągu.

Ramira była żoną jego brata Roberta, w połowie Argentyńką, w połowie Polką. Po matce odziedziczyła egzotyczne rysy i śniadą karnację, po ojcu gibkość ciała i bystre spojrzenie. Choć ubrana skromnie, w czarne spodnie i czarną koszulkę na ramiączkach, w nikłym blasku świateł wyglądała zmysłowo. Marta nie miała tak wyrazistej urody, na pierwszy rzut oka prezentowała się bardzo zwyczajnie, jak dziewczyna z sąsiedztwa, której się zwykle nie zauważa. Wystarczyło jednak dłużej na nią popatrzeć, a zaczynała błyszczeć, jej uśmiech okazywał się uroczy, a ruchy dziewczęce. Twarz miała pospolitą, wąskie usta, cienki nos i pełne policzki. Wyjątkowa uroda wydawała się kryć w dużych błękitnych oczach. Gdyby nie te tęczęwki, nie zwróciłby na nią uwagi sześć lat temu, gdy sprzedawała jemu i Robertowi frytki w Krynicy Morskiej.

Był prawdziwym szczęściarzem, że na nią trafił. Tak właśnie myślał, choć jego rodzina uważała inaczej, zwłaszcza ojciec nie mógł przeżyć tego, że synowa była tylko po maturze, a jej rodzice unikali uczciwej pracy. Robert też mu radził wstrzymać się z małżeństwem, bo nie należy się żenić z kobietami, które są tylko ładne. Żona powinna mieć jeszcze ciekawy charakter, dobrą profesję, coś do powiedzenia albo chociaż pieniądze. Jako przykład wskazywał na Ramirę, wówczas mistrzynię świata w tańcach latynoamerykańskich. Mama odnosiła się do Marty z chłodną uprzejmością, czego więcej wymagać od teściowej, właściwie powinien być zadowolony. Wiedział jednak, że przed przyjaciółkami chwaliła się wyłącznie Ramirą. Pokazywała im okładki argentyńskich, japońskich i brytyjskich pism, na których utalentowana synowa prężyła swe ciało w pięknej sukni z piórami.

Dwa lata po ślubie Marta urodziła Łucję, wtedy stosunek do niej trochę się zmienił. Ojciec już nie narzekał, nie wytykał Sewerynowi nieciekawych teściów, a mama chętniej rozmawiała z synową i nawet ją chwaliła. Jego brat też zauważył, że Marta to był dobry wybór.

Małżeństwo Seweryna kwitło, a Roberta przeciwnie, po dwunastu latach zdawało się przechodzić kryzys. Niby wszystko było dobrze, ale Ramira coraz więcej czasu spędzała poza domem. Częściej wyjeżdżała na turnieje

i zgrupowania, już nie tylko jako tancerka, ale też jako instruktorka. Robert nie nudził się bez żony, chętnie odwiedzał elbląskie i trójmiejskie kluby nocne. Ubiegłego lata miał wypadek samochodowy na trasie do Jegłownika, jego bmw wypadło z drogi. Jemu nic się nie stało, ale dość mocno ucierpiała jego siedemnastoletnia towarzyszka.

Muzyka ucichła, trębacz zapowiedział krótką przerwę i skierował się do wyjścia, za nim ruszyło kilkanaście osób, Seweryn również się podniósł.

— Przewietrzę się — oznajmił.

Marta machnęła ręką, dając znać, żeby sobie poszedł i dał im pogadać. Zaczął się przepychać między rozbawionymi ludźmi, przy barze zatrzymało się kilka osób, skutecznie blokując przejście. Czekając, aż zrobi się luźniej, odwrócił się i spojrzał na Martę i Ramirę. Siedziały pochylone ku sobie, niemal dotykały się czołami. Rozmawiały.

Przed „Kryptą” stali dyskutujący namiętnie goście lokalu. Seweryn minął ich i ruszył wolnym krokiem przed siebie. Ktoś, kto by go obserwował, mógłby pomyśleć, że nie zmierza do żadnego konkretnego celu, on jednak szedł na ważne spotkanie. Wkrótce dotarł do rzeki i wszedł na most przy przystani. Oparł się o barierkę i zapalił papierosa. Wpatrywał się w ciemne kształty jachtów stojących nieruchomo wzdłuż bulwaru. W czarnej wodzie odbijało się światło lamp ze zwodzonych mostów i nadrzecznej promenady. Iluminacja godna europejskiego miasta portowego, chociaż nocą kawałek Elbląga przypominał Rotterdam. Bulwar był pusty, ale za to na moście południowym zatrzymała się grupka mocno rozbawionych osób. To stamtąd dobiegały pokrzykiwania i dziewczęce śmiechy. W oddali migały światła pojazdów przejeżdżających przez most samochodowy, po drugiej stronie rzeki zaczął ujadać pies. Seweryn czekał. Na szczęście od wody wiało lekkim chłodem. Papieros skrócił się już o połowę, za kilka minut powinien wrócić do Marty i Ramiry, bo zaczną się niepokoić, a nawet go szukać.

Od Wyspy Spichrzów ktoś się zbliżał. Niska, męska sylwetka, Seweryn rozpoznał Maksa Kubiakę, któremu w akademiku koledzy z marketingu i zarządzania nadali ksywkę Szczurek. Maks stanął obok niego. Nie witając się, zapytał:

— Co masz dla mnie?

Seweryn nie odpowiedział od razu. Zastanawiał się, czy się nie wycofać. Przypomniawszy sobie oczy Marty, pełne pokory, spokojne i zarazem chłodne, zwrócone gdzieś w dal. Nie patrzyła na niego tak jak kiedyś, często mijała go wzrokiem, jak gdyby był mało znaczącym przedmiotem.

Wypuścił dym nosem, a potem powiedział:

— Dam ci zarobić.

- Ekstra, ile płacisz i za co?
- Sto tysięcy za porwanie mojego syna.
- Maks parsknął śmiechem.
- Dobry żart.

Sewerynowi przemknęło przez głowę, że to ostatni moment, żeby zrezygnować z diabelskiego pomysłu. Wystarczy, że kiwnie głową, przyznając, iż to tylko żart.

- Rzucił niedopałek i zgasił go butem.
- Ja mówię serio, porwiesz mojego syna.
- Po jakiego chuja?
- A po co się porywa dzieci?
- No zwykle dla przyjemności albo dla okupu.
- Ty porwiesz Tymka dla kasy.
- A ty zapłacisz okup? Nie kumam...
- Nie ja, mój brat, on zapłaci.

Maks oparł się łokciami o barierkę i splunął do wody.

- Mamy więc skroić twojego brata. Ciekawie się zapowiada.

Przez cały tydzień Seweryn dużo myślał o tym, co wyjawiał mu Maks podczas ostatniego spotkania. To było sprytne — żądać okupu za porwanie, którego się nie dokonało, którego w ogóle nie było. Maks i jego dziewczyna wynajdywali średniozamożne rodziny z dziećmi i rozpracowywali je, co nie było specjalnie trudne przy dzisiejszym upublicznianiu informacji w mediach społecznościowych. Nie czekali długo na nadarzącą się okazję. Wystarczyło, że nastoletnie dziecko poszło do kolegi albo na pizzę, wtedy dziewczyna Szczurka dzwoniła do owego nastolatka i udając przedstawiciela operatora, prosiła o wyłączenie telefonu na dwie godziny. Potem do akcji wkraczał Maks, dzwonił do rodziców i informował, że ma ich dzieciaka, żądał niewielkiej kwoty płatnej zaraz, dosłownie za godzinę. Obiecywał, że uwolni córkę lub syna natychmiast po otrzymaniu kasy. Przerażeni rodzice dzwonili do dziecka, ale ono miało wyłączony telefon. Niemal wszyscy płacili, zostawiali pięć, dziesięć tysięcy złotych w umówionym miejscu. Niczego nieświadome dziecko wracało po jakimś czasie do domu, a rodzice szybko się orientowali, że żadnego porwania nie było. Maks żartem zapytał, czy Seweryn nie zna jakiejś rodziny z dziećmi, której nie lubi. Znalazł jedną, swoją własną.

— Mam go tak dosłownie porwać, to znaczy zabrać? — zapytał niemal szeptem Szczurek.

- Tak.

— A nie lepiej, żebyś ty go gdzieś ukrył, a ja zgłoszę się do twojego brata po okup?



— Nie, to ma wyglądać na prawdziwe porwanie. Ty uprowadzisz Tymka, a po kasę zwrócisz się do mnie i mojej żony.

— A ty pożyczysz pieniądze od brata?

— Tak.

— Przecież to, kurwa, nie ma sensu. I tak będziesz musiał mu kiedyś oddać tę forszę.

— Nie, nie będę musiał, nie będzie chciał zwrotu. Robert uwielbia mojego Tymka, zapłaci i powie, że nie mamy u niego żadnego długu.

Gdy zapalał kolejną fajkę, ręce mu się trzęsły. Był zły, że nie panuje nad swoim ciałem. Marta na pewno zauważy, że coś złego się z nim dzieje, skoro wrócił do nałogu.

— Jeżeli twój brat jest tak hojny, to po prostu zaciągnij u niego bezzwrotną pożyczkę. Po co to całe porwanie? Nie rozumiem.

Seweryn zachichotał i zaraz ucichł, bo na most weszła para przytulonych do siebie młodych ludzi. Wolał nie zwracać uwagi na siebie i Maksa.

— Robert nie jest hojny. Jest przemądrzałym dupkiem z wielką kasą. Gdybym poszedł do niego po pieniądze, to by mnie wyśmiał.

— A jeśli nie zapłaci okupu? Chyba musimy się przygotować na taką ewentualność?

— Gdyby się wahał, to nasza matka go przekona, że powinien zapłacić.

— Sto tysięcy dla mnie, a dla ciebie?

— Dla mnie dwieście, czyli zażadasz trzystu tysięcy okupu. Tylko pamiętaj, że mój syn nie może na tym ucierpieć. Twoja dziewczyna lubi dzieciaki?

— Lubi, nie martw się, będzie go niańczyć jak swojego. Mały nawet nie zauważy, że nie jest z matką.

Przez kilka minut omawiali szczegóły, a na koniec przypieczętowali swój plan uściskiem dłoni. Szczurek się uśmiechnął. W świetle lampy szpara między jego zębami była dobrze widoczna i nadawała twarzy sympatyczny wyraz. Wyglądał jak zabawny koleś, a nie jak niebezpieczny porywacz czy przebiegły oszust.

# Rozdział II

## *Dzień drugi, rano*

Przenikliwy dźwięk wkręcał się w głowę Seweryna. Z trudem otworzył oczy i sięgnął po smartfona. Wyłączył budzik. To jednak nie był dobry pomysł, aby ze snu wyrywał go odgłos wiertarki. Będzie musiał zmienić sygnał.

Obok niego w małżeńskim łóżku leżał Tymek, patrzył na ojca, w jego oczach widać było radość. W zaspanym umyśle Seweryna od razu pojawiło się poczucie winy. Rodzice powinni chronić swoje dzieci, a on planuje wystawić zdrowie, a nawet życie syna na duże niebezpieczeństwo. A co, jeżeli podczas porwania Tymek się zakrztusi albo dostanie gorączki? Czy dziewczyna Maksa będzie wiedziała, co robić? Już nie był tak pewien słuszności swojego pomysłu jak wczoraj.

Do sypialni weszła Marta, podała mu szklanekę z wodą.

— Może zostaniesz dzisiaj w domu?

Pił wodę długimi łykami. Co za ulga dla wysuszonego gardła. Wczoraj przesadził z alkoholem. Gdy wrócił do „Krypty” po rozmowie z Maksym, od razu kupił trzy wódki. Marta nie chciała pić, więc wypił za nią. Kolejne trzy wódki zamówiła Ramira, z uśmiechem postawiła przed nim dwa kieliszki. Nie zaprotestował.

— No i co? Zostaniesz w domu?

— Nie mogę.

— Przecież poradzą sobie bez ciebie. Posiedziałyś z dziećmi, a ja bym wyskoczyła do fryzjera i kosmetyczki.

Ogarnęła go złość. Myślał, że Marta troszczy się o jego samopoczucie. Widzi, że nie jest w formie i dlatego proponuje mu pozostanie w domu. A jej chodziło wyłącznie o nową fryzurę.

— Muszę iść do firmy, żeby zarobić na twojego fryzjera — warknął.

— Nie irytuj się tak. Zadzwonisz do mamy, żeby przyszła posiedzieć z dziećmi? Gdy ty zadzwonisz, to nie odmówi.

Milczał. Tymek zaczął płakać.

— No dobra, sama zadzwonię.

Wzięła Tymka na rękę — w tym ruchu nie było żadnej czułości, ciepła, jak gdyby podnosiła jakiś pakunek, a nie płaczącego syna. Odgrywała się na dziecku. Zezłościło go to.

Gdy wszedł do kuchni, Marta właśnie odkładała telefon.

— Mama nie przyjdzie, źle się czuje.

— Co jej jest? — zaniepokoił się.

— Nic takiego, zmęczenie, to przez ten upał. Przypomniałam jej, żeby piła dużo wody.

— To nie pójdziesz dziś do fryzjera?

— Nie pójdę.

Łucja stała przy nim i szarpała go za nogawkę. Podniósł ją i pocałował w czoło. Podszedł do Marty i ją też cmoknął w policzek. Lepiej, żeby przed porwaniem wszystko im się układało. Musi nad sobą panować, unikać konfliktów.

W drodze do firmy zajechał do parku Modrzewie. Samochód zaparkował w pobliżu ładnego, eklektycznego domku, w którym przed wojną mieszkał ogrodnik. Ruszył główną aleją parku należącego dawniej do jakiegoś obrzydliwie bogatego Niemca. Dyskretnie rozglądał się na boki. Maks już na niego czekał, siedział z dwiema staruszkami na zacienionej ławce. Seweryn minął go i poszedł dalej. Szczurek dogonił go przy plenerowej siłowni, pustej teraz z powodu niemiłosiernego skwaru. Wyjął z torby niewielki pakunek i podał Sewerynowi.

— Tutaj masz telefon, baterię i dwadzieścia białoruskich kart SIM. Od dzisiaj dzwonicz do mnie tylko z tego aparatu, i oczywiście nie z domu. Karty SIM są do jednorazowego użycia. Po każdym połączeniu kartę wyrzucasz i wkładasz kolejną. Jasne?

— Jasne.

Dopiero teraz zauważył, że Maks ma na dłoniach cieliste rękawiczki. Czy on też nie powinien? Czuł, że krew zaczyna mu szybciej pulsować w żyłach, a koszulka przykleja się do pleców. Oddychał ciężko, wcale nie z powodu upału — właśnie rozpoczął najniebezpieczniejszą grę w swoim życiu.

— Maks, słuchaj, to musi trwać krótko, góra dwa dni, Tymek po czterdziestu ośmiu godzinach musi wrócić do domu. Od razu dzwoń i żądaj okupu.

— Spoko, wiem, jak to się robi.

Zatrzymali się w cieniu ogromnego klonu, za plecami mieli neogotycką wieżę widokową. Kilkanaście metrów przed nimi na ławce siedziała kobieta, obok niej stał wózek dziecięcy.

— Gdybym teraz do niej podszedł, wyjął dzieciaka z wózka i zaczął uciekać, co by zrobiła? Jak myślisz? — zapytał Szczurek.

— Goniłaby cię z krzykiem, pół Zawady by ją słyszało.

— Nie dogoniłaby mnie. Zdążyłbym wsiąść do wozu i odjechać. Co zrobiłaby wtedy?

— Zadzwoiłaby na policję, to oczywiste.

— No właśnie, psów lepiej w to nie mieszać. Po porwaniu twoja żona powinna zadzwonić do ciebie, a nie na policję. Jak ją do tego przekonać?

— Po prostu jej to powiedz.

— Co?

— Jak w filmach, wyjmujesz Tymka z wózka i grozisz, że jeżeli powiadomi gliny, to małemu coś się stanie. Sądzę, że wtedy zadzwoni do mnie.

— Będę musiał jej przyłożyć, żeby nie leciała za mną z krzykiem. Nie martw się, nie pieprznę jej mocno.

Seweryn chciał zaprotestować. Na myśl, że jakiś facet uderzy Martę, zrobiło mu się niedobrze. Kiwnął jednak głową na znak, że rozumie i się zgadza.

— Jeżeli twoja żona zdąży jednak powiadomić psiarnię, to musisz bardzo uważać. Rodzina i znajomi są pierwszymi podejrzanymi.

— Tak, wiem o tym. — Seweryn wytarł czoło. — Pamiętaj, że na spacerze będzie też moja córka, prawdopodobnie na rowerku, tylko jej nie przestrasz.

— Nie przestrasz? A jak to sobie, kurwa, wyobrażasz? Przecież będę musiał pieprznąć jej matkę. Mam najpierw małej wręczyć misia, żeby nie ryczała?

— Dobra, tego dnia zawiozę Łucję do babci.

— Nie, nie rób tego, to ma być dzień jak każdy inny. Lepiej niech się psy nie zastanawiają, dlaczego akurat tego dnia małej nie było z twoją żoną na spacerze.

— Szczurek uściśnął go za ramię, jak gdyby chciał dodać mu otuchy. — Twoja córka szybko dojdzie do siebie, zapomni, dzieci już tak mają. Będzie dobrze.

Seweryn wytarł spocone dłonie o spodnie. Czuł suchość w ustach. Chłodny browarek może ugasiłby pragnienie i wyrzuty sumienia.

— O! Moje koleżaneczki drepczą — powiedział Szczurek.

Alejką szły dwie starsze panie, które siedziały z Maksem na ławce. Zbliżyły się do kobiety z wózkiem, jedna z nich zajrzała do środka. Matka uniosła głowę i pochyliła się do przodu, gotowa zerwać się, aby bronić swojego potomka w razie potrzeby.

Seweryn dopiero w samochodzie pomyślał, że powinien włożyć okulary przeciwsłoneczne — blask kłuł go w oczy. Co z tym słońcem? Paliło niemiłosiernie.

Gdy wjechał na Modrzewinę, zwolnił i patrzył na budynki tutejszych zakładów. Zawsze porównywał inne hale ze swoją i z dumą konstatował, że ma najefektowniejszy szyld. Metalowe pręty tworzyły napis: „Bramy, ogrodzenia, furtki”.

Drzwi do biura były otwarte na oścież, pani Ala chyba miała nadzieję na lekki przeciąg. Niestety gorące powietrze stało w miejscu. Już dawno powinien pomyśleć o klimatyzacji. Na parapecie zauważył nową roślinkę, kolejny przejaw botanicznych upodobań jego sekretarki.

Usiadł w fotelu. Ze zdjęcia na biurku spojrzęły na niego błękitne oczy Marty. Uśmiechała się, a raczej drwiąco wykrzywiała usta. To zdjęcie zrobił trzy lata temu w Amsterdamie, a więc od dawna z niego szydziła. Był kretynem, że wcześniej tego nie widział. Walnął fotografią o kant metalowej szafki, szkło pękło, tworząc literę z. Do biura wpadła pani Ala.

— Co się stało? — zawołała, rozglądając się wokół.

— Nic takiego, zdjęcie spadło. — Seweryn schował fotografię do szuflady. — Zgłosił się do nas jakiś nowy klient?

— Był tu taki jeden, ale czy to klient? Szukał pana, miał tatuaże, nawet na karku. Ma wrócić za pół godziny.

— Miejmy nadzieję, że złoży duże zamówienie. Mamy na dzisiaj coś ważnego?

— Trzeba fakturę zapłacić, pan Kazik dzwonił, prosił, a nawet groził, że więcej drutów nie da. Trzeba też zamówić pręty okrągłe, gładkie o średnicy 18 milimetrów. Jeśli nie będziemy ich mieli do jutra, to znowu nam produkcja stanie.

— Zaraz zamówię. Pani Alu, bardzo panią proszę, niech pani skoczy do marketu i kupi dwa wiatraczki, jeden na pani biurko, drugi na moje.

Pani Ala odciągnęła bluzkę od ciała i pomachała nią, odsłaniając kawałek płaskiego brzucha.

— Już o tym myślałam. Te wiatraczki życie nam uratują, zaraz po nie lecę.

Wybiegła z biura, stukając obcasami sandałów. Po chwili jednak wróciła.

— Da mi pan kasę?

Wręczył jej dwieście złotych.

— Pójdę jeszcze na lody, ale będę się spieszyć — zakomunikowała i znowu wybiegła.

Seweryn opadł na fotel. Dobrze, że sobie poszła, potrzebował spokoju, a przy pani Ali byłoby to trudne. Zagadywałyby go co kilka minut. Włączył komputer i wszedł na swój rachunek inwestycyjny w biurze maklerskim. Parę dni temu kupił akcje zakładów mięsnych, bo miały dobrą rekomendację. Liczył, że w ciągu miesiąca zarobi kilka tysięcy złotych. Aż jęknął na widok ceny — stracił już dwadzieścia procent zainwestowanej sumy. Do dupy te wszystkie analizy techniczne, kretyni z tych ekspertów. Wytarł czoło chusteczką higieniczną. Co robić? Trzymać te akcje dalej czy zlecić brokerowi ich sprzedaż? A przede wszystkim, skąd wziąć kasę na zapłacenie dzisiejszej faktury i na zaliczkę za

pręty? Od dwóch lat mu nie szło. Zaczęło się od tego, że kupili po okazji cennie elementy łącznie. Niestety, towar był wadliwy. Potem opóźnili realizację dużego zamówienia na ozdobne ogrodzenie i w efekcie musieli zejść z ceny. Inny duży klient im nie zapłacił, co prawda sprawę w sądzie wygrali, ale komornik nie miał z czego ściągnąć należności.

Seweryn wybrał numer matki, na nią jedną mógł liczyć. Odebrała już po drugim sygnale.

— Mamo, mam do ciebie prośbę — zaczął proszącym tonem.

Od razu się domyśliła, w jakiej sprawie dzwoni.

— Sewuniu, znowu? — W słuchawce dało się słyszeć westchnienie. — Ile tym razem?

— Osiem tysięcy, gdybyś mogła.

Tak naprawdę chciał pożyczyć co najmniej dwanaście, ale bał się, że matka, słysząc tę sumę, zacznie protestować i nic mu nie da.

— Marta za dużo wydaje, porozmawiaj z nią. Czy ty wiesz, że kupiła Łucji sukieneczkę za dwieście złotych? Przecież ona ma trzy latka, zaraz z niej wyrośnie.

Seweryn słuchał cierpliwie. Za każdym razem, gdy pożyczał pieniądze od matki, musiał wysłuchać wykładu o rozrzutności swojej żony. Zwykle bronił Marty, ale teraz mu się nie chciało. Właściwie matka miała sporo racji, Marta lekką ręką wydawała zarobione przez niego z wielkim trudem pieniądze. Najbardziej denerwowało go, że po kryjomu dawała kasę swoim rodzicom i rodzeństwu. Ostatnio widział u Zuzy nowy telefon, podejrzewał, że to Marta jej go kupiła.

— Mamo, nie powiesz nic tacie i Robertowi?

— Nie powiem, ale z Robertem sam mógłbyś porozmawiać, jemu tak dobrze idzie, może ci pomoże wyprowadzić tę twoją firmę na prostą.

— Tak, pogadam z nim, ale ty na razie nie mów, że pożyczyłem od ciebie pieniądze, dobrze?

Rozłączył się z ulgą. Znowu się udało wyciągnąć parę groszy od matki. Nie był z tego dumny, ale nie miał innego wyjścia. Na szczęście niebawem odbije się od dna. Wreszcie pokaże bratu i ojcu, że też jest zaradny i przedsiębiorczy.

Na odgłos kroków podniósł się i przywołał na twarz firmowy uśmiech. Klienci nie powinni wiedzieć, że ma kłopoty.

# Rozdział III

## *Dzień trzeci, rano*

Sierżant Michał Rokita rozpiął koszulę aż do pasa. Najchętniej by ją zdjął, zsunąłby też buty i wilgotne skarpetki, ale niestety był w pracy. Termometr wskazywał już dwadzieścia osiem stopni, a była dopiero dziewiąta. Co będzie w południe? Na szczęście za cztery dni idzie na urlop. Dobrze, że nie uległ żonie i nie zgodził się na wyjazd do Neapolu. Wystarczy, że musi się pocić w Elblągu. Już w piątek będzie pił piwo z teściem pod jego starą jabłonią. Nie ma to jak wolny czas spędzany na polskiej wsi.

Z zamyślenia wyrwał go ostry dźwięk. Kolejne zgłoszenie... Czyżby znowu kogoś zaatakowały osy? Właśnie w tej sprawie najczęściej dzwonili elblążanie w ostatnich dniach.

— Policja, słucham.

— Przed chwilą byłem świadkiem porwania — zakomunikował młody głos.

— Kto został porwany i gdzie miało miejsce zdarzenie? — zapytał spokojnie.

— Na Konopnickiej... Widziałem wszystko z okna, dzieciaka porwali.

Porwanie zgłaszał chłopak, prawdopodobnie nastolatek. Sierżant zastanawiał się przez chwilę, czy to nie jest wakacyjny żart.

— Ten facet pchnął ją i zabrał dzieciaka z wózka. Wsiadł do czarnego passata i odjechał, ona nadal tam leży. Ten wóz był na ruskich tablicach, numeru nie zapamiętałem — chłopak relacjonował przejętym głosem, ciężko oddychając.

Sierżant od trzech lat pełnił funkcję oficera dyżurnego, parę razy dał się nabrać dowcipnisiom. Koledzy się z niego podśmiewali, ale on nic sobie z tego nie robił. Wolał być obiektem żartów niż zlekceważyć zgłoszenie. W ułamku sekundy podjął decyzję o pościgu. Powiadomił wszystkie patrole w północnej części miasta o czarnym passacie na rosyjskich numerach, w którym znajduje się porwane dziecko. Potem przeszedł do sali, gdzie dwóch znudzonych funkcjonariuszy zerkało na ekrany miejskiego monitoringu.

— Dajcie mi obraz ze skrzyżowania Pułkownika Dąbka z Aleją Odrodzenia, i jeszcze ze skrzyżowania Ogólnej z Broniewskiego.

— Czego szukamy? — zapytał starszy funkcjonariusz.  
— Czarnego passata na rosyjskich blachach.  
— Pijany kierowca?  
— Nie, porwane dziecko.  
— Mamy go, jest na Pułkownika Dąbka, zaraz skręci w Aleję Odrodzenia.  
Sierżant Rokita zobaczył na ekranie poszukiwany wóz — stał na światłach.  
Natychmiast poinformował wszystkie patrole o aktualnej lokalizacji.

## *Dzień trzeci, rano*

Sierżant Pocięcha siedział w zaparkowanym przed sklepem nieoznakowanym wozie policyjnym i za pośrednictwem smartfona składał zamówienie w sklepie z policyjną odzieżą. Postanowił dokupić dwie koszule z krótkim rękawem. W tym upale nie nadązał prać tych trzech, które już miał. Ktoś zapukał w okno wozu. Sierżant uniósł głowę i zobaczył kilkuletniego chłopca. Uchylił szybę.

— Czego chcesz?  
— Nie wolno warczeć silnikiem. Proszę zgasić.  
— Nie mogę tego zrobić.  
— Ale mój tata powiedział, że nie wolno stać i warczeć, bo spaliny lecą.  
— Nie mogę zgasić silnika, bo zaraz będę ścigał przestępcę. Jestem policjantem.

Pocięcha wskazał na napis „Policja” na rękawie swojej koszuli. Miał nadzieję, że teraz dzieciak się odczepi, tamten jednak okazał zainteresowanie.

— Jakiego przestępcę?  
— Takiego, co małych chłopców porywa.  
— Pedofila?

Oczy chłopca powiększyły się, a usta rozciągnęły w szerokim uśmiechu.

— Tak, pedofila. Lepiej zmykaj stąd, bo on gdzieś tu się kręci.

Chłopiec rozejrzał się z zaciekawieniem.

— Gdzie on jest? Chciałbym go zobaczyć.

— Tam idzie.

Pocięcha wskazał zbliżającego się aspiranta Nowaka, którego cała komenda nazywała Rumunem.

— Przecież to policjant — zauważył rozczarowany chłopiec.



— Nie, to przebieraniec. Zobacz, jakie ma czarne oczy i włosy. To Rumun przebrany za policjanta. Uciekaj, bo jeszcze cię zapamięta.

Aspirant Nowak wsiadł do wozu i podał sierżantowi półlitrową butelkę mineralnej.

— A jednak pan żartował, szkoda — powiedział chłopiec. Zrobił im jeszcze zdjęcie telefonem i oddalił się, szurając trampkami po chodniku.

Pociecha odprowadzał go wzrokiem.

— Co za dzieciaki, niczego się nie boją, nawet pedofilów.

Otworzył butelkę i z rozkoszą wypił całą jej zawartość.

— Zabije mnie ten skwar. Kiedy to się skończy?

— Nie narzekaj. Nie zauważyłeś, że mamy mniej roboty? W tej temperaturze nawet przemoc domowa zmaląa. Nikomu się nie chce ręki podnieść, nawet na własną babę.

W radiotelefonie rozległ się głos oficera dyżurnego:

— Czarny passat na rosyjskich tablicach jedzie w dół Alei Odrodzenia, zablokujcie go przy Wiejskiej. Kierowca porwał dziecko.

— A jednak nie wszystkim upał przeszkadza — zauważył Pociecha.

— Jesteśmy blisko. Dawaj koguta na dach! Dorwiemy go!

Sierżant skręcił z Podgórnej w Wiejską i przycisnął pedał gazu. Opony zapisały na asfalcie.

Rumun zakomunikował do mikrofonu, że włączają się do pościgu, sami jednak niewiele robią, przydałby się jeszcze radiowóz, a najlepiej stara ciężarówka do postawienia blokady.

— Może zatrzyma się na wezwanie — zauważył Pociecha.

Z Wiejskiej wjechali w Aleję Odrodzenia i zwolnili, czekali na czarnego passata. Pojawił się po kilku sekundach. Widzieli w lusterkach, jak się zbliża. Sierżant zjechał na środek ulicy i nakazał kierowcy podejrzanego wozu się zatrzymać. Tamten przyhamował na moment, ale zaraz potem ruszył ostro, mijając samochód policyjny w odległości kilku centymetrów. Zdążyli zauważyć, że kierowca passata ma czapkę z daszkiem i ogromne okulary przeciwsłoneczne.

— Ferrari, kurwa — mruknął sierżant.

Znowu nacisnął pedał gazu. Skoczyli do przodu. Nie zdążyli się porządnie rozpędzić, a już musieli ostro przyhamować, aby bezpiecznie wejść w zakręt. Porywacz uciekał na Rubno. Pociecha wcisnął gaz i za moment znowu byli tuż za passatem.

Aspirant Nowak podał dyżurnemu numer rejestracyjny ściganego wozu i poprosił o wsparcie. Wkrótce usłyszeli, że jadą za nimi trzy radiowozy.

Passat pędził środkiem drogi, klaksonem spędzał jadące z naprzeciwwka samochody na krawędź szosy. Zbliżali się do Jagodna. Rumun wstrzymał oddech,

bo na drodze pojawili się rowerzyści. Niestety, jechali jedną z ulubionych tras rowerowych elblązan, ciągnącą się wzdłuż Zalewu Wiślanego, a teraz obleganą, bo przecież były wakacje i panował upał. Podmuch wiatru, jaki wywołał uciekający samochód, przewrócił jednego z młodszych rowerzystów. Na szczęście Pocięcha w porę przytulił się mocno do prawego pobocza. Przed nimi na szosie pojawiali się kolejni miłośnicy dwóch kółek, a w Kamionku Wielkim trafili na pieszą wycieczkę nastolatków nierozważnie rozciągniętą na pół drogi. Byli o krok od tragedii — albo oni wbijają się w ludzi, albo zrobi to uciekający samochód.

— Zwolnij! — rzucił Rumun.

Pocięcha przyhamował. Dystans między nimi a uciekającym wozem zaczął prędko narastać. Jechali wzdłuż nieczynnej linii kolejowej i błękitnych wód Zalewu Wiślanego. Nie tracili z oczu ściganego wozu, zniknął im dopiero w Suchaczu, za rondem.

— Zgubimy go! — krzyknął Rumun i od razu pożałował swoich słów, bo Pocięcha wdusił instynktownie pedał gazu i wpadli na rondo ze zbyt dużą prędkością. Samochód przechylił się, opony piszczały, a gdy zetknęły się z kostką brukową na środku ronda, całym samochodem mocno wstrząsnęło.

— Kurwa, jak w amerykańskim filmie — mruknął Nowak.

Pocięcha puścił hamulec i wcisnął gaz. Uciekinier nadal jechał główną drogą, a oni za nim. Utrzymywali jednak dystans, bo znowu zaczęły się zakręty. Szosa wiała się jak wstążka rzucona w dół Wysoczyzny Elbląskiej, raz w lewo, a za chwilę w prawo. Zbliżali się do Kadyn. Nagle ścigany wóz zaczął zwalniać, oni również.

— Uważaj! Zaraz skreśli w las! — rzucił do sierżanta.

Rzeczywiście, passat zniknął za drzewami. Skreśli w ślad za nim. Wtem porywacz zjechał mocno na pobocze, opierając się niemal o pnie drzew, i wyskoczył z wozu. Przed sobą trzymał dziecko. Pobiegł w las.

— Stój! Policja! — krzyknął Pocięcha.

Kidnaper przyspieszył. Zaczęli biec za nim. Rumun wiedział, że sprawca nie zdoła ich zgubić, nie znajdzie kryjówki nawet w najgęstszym zagajniku, bo wyda go płacz dziecka. Powinien zostawić niemowlę w samochodzie, teraz będzie musiał porzucić je gdzieś w lesie, żeby ratować własną skórę. Tylko dwa dźwięki rozbrzmiewały w upalnej ciszy — histeryczny płacz przerażonego dziecka i odgłos łamanych gałęzi, które raz za razem pękały pod policyjnymi butami.

Ścigany mężczyzna zaczął skręcać w prawo, oni również. Rumun z niepokojem wpatrywał się w sylwetkę sprawcy. Niski, szczupły i umięśniony — tak właśnie wyglądali dobrzy biegacze, maratończycy. Porywacz przyspieszył. Rzeczywiście miał kondycję. Rumun nie zwiększył tempa. Postanowił, że

pozwole tamtemu trochę się oddalić, aby poczuł się bezpieczniej, może wtedy zwolni i zostawi niemowlę. Las gęstniał, upał narastał, a teren stawał się coraz bardziej nierówny. Sylwetka porywacza mignęła między drzewami.

— Biegnie w stronę drogi — wyrzucił z siebie zdyszany Pocięcha.

Rumun od razu zrozumiał, co to może znaczyć. Gdzieś tu na porywacza czeka wspólnik z samochodem. Nie pomylił się, wkrótce do ich uszu dobiegł warkot silnika. Musi dogonić sprawcę, zanim ten dopadnie drogi. Przyspieszył, zostawiając w tyle sierżanta. Czuł ból w klatce piersiowej. Brakowało mu tchu. Odległość między nim a ściganym malała, osiemdziesiąt metrów, sześćdziesiąt, pięćdziesiąt. Pnie drzew, a za nimi samochód. Nie zdąży dopaść porywacza. Gdyby nie dziecko, już by strzelał, ale tu było zbyt duże ryzyko. Raniony w nogi mężczyzna zwali się do przodu i przygniecie niemowlę.

— Stój, bo strzelam! — wrzasnął Pocięcha. Też już wiedział, że nie dogonią porywacza.

Rozległ się odgłos zatraskiwanych drzwiczek, warkot silnika zaczął się oddalać. Żeby chociaż zdążyli zobaczyć tablice wozu. Wypadli z lasu. Pojazd zniknął już za zakrętem, zostawiając obłok białego kurzu. Nawet nie zdążyli się zorientować, co to za marka.

Sierżant Pocięcha zadzwonił do oficera dyżurnego z poleceniem, aby zablokowano wszystkie okoliczne drogi. W oddali rozległ się sygnał syreny policyjnej. Radiowozy z Elbląga właśnie dojeżdżały.

— No i dupa — oznajmił Pocięcha.

— Złapiemy go.

— Musimy. — Pocięcha kopnął kamień. — Oficer dyżurny właśnie mi powiedział...

Kolejny kamień wyskoczył spod buta sierżanta.

— Co ci powiedział?

Sierżant milczał.

— No gadaj. Czyje to było dziecko?

— Nie, tego mi nie powiedział.

— No to co?

— Ta kobieta, której porwano dziecko, chyba matka, nie żyje. Uderzyła głową w krawężnik, trup na miejscu.

*Dzień trzeci, rano*

Funkcjonariusze prewencji oznaczyli taśmami miejsce zdarzenia. Dwoma kluczowymi punktami tego obszaru były zwłoki kobiety i pusty dziecięcy wózek. Komisarz Kamil Soroka przyglądał się ofierze — wyglądała na co najmniej pięćdziesiąt lat, prawdopodobnie nie była matką uprowadzonego dziecka. Może babcia albo opiekunka, wkrótce to ustalą. Zaraz aspirant Nowak wróci z nieudanego pościgu i spróbuje dotrzeć do świadków porwania.

Dwóch policjantów — jeden z kamerą, drugi z aparatem fotograficznym — dokumentowało miejsce zdarzenia. Wokół panowała cisza, w tym upale nikomu nie chciało się gadać, nawet gapie zgromadzeni w odległości kilkunastu metrów obserwowali poczynania policji w milczeniu. Kamil wytarł czoło z potu i przymrużył oczy. Raziło go słońce. Wokół panowała nienaturalna jasność, jak gdyby pod wpływem promieni słonecznych wszystkie kolory wypłowiwały. Asfalt i płyty chodnikowe były szaro-białe, zapewne od kurzu, kropla deszczu nie spadła na nie od dwóch tygodni. Leżąca kobieta też wydawała się pozbawiona kolorów — mleczna skóra, jasne włosy, jasnoszara spódnica i biała bluzka. Wózek również nie miał żadnej konkretnej barwy, jego szarawy odcień zlewał się z kolorem chodnika. W końcu oko komisarza znalazło barwny przedmiot, czerwoną grzechotkę leżącą w wózku.

Podjechał kolejny radiowóz, wysiadł z niego aspirant Konarski, najlepszy technik w województwie. Podeszedł do Kamila.

— Co myślisz o śladach traseologicznych? — zapytał komisarz.

— Na chodniku? Koszmar, ale spróbujemy, mamy w końcu nowe urządzenie do elektrostatycznego ujawniania pyłowych śladów obuwia. Zawsze jest nadzieja, że sprawca przyniósł coś ciekawego na podeszwach.

— Na to liczę, bo jego numer buta nic nam teraz nie da.

Wzrok Konarskiego zatrzymał się na dłoniach ofiary ozdobionych kilkoma pierścionkami.

— Lubię, gdy kobiety noszą biżuterię, na niej zawsze osadzają się mikroślady.

— No właśnie, myślę, że w tym upale sprawca mógł mieć odsłonięte przedramiona. Może przy odrobinie szczęścia trafimy na cząstki naskórka albo włosy. Jak skończysz tutaj, pojedziemy do Kadyńskiego Lasu, gdzie sprawca porzucił samochód.

Z domu naprzeciwko wyszła sierżant Beata Gryś. Miała na sobie granatową koszulę z krótkimi rękawami i srebrnym napisem „Policja” na kołnierzyku. Sprawiała wrażenie, jakby w ogóle się nie pociała. Blond włosy upięte w kok były jedynym znakiem, że też odczuwa panujący skwar. Otworzyła notes i zerknęła na zapiski:

— Ofiara ma pięćdziesiąt osiem lat, nazywa się Bogumiła Maj, jest babcią uprowadzonego Tymoteusza Maja. Chłopiec za dziesięć dni skończy siedem

miesiący. Rodzice — Marta Maj, lat dwadzieścia siedem, i Seweryn Maj, lat trzydzieści trzy — mieszkają tutaj. — Beata wskazała na budynek, z którego przed chwilą wyszła. — Matka jest w domu. Dopilnowałam, żeby zadzwoniła po męża. Seweryn Maj zaraz powinien przyjechać. Chciałabym teraz pojechać do Jerzego Maja, męża ofiary, i poinformować go o śmierci żony i porwaniu wnuka. Mam jego adres, mieszka na Wodnej. Mogę jechać?

— Możesz. Powiedz mi jeszcze, w jakim stanie jest matka.

— Zdziwiałąco spokojna.

— Czyli jest w szoku.

— Też tak myślę, zadzwonię po naszego psychologa.

Kamil kiwnął aprobowująco głową.

— Zaraz do niej wejdę. Musimy się więcej dowiedzieć o chłopcu.

Spojrzeli na Konarskiego. Technik właśnie rozkładał czarną winylową folię przy dziecięcym wózku i podłączał do niej urządzenie wytwarzające napięcie elektrostatyczne.

— A gdzie jest pani prokurator Łempicka? — zapytała Beata. — Czy nie powinna już tu być?

— Przyjedzie, kiedy będzie chciała, a ty zajmij się swoimi obowiązkami.

— A może wspaniała pani prokurator najpierw pojechała do Kadyńskiego Lasu? Tam przecież jest Rumun, a ona go bardzo lubi. Chyba to zauważyłaś?

— Jak chcesz plotkować, to zmień zawód albo chociaż wydział.

Aspirant Konarski pokazał dwa palce w geście zwycięstwa, udało mu się zabezpieczyć ślad traseologiczny. Mieli już kształt podeszwy, jeszcze tylko skład chemiczny pyłu przyniesionego na butach. Technik przystąpił do zdejmowania z chodnika cząstki pyłu za pomocą naelektryzowanej laseczki laku.

Komisarz ruszył w stronę domu Majów. Był to nowy budynek w odróżnieniu od poniemieckich zabudowań ciągnących się wzdłuż ulicy Konopnickiej. Nie musiał dzwonić, drzwi były otwarte. W salonie na brzegu kanapy siedziała młoda kobieta w letniej sukience, na kolanach trzymała dziewczynkę. Marta Maj była ładna, głównie za sprawą dużych błękitnych oczu. Twarz miała ściągniętą niepokojem. Patrzyła na niego pytająco. Przedstawił się, podając stopień i nazwisko. Również się przedstawiła. Dziewczynka chciała zejść z kolan matki, ale ta mocniej przycisnęła ją do piersi.

— Proszę mi powiedzieć, w co syn był ubrany — poprosił komisarz, siadając na krześle przy stole. Przed sobą położył notes.

— W spodenki do kolan w biało-żółte paski, miał też zieloną koszulkę z żółtą kaczuszką, z krótkim rękawkiem. Skarpetek mu nie włożyłam, bo ciepło.

Kobieta mówiła płynnie, jakby była przygotowana na to pytanie i zawczasu przypomniawszy sobie wszystkie szczegóły.

— Proszę podać kolor oczu syna, kolor włosów i znaki szczególne.  
— Podobny jest do mnie, ma niebieskie oczy i jaśniotkie włoski, prawie białe.  
Kamil zanotował.

— A znaki szczególne?

— Nie ma.

— Wzrost?

Kobieta wzruszyła ramionami.

— Nie wiem, mały jest, ma dopiero siedem miesięcy, waży dziesięć kilo.

— Pamięta pani grupę krwi syna?

— Tak, pamiętam, AB.

— Co pani może powiedzieć o stanie zdrowia syna?

— Jest zdrowy, przez ostatnie dni gorączkował, bo wychodzą mu ząbki. Ma już dwa na górze.

— Potrzebne mi będzie zdjęcie chłopca, dobrej jakości, najlepiej dwa, samej twarzy i drugie całej sylwetki.

Marta Maj sięgnęła po smartfona leżącego na stoliku obok kanapy. Przez chwilę przeglądała zdjęcia w telefonie. Dziewczynka zsunęła się z jej kolan i wybiegła z pokoju. Kobieta podeszła do Kamila.

— To może być? — zapytała, pokazując zdjęcie syna.

Komisarz wziął od niej telefon. Chłopiec rzeczywiście był podobny do matki, miał te same duże błękitne oczy.

— Pójdę po córkę, żeby nie wyszła na zewnątrz — powiedziała Marta i opuściła pokój.

Kamil zaczął pospiesznie przeglądać pozostałe zdjęcia. Były to głównie fotografie rodzinne, na większości znajdowały się dzieci, często towarzyszył im mężczyzna o ciemnych oczach i brązowych włosach, zapewne ojciec. Na widok kolejnego zdjęcia Kamil się wzdrygnął. Rozpoznał starszego mężczyznę, który na rękę trzymał syna Majów. Jerzy Maj, były zastępca szefa Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych do spraw Służby Bezpieczeństwa. Nieźle... Dziadek uprowadzonego dziecka kierował do dziewięćdziesiątego roku elbląską esbecją. To może być ważny szczegół.

Do pokoju wróciła Marta. Postawiła przed nim szklankę z wodą.

— Pomyślałam, że w tym upale...

Podziękował i od razu wypił wodę. Potem za zgodą kobiety przesłał na swój telefon oraz do oficera dyżurnego dwa zdjęcia Tymoteusza Maja. Zadzwoił też do dyżurnego i opisał, w co ubrany był chłopiec.

Marta znowu usiadła na kanapie i wzięła córkę na kolana.

— Czy pani kogoś podejrzewa o uprowadzenie dziecka?

Kamil obserwował uważnie twarz kobiety. Jeżeli coś wie, to przy tym pytaniu powinna się zdradzić. Wciąż patrzyła mu w oczy.

— Nie, nikogo nie podejrzewam.

Komisarz był pewien, że przez moment się zawahała. Spróbował jeszcze raz.

— Statystyki mówią, że to ktoś z bliskiego kręgu dokonuje zwykle uprowadzeń dzieci. Proszę się zastanowić...

Kobieta przycisnęła dziewczynkę do siebie i pokręciła przecząco głową.

— Czy państwo są zamożni?

— Mąż ma firmę, zajmuje się produkcją ogrodzeń. Mamy też ten dom. Nie jesteśmy bogaci.

— Jakieś głuche telefony w ostatnich dniach? Ktoś panią zaczepiał na ulicy, a może ktoś za panią chodził?

— Nie. — W oczach kobiety pojawiły się łzy. — Boję się o mojego męża — wyznała nagle. — On się załamał po śmierci matki. Był z nią mocno związany, bardziej niż z ojcem.

Komisarz zapisał w pamięci, że Marta nawet nie wspomniała o synu. To śmierć teściowej była dramatem, a nie uprowadzenie dziecka. Zaskakujące...

— Nasz psycholog zaraz do pani przyjedzie, proszę z nim porozmawiać.

Kamil się podniósł. Marta odprowadziła go do drzwi.

Na ulicy zobaczył prokurator Milenę Łempicką-Krol. Stała przy prowizorycznym namiocie z białej folii.

— Konarski i medyk rozbierają zwłoki — poinformowała, gdy do niej podszedł.

Przez folię dostrzegł dwie pochylone sylwetki i dwie kolejne wyprostowane. Chciał do nich dołączyć, żeby zobaczyć martwe, nagie ciało. Ruszył w stronę namiotu.

— Tam jest ciasno — powiedziała ostro Milena.

Patrzyła na niego w taki sposób, jak gdyby wiedziała, że pchają go tam zmysły, chęć doświadczenia czegoś na miarę rozkoszy.

Oboje odwrócili się na odgłos pisku opon. Kilkanaście metrów dalej zatrzymał się granatowy ford, wysiadł z niego mężczyzna w zielonym T-shircie. Ten sam, który był na zdjęciach z dziećmi w smartfonie Marty. Szedł powoli w ich stronę. Żaden z funkcjonariuszy nie próbował go zatrzymać, domyślając się, że to ktoś z bliskich.

— Ten facet jest ojcem porwanego dziecka, nazywa się Seweryn Maj — poinformował Milenę.

— Porozmawiam z nim — oznajmiła.

Ruszyła pewnym krokiem w stronę mężczyzny, ten jednak nagle ją wyminął i rzucił się w stronę namiotu. Kamil w ostatniej chwili złapał go za ramię.

Seweryn Maj zaczął się wyrywać, krzyczał i machał rękami na oślep.

— Puszczaj! Tam jest moja matka, chcę ją zobaczyć!

Drżał, a łzy lały się po jego twarzy.

— Teraz trwają oględziny, nie może pan... — oznajmił komisarz.

Seweryn wyrwał się z uścisku.

— Nie ma pan prawa. Mój ojciec postara się, żeby pana wyrzucono z policji.

Milena stanęła obok nich.

— Jestem prokuratorem. Bardzo mi przykro z powodu śmierci pana matki. Zrobimy wszystko, żeby jak najszybciej odnaleźć pana synka. — Ujęła Seweryna pod ramię. — A teraz proszę pójść ze mną.

Poprowadziła go w stronę domu. Mężczyzna szedł zgarbiony, potykał się o własne nogi. Szczupła i dużo niższa Milena wyraźnie go podtrzymywała.

Komisarz obrócił się w stronę namiotu i zajrzał do środka. Ponad ramieniem funkcjonariusza z kamerą zobaczył białe pośladki kobiety. Medyk sądowy właśnie obrócił ją na brzuch i oglądał potylicę. Komisarz czuł się nieco rozczarowany, bo ofiara przypominała bardziej manekina niż martwą kobietę. Źródłem tego wrażenia była mleczna barwa skóry, spotęgowana jeszcze przez światło słoneczne przenikające przez białą folię.

— Szefie, nie zabieraj nam powietrza, my tu już nie mamy czym oddychać — poprosił funkcjonariusz protokołujący oględziny zwłok.

Rzeczywiście, pod namiotem panował wręcz tropikalny klimat. Komisarz się odsunął.

Podjechał kolejny radiowóz, wysiadł z niego aspirant Nowak. Jego śniada twarz błyszczała od potu, na niebieskiej koszuli widoczne były ciemniejsze plamy.

— Jak to się stało, że on ci zwiął? — zapytał Kamil.

— Miał współnika, który czekał na niego w samochodzie w lesie. Obawiam się, że mogą porzucić wóz i gdzieś się schronić, żeby przeczekać. Dobrze wiedzą, że zablokowaliśmy wszystkie drogi w okolicy. Jeżeli jego współnikiem jest kobieta, to nie będą się rzucać w oczy z małym dzieckiem.

— Zaraz zadzwonię do Rokity, niech wyśle więcej ludzi w okolice Kadyn. Trzeba sprawdzić plażę, wszystkie lokale gastronomiczne i kwatery z noclegami. Nie mogą nam się wymknąć.

— Chciałbym tam wrócić, pokręcę się po Kadynach. Ja go widziałem, rozpoznam jego sylwetkę z daleka.

— Nie, tu mi jesteś potrzebny. Przesłuchasz wszystkich mieszkańców tej ulicy, zajmie ci to kilka godzin. Zaczнеш od chłopaka, który zgłosił porwanie. Mieszka tam.



Kamil wskazał stary poniemiecki dom kryty czerwoną dachówką, stojący ponad trzydzieści metrów dalej.

— Daleko — zauważył Rumun.

— No właśnie, ciekawi mnie, jak mógł widzieć tablice rejestracyjne.

Wzrok Rumuna powędrował w bok, komisarz również spojrzał w tę stronę. Zobaczył Mikołaja Bukowskiego, dziennikarza „Elbląskiej Gazety Internetowej” — stał z rowerem za taśmą i machał do nich jak do dobrych znajomych.

— Spław go stąd — polecił komisarz. — Niech czeka na oficjalny komunikat rzeczownika.

Rumun podszedł do dziennikarza i zaczął mu coś tłumaczyć, po chwili tamten wsiadł na rower i odjechał. Wścibski pismak za szybko odpuścił, to powinno ich zaniepokoić.

Z namiotu wyszedł aspirant Konarski, niósł kilka zapieczętowanych toreb foliowych, w każdej znajdowała się jakaś część garderoby Bogumiły Maj.

— Zbieramy się, tu swoje zrobiliśmy — oznajmił technik.

Kwadrans później jechali w stronę Kadyn. Termometr wskazywał trzydzieści cztery stopnie, aż nie chciało się wysiadać z klimatyzowanego samochodu. Auta porywacza pilnowało dwóch funkcjonariuszy. Drzwi od strony kierowcy były szeroko otwarte. Konarski pochylił się i oglądał podłoże.

— Jeden wyraźny odcisk buta, zabezpieczymy go.

— Gipsem? — zapytał Kamil.

— Nie, podłoże jest zbyt sypkie, lepszy będzie sylikon.

Konarski sfotografował ślad, przygotował mieszanekę sylikonową i ostrożnie wypełnił nią odcisk buta. Kamil odnotowywał w protokole każdą jego czynność. Po trzech minutach odlew był gotowy. Teraz aspirant pochylił się nad wykładziną pod nogami kierowcy. Aż gwizdnął.

— Całą kopalnię tu mamy.

Odciał pasek taśmy klejącej i przyłożył ją do wykładziny. Skinął na Kamila, żeby ten podszedł.

— Co widzisz?

Aspirant trzymał taśmę kilka centymetrów przed oczami komisarza. Kamila aż zatkało, cała taśma była oklejona piaskiem, żwirem, włosami, igliwem i Bóg wie czym jeszcze.

— Wiesz, co to znaczy? — zapytał Konarski.

— To znaczy, że jesteśmy w czarnej dupie.

— Sam bym tego lepiej nie określił. Passat był kradziony?

— Sądzę, że tak, ale jeszcze tego nie ustaliliśmy. Ruska policja musi potwierdzić prawdziwość tablic, a wiesz, jak z nimi jest... Swoje musimy odczekać.

— Może właściciel nie lubił sprzątać, ale stawiałbym raczej na to, że porywacz specjalnie naniósł te mikroślady, aby utrudnić nam identyfikację. Niestety rozniosło się po świecie, że usuwanie śladów z miejsca zdarzenia niewiele daje, lepiej nanieść kolejne.

## *Dzień trzeci, wczesne popołudnie*

Bartek siedział na wózku inwalidzkim, w dłoniach nerwowo obracał małą butelkę coli. Przed kilkoma minutami wyjął ją z lodówki, była jeszcze bardzo zimna, mroziła mu dłoń. Przyłożył butelkę na moment do czoła, chłodził nią nie tylko skórę, ale również umysł. Zaraz do pokoju wejdzie policjant, żeby z nim porozmawiać. Był ważnym świadkiem, widział porwanie, to on zawiadomił policję. Całe wydarzenie zapisało się w jego pamięci jako ciąg skrajnych emocji. Najpierw przecucie, że zaraz stanie się coś złego, ta tragedia dosłownie wisiała w upalnej ciszy. Gdy zobaczył tego faceta w czapce z daszkiem zbliżającego się do wózka, poczuł niepokój. On tak dziwnie szedł, jak gdyby się skradał. Na widok dziecka wyciąganego z wózka Bartek poczuł coś na podobieństwo euforii. Wreszcie się stało, na to czekał. Potem przyszło przerażenie, mężczyzna brutalnie odepchnął kobietę próbującą odebrać mu dziecko, a ona upadła na plecy jak szmaciana lalka. Bartek zahipnotyzowany patrzył, jak mężczyzna wskakuje z dzieckiem do czarnego passata i rusza z piskiem opon. Nawet nie próbował zapamiętać numeru rejestracyjnego, podświadomie zarejestrował, że były to ruskie tablice. Przez chwilę patrzył jeszcze na leżącą kobietę. Myślał, że zaraz się podniesie i narobi hałasu, ale ona wciąż leżała. Wziął smartfon i wybrał numer 112. Ręce mu się trzęsły, głos tracił dźwięczność, zdołał jednak powiadomić policję. Powrócił do obserwowania ulicy. Pierwszy radiowóz pojawił się już po trzech minutach, kwadrans później nadjechała pani Maj. Wysiadła z zielonej toyoty i stanęła, wyraźnie zaskoczona widokiem teściowej leżącej na chodniku. Nagle przycisnęła obie dłonie do ust, chyba w tym momencie pojęła, że wózek jest pusty. Policjantka pomogła wypiąć jej córeczkę z fotelika i odprowadziła ją do domu.

Z pokoju obok dochodziły głosy — to funkcjonariusz rozmawiał z jego mamą, musiał otrzymać coś w rodzaju zgody na przesłuchanie, bo przecież Bartek był nieletni. Chłopiec czuł przyspieszone bicie serca, był szczerze przejęty, zaraz pierwszy raz w życiu będzie przesłuchiwany, a to, co powie, może się przyczynić

do odnalezienia dziecka. Miał nadzieję, że mama nie będzie chciała być obecna przy rozmowie. Prosił ją, żeby została w kuchni, w innym razie nie da mu się skupić, będzie się wtrącała w każde wypowiedziane przez niego zdanie.

Drzwi się otworzyły i stanął w nich policjant o czarnych oczach. Wyglądał jak mieszkaniec południa Europy, nawet skórę miał ciemniejszą niż przeciętny Polak. Gdy aspirant Nowak zamknął za sobą drzwi, Bartek odetchnął z ulgą. Na szczęście mama posłuchała jego prośby i nie będzie jej przy przesłuchaniu. Funkcjonariusz przysiadł na brzegu tapczanu i od razu skierował wzrok na monitor stojący na biurku. Bartek też spojrzał w tę stronę. Obaj w milczeniu patrzyli na przekaz obrazu z ulicy Konopnickiej. Przed domem Majów wciąż stały radiowozy, a funkcjonariusze właśnie składali namiot z białej folii.

— Nagrywasz to? — zapytał w końcu aspirant.

— Nie.

— Szkoda, mielibyśmy zarejestrowane porwanie.

— Niech pan pójdzie do sąsiadów, niektórzy mają monitoring, na pewno z nagrywaniem.

— Popytam ich, ale myślę, że kamerki mają ustawione na własne bramy, a nie na ulicę.

Funkcjonariusz bez wątpienia miał rację, a zatem policja będzie się opierała przede wszystkim na jego zeznaniach, na relacji głównego świadka. Bartek poczuł się bardzo ważny.

Aspirant otworzył notes i wyjął długopis z kieszonki.

— Na monitorze widziałeś całe zdarzenie?

— Nie, przez lornetkę, o dziewiątej rano zawsze obserwuję ulicę przez lornetkę.

Funkcjonariusz wstał i otworzył okno. Wyjrzał, wychylając się niemal do połowy ciała. Niewiele zobaczył, prawie czterdzieści metrów to spora odległość. Gdy aspirant się odwrócił, Bartek od razu wskazał sprzęt optyczny leżący na półce. To była porządna lornetka, metalowa, ogumowana i zaskakująco lekka. Miała regulowane muszle oczne i powiększenie pozwalające widzieć wszystkie guziki na ubraniu pani Maj. Parę dni temu zaobserwował, że miała na sobie bluzkę z wycięciem w kształcie serca na plecach, było przez nie widać zapięcie od stanika.

Funkcjonariusz ponownie wychylił się przez okno, ale tym razem przyłożył lornetkę do oczu.

— Masz dobry sprzęt.

— Brat mi kupuje, on pracuje w Niemczech.

— A gdzie jest zainstalowana kamera?

— Na rogu domu pana Jabłońskiego, to dwie posesje stąd, kabel ma czterdzieści metrów.

— Pan Jabłoński o tym wie?

— Nie, nie pytaliśmy z bratem o zgodę, bo on jest stary, zaraz by marudził. Ale ja nic złego nie robię, ja tylko obserwuję ulicę, a nie sąsiadów w domach. Moi rodzice o wszystkim wiedzą.

— Spokojnie, o nic cię nie oskarżam. Czyli codziennie około dziewiątej obserwujesz ulicę przez lornetkę?

— Tak, codziennie, ale tylko w wakacje, bo w roku szkolnym mam o tej porze lekcje.

— Widziałeś czarnego passata kiedyś wcześniej, właśnie koło dziewiątej?

— Nie.

— Zastanów się, może ten samochód powoli przejeżdżał ulicą albo był zaparkowany trochę dalej.

— Nie, na pewno nie widziałem tu czarnego passata.

— A inny samochód kręcił się tu może koło dziewiątej rano przez kilka dni pod rząd?

— Wydaje mi się, że nie. Nie zauważyłem.

— A jacyś ludzie, których przedtem tutaj nie widziałeś? Nadal interesuje mnie godzina dziewiąta.

Aspirant trzymał długopis nad notesem i czekał na jego słowa.

— Wiem, o co panu chodzi... Czy ktoś obserwował dom Majów? Nie zauważyłem nikogo, ale myślę, że musieli obserwować, skoro wiedzieli, że ona zawsze koło dziewiątej wychodzi z dziećmi.

— Ona, czyli kto? — zapytał aspirant.

— No, ta blondynka, pani Maj.

Bartkowi zdało się, że aspirant przewierca go czarnymi oczami i odkrywa jego sekret: namiętność do pięknej sąsiadki.

— Mówisz o matce porwanego dziecka, tak? Jeszcze jej nie widziałem, ale podobno jest ładna.

Bartek poczuł, że się rumieni. Spuścił głowę. Ładna, dobre sobie, ładne to są dziewczyny z jego klasy, a pani Maj jest nieziemską. Każdego dnia rano sięgał po lornetkę, żeby móc się jej lepiej przyjrzeć, żeby upajać się widokiem smukłych łydek, zwłaszcza teraz, latem, kiedy tak często wkładała spódnice przed kolano. Na obrazie z kamery piękna sąsiadka wyglądała zwyczajnie, niczym się nie wyróżniała wśród innych pań, dopiero przyrząd optyczny pozwalał dostrzec niezwykłość jej urody. Gdy przykładł lornetkę do oczu, to jakby zakładał różowe okulary. Ramiona pani Maj stawały się bardziej filigranowe, dołeczki nad

obojczykami głębsze, jej włosy falowały, a piersi podskakiwały przy każdym kroku.

— A może skupiłeś się tak bardzo na przyglądaniu się pani Maj, że nie widziałeś nic więcej?

Bartek spojrzał prosto w czarne oczy policjanta.

— Nie, to nie tak, mnie interesuje cała ulica, nie zauważyłem, żeby ktoś obserwował panią Maj.

— Czy ona zawsze wychodziła z dwójką dzieci?

— Tak, dziewczynka na rowerku jeździła, a to mniejsze dziecko miała w wózku.

— Ktoś jeszcze oprócz pani Maj wychodził z dziećmi na spacer w ciągu ostatnich dwóch tygodni?

— Nikt, tylko ona, dopiero dzisiaj ta starsza pani się pojawiła, to znaczy ona też czasami wychodziła z dziećmi, ale ostatni raz chyba ze trzy tygodnie temu ją widziałem.

Drzwi do pokoju się otworzyły i stanęła w nich mama Bartka. Miała błyszczącą od potu twarz i rozbiegane spojrzenie. Chyba ktoś ją zdenerwował.

— Musimy dostać ochronę — oznajmiła stanowczo, celując palcem w pierś policjanta. — Musi pan nam to załatwić. Właśnie rozmawiałam z siostrą i ona mi uświadomiła, że jesteśmy jedynymi świadkami. Ten bandyta będzie chciał nas... No wie pan... Jedynych świadków się zastrasza albo nawet...

Aspirant wstał.

— Pani też jest świadkiem? Też pani widziała zdarzenie?

— No przecież już mówiłam, że syn wszystko widział, a ja wtedy byłam u wuja w hospicjum.

— No tak, właśnie tak pani mówiła, a teraz pani powiedziała, że jesteście jedynymi świadkami.

— Niech pan się nie czepia szczegółów. Dostaniemy tę ochronę?

Bartkowi zrobiło się głupio. Co sobie aspirant o nich pomyśli? Że są nieźrównoważeni?

— Mamo, porywacz nie wie, że ja go widziałem, nic nam nie grozi.

— Bartek ma rację. Jeżeli nie będziecie rozmawiali z mediami, to sprawca się o was nie dowie.

Posłał mamie błagalne spojrzenie.

— Może wrócisz już do siebie, a ja jeszcze porozmawiam z panem policjantem...

— Dobrze, już idę. Żeby tylko ten chłopczyk się odnalazł. Jak sobie pomyślę, co teraz przeżywa jego matka... Ja bym chyba oszalała. Co się teraz dzieje u nich w domu? Był pan tam? Jak ona się trzyma? Bardzo rozpacza?

— Nie posiadam wiedzy na ten temat — odpowiedział służbowym tonem aspirant.

Bartek nie dziwił się temu pytaniu, sam był ciekaw, co się dzieje w domu państwa Majów. Wyobrażał sobie Seweryna Maja stojącego nieruchomo w salonie i patrzącego pustym wzrokiem w okno, niezdolnego pocieszyć żonę. Widział również piękną, filigranową Martę Maj, skuloną na brzegu kanapy, z ramionami skrzyżowanymi na piersiach i mokrymi od łez policzkami. Na pewno czuje się teraz samotna, jest przerażona. W wyobraźni ujrzał samego siebie, jak opiekuńczym gestem obejmuje panią Maj, a ona delikatnie uśmiecha się do niego przez opadające na twarz włosy. Nie dane mu było dłużej pocieszać w myślach pięknej sąsiadki, bo mama znów się odezwała.

— Tak to jest, jak się ma pieniądze, lepiej już być biednym jak my. Dla okupu tego małego porwali, na pewno. I taka tragedia na dodatek, śmierć starszej pani Maj. To wszystko przez pieniądze...

Bartek nie przerywał mamie, bo widział, że aspirant słucha jej z zainteresowaniem. Przysiadł nawet na tapczanie i coś zanotował.

— Mamo, to nie nasi Majowie są bogaci, to Robert Maj ma kasę.

Musiał to sprostować, żeby funkcjonariusz nie pomyślał, iż świadomie wprowadzają go w błąd.

— A co to za różnica, który Maj ma kasę, przecież to jedna rodzina. Poza tym Robert Maj nie ma dzieci, gdyby miał, to jego dzieciaka by porwali. Logiczne, prawda?

— Kim jest Robert Maj? — zainteresował się policjant.

— Bratem tego tutaj — odpowiedziała mama Bartka, machając ręką w stronę okna.

— Czy państwo Majowie mają wrogów? Ktoś o nich źle mówił? Słyszała pani?

— Nie, na pewno nie, to wspaniali ludzie, tacy mili, a pan Robert Maj jest tym... no jak to się mówi... filantropem, tak, filantropem. Powinien pan kojarzyć, bo w elbląskiej telewizji go pokazywali jakiś czas temu.

Aspirant Nowak zmrużył oczy. Szukał w pamięci Roberta Maja i wyglądało na to, że go znajduje, bo na ułamek sekundy pokazał białe zęby w uśmiechu.

— Robert Maj otrzymał tytuł Filantropa Roku dwa lata temu, ale nie pamiętam za co — oznajmił funkcjonariusz.

— Jak to za co? — mama Bartka zareagowała lekkim oburzeniem. — Za pomaganie, na pewno pieniądze wpłacił na leczenie dzieci, bo przecież zwykle chorym dzieciom się pomaga. Mam rację?

Bartek wiedział, że to, co teraz usłyszy, będzie bardzo ważne. Ten policjant coś wie o rodzinie Majów, bo niby dlaczego tak się ożywił, dlaczego tak przewraca

kartki w notesie? Czyżby szukał tam jakiejś informacji o nich?

— Ten Robert Maj, on kiedyś miał poważne problemy... — zaczął funkcjonariusz.

Bartek poczuł dreszcze na plecach, chciał usłyszeć więcej, jego mama też, bo konspiracyjnym szeptem wyznała:

— Podobno jego pracownica oskarżyła go o gwałt, ale potem się okazało, że kłamała. Chciała się zemścić, bo on ją odrzucił.

Policjant pokręcił przecząco głową.

— Ona go oskarżyła o molestowanie, a nie o gwałt. Pamiętam, potem niespodziewanie przyznała się do składania fałszywych zeznań.

Bartek głośno przełknął ślinę. Gwałt, molestowanie, porwanie i nieumyślne morderstwo, a to wszystko w jednej rodzinie, i to w dodatku mieszkającej po sąsiedzku.

## *Dzień trzeci, wieczór*

Salon pogrążał się w czerwonym blasku zachodzącego słońca. Ciszę zakłócało jedynie bzyczenie osy, która zataczała duże koła pod sufitem. Członkowie rodziny Majów siedzieli nieruchomo, jak gdyby pozowali do fotografii. Dawało się zauważyć żałobny nastrój, na twarzach malowała się przeżyta tragedia. Seweryn i Marta trzymali się za ręce, ale ich ciała były od siebie oddalone, głowy zwrócone w przeciwne strony. Jerzy Maj nie patrzył na syna i synową, jego powieki drżały, długi nos błyszczał od potu. Obok starszego pana siedziała Ramira, nerwowo przebierała bosymi stopami. Robert zajął miejsce na krześle ustawionym nieco dalej, jak gdyby był tylko obserwatorem, a nie uczestnikiem mającej się rozpocząć rozmowy. To on wyglądał najupiorniej, nienaturalnie wyprostowany, z białą jak papier twarzą i strachem w oczach. Na rodzinę Majów patrzyły dwie osoby — komisarz Soroka, który usiadł na wprost nich, oraz prokurator Milena Łempicka-Krol stojąca przy oknie. Stąd miała dobry widok na całą rodzinę Majów.

W salonie było gorąco, bo okno zamknięto, żeby odgłos przejeżdżających samochodów nie zakłócał rozmowy. Milena czuła, jak pot spływa jej wzdłuż kręgosłupa i zatrzymuje się na linii majtek. Nie tylko ona się teraz pocila i nie tylko wysoka temperatura była tego przyczyną. Udzielił się jej panujący tutaj strach. Porwanie to jedno z najokrutniejszych przestępstw, a jeżeli dotyczy ono

dziecka, to okrucieństwo osiąga nieprawdopodobną skalę. Stres, który rodzice czują w takim momencie, może uszkodzić umysł, a nawet zabić. Milena dobrze pamiętała porwanie szesnastoletniego chłopca w Olsztynie. Ojciec po sześciu godzinach od uprowadzenia syna zmarł na zawał serca, a matka po odebraniu telefonu od porywaczy nie była w stanie wydusić z siebie ani jednego słowa. Głos odzyskała dopiero po dwóch tygodniach. Milena pamiętała też swój własny lęk, gdy znikł jej synek. Tamtego dnia rano jadła z nim jajka na miękko, Krzysiu się wygłupiał i wybrudził się żółtkiem. Krzyknęła na niego, do dziś tego żałuje. Gdy wróciła do domu, przywitała ją cisza. Poczowała niepokój, ale miała nadzieję, że jej mąż i syn zaraz wrócą, że gdzieś razem poszli, do kina albo na pizzę. Niestety, od tamtej pory nikt ich nie widział. Lęk ją miażdżył, nie mogła ani jeść, ani spać, jedynym ratunkiem była praca. Nie czekała biernie jak większość rodziców znajdujących się w takiej sytuacji, mogła działać, szukać swojego dziecka i miała do tego najlepsze narzędzia, była przecież prokuratorem. Nie udało się jej odnaleźć Krzysia, niepokój o syna nie wygasł, każdego dnia się o niego martwi, ale w tej chwili ten lęk nabrał intensywności, odrodził się pod wpływem strachu bijącego od osób siedzących w tym pomieszczeniu.

Milena umówiła się z komisarzem, że to ona rozpracuje relacje między członkami rodziny Majów. Kto kogo nie lubi, kto się czuje rozgoryczony, komu w tym gronie najbardziej się ufa. Bardzo ważne mogą się też okazać znajomości — z kim spotykają się Majowie, kto do nich przyjdzie w najbliższych dniach, by ich wesprzeć, kto zadzwoni i zaproponuje pomoc. Milena gotowa była zamieszkać z tymi ludźmi, żeby tylko ich zdemaskować, poznać ich sekrety i dowiedzieć się, dlaczego mały Tymek został porwany. Statystyki były nieubłagane, mówiły, że motywu porwania trzeba szukać w rodzinie ofiary.

Milena skoncentrowała wzrok na Jerzym Maju. Wyglądał na zniecierpliwionego. Zapewne uważał, że komisarz powinien teraz szukać mordercy jego żony, a nie marnować czas na pogawędkę z nimi. Jerzy Maj był swego czasu zastępcą szefa Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych do spraw Służby Bezpieczeństwa. Takich stanowisk nie rozdawano wyłącznie za lojalność, trzeba było jeszcze mieć wyniki. Prawdopodobnie był dobrze przygotowanym do pracy oficerem, powinien więc wiedzieć, że komisarz Soroka wykonuje teraz przewidziane regulaminem procedury.

Starszy pan pochylił się do przodu i oskarżycielsko wskazał palcem na Kamila.

— Chcecie siedzieć na dupie i czekać, aż porywacz zadzwoni, aż sam wpadnie wam w łapy? Za moich czasów to było nie do pomyślenia. Wtedy wykopano by pana z komendy za takie podejście do roboty.

— Zapewniam, że robimy wszystko, żeby złapać sprawcę. Kilkudziesięciu funkcjonariuszy go szuka.



— A dlaczego w mediach nie pojawił się jego portret pamięciowy, dlaczego nie ma żadnych informacji o porwaniu Tymka? — zapytała Ramira.

— Możemy wyznaczyć nagrodę dla informatora — wtrącił się Robert.

Komisarz znalazł się w trudnej sytuacji. Musiał przygotować członków rodziny do rozmowy z porywaczem, od tego zależało życie Tymka. Rodzina Majów nie była jednak nastawiona pozytywnie do współpracy z nim. Byli niespokojni, niezadowoleni z dotychczasowych działań policji.

— Niestety, nie dysponujemy portretem pamięciowym sprawcy. Wiemy tylko, że jest niski, ma około stu sześćdziesięciu pięciu centymetrów wzrostu, jest szczupły, dobrze biega. Czy państwo kojarzą kogoś takiego?

— Myślę, że parę osób by się znalazło, choćby wśród moich pracowników — odezwał się Robert.

— W takim razie proszę przygotować listę tych osób. Z tą samą prośbą zwracam się do was wszystkich. A jeżeli chodzi o wyznaczenie nagrody, to proponuję, żebyśmy z tym poczekali, to jeszcze nie jest dobra pora, możemy tym zdenerwować sprawcę. Teraz ważniejsze jest, żebyście wiedzieli, jak z nim rozmawiać, gdy zadzwoni.

— A jeśli nie zadzwoni, tylko przyśle list albo mail? — zapytała Ramira.

— Porywacze przeważnie dzwonią, dlatego powinniście być przygotowani na rozmowę. Najpierw musimy ustalić, kto będzie prowadził negocjacje z porywaczem. — Komisarz przesunął wzrokiem po zebranych, jak gdyby sam miał wyznaczyć negocjatora. Po chwili zapytał: — Kto się tego podejmie?

Robert, Ramira i Marta spojrzeli na Jerzego Maja.

— Pan, pułkowniku? — zapytał Kamil.

W tym momencie głowę podniósł Seweryn. Wyglądał na rozbitego psychicznie, oczy miał zaczerwienione, broda mu dygotała.

— Ja będę rozmawiał z porywaczem — oznajmił trzęsącym się głosem.

Rodzina chyba nie wierzyła w możliwości negocjacyjne Seweryna, bo jego ojciec i brat pokręcili przecząco głowami. Z kolei Marta zwróciła się do Kamila:

— A czy pan by nie mógł...

— Tak, mógłbym podać się za któregoś z panów i rozmawiać z porywaczem, ale jest ryzyko, że on zna waszą rodzinę i zorientuje się, że jest oszukiwany, a to mogłoby go rozdrażnić. W miarę możliwości musimy być z nim szczerzy.

— Ja będę rozmawiał — powtórzył Seweryn. — To o mojego syna chodzi.

— Sprawca zapyta, czy policja jest w domu. Wtedy pan powie, że tak. Nie ma sensu zaprzeczać. Musi pan też zapewniać, że żądania zostaną spełnione, ale nie może pan się zgodzić na kwotę, którą podadzą. Niezależnie od jej wysokości od razu musi pan mówić, że to za dużo, musi się pan targować. I musi pan poprosić o czas na zebranie pieniędzy, trzy, cztery dni.

Seweryn, autentycznie przerażony, złapał się za głowę.

— Cztery dni? Oszalał pan? Mój syn ma być poza domem cztery dni?

— Czas działa na niekorzyść porywaczy, im dłużej trzymają Tymka, tym większe prawdopodobieństwo wpadki. Przecież wiedzą, że są poszukiwani, i dlatego będą się spieszyć. Z każdym dniem będą bardziej ulegli, na pewno ustąpią, jeżeli chodzi o wysokość okupu.

Usta Seweryna wykrzywiły się jak do płaczu.

— Co pan mówi? Wysokość okupu, przecież to tylko pieniądze. Zapłacę cały okup, żeby tylko Tymek wrócił.

— A skąd pan wie, ile oni zażądatają? A jeżeli to będzie suma, która przekroczy możliwości całej waszej rodziny?

Seweryn się skulił, jak gdyby chciał uniknąć ciosu. Na jego ramieniu natychmiast pojawiła się drobna dłoń Marty. Objęła go, a w jej geście były troska i spokój. Chyba się zorientował, że nie powinien okazywać aż takiej słabości, bo nagle się wyprostował, strącając rękę żony.

Komisarz mówił dalej:

— Powinniście się przygotować na długie czekanie, bo to naprawdę może potrwać. Nie wiemy, czy sprawca dziś zadzwoni. Przypuszczam, że nie zadzwoni. Najpierw musi ułożyć sobie cały plan od nowa, bo okoliczności się zmieniły. Na pewno nie planował zabójstwa, pani Bogumiła jest przypadkową ofiarą. Niewykluczone, że sprawca jest tak przerażony, że nie odezwie się przez najbliższe dwa, trzy dni. Oczywiście musi pan poprosić o dowód, że syn jest cały i zdrowy. Najlepiej, żeby przysłali film, na którym zobaczymy Tymka i gazetę z aktualną datą. I proszę pamiętać, żeby używać jak najczęściej imienia syna. Przygotuję panu listę zwrotów, którymi powinien się pan posługiwać, wypunktuję też najważniejsze rzeczy, o których powinien pan pamiętać. Podczas każdej rozmowy trzeba się z porywaczem umówić na kolejny kontakt telefoniczny, dokładnie ustalić dzień i godzinę.

Kamil mówił spokojnie, cała jego sylwetka wyrażała opanowanie i pewność siebie. Chciał wlać w serca Majów odrobinę nadziei, choć trochę natchnąć ich optymistycznym myśleniem. Niestety, jego starania nie przynosiły efektu. Z gardła Seweryna wyrwał się szloch, żona ponownie go objęła. Jerzy zacisnął dłonie w pięści.

— Zabiję go, jak tylko go dorwę — syknął.

Ramira gwałtownie wstała i przycisnęła dłoń do ust. Za chwilę rozległ się odgłos bosych stóp na drewnianej podłodze. Milena wyszła za nią. Znalazła piękną brunetkę w kuchni wymiotującą do zlewu.

— Przepraszam, do łazienki bym nie zdążyła.

Wyplukowała usta wodą i umyła zlew.

— Może chciałaby pani porozmawiać z psychologiem policyjnym? — zapytała Milena. — Jeżeli takie będzie wasze życzenie, to psycholog może tu być cały czas, aż do powrotu Tymka. Marta już z nim rozmawiała i chyba jej pomógł.

— Tak, pomógł jej, trzyma się wyjątkowo dobrze, najlepiej z nas wszystkich. Aż mi głupio, że tak się trzęsę, powinnam być wsparciem dla nich, ale nie dam rady. Nie mogę uwierzyć w to, co się stało. Mama nie żyje, Tymusia nie ma z nami. ¿*Oh, Dios mío, por qué?*

— Prawdopodobnie ktoś chce na was zarobić.

— Tak pani myśli?

— Tak właśnie myślę, i to jest ta lepsza możliwość. Proszę do mnie mówić po imieniu, przez następne dni będziemy jak rodzina.

Ramira kiwnęła głową.

— Dlaczego pani mówi... dlaczego mówisz, że to lepsza możliwość?

— Bo porywacz działający z pobudek ekonomicznych to normalny przeciwnik, raczej nie skrzywdzi dziecka, bo przecież ma dostać za nie pieniądze. Gorzej, gdyby to był psychopata albo ktoś działający z zemsty.

— Z zemsty? Nie, nie wydaje mi się, Seweryn i Marta są uczciwi i po prostu fajni. Jestem pewna, że nikomu się nie narazili.

— A ty i twój mąż?

Milena myślała, że Ramira również zapewni ją o swojej i Roberta uczciwości, ta jednak milczała.

— Może porwanie Tymka jest skierowane przeciwko wam. Tym bardziej że to twój mąż wyłożył pieniądze na okup, tak powiedział komisarzowi.

— Może masz rację, może chodziło o nas. W końcu niejednego pracownika Robert wyrzucił z tartaku, wielu się odgrażało. Ale czy wtedy nie porwaliby mnie?

— Łatwiej uprowadzić dziecko, poza tym pomyśl, jakim świadkiem jest siedmiomiesięczny chłopiec? Nic nie wyjawia, gdy już wróci do domu.

Ramira podniosła z taboretu różowego misia przyozdobionego czerwoną kokardką, po czym usiadła.

— *Eso no tiene sentido...* Skąd porywacz wie, że Robert zapłaci okup za bratanka, że Tymek jest dla nas tak ważny?

— Bo was zna.

— To nie może być pracownik tartaku, oni nas nie znają prywatnie.

— Nie chodzi mi o taką znajomość. Zna was, bo dużo o was wie. Sprawdźmy wszystkich pracowników, których zwolnił twój mąż. To może być właściwy trop. A czy ktoś jeszcze przychodzi ci do głowy, jeżeli chodzi o zemstę na was obojgu?

Ramira przytuliła różowego misia do policzka.

— Nie wiem, kto mógłby się chcieć na nas mścić.

Milena zastanawiała się, czy nie zapytać teraz pięknej brunetki o molestowanie, którego miał się dopuścić jej mąż, ale ostatecznie zrezygnowała. To nie był jeszcze właściwy moment, poza tym sama nie znała szczegółów tej sprawy, Rumun niewiele zdążył jej powiedzieć.

Do kuchni weszła Marta. Wyglądała na zmęczoną i nad wyraz spokojną.

— Zrobię kolację — oznajmiła cichym głosem.

— Pomogę ci — zadeklarowała Ramira, odkładając maskotkę na stół.

— Nie, wolę sama, muszę coś robić. — Spojrzała na Milenę. — Zjesz z nami, pan komisarz też. To nie będzie wesoła kolacja, ale dobrze, że z nami będziecie, z wami jakoś lepiej to wszystko zniesiemy.

W dłoni Marty pojawił się nóż, ostrze błysnęło w świetle zachodzącego słońca. Zaczęła kroić chleb, raz za razem odkrawała równe kromki. Nagle przerwała i uniosła głowę, rozbieganym wzrokiem wodziła po kuchni, jej usta wykrzywiły się do płaczu.

Milena zbliżyła się do niej.

— Zrobimy wszystko, żeby Tymek wrócił cały i zdrowy do domu — zapewniła spokojnym tonem.

Marta pociągnęła nosem.

— Ale mnie w tej chwili nie chodzi o Tymka — mruknęła.

— A o co?

— Nie zrobiłam dzisiaj zakupów, chleba mam za mało i masła też. Kawa mi się kończy, a komisarz pije tyle kawy, na pewno zaraz poprosi o kolejną.

— *No hay problema*, ja pójdę po zakupy, tylko powiedz, co mam przynieść — zaproponowała Ramira, podnosząc się z taboretu.

Marta dalej patrzyła na Milenę i mówiła:

— Na pewno myślisz, że jestem okropną matką. Zamiast rozpaczać z powodu porwania syna, martwię się o zakupy.

— Nie jestem tutaj po to, żeby oceniać, tylko żeby wam pomóc. Mam doprowadzić do bezpiecznego powrotu Tymka do domu, to nasz jedyny cel. Pozwolimy nawet uciec porywaczom, jeżeli taka będzie cena jego uwolnienia.

Ramira podniosła się.

— To ja już pojedę po te zakupy, bo zaraz wszystkie sklepy pozamykają.

Spojrzała na Milenę, czekała na przyzwolenie.

— Idź, tylko pamiętaj, że jeśli porywacz zadzwoni do ciebie, to masz z nim nie rozmawiać, od razu odeślij go do Seweryna.

Bose stopy Ramiry cicho odrywały się od posadzki. Gdy znalazła się przy drzwiach, odwróciła się jeszcze.

— Do mnie na pewno nie zadzwoni.

Milena chciała zapytać, skąd ta pewność, ale brunetka zniknęła już w holu. Zostały same, ona i Marta, dwie kobiety, którym porwano dzieci. Milena nie potrafiła odnaleźć swojego syna, ale może uda się jej uwolnić Tymka. Od czasu, gdy Krzysiu zniknął wraz ze swoim ojcem, zaginięcia dzieci stały się dla niej priorytetowymi sprawami. Niestety, zawsze pojawiały się wówczas wielkie emocje, głównie lęk, że się znowu nie uda. Angażowała wszystkie siły w poszukiwania dzieci, wykorzystywała każde dostępne środki, również te niekonwencjonalne. Teraz też była gotowa zaprzyjaźnić się z rodziną Majów. Trzeba będzie, to ich okłamać, zastraszyć albo przekupi, żeby tylko osiągnąć cel, czyli doprowadzić do powrotu Tymka.

Marta podniosła różowego misia i zaczęła go ugniatać.

— Ja wiem, że Tymek jest bezpieczny, ja to czuję, na pewno sobie teraz smacznie śpi.

— Tak właśnie powinnaś myśleć, poza tym to może być prawda. Tę wizytę u fryzjera miałaś zaplanowaną?

— Nie, przy dwójce dzieci niczego nie planuję. Dzisiaj rano zadzwoniłam do salonu i zapytałam, czy mogę przyjść. Wzięłam ze sobą Łucję, żeby mama miała łatwiej, żeby nie musiała za nią biegać.

— Komu zdążyłaś powiedzieć, że to nie ty wyjdiesz dzisiaj na spacer z dziećmi?

— Nikomu.

Marta zdjęła czerwoną kokardkę z szyi misia i przewiązała mu ją w pasie.

— Gdzie teraz jest Łucja?

— Na górze z moją siostrą, Zuzą.

Milena pomyślała, że rozmowa z trzyletnią dziewczynką niewiele da, ale warto spróbować.

W drzwiach do kuchni stanął Robert, wciąż był blady, miał rozpiętą do pasa koszulę, ciężko oddychał.

— Komisarz prosi o kawę, zresztą wszyscy byśmy się jej napili.

Marta nie zareagowała. Oparła łokcie o kolana i kiwała się jak mechaniczna lalka. Może w końcu dopadło ją otępienie, tak często ogarniające ludzi po tragicznych przejściach. Robert nie patrzył na bratową, lecz na Milenę, poinformowała go więc, że Ramira wyskoczyła do sklepu po kawę i zaraz powinna wrócić.

Odwrócił się, żeby odejść, stał jednak dalej. Na jego koszuli widniała duża plama potu.

— Chciał pan coś jeszcze powiedzieć? — zapytała Milena.

Znowu odwrócił się w ich stronę. Na górną część jego twarzy padł cień, nadając głęboko osadzonym oczom dziki wyraz.

— Chciałem tylko powiedzieć, że nadzieja uczy czekać, ja będę czekał na Tymusia. Straciliśmy mamę, ale nie jego.

Rozległ się zgrzyt przesuwanego taboretu, Marta podeszła do lodówki i zaczęła wyciągać produkty. W jej ruchach dawało się wyczuć sprzeciw. Buntowała się, ale przeciwko czemu? Przeciw całej tej sytuacji, a może przeciw słowom Roberta?

— Już sobie poszedł — oznajmiła Milena.

Reakcja Marty była zaskakująca, najpierw zerknęła przez ramię na drzwi, a potem wyraźnie się rozluźniła. Zaczęła się poruszać swobodniej, bez tego demonstracyjnego zacięcia w każdym ruchu. Wyglądało na to, że nie lubi brata swojego męża i nawet taka tragedia jak śmierć teściowej i porwanie synka nie zmieniła jej nastawienia. Milena uznała, że to dziwne, przecież Robert zadeklarował, że zapłaci okup, Marta powinna być wdzięczna.

— Zrobię sałatkę z czerwonej fasoli i ananasa. Lubisz?

— Lubię, ale mnie i komisarza nie musisz karmić. Nam wystarczy kawa, a kolację przywiozą nam z restauracji.

— Wiem, że nie mam takiego obowiązku, ale i tak będę robić kolację dla moich, to wy też zjecie.

Na stole leżał różowy miś przepasany czerwoną kokardką. Marta podniosła go i odłożyła na parapet.

— Mogę się przejść po domu? — zapytała Milena.

— Możesz, ale u nas nic ciekawego nie znajdziesz.

Marta rzuciła te słowa od niechcenia, zajęta otwieraniem puszek, trafiła jednak celnie w zamiar Mileny. Zgromadzić jak najwięcej danych o rodzinie uprowadzonej osoby — takie było dążenie każdego zespołu śledczego. Aspirant Nowak i sierżant Gryś właśnie sprawdzali bilingi rodziny Majów, ich rachunki bankowe i pocztę elektroniczną. Milena chciała przyjrzeć się im z tej drugiej strony, od kuchni, od sypialni, może uda się jej znaleźć coś ciekawego, jakąś rysę, jakieś pęknięcie, i to dosłownie, na przykład pęknięcie na lustrze w łazience, które by świadczyło o tym, że ktoś w nerwach rzucił w nie czymś ciężkim.

Wyszła z kuchni i schodami ruszyła na piętro. Dom był nowy, z szerokim holem i przestronnymi pokojami, urządzonej nowocześnie, minimalistycznie. W sypialni Majów stało podwójne łóżko i duża szafa z lustrami, na ścianie znajdowała się fototapeta z jakimś abstrakcyjnym obrazem, po drugiej stronie wisiał ogromny telewizor. Nie miała prawa otworzyć szafy, poszperać w szufladach, choć bardzo ją korciło. Ograniczyła się jedynie do poszukiwania zewnętrznych śladów funkcjonowania domowników w tym pomieszczeniu.

W kącie zobaczyła parę japonek, a na parapecie zgniecioną chusteczkę higieniczną. Nic, co mogłoby wzbudzić niepokój.

W holu coś stuknęło. Milena nasłuchiwała przez chwilę. Jej ucho wychwytiło szelest, jak gdyby ktoś zgniótł papierek od cukierka. A może jej się zdawało? Pewnym krokiem wyszła z sypialni.

W holu stała dziewczyna, trzymała dłoń na klamce. Z jej ramienia zwisał plecak, włosy miała rozpuszczone, opadały prawie do połowy pleców. Ostentacyjnie żuła gumę.

— Ty jesteś Zuza, siostra Marty?

— Tak, a pani? — zapytała zaczepnie dziewczyna.

— Nazywam się Milena Łempicka-Krol, jestem prokuratorem.

Zuza była wyższa od siostry, a także szczuplejsza, pozbawiona kobiecych krągłości. Oczy miała również niebieskie, ale nie tak duże jak Marta, przez co ich kolor nie wydawał się bardzo intensywny. Patrzyła teraz na Milenę nieprzyjaźnie.

— Co pani robiła w sypialni mojej siostry?

— Rozglądam się trochę.

— Myśli pani, że znajdzie Tymusia w szafie? Raczej powinna pani sprawdzić piwnicę i poddasze.

— Dziękuję za radę, tam też zajrzę. Zrobię wszystko, żeby go znaleźć.

— Życzę powodzenia.

Dziewczyna się odwróciła i postąpiła dwa kroki w stronę schodów.

— Zaczekaj!

Zuza się zatrzymała.

— Co jeszcze?

W głosie nastolatki dało się wyczuć wrogość.

— Jesteś zła, rozumiem. Twój siostrzeniec został porwany, to trudna sytuacja, ale nie wyzywaj się na mnie, ja tu jestem po to, żeby doprowadzić do jego powrotu.

Dziewczyna przełożyła plecak z jednego ramienia na drugie, unikała wzroku Mileny, w końcu spojrzała jej w oczy.

— Okej ma pani rację. Przepraszam.

— Często tu przebywasz?

— Tak, zajmuję się dziećmi, często tu nocuję, ale teraz chciałam się zmyć, bo atmosfera jest nefajna. Swoje zrobiłam, położyłam Łucję spać, nic więcej im nie pomogę, więc spadam.

— Kogo podejrzewasz?

— O co pani pyta?

Zuza przesadnie udała zaskoczenie, zrobiła nawet wielkie oczy i mocno uniosła brwi.

— Dobrze wiesz, o co pytam. Kogo podejrzewasz o porwanie Tymka?

— No dobra, zastanawiałam się nad tym. Może to któryś z pracowników Sewka. Pracownicy zwykle myślą, że właściciele firm mają mnóstwo zbędnej kasy. No nie?

— Ja sędzę, że ty podejrzewasz kogoś zupełnie innego.

— A ja sędzę, że powinnam już iść.

Dziewczyna skrzyżowała długie nogi, a z jej ust wyłonił się biały balonik. Napompowana powietrzem guma do żucia pękła z cichym trzaskiem.

— Powiesz mi, kogo naprawdę podejrzewasz? Obiecuję, że nikomu nie powtórzę tego, co od ciebie usłyszę. Pamiętaj, że możesz bardzo pomóc Tymkowi.

— No dobra, powiem pani, ale to bez sensu, bo na pewno się mylę. Zastanawiałam się, czy to nie ktoś z mojej wspaniałej rodzinki, ale chyba nie, oni są za głupi i za leniwi na takie porwanie.

— Kogo z rodziny masz na myśli?

— Wszystkich, matkę, ojca, Damiana, on jest starszy ode mnie o trzy lata. Ostatnio dostał wyrok za kradzież paliwa na stacji. Debil, jak można kraść tam, gdzie są kamery. Ale Tymka nie porwał, za duża robota, za bardzo by się spocił. Łatwiej przecież wyłudzić od Marty kolejną stówkę. Przyłazi tu co jakiś czas, gdy nie ma Sewka, i płacze, że roboty nie może znaleźć, że dzieciństwo miał spieprzone, a Marta na pocieszenie daje mu kasę.

— Dobrze ci jest tutaj u siostry i szwagra?

— Dobrze.

— Co myślisz o Sewerynie?

Na twarzy Zuzy pojawił się uśmiech.

— Jest super, pracuje, nie pije, szanuje Martę, bardzo ją kocha i dzieciaki też, często się z nimi bawi. — Dziewczyna przycisnęła mocniej plecak do boku. — Dobra, to ja już lecę.

— Idziesz do rodziców?

— Nie, oni nie byliby zadowoleni, gdybym znowu zwała się im na głowę, poza tym starzy mieszkają w hotelowcu na Łęczyckiej, tam nie jest fajnie. Przez kilka dni będę nocowała u koleżanki, jej rodzice pojechali na urlop do Hiszpanii. Jutro tu wpadnę, posiedzę z Łucją i zobaczę, jak się rozwija sytuacja.

Dziewczyna zbiegła lekkim krokiem po schodach, a Milena wróciła do sypialni.



# Rozdział IV

## *Dzień czwarty, wczesny wieczór*

Seweryn patrzył na zegarek. Wydawało mu się, że wskazówka minutowa stoi w miejscu. Dziwne, bo przecież sekundnik się poruszał — co prawda wolniej, niż należało, ale jednak posuwał się do przodu. Postukał palcem w tarczę z nadzieją, że cienka wskazówka przyspieszy.

— Czas nie lubi tych, którzy czekają — odezwał się funkcjonariusz siedzący po drugiej stronie stołu.

Seweryn nie wiedział, jak ma to skomentować, więc milczał.

Wszyscy w wielkim napięciu czekali na kontakt od porywacza. Niestety, telefon się nie odzywał. Dziewięć godzin temu zgodnie z sugestią komisarza Seweryn zablokował numery z kontaktów, żeby znajomi i klienci nie wprawiali ich w stan najwyższej gotowości swoimi telefonami. Oparł łokcie o blat stołu i schował twarz w dłoniach. Często przybierał dzisiaj taką pozycję, chronił się w ten sposób przed natarczywym spojrzeniem czarnych oczu aspiranta. Ten funkcjonariusz o arabskiej urodzie patrzył na niego jak na winowajcę. A może tylko mu się zdawało?

Zadzwoń, błagam, zadzwoń już. Dlaczego nie dzwonisz? Seweryn dobrze wiedział, dlaczego Maks nie dzwoni. Na pewno teraz siedzi przestraszony i boi się nawet oddychać. Cholerny Szczurek, zabił mamę. Sewerynowi znowu zbierało się na płacz, łzy napłynęły mu do oczu, broda zaczęła drgać. Ukochana mama, najdroższa osoba pod słońcem nie żyje, i to wcale nie przez Maksa, tylko przez niego. Doprowadził do jej śmierci, w akcie desperacji podjął szaloną decyzję, za którą teraz będzie musiał zapłacić. Jaką karę przewidziano dla takich jak on?

Rozległ się znajomy szelest, to funkcjonariusz wachlował się gazetą. Seweryn wstał i włączył wiatrak, który z cichym szumem zaczął mieć gorące powietrze. Nieostroźnie nakierował podmuch na stół, na którym leżały kartki ze wskazówkami, jak ma rozmawiać z porywaczem. Cienkie białe prostokąty

uniosły się na kilka centymetrów, zawirowały i spadły na podłogę. Aspirant zaczął je zbierać. Seweryn bez słowa wyszedł z salonu.

W kuchni panowała niemal sielankowa atmosfera. Łucja rzucała klockami do kartonu stojącego przy lodówce. Za każdym razem, gdy trafiła, piszczała i tupiała nogą. Marta oklaskiwała sukcesy córki, a pani prokurator spokojnie jadła lody. Seweryna ogarnęła złość — on jest w żałobie, cierpi, boi się, a one siedzą jak dwie przyjaciółki. Marta spojrzała na niego.

— Zrobić ci coś do jedzenia?

Pokręcił przecząco głową i dalej wpatrywał się w niebieskie oczy żony. Nie widział w nich strachu, jedynie troskę, i to nie o Tymka, lecz o niego. Co jest z tą kobietą? Dlaczego nie umiera z przerażenia? Dlaczego nie płacze, nie modli się o powrót syna do domu? Przecież o to mu właśnie chodziło, żeby cierpiała, żałowała za grzechy, a ona tymczasem bawi się z Łucją, jak gdyby nic się nie stało. Miał ochotę podejść do niej, brutalnie ściągnąć ją z krzesła i wykrzyczeć w twarz, że to wszystko przez nią, z jej powodu podjął tę fatalną decyzję, gdyby nie ona, gdyby nie jej zdrada, to mama by żyła. Seweryn zacisnął zęby tak mocno, że aż zabolą go szczęka. Czuł, że gwałtowny szloch gromadzi mu się w klatce piersiowej i podchodzi do krtani. Nie wytrzyma, zaraz wybuchnie głośnym płaczem. Odwrócił się i uciekł na górę, wpadł do sypialni, szukał jakiejś kryjówki, ale tutaj jej nie znalazł. Pobiegł wyżej, na poddasze. Uderzyło go piekielne gorąco przesycone gryzącym, suchym kurzem. Zaraz się udusi, powinien stąd iść, stał jednak przed starą szafą wciśniętą pod skos dachu. To ona nie pozwalała mu odejść. Dwa miesiące temu nieopatrznie ją otworzył i znalazł przysłowiową puszkę Pandory, jak w bajce dla dzieci albo kiepskim filmie rodzinnym.

Dobrze pamiętał, jak to było. Zuzia poprosiła go, aby pożyczył jej okulary do nurkowania. Nie mógł sobie przypomnieć, gdzie je schował, potem nagle olśnienie, przecież po powrocie z Hiszpanii wrzucił je do szafy na poddaszu. Wdrapał się więc na najwyższe piętro domu i zaczął szukać okularów. Przesuwał pudełka na górnej półce i wtedy wypadła stamtąd torebka. W ostatniej chwili zdążył złapać za pasek. Zastanawiał się, dlaczego Marta wyniosła ją na strych, przecież była prawie nowa i zapewne kosztowała majątek. Wydało mu się, że jest ciężka, coś było w środku. Rozpiął zamek i wsunął dłoń do wnętrza. Wyjął etui od okularów oraz białą kopertę. Przez chwilę obracał ją w palcach, była dość gruba. Zdążył jeszcze pomyśleć, że nie powinien do niej zaglądać, ale już po sekundzie trzymał w dłoni zdjęcia. W pierwszej chwili nie mógł pojąć, co na nich widzi. Obraz poprawnie zapisał się na siatkówce oka, ale umysł bronił się przed rozszyfrowaniem znaczenia. Zrozumienie przychodziło powoli, najpierw dotarła do niego informacja, że na zdjęciach znajduje się jego żona. A potem szok

podciął mu nogi, dosłownie. Osunął się na kolana i patrzył na fotografie. Marta pozowała, była przy tym bezwstydną, a nawet wulgarną. Jego miła i potulna żona wyjmowała ze stanika piersi i kierowała je w stronę obiektywu, potem zdejmowała majtki i wypinała goły tyłek. Kolejne zdjęcia pokazywały jeszcze więcej, odzierały ją z intymności, godności. Przyjmowane przez nią pozycje i demonstrowane części ciała przypominały wizytę u ginekologa. Szybko przerzucał zdjęcia, oglądał je w pośpiechu jak dzieciak, który trafił na pornografię i boi się, że zaraz zostanie przyłapany. Ręce mu się trzęsły, gdy chował do szafy dowód zdrady żony, bo nie miał żadnej wątpliwości, że to była zdrada. Marta nie zrobiła tych zdjęć sama sobie, to też nie był prezent dla niego, dla męża na piątą rocznicę ślubu, na takie prezenty była zbyt przyzwoitą żoną. Pozowała dla osoby ukrywającej się za obiektywem, dla jakiegoś mężczyzny.

Tamtego dnia załamało się jego życie, szczęście rodzinne rozsypało się w pył. Nie mógł pojąć, jak to możliwe, że jego żona dopuściła się zdrady. Każdy może mieć romans, ale nie Marta, przecież byli takim dobrym małżeństwem, kochali się i rozumieli. Marta była z nim szczęśliwa, często go o tym zapewniała. Dał jej to, czego potrzebowała — duży dom, poczucie bezpieczeństwa, spokojne życie.

Przez wiele dni nie potrafił spojrzeć żonie w oczy, jak gdyby to on miał coś na sumieniu. Rozmawiał z nią i kochał się, ale bez czułości, tkliwości, nawet bez zwykłego zaangażowania. Miał wrażenie, że jest dwóch Sewerynów — ten właściwy, który cierpi i nienawidzi, oraz ten, który prowadzi pozornie normalne życie. Marta zauważyła, że się zmienił, że jest wobec niej chłodniejszy i często jej unika. Chciała wiedzieć, o co mu chodzi. Zadawała mu pytanie, które powinno być zakazane w małżeństwie. O co ci chodzi? Przecież odpowiedź może być tylko jedna: O nic. Żeby chociaż zapytała, czy ma jakiś problem. Wtedy może by powiedział, że znalazł te zdjęcia, i czekałby z nadzieją, że zaraz sensownie wyjaśni ich istnienie. Niestety Marta nie dała im szansy na rozmowę.

W tamtych strasznych dniach ratowała go rutyna, poddał się więc automatycznym czynnościom dnia codziennego. Wkładał naczynia do zmywarki, płacił rachunki, czytał Łucji bajki przed snem, kosił trawnik i oczywiście pracował. Chwilową ulgę przynosiło mu też zanurzanie się we własnej imaginacji w celu ukarania Marty. W myślach wyzywał ją od różnych, wyrzucał z domu, nie pozwalał widywać się z dziećmi.

Potem pojawił się Maks Kubiak zwany Szczurkiem, przyszedł do firmy, żeby zamówić metalową siatkę, chciał ogrodzić półhektarową działkę w Nabrzeżu. Seweryn w pierwszej chwili go nie poznał, choć przez dwa lata mieszkali na tym samym piętrze w akademiku. W ogóle nie przypominał tego bladego i chudego chłopca z długimi włosami, ale wystarczyło, że się uśmiechnął i odsłonił półcentymetrową szparę między jedynekami. Razem pojechali na działkę Maksa,

piękny kawałek ziemi z widokiem na wody zalewu. Szczurek wyciągnął dwa piwa i usiedli na niewielkim wzniesieniu, długo gadali, o wszystkim, o życiu, o kobietach. Seweryn czuł się zrelaksowany, pierwszy raz od dnia znalezienia zdjęć. Zaczęli się widywać częściej, zwykle jeździli nad Nogat i łowili ryby albo spotykali się na działce Maksa i strzelali z wiatrówki do puszek. Szczurek wyjawiał mu, że ma wyrok w zawiasach, trzy lata, właściwie za nic, bo za groźby wobec gościa, któremu tak naprawdę należał się porządny wpierdol. Przy czwartym spotkaniu napomknął coś o zarabianiu na porwaniach, których nie ma. Temat szybko się urwał, bo zielony sławik zniknął pod taflą wody. Złowili pięknego szczupaka. Podczas kolejnego wędkowania Szczurek rozgadał się na dobre, znowu mówił o porwaniach i o ludziach, którzy mają trochę kasy i nie zbawi ich utrata paru tysiaków.

Seweryn słuchał Maksa i zastanawiał się, jak ukarać Martę. Nabierał coraz większego przekonania, że kara musi nastąpić, bo tylko w ten sposób można zmyć winę. Kara pozwala dalej żyć w spokoju zarówno temu, który ją wymierza, jak i osobie pokutującej. Wydawało mu się, że wymyślił najgorsze z możliwych odkupienie winy — porwanie syna. Rozkoszował się myślą, że Marta będzie cierpiała i umierała ze strachu. Wtedy podsunie jej, że to może ich wina, że Bóg ich pokarał za jakieś grzechy. Ona przyzna się do zdrady i będzie na kolanach błagać go o wybaczenie, a on wspaniałomyślnie to uczyni. Gdy Tymek już do nich wróci cały i zdrowy, oni oboje będą jak nowo narodzeni, niewinni i szczęśliwi. Zakłamana przeszłość zostanie odcięta przez tragiczne wydarzenie.

Jaki był głupi w swoim myśleniu. Nie zobaczył w oczach żony ani bólu, ani strachu, a sam cierpi i się przeraźliwie boi. Kogo właściwie ukarał? To porwanie rozbije do końca jego małżeństwo, rodzinne szczęście. Mama zginęła, jej śmierć nie pozwoli mu dalej spokojnie żyć z Martą. Żeby tylko Tymek bezpiecznie wrócił do domu.

Poczuł delikatne dotknięcie na ramieniu, odwrócił się. Za nim stała pani prokurator. Nie usłyszał, że weszła na poddasze. Czyżby się za nim skradała? Czy próbowała go na czymś przyłapać?

— Wiem, co pan czuje.

Nie mógł uwierzyć, że słyszy tę oklepaną formułkę rodem z amerykańskiego serialu. Głupia baba... Dobrze, że Tymek nie został porwany na serio, bo ona na pewno by go nie odnalazła. Nie mógł się powstrzymać, żeby jej nie dociąć.

— A skąd pani wie, co ja czuję? Pani też porwano dziecko?

— Tak, syna, miał wtedy osiem lat.

Miał wrażenie, że prokurator zastawiła na niego pułapkę. Niby taka mało rozgarnięta, łazi po jego domu, jak gdyby nie wiedziała, co z sobą zrobić, je lody

i wygłasza banalne teksty, a tak naprawdę próbuje zagonić go w kozi róg, zmusić do popełnienia błędu.

— Wiem, co pan czuje. Jest pan zły na żonę za to, że nie rozpacza tak bardzo jak pan, że nie jest przerażona. Oczekuje pan, że będzie przeżywała tę tragedię tak samo jak pan. Mam rację?

— Tak, ma pani rację.

Jego czujność się wzmogła.

— Niech pan będzie lepiej jej wdzięczny, że się jakoś trzyma. Dużo wysiłku musi to ją kosztować. No, chyba że pana złość do żony ma jakieś inne podłoże. Jakieś małżeńskie żale? Nieporozumienia? Tak?

Seweryn omal odruchowo nie przytaknął.

— Jesteśmy dobrym małżeństwem — oznajmił.

Z dołu dobiegł ich głos funkcjonariusza, wołał, że dzwoni telefon. Seweryn wyminął panią prokurator i rzucił się schodami w dół, pokonywał po dwa stopnie naraz. Słyszał już sygnał swojej komórki, żeby tylko zdążył, zanim Maks się rozłączy. Wpadł do salonu, krople potu spływały mu po nosie. Złapał aparat.

— Słucham — wyrzucił z siebie między jednym a drugim głębokim oddechem.

Cisza. Telefon ustawiony był na tryb głośno mówiący, wszyscy czekali na pierwsze słowa dzwoniącego. Marta stała metr od niego, trzymała na rękach Łucję i przygryzała nerwowo dolną wargę. Pani prokurator przysiadła na brzegu kanapy i wymieniała umowne znaki z aspirantem Nowakiem. Wzrok Seweryna zatrzymał się na moment na telefonie funkcjonariusza leżącym na stole i połączonym z centralą.

— Słucham — powtórzył.

Znowu cisza. Dlaczego Maks się nie odzywa? Przecież wie, że to połączenie nie może trwać zbyt długo, bo go zlokalizują. Podobno wystarczy kilkanaście sekund, aby policja namierzyła dzwoniącego, a potem wystarczy wysłać patrol i już go będą mieli. Seweryn czuł, jak narasta w nim złość. Przez tego kretyna on też wpadnie.

— Kurwa, odezwij się.

Aspirant Nowak podsunął mu pod oczy kartkę z instrukcją: „Nie używać zwrotów agresywnych”.

Nagle z telefonu popłynęły słowa:

— Mamy twojego dzieciaka.

Seweryn wstrzymał oddech, nie spodziewał się, że usłyszy głos elektroniczny, zupełnie pozbawiony intonacji. Ma rozmawiać z jakimś robotem? Co za okropne uczucie. W jego głowie zapanował chaos. Funkcjonariusz podsunął mu pod oczy kolejną instrukcję: „Zapytaj o zdrowie syna”. Seweryn przełknął głośno ślinę.

Zastanawiał się gorączkowo, co ma zrobić, przecież nie może rozmawiać z robotem.

— Mamy twojego dzieciaka — powtórzył elektroniczny głos.

Do Seweryna dotarło, że Szczurek używa jakiegoś programu do zmiany głosu, żeby go nie rozpoznano. Dobrze, że o tym pomyślał.

— Tak, zrobię wszystko, co chcecie.

Każde słowo wypowiadał z wielkim bólem odczuwalnym w okolicach serca. Nie przypuszczał, że rozmowa z Maksem będzie tak trudna. Chciał językiem zwilżyć usta, ale ślina była zbyt gęsta.

— Daj mi do telefonu tego psa, co teraz jest w twoim mieszkaniu.

— Co?

Seweryn nie zrozumiał. Jakiego psa? O co chodziło Szczurkowi?

— Daj mi psa do telefonu, no już.

Policjant wyciągnął rękę po aparat i wtedy Seweryn pojął, że Maks chciał rozmawiać z gliniarzem. Po co? Przecież to ryzykowne posunięcie? Ten aspirant zaraz przechytrzy Szczurka i wyciągnie od niego ważne informacje, a na pewno uda mu się przedłużyć rozmowę.

— Aspirant Mariusz Nowak, słucham.

Głos policjanta był spokojny, a nawet przyjacielski.

— Słuchaj, psie, od ciebie zależy, czy dzieciak wróci do domu. Masz zrobić to, czego chcemy, a mały wróci do swoich starych.

— Wasze żądania zostaną spełnione, ale najpierw chcę wiedzieć, jak się czuje chłopiec.

— Mam ci go, kurwa, dać do telefonu, chcesz sobie pogadać z niemowlakiem?

— Przyślijcie film z Tymkiem, dajcie mu do ręki „Dziennik Elbląski”. Nagranie ma być wyraźne, żebym widział datę na gazecie.

— Nie będę się, kurwa, bawił w kręcenie filmów. Nie jestem, kurwa, żaden Almodovar.

Seweryn czuł narastające napięcie, zaraz nie wytrzyma i zacznie krzyczeć. Niech to się już skończy, to całe porwanie, niech Szczurek gada, czego chce, i się w końcu rozłączy. Na sekundę zacisnął mocno powieki. Nie panował nad swoim wzrokiem, oczy latały mu po całym pokoju, przez chwilę zatrzymały się na napiętej twarzy Marty, ujrzał też przerażoną buzię córeczki. Łucja chyba instynktownie wyczuła niepokój rodziców i szykowała się do głośnego płaczu. Seweryn wyrwał słuchawkę policjantowi i wrzasnął:

— Mów, czego chcesz, no mów, po to przecież, kurwa, dzwonisz, no gadaj, ile chcesz?!

Łucja się rozplakała, Marta wybiegła z nią z salonu.

— No i to mi się podoba, żadne bawienie się w reżysera, od razu interes. Słuchaj, dostaniesz dzieciaka, jeśli ja dostanę teczkę Lisa.

— Teczkę Lisa... Jakiego Lisa?

— Twój stary już będzie wiedział, o jakiego Lisa chodzi.

Seweryn zachichotał, właśnie pojął, że to nie dzwoni Szczurek, lecz jakiś palant, ten telefon to tylko żart. Rozłączył się i rzucił aparat na stół.

Prokurator zerwała się z kanapy tak gwałtownie, że aż się zachwiała i przyklękła na jedno kolano. Rozległ się cichy trzask pękającego materiału. Na popielatej spódnicy pojawiło się pęknięcie, spod którego wyzierał biały kolor majtek. Prokurator położyła dłoń na biodrze, zasłaniając dziurę.

Seweryn wiedział, że popełnił błąd. Nie miał prawa uznać, że dzwoniący nie jest porywaczem, wręcz przeciwnie, powinien w to głęboko wierzyć, jest przecież zrozpaczonym ojcem, który chwyta się każdej nadziei.

— Przepraszam — bąknął i schował twarz w obu dłoniach.

Aspirant patrzył na niego jak na przestępcę.

— Przecież mówiliśmy panu, jak ważna jest rozmowa z porywaczami. Im dłużej trwa kontakt, tym większe prawdopodobieństwo, że popełnią błąd.

Seweryn gorączkowo myślał, co ma teraz powiedzieć. Najlepiej, żeby się zbyt mocno nie tłumaczył, bo wzbudzi tym jeszcze większe podejrzenia.

— Przepraszam. Nie zażądał pieniędzy... Przyszło mi do głowy, że to nie może być porywacz... Skoro nie chce pieniędzy, tylko esbeckie akta. Przepraszam, wszystko zmarnowałem.

— Czy chodziło mu o teczkę tego senatora z Elbląga? — zapytał aspirant.

— Myślę, że tak. Mówiłem ojcu, że przez to jego archiwum będą jeszcze problemy, ale on, uparty jak osioł, powiedział, że do grobu je zabierze.

W drzwiach salonu stanęła Marta, trzymała się futryny. Wyglądała jak uczennica, która przyszła na lekcję, ale jest nieprzygotowana i waha się, czy wejść. W końcu zdobyła się na odwagę i postąpiła kilka kroków do przodu.

— I co? — zapytała, przyciskając dłoń do piersi.

Seweryn nie patrzył na nią. Nawet jeśli ujrzałby teraz w jej oczach strach, to nie byłby w stanie się nim upajać.

— On chce teczkę senatora Lisa w zamian za Tymka.

— Nie rozumiem — oznajmiła Marta.

— A co tu jest, kurwa, do rozumienia — wybuchnął i od razu pożałował tych słów. Musi nad sobą panować.

Prokurator podeszła do niego i położyła mu dłoń na ramieniu. Nie powinna tego robić, koszulę miał całą mokrą od potu, a ta go jeszcze dotyka.

— No już, spokojnie, ten człowiek zaraz zadzwoni jeszcze raz, musi tylko zmienić aparat i się przemieścić — powiedziała.

Seweryn nie mógł oderwać oczu od rozdarcia na jej spódnicy. Prokurator chyba powinna wrócić do domu i się przebrać albo chociaż pożyczyć jakąś kieckę od Marty, bo z tą dziurą wygląda komicznie. Drgnął, gdy rozległ się sygnał jego komórki. Odebrał.

— Czy już wiesz, o jaką teczkę mi chodzi?

— Wiem.

— To teraz daj mi psa do telefonu.

Seweryn podał aparat aspirantowi.

— Słuchaj, psie, to ty przekazesz mi te kwity, tylko ty, bez asysty innych psów. Idź do centrum handlowego na Pułkownika Dąbka, tam na parterze znajdziesz sklep z torbami, kup ciemnobrązową, męską teczkę, będzie kosztowała 149 zł. Włóż do niej dokumenty i jutro o piętnastej stoisz na baczość przed szkołą muzyczną, a ja do ciebie dzwonię na twój prywatny numer. Dawaj mi swój numer.

Aspirant podyktował dziewięć cyfr, chciał kontynuować rozmowę, ale dzwoniący się rozłączył. Funkcjonariusz podniósł swój telefon wciąż połączony z centralą i zapytał:

— Macie go?

Na twarzy aspiranta pojawił się uśmiech. Seweryn pojął, że policja namierzyła dzwoniącego. Dobrze, że to nie Szczurek. A jeżeli się pomylił? Jeżeli to jednak Maks, który postanowił rozegrać porwanie na własnych zasadach? Dowiedział się o teźce senatora Lisa i uznał, że na niej zarobi dużo więcej? Seweryn poczuł, jak dopada go przerażenie, cisnęło go w okolicach gardła, na moment zabrakło mu tchu. Nie przypuszczał, że można odczuwać lęk jako punktowy ucisk. Potem strach przesunął się w dół, na lewą stronę klatki piersiowej. Przyłożył obie dłonie do walącego serca. Prokurator ujęła go pod lewe ramię, a Marta pod prawe i wolno podprowadziły do kanapy.

## *Czwarty dzień, wczesny wieczór*

Telefon sprawcy zalogował się na Wyspie Spichrzów, ustalili jego położenie z dokładnością do kilkunastu metrów.

— Zaraz go będziemy mieli — oznajmił sierżant Pociecha. — To jakiś ciołek... Mógł chociaż pojechać do Gdańska i stamtąd zadzwonić.



Komisarz poczuł przyjemny dreszczyk podniecenia, on również nie mógł się oprzeć wrażeniu, że ma sprawcę na wyciągnięcie ręki. Wolał jednak nie zakładać, że przeciwnik jest głupi, że popełnił błąd. Lepiej było myśleć, że chce ich przechytrzyć. Sprawca dał się zlokalizować i być może miał w tym jakiś cel.

Komisarz i sierżant Pociecha jechali nieoznakowanym wozem. Planowali dostać się na Wyspę Spichrzów północnym mostem. Przez radio policyjne słyszeli komunikaty z pozostałych trzech nieoznakowanych samochodów i czterech radiowozów. Mieli obstawić Wyspę Spichrzów ze wszystkich stron. Teren nie był trudny, nieliczne budynki, ponadto sporo zieleni, głównie place porośnięte trawą, a co najważniejsze — niewiele osób się tu kręciło.

Gdy dojeżdżali do północnego mostu, do Kamila dotarło, dlaczego sprawca wybrał ten rejon miasta.

— Co jest, kurwa — mruknął Pociecha. — Co tu robią ci wszyscy ludzie? Jakiś festyn?

W radiu rozległ się głos sierżant Beaty Gryś:

— Teraz sobie przypominam, dzisiaj rozpoczął się festiwal Ludzie Starożytnego Bałtyku, właśnie na Wyspie Spichrzów. Kamil, co robimy?

— To, co mieliśmy zaplanowane, szukamy go. Wylegitymujcie jak najwięcej młodych, niskich mężczyzn. Tych bardziej nerwowych zatrzymujemy. Jeżeli któryś będzie miał przy sobie komórkę z wyciągniętą baterią, to mamy go.

— Za mało nas — zauważył Pociecha. — W osiemnastu nie ogarniemy tego tłumu.

— Posiłki najszybciej pojawią się za dziesięć minut. Do tego czasu musimy go znaleźć. Ja i ty wchodzimy w tłum, a reszta sprawdza tych, którzy próbują opuścić Wyspę Spichrzów.

Przejechali przez północny most, a potem ulicą Warszawską skierowali się na południe. Na moście południowym, przeznaczonym wyłącznie dla pieszych, funkcjonariusze już legitymowali ludzi. Powstał nawet niewielki zator, ci mniej cierpliwi kierowali się na most północny. Pociecha zaparkował w pobliżu białych stożkowych namiotów. Wysiedli, gorące powietrze uderzyło w nich z wyjątkową mocą.

Kamil zaczął się zastanawiać, jaką decyzję mógł podjąć sprawca, który swoje drugie połączenie z komórką Seweryna Maja zakończył zaledwie dwie i pół minuty temu. Wie, że policja jest już na Wyspie Spichrzów, sam ich tu zwabił. Wygląda na to, że lubi prowadzić ryzykowną grę i na pewno dobrze się czuje, gdy ma przewagę. Taki typ nie uciekłby stąd, wręcz przeciwnie, zostałby, żeby obserwować funkcjonariuszy miotających się w tłumie i bezskutecznie go szukających.

Rozdzielili się. Pocięcha ruszył w stronę kilkudziesięciu osób półkolem otaczających plac, na którym walkę toczyło sześciu wojów. Kamil szedł od jednego stanowiska rzemieślniczego do kolejnego i przyglądał się ludziom — nie tylko tym, którzy przyszli tu poznawać kulturę dawnych ludów, ale też tym przebranym. Przypatrywał się mężczyznom w długich aż do kolan koszulach ze skórzanymi pasami, z których zwisały noże, sakwy, rogi. Nagle dojrzał kryjącego się za jednym z namiotów człowieka w ogromnym kapturze na głowie. Podszedł do niego i zajrzał mu w twarz. Biedak był niemiłosiernie spocony, nie wyglądał jednak na przestraszonego, raczej na zaskoczonego. Komisarz ruszył dalej. Szybko minął stanowisko sokolnicze, przy którym zgromadziło się sporo dzieci. Instynkt podpowiadał mu, że sprawca będzie unikał bezpośredniej konfrontacji z policją, udając, że jest bardzo zajęty poznawaniem dawnej kultury. Będzie też się trochę maskował. Kamil zaczął szukać wzrokiem młodych mężczyzn w okularach przeciwsłonecznych i czapkach z daszkiem, uważnie oglądających łuki, miecze i inne elementy uzbrojenia. Kątem oka dostrzegł młodego dziennikarza Mikołaja Bukowskiego. Przeciskał się powoli przez tłum, prowadząc rower. Z jego szyi zwisał duży aparat fotograficzny. Dziennikarz również go zauważył. Zbliżył się z szerokim uśmiechem.

— Komisarzu, co tu się dzieje? Najechało się was tyłu, Orla zablokowana, Studzienna też. Szukacie kogoś? A może ćwiczenia?

— Bukowski, nie stój tu, bo zaraz jakiś pies ci rower obsika.

— Komisarzu, chcesz mi powiedzieć, że mnie olewasz, jakie to niemiłe. Oczekiwałamby ociupiny szacunku, ja też jestem w pracy.

Kamil nie miał ani ochoty, ani czasu na słowną potyczkę z tym wścibskim pismakiem, którego szczerze nie lubił. Szedł dalej, przyglądając się ludziom. Dziennikarz nie odpuszczał, podążał za nim.

— Mógłbym skrobnąć parę słów o waszej akcji tutaj. Jakby to ładnie wyglądało, policjanci wspierani przez średniowiecznych wojów zatrzymali niebezpiecznych przestępców. O panu też bym napisał, dobrze bym napisał. No to co, dowiem się czegoś? Tylko parę szczegółików...

— Tak, dowiesz się. Szukamy kata.

Dziennikarz się ożywił.

— Kto to jest? Co zrobił?

— To taki gość w czerwonym kapturze z toporem. Widziałeś go?

— Nie, niestety... Dzisiaj nie przysłużę się organom ścigania, a bardzo bym chciał. Komisarzu, ty najlepiej wiesz, że ja lubię współpracować z policją.

Kamil się zatrzymał. Miał ochotę powalić Bukowskiego na ziemię i przycisnąć jego chłopcę twarz do suchej, ostrej trawy. Ten gnojek powinien sobie

przypomnieć, na co się umawiali, bo chyba zapomniał. Milczenie aż po grób, za to dał temu chłopaczkowi ponad sto tysięcy.

Dziennikarz odsunął się na krok.

— No dobra, nic nie mówiłem. Już odjeżdżam.

Wykręcił rower i odwrócił się w stronę Kamila, jak gdyby chciał coś jeszcze powiedzieć. Aparat fotograficzny zwisający z jego szyi zakołysał się, łapiąc swą błyszczącą obudową promienie zachodzącego słońca.

— Robiłeś tu zdjęcia? — zapytał Kamil.

— Tak.

— Ile ich zrobiłeś?

— Koło setki, zawsze pstrykam dużo, żeby było z czego wybrać.

— Dawaj mi aparat, jutro go odbierzesz, na komendzie.

Kamil wyciągnął rękę.

— Komisarzu, ja muszę dziś na stronkę fotki wrzucić.

— To zrób sobie kilka telefonem. No, dawaj aparat, przecież lubisz współpracować z policją.

Dziennikarz niechętnie zdjął sprzęt z szyi.

— A teraz zjeżdżaj — polecił Kamil.

Przewiesił sobie aparat Bukowskiego przez ramię i ruszył dalej.

# Rozdział V

## *Dzień piąty, wczesny poranek*

Milena szła pieszo z Gwiazdnej. Postanowiła się przejść, bo miała sporo czasu. Poza tym pogoda skłaniała do spaceru, o siódmej rano dało się iść bez nadmiernego wylewania potu. Minęła kościół Bożego Ciała i ceglany budynek seminarium duchownego. Zbliżała się do Skweru Ofiar Sprawy Elbląskiej z tablicą pamiątkową umieszczoną na głazie. Miała sentyment do tego miejsca. Właśnie tu w pierwszej kolejności skierowała swoje kroki po przeprowadzce do Elbląga. Sfotografowała wtedy tablicę i wysłała zdjęcie swojej dawnej sąsiadce, mieszkającej od wielu lat w Stanach Zjednoczonych, której ojciec był jedną z upamiętnionych ofiar. Prawie każde miasto w Polsce miało w swej historii przykład stalinowskiego terroru, ale Sprawa Elbląska była pierwszym tego typu wydarzeniem, o którym usłyszała, bo sąsiad rodziców pracował w Zakładach Mechanicznych w Elblągu i był jedną ze stu osób aresztowanych po pożarze hali produkcyjnej. Pamiętała, jak nią to wstrząsnęło. Właśnie wtedy pierwszy raz pomyślała, że skończy prawo, zostanie sędzią i nigdy więcej nie pozwoli na sądowy mord. Była młoda i naiwna. Dzisiaj też wykańczano ludzi w sądach, na szczęście na mniejszą skalę, ale i tak nie miała na to żadnego wpływu.

Mijała zamknięte kawiarnie i restauracje na Starym Mieście. Przed jedną z nich mężczyzna zamiatał chodnik. Przy każdym ruchu miotłą wznosiły się kłęby siwego kurzu i brzęczały kawałki rozbitej butelki. Gdy przechodziła obok niego, wyprostował się.

— Jak pani myśli, będzie dziś padać?

Milena odruchowo spojrzała w niebo. Słońce zasłaniały chmury, które jednak nie obiecywały deszczu, brakowało im granatowej barwy i tego swoistego ciężaru.

— Nie, nie będzie padać.

Ze Starego Rynku skręciła w Studzienną, a potem w Wodną, tutaj mieszkał Jerzy Maj. Przed kamienicą stał już Kamil, rękawy koszuli miał podwinięte do

łokcia, między palcami trzymał do połowy wypalonego papierosa. Kiwnął jej głową.

— Wchodzimy? — zapytała.

Komisarz rzucił papierosa na bruk i przydeptał go czubkiem buta.

— Policji wolno śmiecić?

— No co ty, przecież to nie śmieć, to pół fajki. Poza tym lubię się dzielić z tymi, których nie stać na dymka. Gdy będziemy wychodzić z kamienicy, tego peta już tu nie będzie.

— Ile razy słyszałam takie tłumaczenie na sali sądowej. Pewien gospodarz ukradł sąsiadowi dwie krowy, żeby tamten nie musiał się już więcej męczyć z ich dojeniem.

Weszli do budynku i powoli wspinali się po schodach. Byli tutaj wczoraj wieczorem, ale Jerzy Maj nie otworzył im drzwi. Zastanawiała się, co zrobią, jeżeli znowu nie wpuści ich do mieszkania. Może lepiej by było, gdyby to Seweryn przyszedł po teczkę senatora Lisa. Energicznie zapukała do drzwi całą pięścią, odczekała trzy sekundy i znowu zapukała, po czym nacisnęła dzwonek. Kamil zatrzymał się tuż za jej plecami, czuła ciepło bijące z jego ciała. Czekali. Nagle coś zgrzytnęło w zamku i w otwartych drzwiach stanął starszy mężczyzna w kraciastej pidżamie do kolan. Wyglądał żałośnie ze sterczącymi na głowie kępkami przetłuszczonych włosów i zapadniętymi policzkami pokrytymi siwym zarostem. Dwa dni temu, zaraz po śmierci żony, robił wrażenie opanowanego i silnego, a teraz był zaniedbany i bezradny.

— Wie pan, po co przyszliśmy... — zaczęła Milena.

Jerzy Maj odwrócił się do nich plecami. W pierwszej chwili pomyślała, że daje im do zrozumienia, żeby sobie poszli, ale zaraz potem dotarło do niej, że prowadzi ich do pokoju.

Milena poczuła się niepewnie, gdy znaleźli się w sypialni. Deprymująco działało na nią małżeńskie łóżko ze skotłowaną kołdrą po jednej stronie i równo zasłaną pościelą po drugiej. Spod łóżka wystawała para haftowanych w róże kapci, które bez wątplenia należały do Bogumiły Maj. Materialne, namacalne ślady będące dowodem istnienia osoby, której już nie ma. Gdy Paweł i Krzysiu znikli, największy ból czuła, gdy patrzyła na wąski tapczanik syna przykryty kocem w tygrysy. Ten koc zawsze był pofałdowany, pozwijany, zirytowana poprawiała go setki razy, a potem... ów bolesny porządek na tapczaniku Krzysia był nie do zniesienia.

— Jutro jest pogrzeb mojej żony.

— Bardzo panu współczujemy — oznajmiła Milena. — Żonie pan już nie pomoże, ale wnukowi tak.

Starszy pan patrzył na nią jak na wroga.

— Wszystko zrobię dla Tymusia. Może on jeden pójdzie w moje ślady, bo synowie to wolą biznesy robić.

— To niech pan nam da teczkę senatora Lisa.

Jerzy Maj cofnął się o krok i rozłożył ręce, zasłaniając stojącą za nim pancerną szafę.

— Droga pani prokurator, czy pani by oddała akta prowadzonych przez siebie spraw?

— Nie, nie oddałabym, ale tego nie można porównywać. Pana dokumentacja ma wyłącznie charakter historyczny.

— Ja dbałem o bezpieczeństwo obywateli tego kraju, pani też to robi.

W sypialni państwa Majów panował zaduch przesycony wonią męskiego potu. Nie pytając o zgodę, otworzyła okno i przez chwilę stała, wdychając poranne powietrze. Na ulicy Wodnej nie było ani jednego człowieka, jedynie dwa kotki ganiały się po bruku.

— Panie pułkowniku, co takiego jest w teście senatora Lisa, że obawia się pan przekazać ją sprawcy? — zapytał Kamil.

— Nie obawiam się, a poza tym nie ma żadnej pewności, że to porywacz zadzwonił do mojego syna, przecież nie zgodził się przysłać dowodu, że wnuk żyje.

— Tak, to prawda, nie mamy żadnej pewności, ale przecież pan wie, do jakich działań jesteśmy zobowiązani w wypadku porwań... Podejmować wszystkie próby, aby porwana osoba wróciła bezpiecznie do domu. Nie mamy prawa zlekceważyć tego telefonu. Czy ktoś kiedyś próbował odkupić od pana teczkę senatora Lisa? Może sam senator?

— Nie, on nigdy, ale jego przeciwnicy polityczni... I wcale nie chcieli odkupić. Te hieny mają teraz w łapach IPN, Instytut Pograżania i Niszczenia. Straszili mnie, że prokuratora IPN-u przyślą mi do chaty. Swołocz.

Milena odwróciła się od okna.

— IPN jest spadkobiercą tych akt. Ustawa nakazuje panu ich zwrot do archiwum instytutu.

— Droga pani prokurator, tych teczek oficjalnie nie ma, zostały spalone w osiemdziesiątym dziewiątym. I tak im powiedziałem, że jeżeli tu przyjdą, to wszystko zniszczę.

— Zatrzymując te akta, działa pan niezgodnie z prawem i to mnie dziwi.

— Dziwi panią? Przecież ja przez wiele lat dbałem o bezpieczeństwo obywateli, chroniłem ich. A teraz miałbym pozwolić, aby moja praca, moje archiwum posłużyło kilku cwaniaczkom do niszczenia ludzi?

Milena miała ochotę powiedzieć, że Służba Bezpieczeństwa też niszczyła ludzi. Szantażem, groźbami albo pieniędzmi zamieniała ich w donosicieli,

sprzedawczyków, kanalie. Nie mieli jednak czasu na wdawanie się w dyskusję na temat moralności. Przyszli po teczkę senatora Lisa i z nią muszą stąd wyjść.

— Jeżeli nie chce pan nam wydać tych akt, to trudno. Proszę tylko zadzwonić do syna i go o tym poinformować.

Milena ruszyła do drzwi. Cienki materiał spódnicy przyklejał się jej do nóg przy każdym kroku.

— Ja wcale nie powiedziałem, że wam te czki Lisa nie dam. Mówiłem tylko, co myślę o obecnym wykorzystywaniu naszych akt. Gdyby dzisiaj w służbach byli tak oddani ludzie jak kiedyś... — Maj wskazał na drzwi. — Poczekajcie w korytarzu.

Posłusznie wyszli.

— Dasz znać do IPN-u, że on ma to archiwum? — zapytał Kamil.

— A kim wtedy będę? Donosicielem czy praworządnym funkcjonariuszem? Poza tym oni wiedzą, co kto ma w domach, albo się domyślają. Będą im potrzebne te dokumenty, to przyjdą i je wezmą.

Zaskoczona usłyszała, że Maj już ich przywołuje. Weszli do sypialni.

Jerzy stał do nich tyłem, po chwili się odwrócił. Do piersi przyciskał papierową teczkę. Wyglądało na to, że jeszcze się waha, czy ją oddać. Podał akta komisarzowi dopiero wtedy, gdy ten wyciągnął rękę.

— Obejrzymy teczkę na komendzie, oczywiście skopiujemy dokumenty — oznajmił Kamil. — Sądzę, że Lis był waszym TW. Tak?

— Tak, ale to nie wszystko. Po sprawie Bolka informacja, że ktoś był naszym tajnym współpracownikiem, już nie robi na nikim wrażenia... — Maj zawiesił głos, a potem na jednym tchu powiedział: — Senator Lis zabił człowieka.

— Wypadek samochodowy? — zapytała Milena.

— Nie, nie wypadek... zabójstwo.

Milena była zaskoczona, choć nie powinna. W swojej pracy już nieraz miała okazję się przekonać, że mordercą może być każdy, nawet ktoś taki jak pracująca w spółdzielni mieszkaniowej, niezwykle uprzejma animatorka kultury, która otruła swojego zięcia muchomorem sromotnikowym. A jednak informacja o senatorze Lisie wprawiła ją w stan lekkiego osłupienia. Pamiętała ze szklanego ekranu jego okrągłą, jowialną twarz i łagodny, cichy głos. Zabójca?

— Lis zabił swojego kolegę z pracy — zaczął wyjaśniać starszy pan. — Robił wtedy w Zamechu i wraz z dwoma kolegami postanowili dać nauczkę pracownikowi, który z nami współpracował. Pobili go w parku Kajki. Za mocno. Uszłoby im to na sucho, gdyby po wszystkim poszli do domu, ale oni postanowili ukryć ciało i to ich zgubiło. Milicja nam podlegała, a więc od nas zależało, co będzie dalej z Lisem i tamtymi dwoma. Kilka miesięcy wcześniej, w czerwcu siedemdziesiątego szóstego, w Zamechu był duży strajk — ponad dwa tysiące

ludzi stanęło, ciężkim sprzętem zablokowali bramy wjazdowe do zakładu. Zamech to było zapalne miejsce, dziesięć tysięcy ludzi tam robiło, musieliśmy trzymać rękę na pulsie, musieliśmy mieć tam swoich TW. Zaproponowaliśmy Lisowi i tamtym dwóm współpracę w zamian za zatajenie morderstwa. Od razu się zgodzili, a jacy byli wdzięczni.

— Prawie czterdzieści lat temu, przestępstwo przedawnione — mruknął Kamil.

— Tak, siedzieć by nie poszedł, ale czy dalej byłby senatorem? Chyba by mu nikt nie uwierzył, że był tylko ofiarą systemu.

Jerzy Maj zgarbiony podreptał do przedpokoju. Otworzył im drzwi. Opuścili jego mieszkanie z uczuciem ulgi. Mieli teczkę, teraz mogą przygotować się do jej przekazania. Złapią dzisiaj albo porywacza, albo kogoś, kto żerując na ludzkiej tragedii, próbuje coś ugrać. Milena wyjątkowo nienawidziła tych drugich. Gdy Paweł i Krzysiu zniknęli, do niej też zgłaszali się różni ludzie mający na sprzedaż wymyślane informacje o jej bliskich. Konsekwentnie oskarżała ich o oszustwo.

Przed kamienicą kuczał mężczyzna w średnim wieku, był ubrany wyjątkowo grubo jak na panujący od kilkunastu dni skwar. Trzymał w dłoniach peta i uważnie mu się przyglądał.

— Pani widzi, całe pół fajki, ludziom to się w dupach przewracało.

Uniósł rękę, żeby Milena mogła obejrzeć znalezisko.

— Zjeżdżaj stąd — warknął Kamil.

— Już mnie nie ma, szefie.

Mężczyzna schował peta do kieszeni na piersi i ruszył przed siebie.

— No i co? — zapytał komisarz, chowając się w cień.

— A o co pytasz? O tego biedaka?

— Nie, nie o niego, o twoje wrażenia. Co myślisz o Majach?

Milena patrzyła w jego jasne, skupione oczy. Pytał poważnie.

— Mam wrażenie, że wszyscy w tej rodzinie zachowują się dziwnie. Marta jest zbyt spokojna, jak gdyby miała pewność, że Tymek zaraz wróci.

— Ty nie byłaś taka spokojna, gdy twój syn...

Nigdy nie rozmawiała z Kamilem o zniknięciu Pawła i Krzysia, choć nieraz czuła taką potrzebę. Był przecież dobrym śledczym, mógłby spojrzeć na sprawę świeżym okiem. Może znalazłby jakiś szczegół, który umknął jej i policjantom z Olsztyna. Poza tym zwyczajnie chciała, żeby okazał zainteresowanie jej problemami, udzielił wsparcia, nawet pocieszył.

— Ja też byłam spokojna, ale tylko na zewnątrz. Musiałam się tak zachowywać, bo przecież pracowałam, szukałam męża i syna. Gdybym zaczęła rozpaczać, to by mnie odsunęli od poszukiwań.



Milena chciała, żeby Kamil wziął ją za rękę i poprowadził pustą, gorącą ulicą. Mogliby iść przed siebie i rozmawiać o Krzysiu, o jej strachu i ogromnej nadziei. Za chwilę zganiła się w myślach za głupie fantazjowanie, nieprzystające pani prokurator. Ją i komisarza łączy w tej chwili jedynie porwanie małego Tymka i absolutnie nic więcej.

— Co sądzisz o Sewerynie? — zapytał Kamil.

Milena się zamyśliła. Z Sewerynem miała największy problem. Z jednej strony zachowywał się jak typowy rodzic, któremu uprowadzono dziecko. Był przerażony i bezradny, jednocześnie posłusznie wykonywał polecenia policji. Nawet ataki płaczu i chwile agresji zgadzały się z modelowymi przykładami z książki na temat ofiar przestępstw. Było jednak coś jeszcze... Seweryn unikał jej wzroku, odwracał głowę, gdy wchodziła do pokoju.

— On ma coś na sumieniu, nie patrzy mi w oczy — mruknęła. — I to nie tylko moje wrażenie, aspirant Nowak też tak sądzi.

— Wiem. Mówił mi, że Seweryn często zasłania dłońmi twarz. Myślałem, że to może gest rozpacz.

— On zasłania twarz dopiero wtedy, gdy Nowak się w niego wpatruje, a sam wiesz, jakie spojrzenie ma Rumun.

— Wiem, świdrujące, jakby miał wiertła zamiast źrenic. Trzeba się będzie przyjrzeć Sewerynowi i jego interesom. — Kamil wyciągnął z kieszeni telefon i papierosa. — No dobra, a Robert? Nie wydaje ci się dziwne, że od razu zadeklarował, że zapłaci okup? Przecież nie wiadomo, jaka suma wchodziłaby w grę.

— Może czuje się winny? — zasugerowała. — On się naprawdę martwi o małego, powiedziałabym nawet, że rozpacza. To nie jest normalne, chyba że zdaje sobie sprawę z tego, że przyczynił się w jakiś sposób do porwania.

Kamil włożył papierosa do ust i zaczął się klepać po kieszeniach spodni.

— Myślisz, że to o niego chodzi? O jego interesy? Ktoś postanowił uszczknąć kawałek jego tortu?

— Bardzo możliwe, tylko na razie nikt nie zażądał pieniędzy.

— No właśnie, Robert zadeklarował, że zapłaci okup, bo wiedział, że nie chodzi o pieniądze, tylko o teczkę, którą ma w szafie jego ojciec. Trzeba będzie jakoś sprytnie podpytać starego, czy jego synowie interesowali się teczką senatora Lisa.

Milena włożyła dwa palce w kieszonkę na piersiach Kamila i wyjęła płaską zapalniczkę. Uśmiechnął się.

— No i został nam jeszcze kochający dziadek — stwierdził, trzymając w ustach palącego się papierosa.

— Który zamiast od razu przekazać nam teczkę, robi najpierw wykład, jak gdyby wcale nie chodziło o wnuka — zauważyła Milena. — Najnormalniej z nich wszystkich zachowuje się Ramira. Martwi się o Tymka i też o to, że jej mąż będzie musiał za dużo kasy wyłożyć.

Komisarz wybrał numer w telefonie.

— Zdążyłaś zjeść śniadanie?

— Tylko kawę wypiałam.

— To idziemy do ciastkarni na Pierwszego Maja, powinna być już otwarta, a potem do firmy — bardziej służbowym tonem zwrócił się do osoby znajdującej się po drugiej stronie słuchawki: — Co ustaliłaś w sprawie Lisa? — Słuchał przez chwilę, po czym bez słowa się rozłączył. — Senator Lis jest w Chinach, taką informację można przeczytać na jego profilu na Facebooku. Do jego biura Beacie nie udało się dodzwonić, za wcześnie, jeszcze nie ma ósmej.

Milena z aprobatą kiwnęła głową, choć czuła, że rozmowa z senatorem niczego nowego nie wniesie do ich sprawy. Przede wszystkim muszą się skupić na członkach rodziny Majów.

## *Dzień piąty, popołudnie*

Dziesięć minut przed piętnastą Rumun zaparkował w pobliżu szkoły muzycznej. Temperatura dochodziła do trzydziestu pięciu stopni. W jednej dłoni trzymał małą butelkę z wodą, w drugiej ciemnobrązową płaską torbę z dwiema srebrnymi klamrami, kupioną zgodnie z zaleceniem. Technicy zamontowali w niej nadajnik GPS. Może się przyda, choć sprawca prawdopodobnie po przejściu torby od razu ją wyrzuci, a zachowa jedynie papierową teczkę z dokumentami.

Słońce świeciło mu już w plecy, przesunął więc ciemne okulary na czoło i zaczął wędrować wzrokiem wzdłuż ulicy Traugutta. Kilka zaparkowanych samochodów, wyglądały na puste, koło szkoły nikogo, rzecz normalna, przecież są wakacje. W pobliżu Pomnika Odrodzenia jeździło na deskorolce trzech chłopców. Obok niego przejechała biała toyota. Nie starał się zapamiętać numerów rejestracyjnych, to zadanie należało do młodego funkcjonariusza, który spacerował z jamnikiem po drugiej stronie ulicy. Tutaj monitoring miejski nie sięgał, mogli liczyć jedynie na własne spostrzeżenia i jedną kamerę policyjną umieszczoną na samochodzie Rumuna, zaparkowanym osiem metrów dalej.

Wyciągnął z kieszeni telefon, za minutę piętnasta. Czekał, odliczając w myślach sekundy. Rosło w nim napięcie, nie dopuszczał do siebie myśli, że to może być niepokój. Nigdy nie przekazywał okupu, ale wszystko powinno pójść dobrze, przez osiem godzin analizował z Kamilem wszelkie ewentualne posunięcia sprawcy. Był dobrze przygotowany, musi jedynie być czujny. Dwie minuty po piętnastej. Spodziewał się, że porywacz będzie zwlekał z przekazaniem wskazówek, żeby ich zniecierpliwic. Ten facet nie jest głupi. Dobrze wie, że pół komendy będzie próbowało go złapać. Albo zrezygnuje, w ogóle nie da znaku, albo będzie próbował ich przechytrzyć. Komisarz Kamil Soroka obstawiał tę drugą możliwość, Rumun również. Ten człowiek zażądał, aby okup przekazał policjant. Wariat? Raczej pokerzysta.

Esemes przyszedł pięć minut po piętnastej. Odczytał głośno:

— Idź na przystanek tramwajowy przy PZU i wsiądź w trójkę w kierunku Saperów.

W słuchawce umieszczonej w uchu usłyszał głos Kamila:

— No to ruszaj.

Sto pięćdziesiąt metrów pokonał w trzy minuty. Była sobota, na przystanku stały tylko dwie osoby. Spojrzał na rozkład jazdy, trójka miała przyjechać za minutę. A gdyby na nią nie zdążył? Na ile sprawca kontroluje jego ruchy? Czy działa sam? Czy ktoś go wspiera? To wszystko powinien ustalić komisarz, który nadzorował całą akcję z komendy na Tysiąclecia. Aspirant wsiadł do tramwaju. Nie zajął miejsca siedzącego, choć większość była wolna. Wolał stać, bo więcej wtedy widział. Machinalnie rejestrował w pamięci twarze jadących z nim osób. Liczył się z tym, że któregoś z pasażerów zobaczy dziś jeszcze raz, bo któryś z nich może otrzymał polecenie, aby go obserwować.

Kolejny esemes trochę go zaskoczył, tylko jedno słowo: „Wysiadaj”. Wyskoczył z tramwaju przy urzędzie skarbowym i poinformował Kamila, gdzie jest.

— Widzimy cię na monitoringu miejskim — oznajmił komisarz.

Aspirant popijał wodę i się rozglądał. Nikogo podejrzanego, tylko kilku przechodniów wlokących się w cieniu starych budynków przy Bema i nieliczne samochody zatrzymujące się na światłach. Czekał pięć minut, aż przyszła kolejna wskazówka: „Biegiem na przystanek autobusowy na Mickiewicza, wsiadasz w siedemnastkę”.

— Mamy tę wiadomość — zakomunikował komisarz.

Rumun miał w swojej komórce zainstalowany policyjny program szpiegowski, dzięki czemu Kamil otrzymywał te same esemesy co on. Aplikacja podobno była niezawodna, ale umówili się, że będą potwierdzać otrzymywane wiadomości tekstowe.

W ostatniej chwili zdążył wskoczyć do autobusu. Znowu jechał na stojąco i dyskretnie przyglądał się pasażerom, obserwował też przestrzeń za oknem. Jakaś kobieta zerknęła na niego, miała ze trzydzieści lat. Poprawiła włosy i uśmiechnęła się. Nie zareagował, odwróciła więc głowę w stronę okna.

W słuchawce usłyszał głos Kamila:

— Nasz wóz jedzie za siedemnastką, wszystko pod kontrolą. Jeżeli każe ci zostawić torbę i wysiąść, to poradzimy sobie.

Rumun miał ochotę głośno oznajmić, że sprawca nie wyda mu takiego polecenia, bo nie jest aż tak głupi. Przecież we wszystkich pojazdach komunikacji miejskiej znajdował się monitoring wizyjny — w autobusach dwie kamery rejestrujące przestrzeń pasażerską i jedna monitorująca pracę kierowcy, z kolei w tramwajach aż trzy kamery skierowane były na pasażerów, a czwarta nagrywała to, co się dzieje przed pojazdem. Jak tu niepostrzeżenie przejąć okup? Tym bardziej że w autobusie znajdowało się teraz tylko trzynaście osób.

Komisarz, jakby zdając sobie sprawę, o czym teraz myśli Rumun, ostrzegł go:

— Uważaj, pod latarnią najciemniej.

Aspirant omiatał wzrokiem przestrzeń za oknem, wszędzie mało ludzi, chodniki puste, parking przed cmentarzem komunalnym również. W taki upał elblążanie wynieśli się za miasto, pojechali plażować na Mierzei Wiślanej. Jedynie pojedynczy rowerzyści przemykali po rozświetlonych chodnikach. Autobus zrównał się właśnie z dziewczyną w żółtym kasku i białych szortach. Jechała wolno, oglądając się za siebie. Gdy wjechali na Królewiecką, dostrzegł kolejnego rowerzystę. Rozpoznał go po czerwonej koszulce. To był dziennikarz Mikołaj Bukowski. Nie miał kasku, jedynie czapkę z daszkiem. Na przystanku za szpitalem wsiadło dwóch mężczyzn, zajęli najbliższe wolne miejsca i pochylili głowy nad smartfonami. Rumun spojrział na ekran swojego telefonu, żeby się upewnić, że nie przegapił esemesa.

Gdy autobus dojeżdżał do serwisu Toyoty, usłyszał w słuchawce głos komisarza:

— Już ustaliliśmy, gdzie logowała się jego komórka. Pierwszego esemesa wysłał z Żeromskiego, potem z Kościuszki i Bema.

Ta informacja niewiele im dawała. Dopóki sprawca będzie wyjmował baterie z telefonu, nie są w stanie go namierzyć.

Po kilkusekundowej pauzie komisarz komunikował dalej:

— Sprawca stara się omijać monitoring wizyjny, ale już sprawdzamy, czy w okolicach tych ulic pojawiał się ten sam samochód.

Rumun usłyszał sygnał przychodzącej wiadomości. Miał wysiąść na Ogólnej i iść na trzydziestkę.

Wyskoczył z autobusu i znalazł się na wprost kobiety z wózkiem.

— Pomoże mi pan?

Zawahał się. Nie wiedział, ile ma czasu. Wtem usłyszał w słuchawce głos Kamila:

— Trzydziestka odchodzi za siedem minut.

Złapał wózek i unosząc go, ponownie wsiadł do autobusu. Gdy znowu znalazł się na chodniku, przysłała mu do głowy irracjonalna myśl, że to dziecko w wózku to był poszukiwany Tymek. Drzwi autobusu zamknęły się, za późno.

— Chciałbym, żebyście coś sprawdzili — zakomunikował Kamilowi.

— Co?

— Do siedemnastki wsiadła teraz kobieta z wózkiem. Ustalcie, czy dziecko w wózku to czasem nie jest Tymek Maj.

— Coś zauważyłeś?

— Sam nie wiem. Coś musiało zwrócić moją uwagę, ale nie wiem co.

— Ok, zaraz ktoś wsiądzie do siedemnastki.

Aspirant przeszedł przez ulicę, kierując się w stronę przystanku. Tym razem na autobus czekało kilka osób, wszystkie obładowane siatkami. Przy każdym ruchu pobrząkiwały butelki, a w gorącym powietrzu unosiła się woń kiełbasy. Ci elblążanie, którzy nie zdecydowali się spędzić soboty nad morzem, teraz spieszyli na grilla. Nadjechała zatłoczona trzydziestka, Rumun wsiadł ostatni i zatrzymał się przy drzwiach. Nie było sensu pchać się między spoconych pasażerów. W tym tłumie i tak nie wypatrzy nikogo podejrzanego.

Kamil poinformował go, że nieoznakowany samochód policyjny znowu jedzie za autobusem.

Teraz kierowali się na Bielany, w stronę największych w mieście ogródków działkowych. Zastanawiał się, czy to coś znaczy, czy kilkanaście hektarów porośniętych krzakami i żywopłotami to dobra przestrzeń do przejęcia okupu. Może będzie musiał zostawić papierową teczkę w autobusie i wysiąść albo przerzucić ją przez ogrodzenie jakiejś działki, czy też wsunąć niepostrzeżenie do siatki któremuś z pasażerów. Każda z tych ewentualności dawałaby sprawcy spore szanse, gdyby Rumun był sam, ale jego zabezpieczało kilkunastu funkcjonariuszy, z czym sprawca musiał się liczyć.

Prawdopodobnie długa jazda komunikacją miejską ma ich przede wszystkim zmęczyć, pozbawić czujności. Sprawca w pewnym stopniu już osiągnął ten cel. Rumun czuł się nieco rozkojarzony. W autobusie nie było klimatyzacji, przez otwarte okna wlewało się upalne powietrze. Ludzie się pocili, on również, koszulę miał całą mokrą. Dopadły go mdłości. W końcu pierwszy przystanek na Bielanych, wyskoczył, gdy tylko otworzyły się drzwi. Wciągnął w płuca gorące powietrze przesycone wonią topiącego się asfaltu. Poinformował Kamila, że

skończyła mu się woda, i ponownie wsiadł do autobusu. Na szczęście zrobiło się trochę luźniej.

W słuchawce odezwał się Kamil:

— Beata wsiądzie do autobusu na kolejnym przystanku, ma dla ciebie wodę. A dzieciak z tamtego autobusu to nie był Tymek. Miał na sobie ubranko w żółto-białe paski jak Tymek w dniu zaginięcia, dlatego ci się skojarzyło.

Rumun dałby sobie głowę uciąć, że nawet nie zdążył rzucić okiem na tamto dziecko, a jednak...

Na przystanku „Słoneczne Wzgórze” dojrzał zgrabną sylwetkę sierżant Beaty Gryś. Ubrana w koszulkę z wizerunkiem kota, z płócienną torbą na ramieniu, w chustce na włosach i okularach przeciwsłonecznych wyglądała na miłośniczkę rozrywek działkowych. Gdy przechodziła obok niego, wymienili się butelkami. Od razu odkręcił zakrętkę i wlał do gardła chłodną wodę. Beata stanęła dwa metry dalej, nie zerknęła na niego ani na pasażerów, wpatrywała się w ogródki działkowe ciągnące się za oknem. Komisarz dobrze ją wyszkolił. Miała podać mu butelkę z wodą i nie wyróżniać się z otoczenia. Dokładnie to zrobiła, nikt by się nie domyślił, że jest to funkcjonariuszka wydziału kryminalnego, która właśnie jest w pracy. Jeszcze trzy, cztery lata temu próbowałyby wypatrzyć, wytropić sprawcę, ale dzisiaj zupełny spokój. Już się nauczyła, że podczas takich akcji robi się wyłącznie to, co każe szef.

Autobus zatrzymywał się przy kolejnych ogrodach działkowych. Teraz sporo osób wsiadało, większość dźwigała siatki pełne pomidorów, ogórków i cukinii. Rumun czuł, że ze swoją elegancką, skórzaną torbą nie pasuje do tego towarzystwa. Parę osób zaczęło mu się nawet przyglądać. Gdy wjechali na Fromborską, dostał kolejną wskazówkę. Miał znowu wsiąść na Ogólnej i wsiąść w tramwaj numer cztery. Wędrówka po mieście trwała już ponad dwie godziny. Tracił powoli nadzieję, że dojdzie do przekazania dokumentów.

W tramwaju było mniej pasażerów. Znowu jechał na stojąco, obserwując zalane słońcem miasto. Minęli senne bloki nad Jarem i salon rowerowy. Teraz zbliżali się do centrum handlowego na Zawadzie. Tutaj nastąpiła wymiana pasażerów. Wypchane torby dowodziły, że podczas upału wizyta w klimatyzowanej galerii handlowej należała do sporych atrakcji. Rumun czuł, że ma problem z wypatrywaniem istotnych szczegółów. Większą uwagę zwracał na patriotyczne graffiti oraz detale architektoniczne niż na ludzi czy pojazdy. Najpierw mignął mu przed oczami napis na ścianie szczytowej budynku mieszkalnego, sporządzony ręką sympatyka klubu piłkarskiego Olimpia, a potem jego oko wyłowiło formę przestrzenną swoim kształtem przypominającą robota z rozpostartymi skrzydłami albo ażurowego nietoperza nazywanego przez

tubylców Batmanem. Zmusił się do kontrolowania samochodów jadących obok tramwaju i za nim. Dostrzegł granatowe audi, rozpoznał w nim wóz policyjny.

Gdy dojeżdżali do „Światowida”, przyszedł kolejny esemes: „Ładnie dajesz się prowadzić, psie. Tak dalej, to dzieciak wróci do starych”. Cztery minuty później pojawiła się następna wiadomość, tym razem miał wsiąść na placu Słowiańskim. Gdy wyskoczył z tramwaju, zdążył jeszcze zobaczyć, że policyjne audi jedzie dalej. Za chwilę będzie go zabezpieczać inny samochód.

Po placu wokół fontanny biegało troje dzieci, piszcząc i chlapiąc się wodą. Rumun szczerze zazdrościł im tej rozrywki, po stu pięćdziesięciu minutach spędzonych w tramwajach i autobusach cały się kleił. Nad brwiami znowu zbierały mu się krople potu, wytarł je dłonią.

Jakaś turystka ze sporym plecakiem fotografowała formę przestrzenną, którą elblążanie nazywali Żubrem. Chodziła wokół metalowej konstrukcji, szukając najlepszego ujęcia, dwa razy przyklęła nawet na jednym kolanie.

Usłyszał sygnał przychodzącego esemesa. Z niechęcią pomyślał, że czeka go dalsza jazda. Sprawca informował, że ma wsiąść w dwójkę zmierzającą do Bażantarni. Przysiadł na ławce pod zadaszeniem przystanku i wypił resztę wody. Za chwilę obok niego pojawiła się młoda fotografka. Postawiła plecak na ławce, otworzyła go i schowała aparat. Przez chwilę popatrzyła na rozkład jazdy, po czym usiadła obok aspiranta. Odsunął się od niej dyskretnie, bo obawiał się, że czuć od niego potem. Kątem oka zauważył, że dziewczyna ma usta mocno pomalowane jaskrawą pomadką. Barwa szminki była identyczna z kolorem oprawek okularów przeciwsłonecznych. Podobny odcień znajdował się też na chuście, którą miała na głowie.

Przyszedł kolejny esemes. Przeczytał i zmroziło go, dosłownie poczuł w trzydziestostopniowym upale zimny dreszcz. Miał zostawić torbę na przystanku i wsiąść do dwójki. Tramwaj z cichym dudnieniem właśnie nadjeżdżał. W słuchawce usłyszał wściekły głos Kamila:

— Kurwa, nie mamy tam monitoringu. Wsiadaj do dwójki, za pięć sekund nasz wóz będzie na placu.

Fotografka wstała i otworzyła plecak. Rumun szybkim spojrzeniem ogarnął plac, szukając osoby, która mogłaby przejąć okup. Troje dzieci nadal ganiało wokół fontanny, starsze małżeństwo stało na krańcu przystanku, jakiś mężczyzna zatrzymał się koło dębu i patrzył pod nogi, jak gdyby coś zgubił, on był najbardziej podejrzany.

Aspirant zsunął torbę z ramienia i wstał. Drzwi tramwaju otworzyły się z trzaskiem i ludzie zaczęli wysiadać. Było ich wyjątkowo dużo, dwie, trzy, cztery osoby, drugimi drzwiami też wysiadali. Mężczyzna w czapce z daszkiem odwrócił głowę, jakby nie chciał pokazać twarzy. Rumunowi przyszło do głowy,

żeby nie wsiadać, ale wtedy sprawca zrezygnuje z przejęcia okupu. Poza tym wolał nie sprzeciwiać się poleceniom komisarza. Stanął na pierwszym stopniu i się odwrócił. Miał nadzieję, że zobaczy, kto podchodzi do ławki. Za nim stała fotografka i wachlowała się gazetą, wykonując przy tym tak zamaszyste ruchy, że zasłaniała przystanek. Za nią zatrzymał się rosły mężczyzna, który przed chwilą wysiadł z tramwaju — też zasłonił mu widok. Aspirant postawił nogę na drugim stopniu i na trzecim, przesunął się w lewo i spojrzął przez okno. Torby już nie było. Zaklął i rzucił się do zamykających się drzwi. Drogę zastąpiła mu fotografka, omal jej nie przewrócił. Chciał ją minąć, ale złapała go za nadgarstek.

— Spokojnie, niech pan się tak nie spieszy, wzięłam pana torbę.

Wysunęła rękę zza bioder i podała mu skórzaną teczkę. Tramwaj ruszył. Za późno, żeby wyskoczyć i odłożyć ją na ławkę.

Dziewczyna uśmiechnęła się jaskrawo wymalowanymi ustami.

— Nie musi mi pan dziękować, ale następnym razem proszę lepiej pilnować swoich rzeczy.

Zaczęła się przepychać w głąb tramwaju, co nie przychodziło jej z łatwością z powodu plecaka.

Nie tłumaczył komisarzowi, co się stało, tamten wszystko słyszał i już wydawał polecenie.

— Słuchaj, napisz do sprawcy, że nie udało ci się zostawić torby na przystanku. Poproś go o kolejną wskazówkę. Z tramwaju nie wysiadaj, to też mu napisz, że dalej jedziesz dwójką.

Rumun usiadł na pierwszym wolnym siedzeniu i zaczął pisać esemesa. Wysłał go i czekał na odpowiedź. Czuł, że już jest po akcji. Nie będzie kolejnej wskazówki, nawet nie mógł mieć pewności, że sprawca włożył baterię do telefonu i odczytał wiadomość od niego.

Przez okno widział modernistyczny dach „Światowida”. Potem przed jego oczami kolejno przesuwały się dobrze znane mu zabudowania — hotel Żuławy, technikum gastronomiczne, budynki należące do wojska, gmach przedsiębiorstwa energetycznego. W końcu tramwaj zatrzymał się na pętli przy Marymonckiej. Rumun jako jedyny pozostał w środku. Motorniczy wychylił się z kabiny i zawołał:

— A pan co? Słoneczko za mocno przygrzało?

Aspirant wysiadł bez słowa.

— Sprawca nie napisał — zakomunikował Kamilowi.

— Wiem. Kończymy akcję. Pocięcha już tam powinien być. Przyjeżdżajcie do bazy.

Opony zachręściły na drobnych kamyczkach, gdy sierżant zahamował. Rumun wsiadł do klimatyzowanego wnętrza.



— Szkoda, że się nie udało skurwysyna dorwać — rzucił Pocięcha i ruszył.

— Myślę, że on jest jeszcze bardziej wkurwiony niż my.

Nagle w słuchawce odezwał się komisarz:

— Kurwa, Rumun, gdzie ty jesteś?

Kamil był wściekły. Aspirant nie rozumiał, dlaczego tak nagle szefa poniosło.

— Jestem w samochodzie, jedziemy do firmy.

— Zapomniałeś zabrać torbę z tramwaju! Gdzie ty masz głowę! Wracaj po nią!

— Nie, nie zapomniałem. Mam ją przy sobie.

— Co ty pieprzysz! Przecież widzę na monitorze, że nadajnik został w tramwaju. Rumun, kurwa, co się tam dzieje.

Aspirant czuł, jak krew tętni mu w uszach. W napięciu wpatrywał się w skórzaną torbę leżącą na jego kolanach.

— O co chodzi? — zapytał Pocięcha.

— Nie wiem, nie rozumiem — mruknął Rumun.

— Jak to, kurwa, nie rozumiesz! — wrzasnął komisarz. — Sprawdź to!

Z obawą ściskającą gardło otworzył torbę. W środku były gazety. Aż jęknął. W tej samej chwili pojął, co się stało. Komisarz też już wiedział.

— Rumun, kurwa, spierdoliliśmy robotę!

— Zawracaj! — rzucił aspirant do Pocięchy. Tamten bez zbędnych pytań, uderzając kilka razy w klakson, zakręcił na środku jezdni. Wrócili na pętlę tramwajową. Obaj wpadli do stojącej tam wciąż dwójki, a za nimi motorniczy.

— Panowie, kim jesteście? Czego szukacie?

Rumun szedł wzdłuż siedzeń. Nie zauważył, w którym miejscu usiadła fotografka. Gdy oddała mu torbę, nie zwracał na nią uwagi, nie interesował się otoczeniem, bo już było po akcji, po nieudanym przekazaniu okupu.

Szybkie kroki aspiranta dudniły w pustym tramwaju, nagle ucichły. Torba stała pod siedzeniem oparta o ścianę, a jej pasek leżał na podłodze. Podniósł ją i otworzył. Była pusta.

— Taka sama jak pana — zauważył motorniczy, pokazując palcem na torbę zwisającą z ramienia aspiranta.

Rzeczywiście była identyczna, teraz było jasne, dlaczego sprawca kazał im kupić konkretną torbę. Skoro planował je podmienić... Dał się wykiwać jak przedszkolak. Przypomniawszy sobie fotografkę, chustka na włosach, okulary przeciwsłoneczne i szminka na ustach, która zniekształcała prawdziwy kontur warg. To wszystko miało na celu zamaskowanie jej prawdziwego wyglądu. W tej chwili nie byłby w stanie podać rysopisu dziewczyny, nawet kształtu nosa nie zapamiętał, bo skupił się na krzykliwych okularach i kolorze pomadki. Co z niego za policjant, przecież to tandetne przebranie powinno od razu wzbudzić jego podejrzenie. Parę minut wcześniej widział przecież Beatę podobnie

przebraną, w chustce na włosach i okularach przeciwsłonecznych. Funkcjonariuszka też się maskowała, żeby nikt nie rozpoznał w niej policjantki.

Wrócili do samochodu.

— Jak to się stało? — zapytał Pocięcha.

— Zostawiłem torbę na przystanku na placu Słowiańskim, ale dziewczyna wsiadająca za mną mi ją przyniosła. Wcześniej oczywiście podmieniła torby, mnie oddała tę wypełnioną gazetami. Kretyn jestem.

Pocięcha kiwnął twierdząco głową.

— Komisarz będzie wściekły. Gdybym ja tak spieprzył robotę, to by mnie chyba zabił, ale tobie się upiecze.

# Rozdział VI

## *Dzień szósty, rano*

Seweryn wyszedł przed dom. Nie miał na nic siły, nawet myślenie było dla niego problemem. Na szczęście Robert zajął się pochówkiem, a Marta domem. To ona pomyślała o tym, żeby przed pogrzebem umyć wóz. Sama też zadzwoniła do jednego z jego pracowników i poprosiła o zaprowadzenie samochodu do myjni. Teraz lakier granatowego forda lśnił w słońcu.

Seweryn był półżywy, oczy go piekły z niewyspania i od łez. Czekał go dzisiaj pogrzeb matki. Bardzo się spieszyli z pochówkiem. Po sekcji zwłok od razu wydali im ciało, medyk sądowy wystawił kartę zgonu. Potem Robert dobrze zapłacił księdzu, żeby pogrzeb odbył się dzisiaj, w niedzielę. Ramira nie rozumiała, dlaczego tak im zależy na tym konkretnym dniu. Dopiero Marta jej wytłumaczyła, że jeżeli zmarły przeleży niedzielę, to w ciągu miesiąca w tej samej rodzinie ktoś umrze. To tylko przesąd, ale woleli nie ryzykować, bo przecież w grę wchodziło życie Tymka.

Tymuś, jego ukochany synek, już trzeci dzień przebywał poza domem, a Szczurek nie dzwonił. Seweryn próbował pozbierać myśli i jakoś sensownie to wszystko ogarnąć, ale rzeczywistość okazywała się zbyt nieprzewidywalna. Wczoraj nawet uwierzył, że człowiek żądający teczki senatora Lisa to Maks Kubiak, był tego wręcz pewien. Nie czekał już na telefon od Szczurka, lecz na powrót Tymusia. Przecież Maks na pewno go wypuści, gdy tylko dostanie te cholerne akta. Marta przeciwnie, łagodnie tłumaczyła mu, że to nie muszą być porywacze, bo wedle policji ci nigdy nie wzbraniają się przed wysłaniem dowodu życia. Prawdopodobnie miała rację.

Usłyszał, że otwierają się za nim drzwi. Poczł delikatny zapach wody kwiatowej. Od pewnego czasu ta woń kojarzyła mu się ze zdradą i obłudą. Obrócił się nieco, stając bokiem do żony. Przytuliła policzek do jego ramienia. Widział czubek jej głowy z równo zaczesanym przedziałkiem, wąskie ramiona i stopy wsunięte w klapki. Wyglądała jak nastolatka, nawet młodziej od Zuzy. Uniosła głowę i wpatrywała się w niego najpiękniejszymi na świecie oczami.

Właśnie w nich najpierw się zakochał, w tych czystych jak woda tęcza. Teraz jej spojrzenie również wydawało się miłe i szczere.

Jak to się stało, że znaleźli się w tak fatalnym położeniu. Kilka miesięcy temu byli normalną, szczęśliwą rodziną. A może nie, może to było tylko złudzenie?

Marta objęła palcami jego przedramię. Przyszło mu do głowy, żeby się przyznać, że zaplanował porwanie Tymka, a teraz nie ma pojęcia, co się z nim dzieje. Wyjawi, że odkrył jej zdradę i to był główny motyw jego działania, zemsta. Nie powinna mieć do niego pretensji, bo przecież sama też jest winna. Zrozumie, że nie może o tym powiedzieć ani policji, ani jego rodzinie. Wspólnie łatwiej przez to przejdą, razem będą czekać na powrót Tymusia.

— Kochanie, musisz się ogolić. Wyjęłam ci z szafy czarną koszulę i czarne spodnie. Marynarki nie musisz wkładać, jest za gorąco.

Troszczyła się o niego, wspierała, próbowała mu ułatwić pożegnanie matki, a jemu było przykro, a nawet był na nią zły. Wolałby, żeby razem z nim płakała, żeby z rozpaczyny rwała sobie włosy z głowy. Nie chodziło mu już nawet o zemstę, po prostu chciał, aby połączyła się z nim w cierpieniu. Może rzeczywiście powinien jej o wszystkim powiedzieć? Właściwie musi to zrobić, bo inaczej zwariuje. A jeżeli ona doniesie policji? Istniało takie ryzyko, przecież mogą jej puścić nerwy. Był bardzo naiwny, sądząc, że Marta, czując się winna, będzie milczeć. Bał się wymiaru sprawiedliwości i własnego ojca, dla którego lojalność wobec rodziny była najważniejsza. On i Robert zawsze mogli liczyć na staruszkę, nieraz się nasłuchali, strofował ich, pouczał, krzyczał, zdarzało się, że przylał. Kiedy jednak mieli kłopoty, wyciągał ich z bagna za uszy, jak wtedy, gdy Robert po pijaku ukradł samochód i wjechał do rowu albo gdy on dla żartu zadzwonił do szkoły, informując o podłożonej bombie. Surowy i wymagający ojciec troszczył się o niego, a jeszcze bardziej o Roberta. A on sam co zrobił? Naraził własnego syna na ogromne niebezpieczeństwo i pośrednio przyczynił się do śmierci matki. Zwłaszcza tego drugiego ojciec mu nie wybaczy. Rozgorączkowana wyobraźnia podsunęła Sewerynowi straszliwy i bardzo prawdopodobny obraz ojca ściskającego w dłoniach dawny służbowy pistolet z lufą skierowaną w jego pierś. Nie może dopuścić do takiego finału.

Marta pchnęła go lekko w stronę drzwi.

— Idź do łazienki i pospiesz się. Za godzinę musimy wychodzić.

Przechodząc obok salonu, zobaczył panią prokurator i komisarza. Siedzieli przy stole pochyleni nad szklankami z wodą, między nimi leżała jego komórka. Czekali na telefon od porywacza. Wyglądali na dwójkę zdezorientowanych dzieciaków, które zgubiły łopatkę w piaskownicy. Ojciec miał rację, mówiąc, że dziś w organach ścigania pracują zwykłe patałachy. Wczoraj pomstował na komisarza. Jak policjant, który dał sobie wykraść spod nosa teczkę

z dokumentami, ma odnaleźć jego wnuka i złapać mordercę żony? Komisarz zapewniał, że wykonują wszystkie niezbędne czynności. Nawet pani prokurator jakoś przygasła, już nie pałętała się po całym domu, nie śledziła go wzrokiem. Wczoraj policja nawaliła i z tego wynikała jedna dobra rzecz — nie są aż takimi fachowcami, a więc jego i Szczurka też nie wytropią, nie musi umierać z przerażenia.

Trzy razy zaciął się przy goleniu. Patrzył na krew pojawiającą się na policzku i zgrzytał zębami. Musi wybrnąć z tego gówna.

Marta kończyła się ubierać w sypialni. Miała już na sobie czarną spódnicę, a w ręku trzymała bluzkę tego samego koloru. Odwiesiła ją do szafy i wyjęła inną, tę po chwili namysłu też odłożyła. Seweryn domyślił się, że jedna była za gruba na ten skwar, a druga zbyt wystrzałowa. W końcu włożyła zwykłą bawełnianą czarną koszulkę.

— Łucja jest gotowa? — zapytał.

— Zuza ją ubiera. Zaraz do nich zajrzę.

Marta wyjęła z szafy czarne pantofle na wysokim obcasie i zaczęła je wsuwać na gołe stopy. Szło jej ciężko.

— Skurczyły się?

— Nie, w tym upale stopy mi trochę puchną. Muszę je wcisnąć, nie mam innych.

Seweryn zapinał koszulę i przyglądał się żonie.

— Pomóc ci?

Uniosła głowę i się uśmiechnęła.

— Nie, poradzę sobie.

Za chwilę, stukając obcasami, wyszła z sypialni.

Seweryn ukląkł przed otwartą szafą. Leżało tu kilka pudeł, w jednym z nich znajdowały się jego buty narciarskie, a w nich pakunek, który dostał od Maksa. Wydawało mu się, że to idealny schowek, ale teraz przyszło mu do głowy, że telefon zniknął. Łucja potrafiła wejść wszędzie i wszystko wyciągnąć, może ten aparat już dawno przewala się pośród jej zabawek. Wsunął dłoń do buta. Co za ulga, telefon wciąż w nim był. Schował go do lewej kieszeni spodni, a kartę SIM i baterię do prawej.

Zszedł na dół. W holu stała Zuza, trzymała Łucję na rękach.

— Zaraz przyjdzie Marta i ta baba.

— Jaka baba?

— Pani pierdolona prokurator.

— Jak ty się wyrażasz przy Łucji?

— Sorki, ale ona mi uwiera.

— Tobie? Dlaczego?

Seweryn był zaskoczony. Jemu pani prokurator co prawda też przeszkadzała, no ale on miał na sumieniu porwanie własnego syna.

Zuza wykrzywiła usta w upiornym uśmiechu.

— Wypytywała mnie o was, o ciebie, sucz jedna. Co ona sobie myśli? Gdybym nawet wiedziała, że udusiliście Tymka i zakopaliście go za domem, to gównem bym jej powiedziała.

— Nie mów tak. Pani prokurator robi to, co należy do jej obowiązków.

— Pierdolisz, Sewek.

— Zuza, proszę cię, nie bądź taka wulgarna, zwłaszcza dzisiaj, w dniu pogrzebu mojej matki.

— Dobrze już, obiecuję. A tak w ogóle to bardzo mi przykro z powodu pani Bogusi. Lubiłam ją. A o panią prokurator się nie martw, podsunęłam jej Damiana. Nie zaszkodzi mu, jak go przesłuchają. Może nie będzie robił tylu głupot.

Sewerynowi w głowie tętniły słowa Zuzy: „A o panią prokurator się nie martw”. Dlaczego to powiedziała? Czy ona się czegoś domyśla? Podejrzewa go? Patrzył, jak Zuza z uwielbieniem całuje Łucję po główce, a tamta chichocze. Te słowa na pewno nic nie znaczyły, przypadkiem wypadły z ust dziewczyny.

Seweryn wszedł do samochodu, Marta zajęła miejsce obok niego, a Zuza z Łucją na tylnym siedzeniu. Milena Łempicka-Krol jechała za nimi swoim wozem. Wczoraj zapytała, czy zgadzają się, aby im towarzyszyła w trakcie pogrzebu. Napomknęła, że sprawca może się pojawić w kościele albo na cmentarzu, bo to miejsca publiczne. Zgodził się, mając świadomość, że pytanie ma charakter czysto kurtuazyjny. Komisarz Soroka został w domu, czuwał przy telefonie. Gdyby porywacz zadzwonił, miał z nim negocjować.

W przedsionku katedry Świętego Mikołaja stał ojciec z Robertem i Ramirą. Mężczyźni byli ubrani w garnitury, Ramira miała na sobie czarną sukienkę z długim rękawem. On i Marta wyglądali przy nich jak dwoje luzaków wybierających się do pubu na popołudniowe piwo.

Weszli do ciemnego wnętrza gotyckiej świątyni. Seweryn mocno odczuł ponurość tego miejsca, spotęgowaną jeszcze obecnością katafalku i otwartej trumny. Drewniane, pociemniałe ze starości postaci świętych, których zwykle nie zauważał, teraz wyglądały mrocznie, a nawet upiornie. Gdy szli główną nawą, zamilkły organy, a w kościelną ciszę wdarł się stukot ich butów. Zabrzmiało złowieszczo, jak gdyby ktoś się skradał, jak gdyby nadchodziło coś groźnego. Wstrząsnął nim dreszcz, chyba ma gorączkę, powinien sprawdzić temperaturę przed wyjściem z domu. Marta przycisnęła jego ramię do swojego boku. Ktoś zakaszał, ktoś inny odchrząknął, w powietrzu unosiła się drażniąca kadzidlano-kwiatowa woń, przywodząca na myśl śmierć, trupa, zbrodnię.

Seweryn dyskretnie rozglądał się w kościelnym półmroku. Liczył się z tym, że zobaczy Szczurka. Sugestia pani prokurator, że sprawca może się pojawić na pogrzebie, nie była taka głupia. Maks nie kontaktował się z nim telefonicznie, bo mógł się bać namierzenia przez policję. Może łatwiej mu będzie stanąć w grupie kilkudziesięciu osób i podejść w odpowiednim momencie z kondolencjami. Widział sporo znajomych twarzy, ale nie było wśród nich Maksa. Zajęli pierwszą ławkę. Zuza z Łucją usiadły cztery rzędy dalej, razem z panią prokurator. Dobrze zrobiły, Łucja na pewno będzie marudzić, wtedy Zuza z nią dyskretnie wyjdzie. Marta obejrzała się na córkę, on również. W tym momencie dojrzał Szczurka. Właśnie podnosił się z klęczek, miał spuszczoną głowę. Seweryn rzucił się na kolana obok żony i złożył ręce. Szybko poruszał ustami, nie modlił się jednak o zbawienie duszy mamy, nawet nie o życie Tymka. Nieme słowa były swoistymi zaklęciami mającymi zaczarować rzeczywistość. Żeby tylko ta cholerna prokurator niczego nie zauważyła, żeby Maks nie popełnił błędu, żeby on sam nie zrobił czegoś głupiego. Nie wolno mu się oglądać, szukać wzrokiem Szczurka. Musi się modlić i płakać, jest przecież na pogrzebie matki. Starał się złapać oddech, wpuścić odrobinę powietrza do płuc, ale coś niematerialnego zatykało mu usta. Poczul ucisk w klatce piersiowej. Boże, czy to zawał? Spokojnie, to tylko stres, silny niepokój.

Z powrotem usiadł na ławce. Do jego uszu dotarł głos księdza wypowiadającego słowa pocieszenia. Seweryn wierzył jak nigdy wcześniej, że wiara w Chrystusa Zmartwychwstałego go zbawi. Wierzył, że Bóg go wyciągnie z tego bagna, w które się wpakował na własne życzenie. Dotknął palcami telefonu w kieszeni. Miał nadzieję, że nie będzie musiał go używać. Żeby tylko udało mu się zamienić parę słów ze Szczurkiem. Z trudem dotrwał do końca nabożeństwa. Marta co kilka minut ścisnęła go za rękę, głównie wtedy, gdy głośno wzdychał. Sama nie płakała, za to Ramira zalewała się łzami.

W końcu wyszli za trumną na zalaną słońcem ulicę. Seweryn starał się nie rozglądać. Panował nad swoją głową, ale nie nad oczami, które latały mu w każdą stronę, wyszukując sylwetki Maksa. Nie dostrzegł go. Czyżby się pomylił? Czy naprawdę go widział? Dopadły go dwa ambiwalentne uczucia — strach, że nie uda mu się przyspieszyć powrotu syna do domu, i ulga, że nikt go nie przyłapie na kontaktowaniu się z porywaczem.

Na cmentarzu Dębica zgromadzili się przed nową kaplicą. Temperatura dobijała do czterdziestu stopni, ludzie szukali cienia, popijali wodę z plastikowych butelek i ocierali czoła chusteczkami. Wielu mężczyzn zdjęło marynarki, ale nie ojciec i nie Robert. Podeszło do nich kilka osób, wszyscy mówili o tym, że są zszokowani śmiercią Bogumiły. Zabójstwo i porwanie, takie

rzeczy dzieją się w filmach, ale nie w Elblągu. Ojciec miał zaciśnięte szczęki, nic nie mówił.

Kondukt złożony z kilkudziesięciu osób ruszył za trumną. Droga była trudna, pagórkowata, ludzie mozolnie wdrapywali się na kolejne wzniesienia. Rozlegały się ciężkie oddechy, sapanie i ciche narzekania na upał. Jedna z koleżanek matki zasłabła. Idący na czele Seweryn z Martą zawrócili, żeby udzielić pomocy. Wtedy mignęła mu sylwetka Szczurka. A jednak tu jest, to może znaczyć tylko jedno, chce jak najszybciej oddać Tymka. Potem, gdy już ludzie składali na grobie przywiedle wieńce, Seweryn znowu zobaczył Maksa. Stał w pobliżu trzech mężczyzn, wyglądało to tak, jakby się z nimi znał. Kilkudniowy zarost pokrywał jego twarz, oczy przysłaniały ciemne szkła. Seweryn poszukał wzrokiem Mileny Łempickiej-Krol. Schroniła się pod drzewem, w bezpiecznej dla niego i Szczurka odległości.

Ceremonia dobiegła końca, ludzie zaczęli się rozchodzić, rodzina ostatnia odeszła od grobu.

Na parkingu Seweryn znowu dojrzał Maksa, stał przy autokarze. Podjął decyzję, musi to załatwić teraz. Położył dłonie na ramionach Marty i Roberta, zatrzymując ich przy sobie.

— Słuchajcie, ja wracam do domu.

— Ja z tobą — powiedziała Marta.

— Nie, kochanie, jedź na stypę, ktoś tam musi przecież być. Ja pojedę do domu, bo komisarz wspomniał, że porywacze zwykle kontaktują się trzeciego dnia, dzisiaj powinni zadzwonić.

Robert machał połamami marynarki. Krople potu zebrały mu się na górnej wardze.

— Jedź, braciszku, lepiej, żebyś był w domu, gdy zadzwonią.

Seweryn się rozejrzał. Szczurek wciąż stał przy autokarze, Mileny Łempickiej-Krol nie widział. Lepsza okazja już mu się nie przytrafi.

— Pożegnaj się jeszcze z sąsiadami rodziców i jadę.

Odwrócił się, żeby odejść. Marta złapała go za rękę.

— Tylko zadzwoń do mnie, gdy już, no wiesz...

— Dobrze, jak tylko porywacze się skontaktują, to od razu zadzwonię.

Ruszył w stronę autokaru. Właśnie wsiadali do niego sąsiedzi rodziców z Robotniczej, z ich dawnego mieszkania. Seweryn przeszedł obok Maksa i też wsiadł. Ucisnął ręce kilku mężczyznom, których znał jeszcze jako dziecko, zdrętwiałymi ustami wypowiadał nieskładne zdania, potem wysiadł i stanął naprzeciw Maksa.

— Jak Tymek?

— Dobrze.



— Oddasz go dzisiaj?

— Jak?

— Zostaw go w którymś kościele.

Maks prawie niezauważalnie kiwnął głową, wyminął go i wszedł do autokaru. Rozmowa trwała tylko kilka sekund, ale Seweryn i tak bał się rozejrzeć po parkingu. Obawiał się, że natrafi na czujne spojrzenie pani prokurator. Szybkim krokiem szedł do forda, dopiero wtedy ją zobaczył, stała przy swoim wozie. Z tego miejsca nie mogła widzieć jego i Szczurka. Podszedł do niej.

— Wracam do komisarza — oznajmił.

— Słusznie, proszę mi jeszcze powiedzieć, czy ktoś zwrócił dzisiaj pana uwagę.

— Czy ktoś zwrócił moją uwagę? Nie.

Udawało mu się patrzeć prosto w oczy pani prokurator, choć nie mógł powstrzymać mrugania.

— Pana rodzina też mi nikogo nie wskazała, ja sama też nie wypatrzyłam nikogo podejrzanego.

— Przepraszam, ale w jaki sposób pani zamierzała rozpoznać podejrzanego?

— To proste, rozglądałam się za kimś, kto drapie się za uchem albo po nosie.

— Zabawne — skonstatował.

— Nie chciałam być zabawna. Człowiek, który ma coś na sumieniu i chce to ukryć, często drapie się po nosie albo za uchem lub poprawia włosy.

Seweryn chciał już skończyć tę rozmowę. Podtrzymywanie kontaktu wzrokowego męczyło go, czuł wręcz fizyczny ból w gałkach ocznych.

— Muszę jechać — oznajmił.

— Tak, niech pan jedzie.

Dopiero w samochodzie poczuł ulgę. Łzy popłynęły mu z oczu. Nie przejmował się tym, że ktoś zauważy go płaczącego. Miał do tego prawo, wracał przecież z pogrzebu matki. Na szczęście niebawem wszystko będzie miał za sobą, skończy się ten cały koszmar, jeszcze dziś Tymuś do nich wróci.

Komisarza zastał w salonie rozpartego wygodnie na kanapie z butelką wody w dłoni.

— I co? Nie dzwonił? — zapytał Seweryn.

— Nie.

— Jeżeli dzisiaj nie zadzwoni... ja nie wiem, czy my to dłużej wytrzymamy.

— Właśnie o to sprawcom chodzi, po trzech dniach czekania rodzina zgodzi się na wszystko.

Przez następną godzinę siedzieli w milczeniu. Seweryn wpatrywał się w telewizor i bezmyślnie przerzucał kanały. Ściszył go, gdy zauważył, że policjant ma przymknięte powieki. Miał ochotę wziąć prysznic i założyć suche

ubranie, ale czuł, że jego pójście do łazienki może być źle odebrane. Wrócił przecież do domu, aby czuwać przy telefonie. Owszem, czekał na sygnał komórki, ale nie swojej, lecz komisarza. To do niego wkrótce ktoś powinien zadzwonić z informacją o znalezionym w kościele dziecku. Choć wiedział, że wszystko jest na dobrej drodze, oczekiwanie było bardzo męczące. Zaczął chodzić po salonie, poszedł do kuchni. Otworzył lodówkę i zaraz ją zamknął. Może kawę by zrobił? Podniósł czajnik i wtedy rozległ się sygnał komórki policjanta. Znieruchomiał, wstrzymując oddech. Sekundy mijały i nic się nie działo. Odstawił czajnik i ruszył do salonu. Miał napięte wszystkie mięśnie, czuł mrowienie na dłoniach i karku. Stał w progu i patrzył na komisarza trzymającego aparat przy uchu. Ten nagle się rozłączył i położył telefon obok siebie na kanapie. Seweryn oddychał ciężko. Czekał.

— To nic ważnego, funkcjonariuszka dzwoniła w innej sprawie — zakomunikował policjant.

Seweryn czuł, jak cały robi się mokry, z czubka nosa kapały mu krople potu. Musi się jednak odświeżyć. Ciężkim krokiem ruszył na piętro. W sypialni ponownie ukrył telefon, baterie i karty SIM w bucie narciarskim. Potem w łazience zdjął przepoczone ubranie i wszedł pod prysznic, po trzech minutach już się wycierał. Szybko się ubrał i zszedł do salonu.

— Chce pan kawy?

— Tak, już wcześniej miałem poprosić.

Woda syczała w czajniku, a Seweryn oparty o kredens patrzył na zegar kuchenny i liczył, ile czasu może zająć Maksowi podrzucenie Tymka na jakąś mszę. Wcale nie mało, przez półtorej godziny raczej by nie dał rady. O szesnastej lub siedemnastej chyba w niewielu elbląskich parafiach odbywają się msze, a więc pozostaje nabożeństwo o osiemnastej. Seweryn wziął trzy głębokie oddechy i wszedł z kawą do salonu.

Po siedemnastej wróciła Marta z Łucją. Weszła do domu boso, z przysypiającą córeczką na rękach. Spojrzała na niego pytająco.

— Jeszcze nie zadzwonili — oznajmił przez ściśnięte gardło.

Pocałowała go w policzek. Łucja zaczęła się kręcić w jej ramionach.

— Położę ją i zrobię wam parę kanapek.

— A gdzie Zuza?

— Pojechała do koleżanki.

Wziął Łucję od Marty.

— Ja ją położę.

— Tylko zdejmij jej sukienkę.

Zaniósł córkę do pokoju dziecinnego. Od czasu porwania Tymka nie wszedł tutaj ani razu, dopiero teraz sobie to uświadomił. Chyba bał się widoku pustego

łóżeczka i nieruchomych zabawek. Dzisiejszą noc spędzi właśnie tutaj, z Łucją i Tymkiem, albo zabierze dzieci do sypialni. Na pewno wszyscy się zmieszczą w małżeńskim łóżku. Pocałował Łucję w spocone czoło i wyszeptał:

— Twój braciszek dzisiaj wraca.

Cicho zamknął za sobą drzwi.

Krótko przed osiemnastą narastające napięcie zerwało go z fotela, zaczął krążyć niespokojnie po salonie, policjant wodził za nim wzrokiem. Kolejna mocna kawa i głośno nastawiony telewizor nie były w stanie złagodzić niepokoju.

Osiemnasta piętnaście... We wszystkich elbląskich kościołach trwały już wieczorne msze, wkrótce ktoś powinien zauważyć, że na ławce leży dziecko. Żeby tylko Tymek nie spadł na posadzkę. Chyba dziewczyna Maksa jest na tyle rozsądna, żeby zabezpieczyć Tymusia, choćby wkładając go do nosidełka. Ale skąd oni wezmą teraz nosidełko? Parę godzin temu wydawało mu się, że kościół to dobre miejsce do przekazania dziecka — brak kamer, trochę ludzi, półmrok. Teraz w to zwątpił.

Była osiemnasta czterdzieści, a komórka komisarza wciąż milczała. Seweryn próbował się uspokoić, powtarzając w duchu, że z jego synem jest wszystko w porządku, Szczurek to przecież dzisiaj potwierdził. Maks zapewne będzie szukał innego sposobu podrzucenia Tymusia. Może zostawi go jutro w jakimś sklepie?

Seweryn opadł powoli na fotel i wtedy zadzwonił jego telefon. Przeraził go ten sygnał, było w nim coś złowieszczonego. To nie jego komórka powinna dzwonić, lecz komisarza. Odchylił się do tyłu, dając całym sobą znak, że nie odbierze połączenia.

Jasne oczy komisarza, jeszcze przed chwilą zmęczone, teraz były jak dwa noże, które wbijały się boleśnie Sewerynowi w głowę.

— Odbiera pan? Czy ja mam to zrobić?

Seweryn miał ochotę powiedzieć, że nie powinni odbierać, bo to znowu jakiś oszust, który wcale nie ma Tymka.

Do salonu wpadła Marta. Oddychała ciężko, jak gdyby chorowała na płuca.

— Sewek, proszę, powiedz im, żeby oddali naszego synka.

Te słowa okazały się lepszym bodźcem niż ostre spojrzenie komisarza. Wyciągnął rękę po wciąż dzwoniący telefon.

— Słucham, halo.

Chwila ciszy. Sewerynowi przyszło do głowy, że to dzwoni Maks, żeby mu powiedzieć, iż nie zdołał zostawić Tymusia w kościele. Szaleństwo...

— Mam twojego bachora. Dostaniesz go, jak będziesz, kurwa, grzeczny. Rozumiemy się, tatuśku?

Seweryn miał déjà vu, już raz słyszał te słowa, wtedy wypowiadał je robot, teraz dźwięki przetworzone przez modulator głosu zdawały się płynąć w zwolnionym tempie. Wówczas to nie był Szczurek, a tym razem? Chyba on.

Komisarz podsunął mu pod oczy wskazówkę: „Zapytaj o zdrowie syna”. Seweryn przełknął ślinę.

— Jak się czuje mój syn?

— Zaraz, tatuśku, sam zobaczysz na filmie.

Połączenie zostało przerwane. Przez parę sekund stali nieruchomo, jakby miał nastąpić jakiś ciąg dalszy niezależny od nich.

— Proszę sprawdzić wszystkie swoje skrzynki — polecił komisarz. — Na pewno na którąś przysłał film.

Seweryn otworzył program pocztowy ze służbową skrzynką. Marta zaglądała mu przez ramię.

— Jest! — zawołała.

Otworzył plik i aż jęknął na widok buzi syna. Usłyszał, jak Marta wypuszcza powietrze z wyraźną ulgą. Jemu też spadł kamień z serca. Tymuś żył i czuł się dobrze, uśmiechał się do nich z małego ekranu. Wyciągał w ich stronę obie rączki, w których trzymał „Gazetę Wyborczą”, prawdopodobnie wczorajsze wydanie. Zatem Maks postanowił kontynuować pierwszą wersję ich planu. Pazerny dupek nie chciał zrezygnować z kasy. Seweryn był zły, Szczurek mu się sprzeciwił. Żeby tylko jego zachłanność ich nie pogrzyżyła.

Znowu zadzwonił jego telefon. Komisarz gestem nakazał mu odebrać.

— No i co, tatuśku? Widziałeś dzieciaka?

— Tak.

— Jak dostanę hajs, to ci go oddam. A jak tatuś nie da kaski, to mały będzie pokarmem dla piranii w moim akwarium. Rozumiemy się?

— Tak.

— No to szykuj milion na jutro.

Szok na moment odebrał mu zdolność logicznego myślenia. Nie mógł uporządkować myśli zdominowanych przez straszne przecucie. Maks zaczął grać na własną rękę, a on nie ma możliwości mu w tym przeszkodzić. Komisarz uniósł kartkę ze wskazówką: „Targuj się”.

— Milion? Tyle nie mam. Może uzbieram trzysta tysięcy, miliona nie dam rady.

Sewerynowi przemknęła przez głowę pełna nadziei myśl, że ten milion, którego żąda Maks, to tylko zagranie, żeby policja uwierzyła, że ma do czynienia z prawdziwym porywaczem. W ostateczności Szczurek zgodzi się na umówione trzysta tysięcy.

— Milion, ma być milion albo twój bachor wyląduje w moim akwarium.

Kolejna kartka z instrukcją pojawiła się przed oczami Seweryna: „Poproś o czas na zebranie pieniędzy”.

— Potrzebuję czasu, muszę pożyczyć pieniądze, dwa, trzy dni.

— Dobra, zadzwonię za dwa dni. Masz mieć hajs w domu przygotowany. Rozumiemy się, tatuśku? Pozdrów mamuszkę.

Seweryn odruchowo spojrział na Martę. Siedziała skulona w fotelu, dłonie włożyła między kolana, w jej niebieskich oczach pojawiły się łzy. Od czasu porwania po raz pierwszy okazywała tak silny niepokój.

Komisarz ponownie podsunął mu pod oczy kartkę ze wskazówką: „Targuj się”.

— Nie wiem, czy zdołam pożyczyć cały milion — wydukał Seweryn.

— Postaraj się, tatuśku.

Porywacz się rozłączył. Marta zaczęła cicho płakać. Za to komisarz wyglądał na zadowolonego, rozmawiał już z centralą.

— No to mamy co robić — rzucił do słuchawki, a do Seweryna powiedział: — Powinien pan porozmawiać z bratem. Myślę, że pół miliona to kwota, na którą sprawca się zgodzi.

Seweryn czuł, jak czaszka mu rośnie, jak rozpycha ją od środka jakaś siła. Pół miliona dla Szczurka, dla tego hycła. Nie miał żadnych wątpliwości, że jemu z tej sumy nic nie przypadnie. Maks chce go wykołować i zapewne mu się to uda.

# Rozdział VII

## *Dzień siódmy, popołudnie*

Na stole w sali konferencyjnej stały dwie oszronione butelki wody — jedna była opróżniona do połowy, pod drugą, jeszcze pełną, utworzyła się mokra plama. Te butelki przypominały im, że za oknem wciąż panuje skwar. Na stole leżało też kilka teczek. Sierżant Beata Gryś przyniosła wszystkie dokumenty, jakie do tej pory zgromadzili w związku z porwaniem Tymoteusza Maja i zabójstwem Bogumiły Maj. Komisarza interesowała w tej chwili wstępna analiza materiału fonoskopijnego.

Spojrzał na Beatę siedzącą przed otwartym laptopem po drugiej stronie stołu konferencyjnego. Kiwnął głową na znak, żeby zaczynała. Policjantka nacisnęła klawisz i z głośników popłynął głos sprawcy. W laboratorium kryminalistycznym szybko sobie poradzono z wyeliminowaniem celowego zniekształcenia mowy. Porywacz używał prostego modulatora zwalniającego mowę, wystarczyło więc odpowiednio przyspieszyć zarejestrowane dźwięki i teraz mogli słyszeć rzeczywistą barwę głosu i intonację.

Kamil obserwował twarz Mileny. Jako jedyna w tym gronie miała okazję po raz pierwszy usłyszeć wczorajszą rozmowę Seweryna Maja z porywaczem. Słuchała w skupieniu z głową lekko pochyloną do przodu. Gdy nagranie się skończyło, zapytał:

— No i co o tym sądzicie?

Pierwszy odezwał się Pocięcha.

— Ja bym powiedział, że sprawca odrobił zadanie domowe. Mówi, co grozi małemu, i stawia żądanie, koniec, kropka, nic więcej, jak gdyby przeczytał podręcznik dla porywaczy.

— I niepoproszony przysłał dowód życia, to też jak z podręcznika — zauważyła Beata.

— On to musiał już kiedyś robić. Stawiam na to, że to zawodowy kidnaper — dodał sierżant.

— Pociecha, ty naprawdę nie widzisz żadnego błędu w działaniu sprawcy? — zapytał Kamil z wyczuwalnym sarkazmem w głosie.

Sierżant rozejrzył się niepewnie, jakby szukał wsparcia u pozostałych członków zespołu.

— Jaki błąd popełnił sprawca? — zapytał komisarz, patrząc na Rumuna.

— Zostawił ślad, swój głos. Powinien przewidzieć, że bardzo szybko wyeliminujemy zniekształcenie mowy. Gdyby zamienił swój głos na dźwięki elektroniczne, jak to zrobił sprawca żądający teczeki Lisa, nic dzisiaj byśmy nie mieli.

— Dał nam swój głos, i co z tego? — zagadnął Pociecha.

Komisarz zamachał kartkami ze wstępną analizą fonoskopijną.

— Tyle z tego, że wiemy parę rzeczy o sprawcy. Jest to mężczyzna w wieku dwadzieścia pięć, trzydzieści pięć lat, na pewno Polak, prawdopodobnie ma średnie wykształcenie. Biegły twierdzi, że brakuje mu zęba na przedzie, w górnej szczęce. Ponadto sprawca nie ma nadwagi i nie ma też problemów z oddychaniem. Jeżeli chodzi o ocenę jego stanu emocjonalnego, to w momencie rozmowy był opanowany i zdeterminowany.

— Co nam dała automatyczna identyfikacja głosu? — zapytała Milena.

— Na razie nic, ale przeszukują jeszcze fonotekę.

— A analiza tła akustycznego?

— Zrobiona. Sprawca dzwonił z samochodu. To się zgadza z danymi od operatora, jego telefon logował się dwa razy na drodze do Malborka, najpierw przed Jegłownikiem, a drugi raz trzy kilometry za nim.

Milena wyciągnęła rękę po analizę fonoskopijną.

— Rodzice Tymka już słyszeli prawdziwy głos sprawcy? — zapytała, nie odrywając wzroku od kartek.

— Tak. Nie rozpoznali go. Robert, Ramira i pułkownik też nie.

Prokurator znowu się odezwała:

— Biegły napisał, że lekkie syczenie, które słyhać w głosie porywacza, może być skutkiem braku przedniego górnego zęba albo diastemy, czyli dużej szpary między jedykami. Pytaliście Seweryna i Roberta, czy któryś z ich pracowników ma ubytek w uzębieniu albo diastemę? Czy ktoś pojechał dzisiaj do ich zakładów pracy, żeby rozpytać ludzi w tej sprawie?

— Nie — odpowiedział Kamil.

— Dlaczego? Przecież sprawcą jest zawsze ktoś z otoczenia rodziny.

Głos Mileny był ostry, nieprzyjemny. Była rozdrażniona.

— Już powiedziałem, że Seweryn i Robert nie rozpoznali głosu, oni nie znają tego faceta, nieważne, czy brakuje mu jednego zęba, czy dwóch, oni go nie znają.

Milena patrzyła na niego z dezaprobatą.

— Robert ma ponad stu pracowników. Myślisz, że zna głosy ich wszystkich? Bo ja sędzę, że nawet ich twarze nie jest w stanie spamiętać, tym bardziej że ma dużą rotację.

Musiał przyznać, że Milena ma rację. Dał plamę i niestety prokurator wykazała to w obecności jego współpracowników.

Na moment zapadła krępująca cisza. Wszyscy patrzyli na niego, chyba oczekiwali, że będzie się dalej tłumaczył. Spojrzał na Beatę i Pocięchę.

— Wy sprawdzicie pracowników z listy, którą przygotował Robert Maj. Żaden już nie pracuje w tartaku, wszyscy notowani, głównie za przemoc domową, rozboje i drobne kradzieże. Nagrajcie ich, żeby mieć materiał porównawczy dla biegłych, no i przyglądajcie się ich użębieniu. Macie czas na to do jutra, do czternastej. Ja pojedę dzisiaj z Rumunem do tartaku Roberta, a jutro do zakładu Seweryna.

— A co z dowodem życia? — zapytała prokurator.

— Krótko mówiąc, jest nietypowy.

Komisarz spojrział na Beatę, ta natychmiast uruchomiła plik. Na dużym monitorze wiszącym na ścianie pojawiła się uśmiechnięta buzia dziecka. Obraz drgnął i pokazała się cała sylwetka chłopca. Siedział na kanapie i trzymał w rączkach gazetę, którą wyciągał do przodu, jak gdyby chciał ją oddać osobie stojącej przed nim. Film pozbawiony był dźwięku.

— Ja nic dziwnego w tym nagraniu nie widzę. Jest to raczej dowód na to, że dobrze traktują małego — stwierdziła Milena.

— Też mi się tak wydaje — mruknęła Beata.

— No to przypomnijcie sobie zdjęcia i filmy, jakie rodziny otrzymywały w najgłośniejszych sprawach. Ofiary z łańcuchami na szyi, przykute do ściany albo kaloryfera, brudne, pobite i płaczące. Dla dzieci nie robiono wyjątków. Nasz sprawca powinien chociaż uszczypnąć małego, żeby się rozplakał. Dowód życia ma dać nadzieję rodzinie, ale przede wszystkim ma ich przerazić.

Beata oparła się łokciami o stół. Widać było, że chce coś powiedzieć, ale się waha.

— No mów — polecił.

— Bo ja sędzę, że sprawca przez trzy doby musiał słuchać, jak mały ryczy w dzień i w nocy. Kiedy już im się udało go uspokoić, a nawet rozbawić gazetą, musiało im ulżyć. Zastanówcie się, ile byście wytrzymali z obcym, wrzeszczącym niemowlakiem, poza tym sąsiedzi. Nie wiemy, dokąd go wywieźli, ale nawet jeżeli gdzieś na odludzie, to i tak ktoś może usłyszeć krzyczące dziecko i zadzwonić na policję, bo przecież przemoc wobec dziecka się zgłasza. Sami wiecie, że mamy takich zgłoszeń coraz więcej. Tak w ogóle to od porwania wszystkie są skrupulatnie sprawdzane.



Beata ponownie odtworzyła nagranie i podeszła do monitora wiszącego na ścianie.

— Zobaczcie, jaką koszulkę ma Tymoteusz Maj. W idealnym rozmiarze, z krótkim rękawkiem, przewiewną. Mężczyzna takiej koszulki by nie kupił, żadnej by nie kupił, trzymałby dzieciaka w tym, w czym go porwał. Wspólnikiem sprawcy jest kobieta, i to taka, która ma własne dzieci, umie się zająć siedmiomiesięcznym chłopcem.

— Ciekawe, kiedy kupili tę koszulkę? — zagadnął Pocięcha.

— Mogę się przejść po sklepach i poszukać identycznej. Gdybym znalazła ją w centrum handlowym, to zapis monitoringu z ostatnich trzech dni mógłby nam pokazać współniczkę sprawcy.

Milena kiwnęła głową na znak, że to dobry pomysł, ale Beata patrzyła na komisarza, swojego bezpośredniego szefa, od niego oczekiwała zgody na wykonanie zadania.

— Możesz się tym zająć — oznajmił Kamil.

Na ustach Beaty pojawił się delikatny uśmiech.

— Coś wiemy o miejscu nagrania filmu? — zapytała Milena.

— Niewiele, ale wygląda mi to na pomieszczenie mieszkalne z oknem — odpowiedział Kamil. — Ma się jeszcze wypowiedzieć biegły od fotomontażu i psycholog dziecięcy. Czekamy więc na ekspertyzę. — Odsunął się z krzesłem od stołu. — No to do roboty, każdy wie, jakie ma zadanie.

Pocięcha podniósł się pierwszy, za nim komisarz, Beata zaczęła zbierać dokumenty. Tylko Rumun i Milena pozostali na miejscach, jak gdyby spotkanie miało trwać dalej.

— A co nam mówią o sprawcy ślady ujawnione i zabezpieczone na miejscu zdarzenia? — zapytała prokurator.

Kamil nie usiadł ponownie. Kwestię mikrośladów omówił rano telefonicznie z Mileną, przekazał jej swoje wnioski i opinie pozostałych członków zespołu. Był pewien, że nawiązała do tego tematu, żeby jeszcze raz wykazać, iż coś zaniedbał, zapomniał omówić ważny dowód.

— Wspomniałem ci dziś rano, że wygląda na to, że sprawca specjalnie naniósł do swojego samochodu i na buty mnóstwo mikrośladów, żeby nas zmylić. Jest tam wszystko, najwięcej trocin i włosów, potem piasku, mchu, trawy, nawet cząstki pyłku kwiatowego, także fragmenty różnych włókien i kilka rybich łusek.

— Trociny wskazywałyby na pracownika tartaku — zauważyła Milena. — Co ekspert o nich pisze?

— Najpierw wyjaśnia, że trociny zostały specjalnie naniesione, bo za mało jest pyłu drzewnego, ale potem dodaje, że jeżeli w zakładzie są porządne filtry, to pyłu nie musi być dużo.

Kamil wiedział, że z ust Mileny zaraz padnie pytanie, czy wysłał eksperta do tartaku, aby sprawdzić stan tamtejszych trocin. Będzie musiał powiedzieć, że tego nie zrobił, co zostanie odebrane przez wszystkich jako kolejne zaniedbanie czynności śledczych.

— Dzisiaj będziemy z Nowakiem w tartaku, to zgarnę trochę trocin. Niech porównają je w laboratorium z tymi zabezpieczonymi w wozie porywacza — oznajmił, uprzedzając pytanie Mileny.

Dziesięć minut później komisarz stał w swoim pokoju oparty o parapet i wydmuchiwał dym papierosowy za okno. Było piekielnie gorąco, ulica pachniała asfaltem i spalinami. Nie był zadowolony z siebie. Najpierw sprawa z teczką senatora Lisa — ponosił większą niż Rumun odpowiedzialność za jej utratę, bo to on dowodził akcją. Kamiński potraktował go wyjątkowo łagodnie. Kazał dorwać tego padalca, który wykradł im teczkę, i na tym się skończyła reprimenda naczelnika wydziału. Z kolei prokurator była zbulwersowana nieudaną akcją. Dobrze pamiętał jej uniesione brwi i usta układające się w nieme pytanie: Jak to w ogóle możliwe? Dzisiaj podczas posiedzenia zespołu było jeszcze gorzej. Milena zasugerowała, że dopuścił się zaniedbania w śledztwie. Powinien zareagować bardziej stanowczo, przecież nie da się robić wszystkiego naraz.

Teraz bardziej niż kiedykolwiek czuł, że zawsze powinien być krok przed prokurator Łempicką-Krol. Owszem, tworzyli zespół śledczy, ale on musi być od niej lepszy, to mu zagwarantuje szacunek całego wydziału i samej Mileny. Czas na jakiś sukces, na jakiś postęp w sprawie, choćby nieznacznym.

Do pokoju weszła Beata, niosła przed sobą teczki z dokumentami.

— Później przejrzę całość jeszcze raz, może coś znajdę.

Właśnie tego ją uczył, czytać i analizować zebrany materiał wielokrotnie.

Podeszła do niego i wyjęła mu papierosa z dłoni. Włożyła go sobie do ust i zaciągnęła się.

— Zaraz ci oddam, tylko się sztachnę dwa razy. Spieszę się, muszę sprawdzić te sklepy z ubrankami dziecięcymi. Dobrze, że na to wpadłam, co nie?

Była coraz lepszą funkcjonariuszką, ale nadal zaskakiwała go swoją śledczą naiwnością rodem z seriali kryminalnych.

— Pamiętasz tę sprawę porwania czteroletniego chłopca we Wrocławiu, syna niemieckiego przedsiębiorcy i polskiej nauczycielki? — zapytał, odbierając od niej papierosa.

— Pamiętam.

— Pamiętasz, jak ta sprawa się zakończyła?

— Tak. Niestety porywacze zabili chłopca.

— Zgadza się, zagłodzili go. Przez dziesięć dni nie dali mu nic do jedzenia. Jakoś nie przeszkadzało im, że płakał. A nawet gdyby im przeszkadzało, to zawsze można dzieciakowi zakleić usta albo dać środki nasenne, nie trzeba go zaraz kołysać.

Beata zrozumiała, o co mu chodzi, ale nie zamierzała odstąpić od swoich śledczych hipotez.

— Kamilku, nie wszyscy przestępcy są zwyrodnialcami. Niektórzy po prostu są przezorni, wolą się zabezpieczyć na wypadek wpadki. To, że dobrze traktowali ofiarę, bardzo by im w sądzie pomogło, co nie?

— Nie bądź naiwna. Spójrz na statystyki! Ilu masz przezornych porywaczy?

— Tylko ja popełniam błędy? A Łempicka, dlaczego jej nie zarzuciłeś, że się myli?

Podobało mu się, że Beata wdaje się z nim w dyskusję, że używa racjonalnych argumentów, ale zbyt szybko traciła cierpliwość. Za każdym razem, gdy wykazywał, że może się mylić, uznawała to za krytykę i atakowała go.

— No co? Dlaczego nic nie mówisz? Bałeś się, że jeszcze bardziej się po tobie przejedzie? I tak dostało ci się dzisiaj od niej.

Komisarz zgasił papierosa w metalowym pojemniku po cukierkach.

— Może masz rację, że współnikiem sprawcy jest normalna kobieta, która umie się zająć dzieckiem, ale musimy też brać pod uwagę inną ewentualność.

— Jaką? — zapytała machinalnie, patrząc na przejeżdżający za oknem zielony tramwaj.

— Sprawcą może być ktoś, kto jest związany z Tymoteuszem Majem emocjonalnie, dlatego o niego dba.

Widział, jak rysy twarzy Beaty łagodnieją i pojawia się na niej zaciekawienie.

— Na razie wiemy, że to żadne z rodziców, cały czas ktoś od nas z nimi był. Zostają jeszcze Robert, Ramira, no i dziadek, Jerzy Maj. Szkoda, że nie mieliśmy ich wszystkich na oku.

— Ale to Robert Maj ma zapłacić okup. Porwałby dziecko, żeby potem zapłacić sam sobie? Po co?

Komisarz nie oczekiwał, że usłyszy odpowiedź na swoje pytanie, ale Beata nagle wypaliła:

— Może żeby ukryć pieniądze przed żoną? Bo ma jakąś babkę na boku, która też chce kasy, i to dla niej ta forsa z okupu.

— Nawet niegłupie — rzucił komisarz. — Zadzwoń do tartaku i zapytaj, czy Robert jest w pracy. Pojedziemy z Rumunem i pogadamy z nim.

— Mogłabym z tobą jechać.

— Ty masz poszukać w sklepach koszulki, którą miał na sobie Tymoteusz Maj, a potem macie z Pociechą pogadać ze zwolnionymi z tartaku pracownikami.

Do pokoju zajrzał sierżant.

— Szefie, ten młody dziennikarz, Bukowski, czeka w dyżurce. Przyszedł po jakiś sprzęt, podobno ty go masz.

Kamil wyciągnął aparat fotograficzny z biurka i podał sierżantowi.

— Zanieś mu.

Wolał nie widzieć się z Bukowskim. Najlepiej byłoby, żeby dziennikarz zniknął z Elbląga albo nawet z tego świata. Ten gówniarz dostał kasę za milczenie, zarzekał się, że na torturach nie wyda komisarza, ale nigdy nic nie wiadomo. Kamilowi ciążyła świadomość, że jest ktoś, kto może w każdej chwili go pogrążyć, wsadzić na wiele lat za kratki.

Komisarz wszedł do pokoju aspiranta Nowaka. Tamten siedział przed komputerem z butelką wody w dłoni. Nawet nie drgnął na odgłos otwieranych drzwi. Oglądał zapis monitoringu z tramwaju linii numer dwa. Kamera pokazywała sylwetkę dziewczyny, która przejęła teczkę z dokumentami. Niestety siedziała zbyt daleko, niemożliwe było ustalenie podstawowych cech anatomii jej twarzy.

— Tej dziewczyny nie ma na zapisie z żadnej innej kamery. Pojawiła się znikąd i wyparowała — oznajmił Rumun.

— Nie wyparowała, po prostu zdjęła chustę, okulary i to obszerne ubranie i stała się kimś innym.

Komisarz przysunął sobie krzesło do biurka kolegi. Podniósł szklanekę z blatu i obejrzał ją dokładnie, szukając śladów używania. W końcu podsunął ją Rumunowi, tamten nalał mu wody.

— Próbowałem ustalić numery telefonów logujących się na stacjach bazowych z tego tramwaju — oznajmił Rumun.

— I co, wyszło ci kilkadziesiąt numerów?

— Ponad setka. Zacząłem je nawet sprawdzać, ale na razie dupa. Pozostają nam jeszcze ślady daktyloskopijne na obu teczkach, Konarski sporo ich zabezpieczył.

— Na paluchy nie licz. Skoro nam je zostawiła, to na pewno nie ma ich w naszej bazie. — Kamil napił się wody. Była nieprzyjemnie ciepła.

— Mamy jeszcze jeden materiał, na który mógłbyś rzucić okiem.

— Co to takiego?

— Zdjęcia, które w osadzie wikingów robił Bukowski. Jeżeli to ta dziewczyna dzwoniła do Seweryna Maja z Wyspy Spichrzów, to może dziennikarz uwiecznił ją na fotce.

— Tylko czy ja ją rozpoznam? A wiesz, że widziałem wtedy Bukowskiego?

— Kiedy?

— W sobotę, jak jeździłem komunikacją miejską z tą pieprzoną teczką. Akurat byłem w siedemnastce, na Królewieckiej go widziałem, na rowerze.

W głowie Kamila zadziałał jakiś automatyzm, który nakazał mu skojarzyć pewne fakty, różne obrazy, a nawet własne odczucia. Bukowski, ten znieawidzony gówniarz, wtedy na Wyspie Spichrzów nie chciał się odzepić. Komisarz dobrze pamiętał jego zuchwałą, piegowatą gębę.

— Rumun, jak myślisz, co o nas sądzą przestępcy?

— To samo co mały o Darwinie.

— Podam ci numer Bukowskiego. Sprawdź, gdzie się logował w sobotę.

Aspirant obrócił się ku niemu wraz z fotelem.

— Żartujesz. Naprawdę myślisz, że to on?

Bukowski był na tyle szalony, że mógł mu przyjść do głowy pomysł wyłudzenia teczki senatora Lisa. Przecież już raz coś równie wariackiego zrobił, szantażował jego, komisarza policji, i dobrze na tym wyszedł, zarobił sto tysięcy. Dlaczego nie miałyby spróbować drugi raz?

— Sprawdź go.

Aspirant połączył się z operatorem GSM i oficjalnie zażądał udostępnienia danych z numeru Bukowskiego. Po kilku minutach otrzymał indywidualny numer identyfikacyjny telefonu oraz informację, o jakich porach numer dziennikarza logował się na poszczególnych stacjach bazowych.

Na twarz Rumuna padło słońce. Przymrużył oczy, ale i tak dało się zauważyć, że jego spojrzenie się zmieniło. Patrzył teraz z wyjątkową uwagą, jak gdyby czyjeś życie zależało od wypatrzonego detalu. Kamil już wiedział, że trafili. Stał za plecami kolegi, żeby też zobaczyć dane od operatora. Prywatny telefon dziennikarza logował się w tych samych miejscach, co numer sprawcy. To nie mógł być przypadek.

— Jak wpadłeś na to, że to on?

— Intuicja. Poza tym Bukowski miał przyjść w sobotę na komendę, żeby odebrać aparat fotograficzny, który mu zabrałem na Wyspie Spichrzów. Przyszedł dopiero dzisiaj, bo w sobotę był bardzo zajęty.

— Bukowski ma siostrę. To będzie ta dziewczyna w chuście.

— Może siostra, może koleżanka, to się dopiero okaże, jak z nim pogadamy.

Aspirant wstał.

— No to jedziemy po niego. Kogo jeszcze zabierasz?

— Nas dwóch wystarczy, w końcu to tylko dzieciak. Mam nadzieję, że zastaniemy go w domu.

Mikołaj Bukowski mieszkał na dziesiątym piętrze bloku przy Robotniczej. Jechali windą w milczeniu. Komisarz nie czuł się pewnie. Tak naprawdę miał

zaraz zatrzymać najniebezpieczniejszego dla siebie człowieka. Nikt o nim nie wiedział tyłu niewygodnych rzeczy co dziennikarz.

Kamil nacisnął dzwonek. Za chwilę w szeroko otwartych drzwiach stanął Bukowski opasany jedynie ręcznikiem. Komisarzowi przysłała do głowy absurdalna myśl, że pojawili się nie w porę. Wahanie trwało tylko ułamek sekundy, złapał chłopaka za gardło i wpychając do mieszkania, wygiął jego ciało do tyłu. Ten zacharczał i za moment padł na plecy, ręcznik zsunął mu się z bioder. Kamil puścił dziennikarza i się wyprostował.

— Bukowski, wstawaj, nie jesteś w przedszkolu, nie ma leżakowania.

Chłopak usiadł na podłodze i ręcznikiem zasłonił genitalia.

— Komisarzu, gdybym cię nie znał, pomyślałbym, że jesteś gejem. Tak się na mnie rzuciłeś.

Do mieszkania wszedł aspirant Nowak i zamknął za sobą drzwi. Bukowski podniósł się i oparł głowę o futrynę. Patrzył przez chwilę na nich obu. Jego mina wskazywała, że pojął powagę sytuacji.

— Co jest, panowie?

Kamil wszedł do pokoju. Ciemne deski na podłodze, ogromny telewizor na ścianie, przed biurkiem fotel pokryty jasną skórą, godny prezesa. Nikt by się nie domyślił, że ten skromnie wyglądający chłopak, poruszający się po mieście na rowerze, zafundował sobie w wieżowcu kawałek luksusowego świata. Nawet pachniało tu ekskluzywnie, jak w sklepie z drogimi meblami. Komisarz otworzył pierwszą szufladę biurka i zaczął wyrzucać z niej papiery.

Rumun trzymał się procedur.

— Informuję, że ten pokój i twoje rzeczy osobiste zostaną przeszukane w celu znalezienia akt dotyczących senatora Lisa. Jeżeli posiadasz te dokumenty, wzywam cię do ich dobrowolnego wydania.

Dziennikarz wymownie zamrugał.

— Słucham?

— To my słuchamy, co masz nam do powiedzenia — odezwał się Kamil.

— Nic ciekawego, mogę wam powiedzieć, że używam mydła rumiankowego, a skarpetki zmieniam co drugi dzień, bo mi się stopy nie pocą. Uwierzycie w to?

— Bukowski, nie pajacuj, lepiej mów, gdzie jest teczka Lisa. A na przyszłość pamiętaj — gdy dokonujesz przestępstwa, zostawiaj prywatną komórkę w domu, żeby ci zapewniała alibi.

Dziennikarz stał przez chwilę w milczeniu, potem zbliżył się do szafy i wyjął z niej koszulkę i szorty.

— Pozwolicie, że się ubiorę, bo znowu ręcznik mi się podwinie i się zawstydzę.

Ruszył w stronę łazienki.

— Zostań! Ubierasz się tutaj — zakomunikował aspirant Nowak.

Dziennikarz zaczął wciągać szorty.

Pół pokoju było już zavalone papierami, które Kamil rzucał niedbale za siebie.

— Komisarzu, czy wiesz, że będziesz musiał to posprzątać? Chyba macie takie przepisy.

Kamil był wściekły. Ten gówniarz w ogóle się nie wystraszył, jak gdyby miał pewność, że nic mu nie grozi.

Aspirant Nowak otworzył szafę i spojrzał pytająco na dziennikarza.

— Masz rację, że bałagan jest niepotrzebny. No mów, gdzie teczka.

— Druga półka od góry, pod kocem.

Rumun wsunął rękę we wskazane miejsce i wyciągnął akta senatora Lisa.

— Coś mi się wydaje, że najbliższe czterdzieści osiem godzin spędzisz u nas.

Dopiero teraz na piegowatej twarzy dziennikarza pojawiły się oznaki niepokoju. Wreszcie dotarło do niego, w jakim położeniu się znalazł.

Kamil usiadł w fotelu i wyciągnął nogi, z kolei Rumun rozsiadł się na kanapie. Demonstrowali swoją przewagę. Bukowski stał pośrodku pokoju ze zwieszonymi rękami, u jego stóp leżał ręcznik. Patrzył na komisarza, a jego wzrok zdawał się mówić: Ty mnie z tego wyciągniesz.

— Co ci przyszło do tego głupiego łba? — zapytał Kamil.

— Chciałem dać świadectwo prawdzie, jestem dziennikarzem, to moja misja, ludzie muszą się dowiedzieć, kto nami rządzi.

— Nie pierdol. Sprzedałeś już komuś te dokumenty?

— Nie. Chciałem je ujawnić.

Komisarz nie miał żadnych wątpliwości, że Bukowski kierował się jedynie wizją sporego zarobku. Za te papiery wszyscy dobrze by zapłacili — senator Lis, jego przeciwnicy polityczni i duże media też. Ten gówniarz lubił kasę, nie dla niego obskurny pokój z przywiedłym kwiatkiem. Mieszkał w luksusowo urządzonej kawalerce, ale to było za mało. Zapewne kolejny krok to zamiana starego roweru na przyzwoity samochód.

— Ktoś ci zlecił zdobycie tych akt? Czy sam na to wpadłeś?

— Sam. Pomyślałem, że to dobra okazja, by wyciągnąć je od tego starego esbeka.

— Ile miałeś na nich zarobić?

— Nic, przysięgam, miałem je ujawnić w internecie, żeby ludzie poznali prawdę.

— Boże, Bukowski, jak ty mnie wzruszasz. Dokonujesz przestępstwa oszustwa z artykułu 286 po to, żeby ludziom objawić prawdę. Dla prawdy iść na parę lat do pierdła... Wielka rzecz... Chyba będziesz miał dużo lajków na Facebooku.

— A wy będziecie mieli dużo komentarzy, gdy wszyscy się dowiedzą, jak was ganiałem po całym mieście i na końcu was wykiwałem. — Dziennikarz obrócił się w stronę Rumuna. — Co, aspirancie, dał się pan zrobić na szaro, policjant z wydziału kryminalnego. Gdyby wam się trafił prawdziwy terrorysta... Aż się boję pomyśleć.

Rumun zachował spokój. Stukając palcem w teczkę senatora Lisa, oznajmił:

— To ja je mam, a ty masz kłopoty, i to poważne. Twoja siostra będzie miała jeszcze większe. Przypuszczam, że jej linie papilarne będą zgodne z tymi pozostawionymi na dwóch skórzanych torbach.

Dziennikarz uśmiechnął się, ale wyglądało to raczej na nerwowy grymas. Cała jego sylwetka wyrażała silny niepokój. Ramiona skrzyżował na piersi i cofnął się w kierunku szafy. Spojrzał na Kamila.

— Komisarzu, może powiesz koledze, że to nie jest dobry pomysł wysłać mnie do pierdła.

Kamil miał ochotę oznajmić, że los dziennikarza nie zależy już od niego. Policja zrobiła swoje, teraz zajmie się nim prokuratura, a potem sąd. Bał się jednak, że tymi słowami sprowokuje Bukowskiego do nieprzemyślanego ruchu. Nie miał wyjścia, musi teraz wyciągnąć dziennikarza z kryminalnej afery, no i przekonać najlepszego psa w mieście, że to słuszne rozwiązanie.

— Co my mamy teraz z tobą zrobić? — rzucił Kamil niby do siebie.

— Bierzcie tę pierdoloną teczkę i idźcie.

— I co? Powiemy, że znaleźliśmy ją na ławce w parku? A jeśli za parę dni kopia tej teczki pojawi się w mediach?

— Nie pojawi się, jeszcze nie zdążyłem się z nikim dogadać.

— A jednak, zwykła hiena jesteś.

— Ja jestem hiena, a ty...

Kamil zerwał się na równe nogi. Kółka zgrzytnęły na drewnianej podłodze i prezesowski fotel z impetem walnął w otwartą szufladę biurka. Wystraszony dziennikarz prawie przykleił się do szafy. Zaraz jednak zrozumiał, że w obecności aspiranta Nowaka komisarz nic mu nie robi. Wsadził rękę w kieszenie szortów i spojrzał na policjantów wyzywająco.

— Gdzie masz komórkę? — zapytał Kamil.

— W kuchni.

— Przynieś, biegiem.

Nowak uniósł brwi. Kamil dał znak ręką, że wszystko idzie dobrze. Gdy Bukowski wrócił, wziął od niego aparat i zaczął pisać esemesa. Potem oddał telefon dziennikarzowi.

— Właśnie wysłałeś do mnie wiadomość, sprawdź ją.

Chłopak przeczytał głośno:



— Jestem w posiadaniu teczki Lisa, chciałbym ją oddać.

— W porę się opamiętałeś, może prokurator Łempicka to doceni, a sąd potraktuje cię łagodnie i dostaniesz zawiasy. Przyjdiesz jutro na komendę na oficjalne przesłuchanie.

Rumun milczał, ale na jego śniadej twarzy pojawiło się zaskoczenie. Komisarz czuł, że nie zdoła się przed nim wytłumaczyć. Musi zrobić coś jeszcze, coś powiedzieć, żeby usprawiedliwić swoje posunięcie. Do tej pory nie odpuszczał przestępcom, chyba że wyższa konieczność tego wymagała.

— Słuchaj, Bukowski, będziesz musiał się odwdzińczyć za nasze dobre serce.

— Odwdzięczę się, komisarzu, jeśli jeszcze przekonasz Łempicką, żeby mnie nie udupiła.

— Zamknij się i słuchaj. Pojedziesz jutro do Rubna, do tartaku Roberta Maja, żeby tam zrobić reportaż. Gdy cię już tam wpuszczą, pogadasz z ludźmi o właścicielu. Umów się też z jakimś pracownikiem na piwo i wyciągnij, ile się da. Interesuje mnie wszystko, czy ma kochankę, czy przyjeżdżają do niego jacyś podejrzani ludzie. Maj był kiedyś oskarżony przez swoją pracownicę o molestowanie, o to też zapytaj.

— Ale czy mnie tam wpuszczą, czy się zgodzą na reportaż...

— Twoja w tym głowa, żeby się zgodzili.

Wyszli z kawalerki Bukowskiego. Dopiero po dziesięciu minutach jazdy samochodem odezwał się Rumun:

— Dlaczego mu odpuściłeś? Jakoś nie wierzę, że tak ważne jest zdobycie informacji o Robercie Maju.

— Nie odpuściłem Bukowskiemu, tylko trochę poprawiłem jego położenie. Proces i wyrok go nie miną. Mam nadzieję, że łagodny. Nie chcę, żeby trafił za kratki. Nie lubię go, ale szkoda chłopaka. Jest za młody.

— Popełnił poważne przestępstwo zagrożone karą ośmiu lat.

— No właśnie, na pół roku bym go za kratki wysłał, ale nie na osiem lat.

Nowak nie kontynuował tematu. Kamil miał nadzieję, że udało mu się uśpić czujność jednego z lepszych śledczych. Rumun nie musi akceptować jego posunięć, ważne, żeby nie doszukiwał się w nich drugiego dna.

Tartak Roberta Maja znajdował się siedem kilometrów za Elblągiem w pięknym zielonym otoczeniu. Na skraju lasu ciągnął się kompleks budynków. Hala tartaczna była największa i to z niej wydobywał się potężny huk maszyn. Trzech mężczyzn pracowało pod wiatą, przynosili suszące się tam drewno na wózki widłowe. Kamil i Rumun skierowali się do budynku mieszkalnego, w którym spodziewali się znaleźć biuro. Przywitała ich sekretarka wyglądająca na nastolatkę. Kamil nawet pomyślał, że ta drobna szatynka w białych spodniach do kolan przyszła do tartaku odwiedzić pracującą tu starszą koleżankę i dla żartu

usiadła za biurkiem. Dopiero gdy dziewczyna się uśmiechnęła i zapytała, czym może służyć, dotarło do niego, że ma przed sobą dorosłą kobietę. Skierowała ich na kolejne piętro, do gabinetu właściciela.

Robert wiedział, że przyjdą. Czekał na nich. Wyglądał na przemęczonego, prawdopodobnie miał za sobą nieprzespaną noc. Wizja milionowego okupu musiała mocno podkopać jego psychikę, a może po prostu martwił się o bratanka. Mimo nieogolonej twarzy i zaczerwienionych gałek ocznych prezentował się dobrze w eleganckim, jasnym ubraniu, które było tak gładkie, jak gdyby pięć minut temu wyszło spod żelazka. Kamilowi przyszło do głowy, że Maj ma w biurze kilka koszul, które zmienia co godzinę, żeby robić dobre wrażenie na interesantach.

— Czy jest pan winny komuś pieniądze? Może jakieś długi sprzed lat? Może w ten sposób ktoś chce odzyskać swoją kasę z procentem?

— Nie, nie mam żadnych długów.

— A naraził się pan może jakoś konkurencji?

— Nie mam żadnej, wszyscy poupadali. Ci, którzy zostali na Warmii, nie liczą się, mają przeważnie jeden trak w starej stodole.

— Jak to możliwe, że panu idzie tak dobrze, a innym nie?

— Trzeba mieć żyłkę do interesów, ja ją mam. Jako pierwszy w regionie kupiłem amerykańskie traki przewoźne, nie trzeba ich ustawiać na fundamencie, zaoszczędziłem więc na pracach budowlanych, no i przede wszystkim na surowcu, bo te maszyny dokładniej tną. A co najważniejsze, załatwiłem sobie długoterminowe umowy na dostawę surowca z Lasów Państwowych. Gdy osiemdziesiąt procent tartaków w Polsce stoi, bo nie mają drewna do przerobu, my pracujemy.

Robert nie miał jeszcze czterdziestu lat, a zarabiał miliony. Zasługiwał na uznanie, Kamil nie potrafił jednak wykrzesać z siebie nawet odrobiny podziwu. Widział jedynie zadufanego ważniaka, takie wrażenie odniósł już w dniu porwania, gdy zobaczył Roberta w domu Seweryna. Chyba był niewolnikiem pierwszego wrażenia, bo nie umiał zmienić swojej opinii o Maju. Tamten chełpił się dalej:

— Produkuje deski, konstrukcje dachowe, meble i małe domki. Te ostatnie idą głównie do Szwecji i Norwegii, a ci odbiorcy płacą dobrze i zawsze w terminie.

Żeby trochę zgasić Roberta, Kamil zagadnął:

— Był pan oskarżony o molestowanie...

Na twarzy Maja pojawił się grymas.

— To było fałszywe oskarżenie, moja pracownica się przyznała.

Komisarz spojrział na aspiranta Nowaka. On znał szczegóły tej sprawy, niedawno przeglądał akta.

— Czy mógłby pan nam powiedzieć, dlaczego ta dziewczyna fałszywie pana oskarżyła? — poprosił Rumun.

— To było naprawdę banalne. Próbowала mnie uwieść, nie udało się jej. Miałem dosyć tych jej umizgów, więc ją zwolniłem. No i wtedy...

— Czy z czyjąś pomocą mogłaby zorganizować porwanie? Zemsta jest jedną z silniejszych motywacji.

— Nie sądzę, minęły już trzy lata. Wiem od mojej obecnej sekretarki, że tamta się z kimś związała, ma wychodzić za mąż, no i od kilkunastu miesięcy mieszka w Irlandii. Ale jeżeli uważacie, że ma coś wspólnego z porwaniem Tymka, to ją sprawdźcie.

— Zrobimy to — odpowiedział Rumun.

— Domyślam się, że chcecie pogadać z moimi pracownikami. Chętnie oprowadzę was po tartaku.

— Głównie po to tu przyjechaliśmy — odezwał się Kamil. — Ale zanim pójdziemy, chcielibyśmy najpierw wiedzieć, czy któremuś z pana pracowników brakuje zębów w górnej szczęce.

Na krótką chwilę szczery uśmiech rozpromienił twarz Roberta.

— Tu jest tartak, a nie korporacja. Co trzeci pracownik jest szczerbaty. Sami zresztą zobaczycie.

— A może któryś ma diastemę?

— Diastemę? To jest... — Maj przyłożył palec do górnej wargi.

— Tak, to jest szpara między jedynekami.

— Chyba żaden...

Robert zaprowadził ich najpierw do suszarni — ogromnego pomieszczenia, gdzie sezonowały konstrukcje dachowe oraz podłogowe deski najróżniejszych rozmiarów. Cały czas mówił, a raczej się przechwalał. Zasypywał ich wyliczeniami i parametrami. Komisarz nie wiedział, ile można zarobić, przecierając sto tysięcy metrów sześciennych drewna, ale domyślał się, że dużo. Maj zapewne chwalił się swoimi sukcesami przed każdym, kto chciał go słuchać. Wiedza o jego pieniądzach musiała być powszechnie znana kontrahentom i pracownikom. Z suszarni udali się do oczyszczalni ścieków, a potem do kotłowni opalanej korą. Maj znowu się chełpił, tym razem przedmiotem dumy były uzyskane certyfikaty ekologiczne. W hali z trakami przedstawił im swojego głównego technologa. Panował tam niemiłosierny huk. Chodzili wśród pracowników i wypatrywali tych z brakami w uzębieniu. Wszyscy wiedzieli, że bratanek szefa został porwany. Zdawali sobie sprawę, że policja szuka sprawcy wśród nich. Chcieli pomóc, chętnie wychodzili przed halę, żeby porozmawiać

z funkcjonariuszami. Ani komisarz, ani aspirant nie rozpoznali wśród pracowników tartaku osoby dzwoniącej do Seweryna z żądaniem okupu, ale nie byli ekspertami w dziedzinie fonoskopii. Rejestrowali więc rozmowy, żeby mieć materiał porównawczy dla biegłych. Na koniec Kamil zgarnął do woreczka foliowego garść trocin.

Wracali do samochodu zmęczeni nie tyle pracą, co raczej żarem bijącym z nieba i od betonu.

— Wejdziemy jeszcze do biura i poprosimy o wodę — oznajmił komisarz.

Rumun odsłonił białe zęby w uśmiechu. Domyślił się, że nie o wodę chodzi, lecz o dyskretne wypytanie sekretarki, żeby ją sprytnie podejść i przede wszystkim nie przestraszyć.

— Proponuję, żeby tylko jeden z nas do niej poszedł.

— Dobrze, idź ty, jesteś młodszy i mniej spocony.

Rumun wszedł do biura, a Kamil otworzył wszystkie drzwi wozu. Gorące powietrze buchnęło ze środka. Dochodziła osiemnasta, a słońce parzyło skórę z taką samą intensywnością jak w południe. Otworzył bagażnik i zaczął szukać wody, ale znalazł jedynie puste butelki. Przykucnął przy samochodzie, chroniąc się przed promieniami słonecznymi. Zapalił. Dym papierosowy podrażnił jego wyschnięte gardło, zakaszłał. Papierosa jednak nie zgasił, nałóg znowu okazał się silniejszy od chwilowego dyskomfortu.

Rumun w końcu wyszedł z biura, niósł litrową butelkę mineralnej. Kamil od razu wypił połowę. Gdy tylko wsiedli, aspirant podniósł dwa palce w geście zwycięstwa.

— Mów, co ci powiedziała.

— Piątego maja przyszedł do jej szefa mężczyzna z wyraźną diastemą. Rozmawiała z nim chwilę. Odtworzyłem na telefonie głos sprawcy. Twierdzi, że to on.

— Miała niby zapamiętać głos, który słyszała ponad trzy miesiące temu? I my mamy w to uwierzyć?

— To był jej pierwszy dzień w pracy. Podobno pamięta wszystko, co się działo tamtego dnia. Zapamiętała, że ten facet nazywał się Maksymilian Kubiak, był niewiele wyższy od niej, miał około trzydziestki. Zapytałem, czy czasem brzuch mu się nie wylewał ze spodni, zaprzeczyła. Ogólny rysopis pasuje do gościa, którego goniliśmy w lesie, to już coś. Ale ciekawe jest też to, że gdy zapytałeś Roberta o pracownika z diastemą lub ubytkiem zębowym, to nawet się nie zdziwił, a chyba powinien, bo przecież to nie jest typowe policyjne pytanie.

Kamil czuł, że w końcu mają jakiś punkt zaczepienia. Muszą znaleźć Maksymiliana Kubiaka.

# Rozdział VIII

## *Dzień ósmy, popołudnie*

Komisarz uprzedził Martę i Seweryna, że sprawca prawdopodobnie zadzwoni dopiero wieczorem. Każe im czekać na kontakt cały dzień, żeby zmniejszyć ich opór, zmusić do uległości. Mimo to oboje nadsłuchiwali sygnału telefonicznego już od rana. Marta wyczekiwała w kuchni oparta o zlew i wpatrzona w okno, potrafiła tak stać godzinę. Potem przysiadła na moment na taborecie i opierała się plecami o kredens. Przerywały to krótkie momenty aktywności, brała wtedy wilgotne ściereczki i wycierała nimi kuchnię. Seweryn czekał, chodząc po całym domu. Chwytał się niekiedy futryny i stał przez kilka minut, wciągając ciężko powietrze jak człowiek chory na astmę. Czekanie okazało się zaraźliwe, Milena również patrzyła na zegarek i liczyła upływające minuty. Dochodziła czternasta, kolejny kwadrans mieli za sobą. Ona również przemieszczała się z kąta w kąt. Przystawała na moment przy oknie i obserwowała rozsłonecznioną ulicę i przesuwających się w zwolnionym tempie przechodniów. Wszystkim ciężko utrzymujący się od trzech tygodni skwar, nawet dzieci już nie biegały, tylko wlokły się noga za nogą. W domu Majów panował niewyobrażalny upał, klimatyzacji nie było, a Seweryn wyłączył wiatraczki, bo przeszkadzał mu ich szum. Z kolei Marta nie pozwalała opuścić rolet, bo źle znosiła półmrok. Słońce wlewało się więc przez szyby i rozpałało wnętrza. Milena odwróciła się od okna i spojrzała na rozgrzane promieniami skórzane fotele i kanapy. Na samą myśl, że miałyby na czymś takim usiąść, czuła pieczenie na plecach i pośladkach.

Wyszła przed dom i poczuła gorący podmuch powietrza. To jedno zmieniło się w pogodzie, pojawił się pustynny wiatr, który zapierał dech w piersiach i przyprawiał o zawroty głowy. Wszyscy mieli nadzieję, że przywieje on w końcu burzę i przyniesie obniżenie temperatury. Poprawiła spodnie, odklejając cienką tkaninę od nóg, i podeszła do Kamila. Właśnie kończył rozmowę z aspirantem Nowakiem.

— No i co?

— Jak już ci mówiłem, ustaliliśmy, że w Polsce jest trzydziestu dwóch Maksymilianów Kubiaków w wieku od dwudziestki do czterdziestki. Sprawdzamy ich.

— Nie lepiej zapytać Roberta o tego Kubiaka?

— Rumun właśnie od niego wraca. Maj jak przez mgłę przypomniał sobie klienta z diastemą, ale nie ma pojęcia, po co ten człowiek do niego przyjechał, co chciał kupić. Nie znalazł go w firmowym komputerze, wygląda na to, że nie był nigdy klientem tartaku.

— A Marta i Seweryn?

— Ona ma wrażenie, że kiedyś słyszała to imię i nazwisko, ale nie może sobie przypomnieć w jakich okolicznościach. A Seweryn twierdzi, że nie spotkał nigdy żadnego Maksymiliana Kubiaka.

Weszli do domu Majów. Milenę znowu uderzyła panująca tu cisza. Przede wszystkim nie było słycać biegania i paplania Łucji. Ramira zabrała ją na cały dzień do siebie. Zuza dziś nie przyszła, bo nie była potrzebna. Nawet muchy wyprowadziły się z tego domu na jakiś czas, bo bzyczenie też ustało. Ta cisza, w której dwoje ludzi celebrowało czekanie, wydała się Milenie dziwnie znajoma. Sama kiedyś tkwiła przez kilkanaście godzin w identycznie przerażającej ciszy. Nic wówczas nie słyszała, nawet pomruk lodówki do niej nie docierał. Z tej dziwnej martwoty wyrwał ją płacz teściowej i jej słowa, że ma w końcu ruszyć dupę i szukać męża i syna, jest przecież prokuratorem.

Milena usiadła przy stole i nałała sobie wody. Zastanawiała się, czy nie pójść do kuchni i nie spróbować nawiązać kontaktu z Martą. Przed dwoma godzinami próbowała z nią porozmawiać, ale bezskutecznie. Chyba lepiej dać jej teraz spokój. Po telefonie od sprawcy, gdy wszystko będzie już jasne, gdy porywacz poda warunki przekazania okupu i zostanie wynegocjowana jego wysokość, napięcie na moment opadnie, co pozwoli rodzicom komunikować się z otoczeniem.

W holu rozległy się ciche kroki, Kamil uniósł głowę i nasłuchiwał, ona również.

— To nie Seweryn ani Marta — zauważył komisarz.

— Sprawdzę, kto to.

Milena wyszła z salonu. W holu nikogo nie było. Zajrzała więc do kuchni. Zuza właśnie pochylała się nad Martą siedzącą na taborecie i odsuwała z jej twarzy pasma włosów.

— Co ci jest? Dlaczego się do mnie nie odzywasz? — pytała zaniepokojona.  
— Dobrze się czujesz?

— Tak. Czekamy na telefon.

— W czymś ci pomóc? Może coś do zjedzenia zrobię? Kanapki?

— Nie.

Zuza ujęła w dłonie głowę siostry i przyciągnęła do siebie.

— Jutro będzie już po wszystkim, Tymek do was wróci — wyszeptwała.

Rozległ się przejmujący szloch. Milena niezauważona wycofała się do holu. Nie miała pewności, która z sióstr się rozpląkała. Może obie? Po chwili z kuchni wyszła Zuza. Wycierała łzy własną koszulką podciągniętą do góry tak mocno, że widać było stanik. Drgnęła na widok Mileny.

— A, to pani. Wpadłam tylko na chwilę, żeby zobaczyć, co tutaj, i lecę dalej.

Odwróciła się, żeby odejść, ale prokurator złapała ją za ramię. Zuza wyrwała się z uścisku.

— Czego pani chce?

Harda i zbuntowana jak typowa nastolatka, Milena zobaczyła w niej siebie samą sprzed wielu lat.

— Chciałam ci powiedzieć, że Tymek jest dobrze traktowany. Film, który przysłali, to potwierdza.

— Wiem. Marta mi powiedziała o tym nagraniu. — Zuza pociągnęła nosem i poprawiła mokrą koszulkę. — To ja już idę, koleżanka czeka.

Nie dała się dłużej pocieszać. Wybiegła z domu, trzaskając drzwiami.

Sprawca zadzwonił o siedemnastej osiem. Milena pomyślała, że Seweryn nie udźwignie kolejnych negocjacji. Był przerażony. W rysach jego twarzy odcisnął się długotrwały strach. Wyostrzyły się, a oczy zdawały się większe, nad czołem pojawiły się dwie poziome zmarszczki i jeszcze ta opuchnięta dolna warga, którą bezustannie przygryzał. Komisarz próbował mu pomóc w rozmowie. Błyskawicznie pisał na kartkach całe zdania, które Seweryn z trudem odczytywał. Właśnie oznajmił, że zebrał czterysta dwadzieścia sześć tysięcy, więcej nie da rady, przynajmniej nie w tak krótkim terminie, gdyby miał jeszcze dwa tygodnie... Sprawca nagle się rozłączył. Ponownie zadzwonił po siedemnastu minutach. Zgodził się na zaproponowaną przez Seweryna kwotę. Wyraźnie mu się spieszyło, bo termin przekazania pieniędzy wyznaczył na kolejny dzień. Wszystkich zaskoczyło żądanie sprawcy, aby okup przekazał dziadek, Jerzy Maj. Komisarz pomyślał, że to nawet lepiej. Seweryn nie nadawał się do tego przedsięwzięcia, był zbyt roztrzęsiony. Co prawda pułkownik stracił parę dni temu żonę, ale był w lepszym stanie psychicznym niż syn. Poza tym zawodowe doświadczenie powinno mu pomóc. Porywacz zapowiedział też, że od tej pory będzie się kontaktował wyłącznie esemesowo, a każdą swoją wiadomość zakończy trzema wykrzyknikami. Zabezpieczenie na wypadek, gdyby ktoś chciał się pod niego podszyc.

Po zakończeniu rozmowy Seweryn oznajmił, że nie życzy sobie obstawy policji podczas przekazywania okupu. Kamil był w szoku, przecież porywacz

nawet nie sformułował takiego żądania. Próbował przekonać Seweryna do zmiany decyzji, ale ten był uparty. Powtarzał, że chce tę sprawę zakończyć, bezpieczny i szybki powrót syna do domu jest najważniejszy, nie zależy mu na ujęciu sprawcy. Kamil odwołał się do typowego w takich sytuacjach argumentu: Łucja będzie następna, a może Marta. Tak właśnie działają porywacze, raz się uda, to próbują ponownie zarobić na tej samej rodzinie. Seweryn nie ustąpił. Ten upór był zaskakujący w obliczu jego rozbitej strachem psychiki. Komisarz spojrział na Martę skuloną w kącie salonu. Wyszepiała, że zgadza się z mężem. Milena nie próbowała ich przekonywać. Sama postąpiłaby tak samo.

Marta wyszła z salonu. Prokurator poszła za nią. Po chwili siedziały obie w dzieciennym pokoju pośród porzucanych zabawek.

— Boję się o Tymusia — powiedziała Marta.

— Rozumiem cię, ja też się boję o mojego Krzysia.

Marta złapała ją nagle za obie dłonie. Była bardzo poruszona.

— Proszę, powiedz mi, czy świadomość, że twój synek jest z ojcem, pomaga ci to wszystko przetrwać?

— No niezupełnie, Paweł jest chory psychicznie, żyje urojeniami. Trudno przewidzieć, co zrobi. Mam jednak nadzieję, że miłość do syna jest silniejsza niż choroba.

— No tak, ale gdyby był normalny...

— Jeżeli już porwanie musiało się wydarzyć w mojej rodzinie, to wolałabym, żeby Krzysia porwał zwyczajny kidnaper, dla okupu.

Wydawało się, że Marta jej nie słucha, wodziła niespokojnym wzrokiem po zabawkach. Za chwilę znowu złapała ją za rękę.

— Czy ten ból z czasem zmaleje? — zapytała z wyraźnym przestraczeniem w głosie.

Milena poprawiła dekolt bluzki i wytarła czubkami palców krople potu ze skóry. Potrzebowała dwóch, trzech sekund, żeby dotarło do niej prawdziwe znaczenie usłyszanego pytania. Marta była przekonana, że już nie zobaczy syna. To było nienormalne. Po dzisiejszej rozmowie ze sprawcą powinna wierzyć bardziej niż kiedykolwiek w rychły powrót Tymka, a ona właśnie straciła nadzieję. Ustalenie terminu przekazania okupu to moment kulminacyjny porwania i zawsze wywołuje u rodziców tę samą reakcję — ogromną nadzieję, niekiedy nawet euforię. Dlaczego z Martą było inaczej?

— Kogo się boisz?

Milena miała nadzieję, że to proste pytanie, z pozoru niepowiązane ze sprawą porwania, pozwoli Marcie się otworzyć. Ta jednak milczała. Podciągnęła kolana pod brodę i kiwała się w przód i w tył.

— Wiem, że się kogoś boisz. Kogo?



Wargi Marty drgnęły i ułożyły się w literę „o”, potem się rozciągnęły. Milena odtworzyła ten ruch ust kilka razy w wyobraźni. To były dwie nieme sylaby, pierwsza z „O”.

— Dlaczego się boisz Roberta?

Marta zareagowała natychmiast.

— Ja się go nie boję, przecież to brat mojego męża.

— No właśnie brat, poza tym ma zapłacić okup. Tym bardziej nie rozumiem, dlaczego się go boisz.

Marta gwałtownie opuściła nogi na podłogę.

— Ja się go nie boję. Proszę, nie mieszaj w mojej rodzinie, bo ja poza nią nic więcej nie mam.

— Czasami rodzina to piekło — zauważyła łagodnie Milena.

Na dziewczęcej twarzy Marty pojawił się złośliwy uśmiech.

— Tak, wiem o tym, ale niektórzy nawet tego piekła nie mają, jak ty.

Milena jeszcze przez chwilę siedziała w pustym pokoju dzieciennym. Słyszała kroki Marty w sypialni, potem na schodach. Nie miała pewności, czy sugestia, że Marta boi się Roberta, była słuszna. Na pewno go nie lubiła, ale czy się go bała?

Komisarz opuścił już dom Majów. Zapewne pojechał na komendę, będzie analizował dzisiejszą rozmowę ze sprawcą. Może coś znajdzie, choćby jakiś dźwięk w tle. A może tym razem dane od operatora pchną sprawę do przodu.

Postanowiła jechać prosto do domu. Gdy siedziała już w samochodzie, usłyszała dźwięk przychodzącego esemesa. To była wiadomość od Patryka Lasockiego, jej młodego przyjaciela. Zapraszał ją do lodziarni. Właśnie konsumował pierwszą porcję lodów. Właściwie powinna najpierw wziąć chłodny prysznic i zmienić ubranie na mniej oficjalne, ale Patryk nie będzie na nią tyle czekał. Odpisała, że zaraz przyjedzie.

Bez problemu znalazła wolne miejsce parkingowe na Giermków. Zmieniła pantofle na japonki, które od kilku dni przezornie wozila w bagażniku, po czym ruszyła w stronę placu Solidarności. Minęła niewielką grupę emerytów z Niemiec stojących przed Pomnikiem Ofiar Grudnia 1970 i skręciła w kierunku fontanny. Na krótki moment spowiła ją wodna mgiełka. Zaczęła szukać wzrokiem Patryka. Siedział przy jednym z kawiarnianych stolików pochylony nad telefonem. Typowy młody człowiek, odseparowany od przestrzeni publicznej. Aż dziwne, że chce się spotkać, właściwie powinien mu wystarczyć kontakt esemesowy. Patryk podniósł głowę, już ją dostrzegł. Wstał i pomachał. Na powitanie uściśnieli sobie dłonie.

Znowu zaskoczyło ją, że wygląda tak dorośle. Wciąż miała w pamięci obraz szczupłego chłopca sprzed roku z przydługimi włosami. A teraz siedział przed nią krótko ostrzyżony młody mężczyzna w czarnej koszulce opinającej

umięśnioną klatkę piersiową. Tylko oczy pozostałe te same — duże, ciemne i smutne.

Wzięła trzy gałki lodów jagodowych.

— Jakie masz plany na ostatni tydzień wakacji?

— Będę trenował, bo na początku września są szesnaste warmińsko-mazurskie mistrzostwa w strzelectwie sportowym.

— Super, mam nadzieję, że zajmiesz dobre miejsce. A w jakiej konkurencji startujesz?

— PDW, będę strzelał z pistoletu Hammerli z wolnej ręki, odległość do tarczy dwadzieścia pięć metrów.

— To teraz strzelasz z hammerli?

— Tak. Ma klasyczny kształt, w moim guście. No i lepiej mi się z niej strzela niż z beretty.

Patryk umilkł i zaczął nerwowo mieszać łyżeczką w pucharku z lodami.

Rok temu strzelał wyłącznie z beretty, ale potem jego ojciec, sędzia Edward Lasocki, zabił z takiej właśnie broni młodego mężczyznę.

— I co? Zmieniłeś zdanie? Pójdiesz odwiedzić ojca? — zapytała. — Wiem, że chciałby się z tobą zobaczyć.

— Nie, ja go nie chcę widzieć.

— A na proces przyjdiesz?

— Przyjdę, ale tylko po to, żeby panią zobaczyć, jak pani pracuje.

Na twarzy Patryka pojawiła się zawziętość, którą dobrze już знаła. Miał żal do ojca. Wcale nie chodziło o to, że sędzia zabił człowieka, ale o to, że jemu skomplikował życie, odebrał mu spokój, napiętował go, uczynił synem mordercy. Patryk musiał się zmagać z niezdrowym zainteresowaniem rówieśników i mediów, a zarazem z potępieniem i odrzuceniem. Najbardziej bał się, że przez czyn ojca będzie miał zamknięte drzwi na studia prawnicze, a potem do ewentualnej kariery. Zapewniała go, że jego obawy są przesadzone.

— Jakiej kary pani zażąda?

— Najwyższej.

— Dobrze, zasłużył na dożywocie.

Patryk otwarcie się cieszył, że to ona jest oskarżycielem w procesie jego ojca. Uważał, że uda się jej go skazać, że jej się nie wywinie, jest zbyt dobra. Milena wiedziała, że za parę lat stosunek tego chłopaka do niej się zmieni. Kiedyś wybaczy ojcu, na pewno tak się stanie, z upływem czasu żal maleje, a miłość się utrwala, wtedy będzie miał ogromną pretensję do prokurator, która odebrała mu najbliższą osobę.

— Widujesz się z siostrą?

— Rzadko, ona ma teraz nowego faceta. Wyjechała z nim na wakacje. Poza tym nie zgadzamy się co do winy ojca. Głupia wierzy, że to nie on kropnął tego gościa.

— Musisz się czuć samotny.

Patryk spojrział na nią smutnymi oczami.

— Nie bardziej niż pani.

Uśmiechnęła się. Oboje byli samotni, może dlatego tak chętnie się spotykali. Ona trochę zastępowała mu matkę, którą stracił w dzieciństwie, z kolei on był dla niej namiastką Krzysia, którego nie widziała od czterech lat. Milenie przyszło do głowy, żeby poznać Patryka z Zużą. Byli prawie w tym samym wieku, on cichy i melancholijny, ona zaczepna i harda. Może te dwa biegunowo różne charaktery by się przyciągnęły i wzajemnie uzupełniły?

Rozmawiali dalej o bieżących sprawach. Więcej czasu zajęły im fałszywy alarm bombowy w elbląskim sądzie i zawieszenie małego ruchu granicznego.

Pustynny wiatr wzmagął się, uderzając w nich falami gorącego powietrza i szarpiąc kawiarnianymi parasolami. Wraz z kolejnym podmuchem na taras wleciał foliowy woreczek i z szelestem sunął po podłodze.

— Ciekawe, co nam ten wiatr jeszcze przyniesie — odezwał się Patryk.

— Może burzę?

— Boi się pani burzy?

— Nie.

— A ja tak, zawsze mam wrażenie, że burza przyniesie jakąś katastrofę. Żeby teraz tak nie było.

Milena odstawiła pusty pucharek i wytarła usta chusteczką. Też się spodziewała katastrofy, niemal fizycznie wyczuwała nadchodzące niepowodzenie. Gdzie ono nastąpi? Czy w prowadzonej aktualnie sprawie porwania Tymoteusza Maja? A może chodzi o jeszcze większy kataklizm? Poczwała dreszcze. Cóż gorszego może ją spotkać niż niepowodzenie w śledztwie? Tylko śmierć Krzysia.

Patryk drgnął wystraszony, gdy zerwała się z krzesła.

— Muszę już lecieć — oznajmiła i wyciągnęła do niego rękę.

Podniósł się pospiesznie.

— Odprowadzę panią do samochodu.

Szli obok siebie w milczeniu. Minęli ludzi siedzących na ławkach w pobliżu fontanny. Wszyscy mieli głowy uniesione w górę. Wypatrywali chmur, niebo jednak było wyjątkowo przejrzyste.

Przy samochodzie jeszcze raz uścisnęli sobie dłonie. W lusterku widziała, jak Patryk stoi nieruchomo z rękami w kieszeniach i obserwuje jej manewry. Lubiła tego chłopaka.

W mieszkaniu było duszno. Otworzyła wszystkie okna i przysiadła na brzegu kanapy z szarą niezaadresowaną kopertą w dłoni. Parę minut temu wyjęła ją ze skrzynki. Prawdopodobnie kolejny anonim z donosem. Już wcześniej się zdarzało, że obcy ludzie, którzy wiedzieli, kim jest, podrzucali do jej skrzynki listy z różnymi informacjami, na przykład, że sąsiad bije żonę. Rozerwała kopertę i wyjęła złożoną na pół kartkę wyrwaną prawdopodobnie z bloku rysunkowego. Po chwili wahania rozłożyła ją. Szok był tak wielki, że z jej gardła wydobył się przeciągły jęk. Ten widok był jak fizyczne uderzenie pozbawiające oddechu i przytomności. Na kartce nie było liter składających się w słowa i zdania, lecz ołówkowy szkic przedstawiający jej syna. Chłopiec z dużymi oczami uśmiechał się do niej w znajomy sposób. Dobrze знаła ten układ ust, to zmarszczenie nosa i zawadiacko wysuniętą do przodu brodę. To był Krzysiu.

Obraz zadrżał i pokrył się mgłą. Po chwili ostrość powróciła, znowu widziała najukochańszą na świecie buzię. Nagle u dołu kartki pojawiła się czerwona powiększająca się plamka. Milena wiedziała, że to krew. Ale skąd się wzięła? Przyszła jej do głowy irracjonalna myśl, że to krew Krzysia. Ta kartka to znak, że on umiera. Poczowała ostry ból w sercu, który zaczął promieniować na całe ciało. Przesunęła palcami po naszkicowanej twarzy synka. Teraz zobaczyła czerwoną plamkę na grzbiecie swojej dłoni. Już wiedziała, skąd ta krew. Dotknęła palcem dziurki w nosie. Powlokła się do łazienki. W lustrze zobaczyła swoje odbicie, szarą cerę, podkrążone oczy i czerwoną strużkę pod nosem. Wyglądała jak po ciężkiej chorobie. Gdy przemywała twarz zimną wodą, odezwał się dzwonek do drzwi. Otworzyła. W progu stał wysoki mężczyzna w szarej marynarce, spod której wystawał czarny T-shirt. Milenie przyszło do głowy, że jest zbyt grubo ubrany jak na panujący upał.

— Żle pani wygląda. Czyżby jakieś złe wieści? Może o kimś z rodziny?

W głosie mężczyzny słychać było wystudiowaną troskę. Dawał jej do zrozumienia, że zna jej stan psychiczny i wie, co go wywołało.

— Kim pan jest?

— Powiedzmy, że pani przyjacielem.

— Moim przyjacielem? A wydawało mi się, że ja znam wszystkich swoich przyjaciół.

— Ja jestem ten nowy. Mogłaby mnie pani wpuścić? Porozmawiamy chwilę?

Milena próbowała analizować zaistniałą sytuację. Ma przed sobą człowieka, który może wie, gdzie jest Krzysiu. Musi go zatrzymać. Odsunęła się od drzwi. Mężczyzna wszedł do mieszkania. Zaprowadziła go do kuchni połączonej z salonem.

— Nie musi pani informować komisarza o mojej wizycie — oznajmił, widząc, że Milena zatrzymuje wzrok na telefonie.

— Nie mam w zwyczaju zawiadamiać policji o tym, że odwiedzają mnie przyjaciele.

Mężczyzna się uśmiechnął.

— Nie będę się przedstawiał, bo jak to się mówi w filmach, moje nazwisko nic pani nie powie.

Milena wyjęła z lodówki wodę mineralną i napełniła dwie szklanki. Gdy mężczyzna wziął jedną do ręki, niemal odetchnęła z ulgą. Będzie miała jego odciski palców, zawsze coś.

— Gdzie są mój syn i mąż?

Mężczyzna uniósł brwi.

— Ja tego nie wiem, ale moi przyjaciele mogą się dowiedzieć.

— Musi pan mieć wielu przyjaciół.

— Paru się znajdzie. Właśnie w imieniu przyjaciela tu przychodzę, w pani rękach jest jego życie.

— O kim pan mówi?

— O sędzim Edwardzie Lasockim, jest niewinny i jak najszybciej powinien opuścić areszt. Bardzo na panią w tej kwestii liczymy.

Jako prokurator Milena miała taką władzę, od niej zależało, kto zostanie wezwany na rozprawę i jakie dowody będą brane pod uwagę. Gdyby się bardzo postarała, mogłaby nawet dać sądowi powód do uchylenia aktu oskarżenia. Z trudem przełknęła ślinę. Nigdy dotąd nie była poddawana naciskom. Próbowwała myśleć racjonalnie, ale przychodziło jej to z trudem, bo przed oczami wciąż miała naszkicowaną buzię syna.

— Sąd jest niezawisły — mruknęła, chcąc zyskać na czasie.

Mężczyzna pokiwał głową z politowaniem.

— Droga pani prokurator, tylko sąd Boży jest niezawisły, ale i tego nie byłbym taki pewien.

— Jaką mam pewność, że pomożecie mi sprowadzić syna do domu?

— Żadnej... Może mieć pani tylko nadzieję.

Ten człowiek nie porwał Krzysia, ale zachowywał się jak typowy kidnapier. Dał jej nadzieję na odzyskanie syna, a w zamian domagał się uwolnienia sędziego Lasockiego. Parę godzin temu obserwowała Martę i Seweryna w identycznej sytuacji, oni zgodzili się spełnić żądania porywaczy. W trosce o Tymka odrzucili nawet wsparcie policji podczas przekazywania okupu. Czy ona jest w stanie zrobić to samo? Odpowiedź nasuwała się tylko jedna. Tak. Gotowa jest na wszystko, żeby odnaleźć swoje dziecko.

Nalała sobie jeszcze jedną szklankę wody i wypłała całą.

— Postaram się pomóc sędziemu, ale potrzebuję czegoś więcej niż szkic buzi mojego syna.

— Słucham?

Mężczyzna udał zdziwienie. Milena wyszła z kuchni i po chwili wróciła, niosąc rysunek.

— To naszkicował mój mąż. Pana przyjaciele musieli się z nim widzieć, skoro dał im ten obrazek. Ale dla mnie to za mało, chcę mieć wiarygodniejszy dowód życia, nagranie, na którym zobaczę moje dziecko.

— Droga pani prokurator, dowodu życia żąda się od porywaczy, a nie od przyjaciół. Nawet nie powtórzę tego moim przyjaciółom, bo poczuliby się urażeni.

Mężczyzna uklonił się i ruszył do wyjścia. Ogarnęła ją panika. Ten człowiek zaraz opuści jej mieszkanie i już nigdy nie wróci, a przecież on coś wie o Pawle i Krzysiu. Nie może pozwolić, żeby tak po prostu wyszedł. Kątem oka dostrzegła stojący na kredensie słoik z konfiturami. Gdyby nim walnęła tego typka w głowę... zamroczyłoby go, a ona zadzwoniłaby po Kamila. Komisarz umiałby z niego wyciągnąć, kim jest i co wie o jej mężu i synu.

Wybiegła z kuchni za mężczyzną, złapała go za ramię.

— Jak będę mogła się z panem skontaktować?

— Zadzwonimy do pani. Oczywiście najpierw musi pani spełnić naszą prośbę.

Wyszedł, a ona długo wpatrywała się w zamknięte drzwi. Ze stanu odrętwienia wyrwała ją ogromna bzykająca mucha krążąca po przedpokoju. Owad usiadł na lustrze. Milena ze wściekłością walnęła w nie otwartą dłoń. Skóra ją piekła, na palcach miała czarne skrawki owadziego ciała. Wróciła do kuchni, do foliowej torebki włożyła rysunek i kopertę, a szklankę umieściła w kartonowym pudełku. Z szuflady w sypialni wyjęła jeszcze jeden szkic sporządzony ręką jej męża i przedstawiający ich syna. Nie miała zamiaru siedzieć beczynn timer, będzie działać. Nie jest sama, komisarz na pewno jej pomoże. Dwadzieścia minut później stała już pod jego drzwiami.

Nie wyglądał na zdziwionego, jak gdyby miała w zwyczaju niespodziewanie wpadać wieczorami, a przecież była tu ostatni raz prawie dziesięć miesięcy temu.

— Mam się ubrać? — zapytał Kamil.

Stał przed nią w samych szortach. Zapewne przed chwilą wziął prysznic, bo biła od niego ciepła woń mydła pomieszana z zapachem rozgrzanej skóry.

— Daj spokój, taki upał...

Żałowała, że nie umyła się przed wyjściem i nie zmieniła ubrania. Czuła swój własny pot, bluzkę miała wymiętą i mokrą.

— Chcesz bronka?

— Przyjechałam samochodem.

— No co ty, przecież immunitetu w domu nie zostawiłaś.

Miała ochotę na zimne piwo, trochę by ją ochłodziło i ukoїło jej nerwy.

— Dobrze, nalej mi. Wróćę taryfą.

Usiadła na kanapie i położyła obok torebkę. Spojrzała na swoje stopy, były zakurzone, Kamila przeciwnie, czyste z równo przyciętymi paznokciami. Podał jej kufel z piwem i usiadł na podłodze.

— Postawiłem ludzi przed domem Majów. Mieszkanie starego Maja też jest obserwowane. Poza tym mamy telefony całej rodziny na podsłuchu. Będziemy znać ich każdy krok, no i zamierzamy monitorować przekazanie okupu, ale tylko z daleka.

— Trzeba spisać numery seryjne banknotów — zauważyła.

— Rumun i Beata właśnie się tym zajmują, są teraz u Roberta. — Komisarz otworzył sobie kolejne piwo. — Powiedz mi, czy wydałaś już postanowienie o przedstawieniu zarzutów temu dziennikarzowi, Bukowskiemu?

— Jeszcze nie, nawet go nie przesłuchałam.

— Ja już to zrobiłem, Beata miała ci wysłać protokół z przesłuchania.

— Tak, przyszedł, ale jeszcze go nie przejrzałam.

— Słuchaj, Milena, chciałbym, żebyś umorzyła to śledztwo, w końcu Bukowski sam się do nas zgłosił z teczką Lisa. Przecież i tak roboty mamy od cholery, a ten dziennikarz to dzieciak, któremu na moment porządnie odbiło.

— Okej, niech jego obrońca złoży wniosek o umorzenie albo on sam niech to zrobi.

Niewiele ją teraz obchodziło wyłudzenie teczek senatora Lisa, przyszła tutaj w innej sprawie i chciała już przejść do rzeczy.

— Miałam dzisiaj gościa. Przedstawił się jako mój przyjaciel i przyjaciel sędziego Lasockiego.

— Domyślam się, że złożył ci jakąś propozycję.

— Tak. Mam doprowadzić do uwolnienia sędziego.

— No, z grubej rury, żaden tam najniższy wymiar kary, od razu na wolność. A co ci obiecuje w zamian?

— Ten facet zasugerował, że pomogą mi odzyskać syna.

Kamil odchylił się do tyłu, prężąc mięśnie klatki piersiowej i bicepsy. Sięgnął po papierosy leżące na stoliku. Zapalił.

— Skurwysyn, wygląda mi to na obietnicę bez pokrycia. Od czterech lat szukasz męża i dzieciaka, dzisiaj gównem o nich wiesz. To skąd niby sędzia...

— Nie wiem, jakim cudem, ale wygląda na to, że któryś z przyjaciół Lasockiego dotarł do mojego męża.

Milena wyjęła foliową torebkę z rysunkiem i kopertą.

— Masz rękawiczki lateksowe?

— W łazience, zaraz przyniosę.

Kamil zgasił wypalonego w połowie papierosa i wstał. Milena odprowadziła go wzrokiem, wpatrując się w jego umięśnione i opalone plecy. Gdy wrócił, miał już na dłoniach rękawiczki. Drugą parę rzucił jej na kolana. Na widok buzi syna delikatnie naszkicowanej ołówkiem serce znowu jej zatrzepotało, jak gdyby chciało się wydostać z zamknięcia.

— Ten rysunek wyjęłam dzisiaj z mojej skrzynki pocztowej, zaraz potem przyszedł ów facet.

Kamil wziął od niej kartkę i wskazał palcem na brunatną plamkę.

— Co to jest? Krew?

— Tak, ale to moja krew. Poleciała mi z nosa, gdy oglądałam szkic.

— To jest twój syn?

— Tak, Paweł go narysował. Od razu rozpoznałam jego rękę, jego kreskę.

Wyjęła z torebki kolejny rysunek.

— Zobacz, tutaj też jest Krzysiu, Paweł go naszkicował dwa miesiące przed zniknięciem, nawet datę napisał. Podobne, prawda?

— Tak, podobne.

Komisarz położył oba rysunki na podłodze i przyglądał się im w milczeniu. Milena czekała, aż powie coś więcej. Chciała usłyszeć, że to wiarygodny ślad, za którym powinni pójść, realny sygnał dowodzący, że Paweł i Krzysiu żyją. Kamil jednak się nie odzywał, a jego twarz wyglądała na coraz bardziej zasepioną.

— Przykro mi, ale chyba muszę ci odebrać nadzieję — szepnęła, patrząc jej prosto w oczy.

— Dlaczego?

— Ile twój syn miał lat, gdy zaginął?

— Osiem.

Kamil wskazał na rysunek sprzed czterech lat.

— Czyli tutaj Krzysiu ma osiem lat. A na tym rysunku? — Palec komisarza przesunął się na drugą kartkę. — Moim zdaniem też osiem, a powinien wyglądać na dwunastolatka.

Milena czuła, że kurczy się w środku przytłoczona spostrzeżeniem Kamila. Teraz wyjątkowo jasno dostrzegając, że otrzymany dziś rysunek jest kopią tego sprzed czterech lat. Nawet unoszące się w powietrzu włosy Krzysia układały się w identyczny sposób na obu szkicach. Próbowwała znaleźć jakieś sensowne wytłumaczenie tego faktu, ale nic mądrego nie przychodziło jej do głowy.

— A może Krzysiu aż tak bardzo się nie zmienił... — zagadnęła.

— Nie ma co się nad tym teraz zastanawiać. Niech ekspert sprawdzi, czy te dwa rysunki zostały zrobione tą samą ręką. Poza tym, jeśli to dzieło twojego męża, powinny się na nim znaleźć jego odciski palców.



— Ten facet, który dzisiaj u mnie był, zostawił swoje linie papilarne na szklance. Może znajdziemy go w policyjnej bazie.

Kamil zapalił kolejnego papierosa.

— Wiesz, dziwi mnie ten cały cyrk z rysunkiem. Wygląda na to, że nie mają nic bardziej konkretnego. Zdjęcie powinni ci podrzucić, a nie szkic ołówkiem.

— A mnie nie dziwi, to w stylu mojego męża, obrazek zamiast słów, tak się ze mną komunikował. Czasami mieliśmy problem z dogadaniem się, bo nie każdy rysunek właściwie odczytywałam, niektóre były jak rebusy. Wracam do domu, a tu na lodówce wisi obrazek, cztery osoby prze stole, a pośrodku butelka wódki. Pomyślałam, że będziemy mieli gości, zaczęłam nawet robić kolację, a chodziło o to, że Paweł umówił się z kolegami i prędko do domu nie wróci.

Komisarz otworzył dwa kolejne piwa, teraz dyskutowali o rodzinie Majów. Przez otwarte okno sączyło się gorące powietrze. Milena czuła, jak powraca do niej spokój. Miała ochotę wyciągnąć nogi przed siebie, ale się powstrzymała. Nie powinna wystawiać zakurzonych i przepoconych stóp. Krótco przed północą Kamil założył ręce za głowę i zaczął się przeciągać, prezentując w całej okazałości swoje wysportowane ciało. Szorty lekko zsunęły mu się na biodra i Milena mogła podziwiać symetryczne mięśnie brzucha. Miał w sobie coś z kota, z jego sprężystości i drapieżności. Przyglądała mu się zbyt natarczywie. Zauważył to. Wyjęła z torebki telefon, żeby zadzwonić po taryfę. Złapał ją za rękę.

— Zostań u mnie — poprosił. — Mam nieużywaną szczoteczkę do zębów, pożyczę ci.

Przeszył ją dreszcz podniecenia i niepokoju. Dziesięć miesięcy temu leżała tutaj, obok kanapy, z opuszczonymi do kolan majtkami. Umierała wtedy ze strachu, bo Kamil przyciskał ją kolanem do podłogi, uniemożliwiając jakikolwiek opór. Chciał, żeby udawała martwą, miał szaleństwo w oczach.

— To nie jest dobry pomysł.

— Dlaczego? Bo razem pracujemy?

— Nie, bo nie bawi mnie udawanie trupa.

— Szkoda. — Kamil zrobił zasmuconą minę. — Ale to ja mogę udawać trupa. Co ty na to? Zgadzasz się?

— Nie.

— Milena, co jest? Pożerasz mnie wzrokiem, a teraz mówisz nie.

— Czy ty nie powinienes iść do psychologa? Nekrofilia to poważne zaburzenie.

Komisarz podniósł się z podłogi, przez nieuwagę kopnął pustą butelkę po piwie, aż potoczyła się pod szafę. Niemal zgrzytał zębami ze złości.

— Przesadziłaś — syknął. — Ty chyba nie zdajesz sobie sprawy, co to jest nekrofilia.

Za oknem zawarczał motor, blask samochodowych świateł przesunął się po ścianie niczym duch. Milena drżała, ale wzroku nie spuściła.

Kamil zgniótł paczkę z papierosami i rzucił ją na stolik.

— Nie jestem nekrofilem, co najwyżej fantastą nekrofilskim, ale to chyba nic złego. Sądzę, że nie grozi mi z tego powodu oskarżenie prokuratorskie. — Patrzył na nią potępiająco, jak gdyby to ona miała dewiacyjne skłonności.

Niepotrzebnie wyrwała się ze stwierdzeniem, że jest nekrofilem, rzeczywiście przesadziła, przecież nie wykopywał zwłok na cmentarzach, żeby je zbecześcić. Wstała z kanapy i podeszła do Kamila. Przesunęła palcem po jasnej bliźnie na jego twarzy.

— Przepraszam, ale w swojej pracy natknęłam się na wielu niebezpiecznych dewiantów.

Poczuła dłoń komisarza na plecach. Pochylił się, żeby ją pocałować. Odsunęła się.

— Może najpierw pożyczysz mi szczoteczkę do zębów?

Dwie minuty później stała pod prysznicem z odchyłoną do tyłu głową i przymkniętymi oczami. Zostawiła uchylone drzwi do łazienki i zastanawiała się teraz, czy Kamil przygląda się jej z pokoju naprzeciwko. Przez przezroczystą pleksę na pewno było widać jej kształtne pośladki i szczupłe nogi. Umyła głowę jego szamponem, potem mokre włosy zczesała do tyłu. Owinęła się wilgotnym ręcznikiem i wyszła z łazienki.

Kamil siedział na brzegu kanapy z papierosem między wargami. Stała naprzeciw niego i czekała z zapartym tchem i poczuciem, że zaraz spłonie z podniecenia. Złapał za róg ręcznika i szarpnął, zrywając go z niej. Chciała, żeby się podniósł i ją przygarnął, ale on spokojnie zaciągał się papierosem i przyglądał się jej jak jakiemuś muzealnemu okazowi.

— Ale jesteś chuda — stwierdził rzeczowo.

Poczuła się zakłopotana, odruchowo zasłoniła piersi. Nie miała zamiaru dłużej znosić jego szacującego spojrzenia. Odwróciła się i uciekła do łazienki. Zamknęła za sobą drzwi na klucz. Złapała przepocony stanik i wyginając plecy, z trudem go zapięła. Rozdygotana zaczęła wciągać bluzkę, ale wilgotny materiał zwijał się w rulon. Usłyszała, jak klucz przekręca się w zamku. Kamil otwierał drzwi. Zakłęła. Musiała wyglądać idiotycznie bez majtek z bluzką zawiniętą wokół ramion. Złapał ją mocno za pośladki, aż zaboląło. Słyszała jego przyspieszony oddech i czuła ostrą, męską woń pomieszaną z zapachem mydła. W końcu uwolniła się z bluzki. Kamil przesunął dłonie w górę i rozpiął jej stanik. Ze zdumieniem zarejestrowała fakt, że jego skóra na ramionach jest gorąca

i sucha. Jej ciało wciąż pozostawało wilgotne od niedawnego prysznicu. Objęła jego szyję i zajrzała głęboko w jasne oczy. Nieważne, co do niej czuł, teraz potrzebowała jedynie fizycznej bliskości mężczyzny.

# Rozdział IX

## *Dzień dziewiąty, popołudnie i wieczór*

Pistolet P-64 leżał zawinięty w papier antykorozyjny na samym dole pancерnej szafy. Piękne małe cacko, które może się teraz przydać. Jerzy Maj dotknął broni z czułością, miał ją od czterdziestu ośmiu lat. Razem z tym pistoletem przeszedł na emeryturę, choć nie było to dozwolone. Zdołał przy pomocy kierownika magazynu zabrać swój P-64, który oficjalnie miał trafić na złom. Od dwudziestu pięciu lat dbał o pistolet, przecierając go raz na kwartał szmatką nasączoną smarem. Czasami chodził z nim na strzelnicę, żeby sprawdzić mechanizm i własne oko. P-64 przy strzelaniu strasznie kopał, ale za to jaki był celny. Będzie mógł mu zaufać, jeżeli przyjdzie mu dzisiaj strzelać... Często powtarzał Bogusi, że ten pistolet jeszcze mu się przyda, a ona mówiła: Oby nie. Kto by pomyślał, że będzie planował go użyć przeciwko jej mordercy. Nie zabije tego bandziora, tylko go postrzeli. Ten sukinsyn musi żyć, bo przecież ma Tymka.

Maj założył na biodra skórzany pas z kaburą. Do magazynka włożył sześć sztuk amunicji 9 milimetrów Makarow, po czym zabezpieczył broń i wsunął ją do kabury. Szykował się jak na akcję, jak w osiemdziesiątym pierwszym, emocje te same, a może nawet większe, bo wtedy chodziło o kraj, a teraz o jego rodzinę. Trzydzieści pięć lat temu Bogusia żegnała go ze łzami w oczach i z małym Robertem na ręku. Prosiła, żeby uważał na siebie. Dzisiaj pozostało mu troskliwe spojrzenie żony ze zdjęcia. Była taka młoda, jeszcze nie miała sześćdziesięciu lat, powinna żyć i cieszyć się wnukami. Jerzy zacisnął szczęki, żeby zapanować nad drżeniem brody. Z szafy wyciągnął luźną koszulę z krótkim rękawem, która dobrze maskowała pas z kaburą. Nałożył wygodne buty, sportowe, wiązane. Połknął jeszcze tabletkę na nadciśnienie i schował telefon do kieszeni spodni. Otwierał już drzwi na korytarz, ale nagle się zatrzymał. Wrócił do sypialni, pocałował zdjęcie żony i dopiero wtedy wyszedł z mieszkania. Wsiadł do starej skody combi i pojechał do Seweryna. Umówili się, że pojawi się u nich w południe i razem będą czekać na wskazówki od kidnapera.

Przed domem stali Robert i Ramira. Ona się uśmiechnęła na jego widok. Musiał przyznać, że jedna synowa mu się udała. Ta chociaż była ładna, mądra i utalentowana. A ta druga... nawet nie umiała zająć się dziećmi, często dzwoniła do teściowej i angażowała ją do pomocy. Tego feralnego dnia też, gdyby wtedy sama poszła na spacer z dziećmi, Bogusia dzisiaj by żyła. Poczuł, jak zalewa go fala nienawiści do Marty.

— Przywieźliście pieniądze? — zapytał, zbliżając się do syna i jego żony.

Robert kiwnął twierdząco głową. Wyglądał na zmęczonego. Ukochany chłopak, zawsze stawał na wysokości zadania, teraz też. Żeby tylko Seweryn i Marta to docenili.

— Za godzinę będzie obiad — oznajmiła Ramira. — Marta właśnie robi zupę owocową, a ja przywiozłam empanadas z wołowiną.

Wciąż panował piekielny skwar i wiał gorący wiatr. Tegoroczne lato było wyjątkowo męczące. Jerzy wytarł kark chusteczką.

Weszli do domu. W salonie na kanapie leżał średnich rozmiarów plecak.

— W środku jest czterysta dwadzieścia sześć tysięcy — oznajmił Robert.

Ramira musnęła pakunek smukłą dłonią tak delikatnie, jak gdyby pieściła ukochaną osobę.

— *Una bonita casa* w Buenos Aires za tyle pieniędzy można kupić — oznajmiła.

Jerzy podniósł plecak, nie był zbyt ciężki, da radę go nieść, nawet w ten upał. Dopiero po chwili zauważył, że są do niego przyłączone cztery lampki diodowe.

— Po co to?

— Porywacz tak chciał. Przysłał trzy godziny temu esemesa, ma być plecak, w żadnym wypadku torba, no i te lampki kazał przyczepić.

Jerzy odruchowo dotknął pistoletu na biodrze. Wygląda na to, że nie będzie miał dzisiaj okazji go użyć. Lampki diodowe wskazywały na tę wersję przekazania okupu, która najmniej mu odpowiadała, bo wykluczała możliwość zaczajenia się na porywacza. Prawdopodobnie będzie trzeba wsiąść w jakiś wieczorny pociąg i na sygnał telefoniczny wyrzucić plecak przez okno. Był to sposób bezpieczny dla sprawcy, nawet policja nie dałaby rady zabezpieczyć trasy pociągu. Ale wiązało się to również z dużym ryzykiem utraty okupu. Lampki diodowe nie zawsze pomagały w odnalezieniu pakunku leżącego przy nasypie kolejowym. Jerzy przyjrzał się plecakowi. Był dość pękaty, trudno byłoby go wyrzucić przez okno pociągu. Może więc jednak nie chodzi o ten sposób przekazania okupu.

Usiedli do obiadu. Rozmawiali tylko o pogodzie. Seweryn nieprzytomnym wzrokiem wodził po zebranych. Nie odzywał się, nawet do Łucji, która wdrapywała się na jego kolana i ciągnęła za koszulę. W końcu Ramira zabrała

dziewczynkę od stołu i zaczęła z nią ćwiczyć krok taneczny, nucąc przy tym jakąś znaną melodię. Jerzy zerkał kątem oka na synową, na jej gibkie ciało i wirujące biodra. Prawdziwa kobieta, kobiece kształty, ruchy też, a nie to co Marta. Spojrzał na drugą synową, która właśnie wносиła empanadas z wołowiną. Miała na sobie krótkie spodenki. Co to za strój? Tak się ubierają dziewczyny, a nie prawie trzydziestoletnie kobiety. I jeszcze te włosy związane w koński ogon... Marta wyglądała na nastolatkę i to drażniło Jerzego, bo zdawał sobie sprawę, jaką słabość ma Robert do takich panienek. Dlaczego Marta go prowokuje? Bo jest zdemoralizowana. Nic dziwnego, pochodzi przecież z patologicznego środowiska. Dopiero w ich rodzinie dowiedziała się, co to szacunek i lojalność, ale niestety nie zdołała sobie przyswoić tych zalet.

Koło osiemnastej Jerzy położył się na kanapie w salonie. Obudził się po czterdziestu minutach, prawej ręki prawie nie czuł, tak mu zdrętwiała. Niedobrze, przecież to w niej będzie trzymał pistolet. Zaczął ruszać palcami, aby pobudzić krążenie krwi.

Przy kanapie stanęła Łucja.

— Dziadku, ja wiem, kto porwał Tymusia.

Jerzy zamarł.

— Dziecko, skąd ty to możesz wiedzieć?

— Od tatusia.

Jerzy opadł na kanapę.

— Idź się pobaw, ja jeszcze trochę pośpię.

Łucja zakręciła się wokół własnej osi jak bączek, a potem wybiegła z salonu. Jerzy przymknął oczy i pogрузił się w półśnie. Słyszał głos wnuczki, śpiewała, a wraz z nią śpiewała Bogusia. Przecież jego żona nie żyje. Dlaczego więc ją słyszy? To ktoś inny musi śpiewać, może Marta albo Ramira. Obudził się spocony i zdezorientowany.

Do salonu wszedł Robert, miał cienie pod oczami, rozpiętą do pasa koszulę. Usiadł na kanapie obok Jerzego.

— Mam nadzieję, że to się wkrótce skończy. Potrzebuję spokoju. Planujemy z Ramirą wyjechać po wszystkim.

— Tak, synu, zróbcie sobie wakacje.

— Ramira chce wracać do Argentyny.

— Daleko. Nie moglibyście pojechać gdzieś bliżej? Ja jeździłem z twoją matką nad Balaton i do Jugosławii. Piękne chwile tam przeżyliśmy.

— Chcemy w Argentynie adoptować dziecko.

— Tam? Dlaczego akurat tam? W Polsce nie ma dzieci?

— W Argentynie da się to zrobić łatwiej i szybciej, a w Polsce musielibyśmy długo czekać, może nawet parę lat, tym bardziej że chcemy, żeby to było małe

dziecko, kilkumiesięczne.

— Ale tam dadzą wam czarnego dzieciaka.

— Nie, tato, w Argentynie też są białe dzieci. Nasz syn będzie miał jasne włosy i niebieskie oczy.

— Jak Tymek?

— Tak, dokładnie jak Tymek.

— Wiesz, co myślę, synu? Ramira to piękna kobieta i dobra, ale powinieneś ją zdradzić, no wiesz, w celach prokreacji. Wielu mężczyzn ma dzieci na boku, a potem ich żony tymi dziećmi się zajmują. Ramira też by wychowała twoje. Własny syn, krew z krwi, pomyśl.

Robert uśmiechnął się smutno.

— Gdyby mama słyszała, do czego mnie namawiasz...

O dwudziestej Jerzy zjadł kanapki i wypił mocną kawę. Kofeina powinna go ożywić, zwiększyć jasność umysłu i przyspieszyć refleks.

Postanowił jeszcze przetestować ciężar plecaka z okupem. Zarzucił go na ramiona i przeszedł się po całym domu. Wszedł nawet do małżeńskiej sypialni syna. Seweryn leżał na łóżku rozebrany do pasa i patrzył tępo w sufit. Na brzuchu trzymał komórkę.

— Nie napisał jeszcze? — zapytał Jerzy.

— Nie. Tato, jeżeli ten człowiek jeszcze raz stanie na mojej drodze, to go zabiję.

— Zostaw to mnie, synu.

Jerzy odstawił plecak pod ścianę w salonie. Łucja zaczęła się domagać, aby wziął ją na barana. On jednak wolał oszczędzać siły na wieczorną akcję. Robert zabrał więc bratanicę przed dom i przez kilkanaście minut nosił na plecach.

Wiadomość od kidnapera przyszła kwadrans przed dwudziestą pierwszą. Nad telefonem pochylili się wszyscy z wyjątkiem Marty, która w pokoju dzieciennym usypiała córkę. Porywacz kazał zapakować do samochodu okup oraz rower i jechać na Malbork. Poleciał też zabrać telefon Seweryna. Na końcu instrukcji widniały trzy wykrzykniki i to one pobudziły ich do działania. Robert złapał plecak i zaniósł go na tylne siedzenie skody combi. Seweryn przyprowadził rower z garażu i przy pomocy brata umieścił go w bagażniku.

Zanim Jerzy wsiadł do wozu, wszyscy spojrzeli na niebo. Na horyzoncie gromadziły się burzowe chmury. Czarne, skłębione wyglądały groźnie. Wzmógł się też wiatr, jego podmuch szarpnął długimi włosami Ramiry. Przytrzymała je ręką. Jerzy położył na siedzeniu pasażera komórkę Seweryna i ruszył. W lusterku zobaczył, jak Robert z Ramirą wchodzi do domu, a Seweryn stoi nieruchomo i patrzy za nim. Ogarnęło go wielkie wzruszenie. To jego rodzina, zrobi dla nich wszystko.

Jechał niemal pustymi ulicami miasta. Wyglądało na to, że ludzie pochowali się w domach, obawiając się wielkiej nawałnicy. Rzeczywiście, zapowiadało się gwałtowne załamanie pogody. Chmury mknęły szybko, gnane coraz silniejszym wiatrem. Zrobiło się ciemno. Nie było jeszcze słycać grzmotów, ale na południu czarne niebo rozświetlały już niepokojące błyski. Gdy wyjeżdżał z miasta drogą krajową numer dwadzieścia dwa, otrzymał kolejnego esemesa. Kidnaper kazał mu jechać do Raczek Elbląskich. Jerzy próbował przeanalizować swoją sytuację. Najważniejsze to wiedzieć, na czym się stoi. Miał w bagażniku rower, wkrótce będzie musiał się na niego przesiąść i zawieźć okup w jakieś ustronne miejsce. Zostawi go tam i wróci do samochodu. Sprawca weźmie okup i się z nim oddali. I w tym tkwi sedno planu porywacza, w sprytnej ucieczce z kasą, żeby policja nie zdążyła go złapać. Jerzy już wiedział, jak kidnaper planuje uciec — popłynie łódką, jeziorem Drużno, długim na dziesięć kilometrów, zarośniętym trzciną, z licznymi odnogami, pod osłoną nocy ma naprawdę duże szanse. Dobrze przemyślane, ale on będzie sprytniejszy, jest w końcu emerytowanym oficerem Służby Bezpieczeństwa.

Zaparkował w Raczkach Elbląskich i czekał na kolejnego esemesa. Tymczasem nawałnica nadciągała z upiornym wyciem i suchymi trzaskami piorunów. Jerzemu przyszło do głowy, że porywacz zrezygnuje, bo w taką pogodę ucieczka łódką mogłaby być bardzo niebezpieczna. Sam nie wiedział, czy wolałby przerwać tę akcję i przenieść ją na inny dzień, czy jednak dzisiaj rozprawić się z mordercą żony. Chciał to mieć już za sobą, jego rodzina również, ale ta burza... mogła pokrzyżować mu plany. Trzymał telefon blisko twarzy, żeby nie przegapić wiadomości. W końcu przyszła. Miał wsiąść na rower, jechać wzdłuż wody i zatrzymać się dopiero wtedy, gdy dostanie polecenie esemesem. Jerzy z trudem otworzył drzwi samochodu i wysiadł. Wiatr był zimny, a on miał na sobie tylko koszulę z krótkim rękawem. Dlaczego nie pomyślał, żeby wziąć kurtkę? Zaraz na pewno lunie. Podmuchy wiatru już niosły ze sobą zapach deszczu. Wyjął z bagażnika rower. Bał się go puścić choć na sekundę, bo wiatr mógł go porwać. Położył rower na ziemi i przytrzymując nogą, wyciągnął plecak. Gdy miał go już na ramionach, zdało mu się, że jest cięższy niż wtedy, gdy nosił go po domu. Poprawił pas z kaburą i usadowił się na siodełku.

Na moment oślepił go błysk, jak gdyby niebo robiło zdjęcia przy użyciu monstrualnego flesza. Chwilę potem potężny grzmot niemal rozerwał mu bębni w uszach. Niewiele brakowało, a przewróciłby się wraz z rowerem. Porywiste ruchy powietrza i ciężki plecak utrudniały mu utrzymanie równowagi. Jerzy się bał, dokładnie nie wiedział czego. Może tej burzy, była niebezpieczna. Dygotał z zimna i strachu, ale pedałowal dalej, posuwając się do przodu drogą ułożoną z betonowych płyt. Po lewej stronie ciągnął się kanał Tina, po prawej



pola. Kolejny podmuch wiatru rzucił mu w twarz piaskiem. Piorun ponownie rozerwał niebo z ogromnym hukiem, aż ziemia się zatrzęsała.

Jerzy zgrzytał zębami i kłął. Powtarzał sobie, że musi zachować spokój, musi być opanowany. Synowie na niego liczą, nie może ich zawieść. Nasłuchiwał dźwięku przychodzącego esemesa. Obawiał się, że w tej wichurze go nie usłyszy. Zatrzymał się i sprawdził telefon, nie było żadnej wiadomości. Dotarł do jeziora Drużno i jechał wzdłuż jego brzegu. Po obu stronach drogi zaczęły się pojawiać drzewa. Wiatr szarpał gałęziami, łamiąc je z suchym trzaskiem. W każdej chwili mógł spaść na niego gruby konar. Jerzy kulił się nad kierownicą i pedałowiał. W końcu przez huk nawałnicy usłyszał esemesa. Zatrzymał się i go odczytał. Właśnie tu miał zostawić plecak i odjechać. Rozejrzał się. W oślepiającym blasku kolejnej błyskawicy dojrzał groźne pnie drzew i błyszczącą tafłę wody. Dlaczego kidnaper kazał mu zostawić okup właśnie w tym miejscu? Potrzebował natychmiastowej, sensownej odpowiedzi. Bo sprawca jest w pobliżu, ale nie z przodu, lecz za jego plecami. Musiał wysłać wiadomość w momencie, gdy Jerzy go minął, czyli jakieś sto metrów za nim znajduje się porywacz. Zsunął z ramion plecak i położył go na betonowych płytach. Zakręcił rowerem i ruszył w drogę powrotną. Jechał wolno, lustrując brzeg jeziora. Instynktownie czuł, że tam się ukrył bandyta, żeby mieć bliżej do łódki, na wypadek, gdyby przyszło mu szybko zwiewać.

Nie pomylił się, zobaczył go przykucniętego za krzakiem wyginającym się pod siłą wiatru. Gdyby kidnaper schował się za pnem, Jerzy by go nie dojrzał. Ale nawet dzieci wiedziały, że podczas burzy nie należy stawać pod drzewem. Jechał dalej i liczył pokonywane metry, dziesięć metrów, dwadzieścia, trzydzieści. Gdy oddalił się na dystans stu pięćdziesięciu metrów, zatrzymał się. Położył rower na drodze i ruszył w stronę miejsca, gdzie zostawił okup. Był pewien, że kidnaper wyszedł już z krzaków. Zapewne mu się spieszy, jest przecież tak blisko finału. Teraz jego działaniami kierują niecierpliwość i strach. Mimo to Jerzy wypatrywał miejsca, w którym dojrzał sprawcę. Ten bandzior nadal mógł tam siedzieć.

Sięgnął do kabury i wyjął pistolet. Odbezpieczył go. Broń wydała mu się dziwnie mała, a ręka zbyt duża, jak gdyby niósł zabawkę. Szedł zgięty w pól. Wiatr szarpał jego spodniami i koszulą. Nie wiedział, czy już minął krzaki, za którymi dojrzał kidnapera. Niebo ponownie rozbłysło i zaraz rozległ się potężny grzmot. Jerzy czuł, że opuszczają go siły, ale nie fizyczne. To zadanie go przerosło. Chciało mu się płakać. Szedł jednak dalej. Na głowę spadły mu pierwsze krople deszczu. Okolica znowu pograżyła się w blasku pioruna i wtedy go zobaczył, kilka metrów przed sobą. Kidnaper szedł powoli, zapewne obawiał się, że może przegapić lampki diodowe przyłączone do plecaka. Chyba właśnie je dojrzał, bo przyspieszył, Jerzy również. Na szczęście wycie wiatru skutecznie

zagłuszało jego kroki. Był za plecami bandziora i miał go na muszce. Sytuacja idealna, tak właśnie sobie zaplanował.

Porywacz się schylił, żeby podnieść plecak. Jerzy wiedział, że to najlepszy moment. Wrzasnął najgłośniejszym głosem, jak potrafił:

— Policja! Na kolana! Ręce za głowę!

Kidnaper się wyprostował i odwrócił w jego stronę. Trzymał przed sobą plecak, zdawał się nim zasłaniać.

— Na kolana! — wrzasnął ponownie Jerzy, ale sam czuł, że tym razem w jego głosie nie było mocy. Bandzior zapewne już się domyślił, że nie z policją ma do czynienia.

Zaczęło lać. Duże krople przeistoczyły się w strugi wody i biły o ziemię, wzmagając tylko huk. Jerzy w panice pomyślał, że musi oddać strzał w niebo, to przestraszy porywacza i skłoni go do uległości. Skierował lufę pistoletu w górę i naciskał spust, ale cyngiel nawet nie drgnął. Co jest? Przypomniał sobie nagle, że trzy miesiące temu wymienił sprężynę. Musi mocniej pociągnąć za spust, ale palce miał już mokre od deszczu, ślizgały się po metalu. Z przerażeniem zobaczył, że kidnaper puszcza plecak, wyciąga coś zza paska, a może z kieszeni, i wykonuje zamach ręką wprost na jego głowę. Jerzy w odruchu obronnym szarpnął z całej siły za cyngiel. Huknęło. Jakieś światło uderzyło go w oczy, ale nie był to błysk pioruna, lecz światło elektryczne. Kidnaper, zanim upadł na plecy, zdążył jeszcze włączyć latarkę. Jerzy zabezpieczył broń i schował ją do kabury. U jego stóp leżała zapalona latarka. Podniósł ją i skierował na porywacza. Zobaczył nogi i tułów. Przestraszony przesunął światło na głowę mężczyzny. Widok był makabryczny. Pocisk oderwał pół twarzy. Lejąca się z nieba woda sprawiała wrażenie, że krwawe strzępki kości i mięśni drgały jeszcze w agonalnym odruchu, drgała też wyrwana gałka oczna, zwisająca na błoniastym nerwie. Jerzy odwrócił się z obrzydzeniem i zaczął iść w stronę roweru.

# Rozdział X

## *Dzień dziesiąty, popołudnie*

Prokurator Milena Łempicka-Krol miała za sobą pracowitą noc. Stojąc w błocie i trzęsąc się z zimna, kierowała oględzinami w świetle policyjnych reflektorów. Po burzy temperatura spadła o kilkanaście stopni, ciężkie krople nadal spadały z gałęzi wprost na jej kark i kartki protokołu. To były wyjątkowo ciężkie oględziny. Aspirant Konarski plastikową łyżeczką wygrzebywał z błota resztki kości i fragmenty mózgu. Ale nie to było najtrudniejsze, nie takie rzeczy widziała w prokuratorskiej karierze. Niemałego wstrząsu doświadczyła, gdy komisarz wraz z medykiem sądowym zaczęli rozbierać zabitego mężczyznę. W uszach wciąż dźwięczał jej zachrypnięty z podniecenia głos Kamila. Przed oczyma nadal miała jego napiętą twarz i pociemniałe z ekscytacji spojrzenie. Przeraziło ją to, że Kamil aż tak mocno reaguje na martwe ciało. Żeby to chociaż były zwłoki młodej kobiety... może wtedy zdołałaby zbagatelizować rigor mortis. Wpisywała do protokołu obrażenia ofiary i zastanawiała się, co zrobić z faktem, że Kamil jest nekrofilem. Musi go przekonać, żeby rozpoczął terapię. Obiecywała sobie, że następnego dnia porozmawia z nim na ten temat, ale w świetle dziennym zaczęła się zastanawiać, czy czasem nie przesadza. Może jest jedynie fantastą nekrofilskim, jak sam siebie określił. Sprawdziła dziś rano, rzeczywiście psychiatrzy wyodrębnili taką kategorię preferencji seksualnych, przy czym nie uznali jej za niebezpieczną. Milena zaczęła sobie wmawiać, że nie ma powodu do obaw. Względny spokój osiągnęła, gdy myślami powróciła do ich wspólnej nocy, długiej i namiętnej. Nie powinna wątpić w to, że komisarza podniecają żywe kobiety.

Milena stała przy oknie swojego pokoju w prokuraturze i patrzyła na dwie łódki kołyszące się na Kanale Elbląskim. Dużymi łykami popijała gorącą kawę. Chciała ją jak najszybciej skończyć i powrócić do pracy. Sprawa porwania wymknęła im się spod kontroli i przybrała fatalny obrót. Porywacz nie żył, a Tymek nie wrócił do domu. Od rana w mediach pojawiał się policyjny komunikat skierowany do współniczki kidnapera z wezwaniem, aby oddała

dziecko. Zapewniano jej zupełną bezkarność. Niestety, na razie się nie odezwała. Może przerażona siedzi w ukryciu i zastanawia się, co zrobić. Żeby tylko nie popełniła jakiegoś głupstwa.

Milena zaczęła przypominać sobie kluczowe fragmenty przesłuchania Jerzego Maja. Zadała mu kilkadziesiąt pytań, a właściwie kilkanaście sformułowanych na różne sposoby, a wszystko w celu wytrącenia z równowagi emerytowanego oficera Służby Bezpieczeństwa. Ten jednak trzymał się swojej wersji, że to był wypadek. Nie planował zabić mordercy swojej żony, chciał go jedynie zatrzymać, rozważał też postrzelenie bandziora, jeżeli byłaby taka konieczność. Celował do góry dla postrachu, ale gdy naciskał spust, kidnapier się na niego rzucił. Dosłownie podłożył się pod pocisk. A tak w ogóle wszystko przez tę burzę, gdyby nie ona, Maj bardziej panowałby nad bronią. Porywacz zginął więc przez burzę, miał pecha, to właściwie przypadek, że nie żyje.

Z zawodowego doświadczenia wiedziała, że zbrodnia rzadko kiedy zależy od przypadku. Zwykle jest częścią jakiegoś wątku, zawsze ma motyw. Dlaczego Jerzy Maj zabił kidnapera? Bo chciał pomścić śmierć żony? Ale co z wnukiem, poświęciłby życie Tymka, by zyskać satysfakcję płynącą z ukarania mordercy? A może ktoś kazał Majowi zabić kidnapera właśnie po to, żeby Tymek nigdy nie wrócił do domu? Komisarz był dziś rano u Seweryna i Marty, odwiedził też Roberta i Ramirę. Wszyscy byli wyjątkowo spokojni, jak gdyby właśnie takiego finału się spodziewali. Ramira nawet się ucieszyła, że odzyskali pieniądze. O co chodzi w tej rodzinie? Dlaczego Tymek musiał zniknąć?

Lista pytań pozostających bez odpowiedzi wydłużała się w jej głowie. Na razie niewiele do sprawy wносиła wciąż nieznana tożsamość sprawcy. Nie udało im się ustalić, czy zabity to Maks Kubiak, który prawie cztery miesiące temu odwiedził w tartaku Roberta Maja. Gdyby twarz porywacza nie została rozerwana przez pocisk, można by pokazać zdjęcie zwłok młodej sekretarce Roberta. Ale twarzy nie było, niewiele pozostało też z uzębienia i nawet nie wiadomo, czy zabity miał diastemę. Na pewno był niski i szczupły, a więc jego sylwetka pasowała do rysopisu sprawcy, który sporządzono po policyjnym pościgu na podstawie relacji aspiranta Nowaka i sierżanta Pocięchy. Bardzo liczyli na odciski palców. Może kidnapier miał już do czynienia z organami ścigania i jego linie papilarne znajdują się w zasobach automatycznego systemu identyfikacji daktyloskopijnej. Na wynik identyfikacji musieli jednak poczekać co najmniej kilka godzin. Pozostawał jeszcze samochód porywacza, którego policja nadal szukała. Zdołali ustalić, że na miejsce przekazania okupu przypłynął kajakiem, ale musiał przecież jakoś dotrzeć nad jezioro Drużno. Istniało też prawdopodobieństwo, że współnik go podwiózł i potem miał go odebrać.

Milena wróciła do biurka, na którym leżała dokumentacja zgromadzona w sprawie porwania. Dzisiaj rano przysły trzy nowe ekspertyzy. Usiadła w fotelu i zaczęła je czytać. Biegły psycholog wydał opinię o zachowaniu Tymoteusza Maja na filmie zarejestrowanym przez sprawcę. Jego zdaniem chłopiec nie okazywał symptomów ofiary. Był zrelaksowany, spokojny, znajdował się w pozytywnej relacji emocjonalnej z osobą, która go nagrywała. Czy dzieci są aż tak ufne? Milena miała co do tego poważne wątpliwości. Druga ekspertyza odnosiła się do samego nagrania. Biegły informował, że jest to zapis cyfrowy niewykazujący prób fałszerstwa, czyli montowania scen. Dalej wymieniał i opisywał wszystkie osoby i przedmioty pojawiające się na filmie. Lista była bardzo krótka, ale ostatnia pozycja zmroziła Milenę. Jak to możliwe, że wcześniej tego nie zauważyli. Ten detal wywracał całe śledztwo do góry nogami, bardzo zawęził krąg podejrzanych. Rozpieczętowała dokumentację dołączoną do ekspertyzy, był to film podzielony na stopklatki. Zaczęła oglądać. Dobrze pamiętała drgnięcie obrazu, kiedy kamera przesuwiała się z buzi chłopca na całą jego sylwetkę. Wtedy właśnie obiekt w ułamek sekundy uchwycił przedmiot znajdujący się po lewej stronie od Tymka. Gdy się odtwarzało film w normalnym tempie, trudno było zauważyć ten szczegół. Musi natychmiast pokazać to komisarzowi i powinni jak najszybciej przystąpić do działania. Zadzwoniła do Kamila i oznajmiła, że znalazła coś ważnego. Piętnaście minut później wchodziła do budynku komendy na Tysiąclecia. W sali konferencyjnej czekali na nią komisarz Soroka i sierżant Beata Gryś. On z podkrążonymi oczami po przepracowanej nocy, ona świeża i piękna z włosami niedbale spiętymi na karku. Milena poczuła dreszcz podniecenia na widok komisarza.

— Gdzie reszta? — zapytała.

— Rumun próbuje ustalić, skąd sprawca wziął kajak, a Pocięcha z innymi szuka jego wozu. Pokazuj, co znalazłaś.

Milena usiadła u szczytu stołu. Niechcący dotknęła kolanem uda Kamila. Odsunął się, robiąc jej więcej miejsca. Uśmiechnęła się do niego, nie zareagował. Zrozumiała, że w pracy nie będzie ukradkowych spojrzeń i szybkich uścisków za zamkniętymi drzwiami. Tu ona była prokuratorem, a on komisarzem, łączyło ich partnerstwo zawodowe. Romans miał pozostać w granicach wytyczonych przez ich mieszkania. Milena czuła, że Kamil ma rację, tworząc dystans między nimi w miejscu pracy.

Poprosiła sierżant Gryś o odtworzenie dowodu życia podzielonego na stopklatki. Chwilę później na dużym monitorze wiszącym na ścianie pojawiła się buzia Tymoteusza Maja.

— Stop! — zawołała Milena.

Policjantka zatrzymała film i wpatrzyła się w nieruchomy obraz.

— Co powinniśmy zobaczyć? — zapytał Kamil.

— Maskotkę.

Milena wskazała na znajdującego się obok Tymka różowego misia przewiązanego w pasie czerwoną kokardką.

— Co z tą maskotką? Mów.

— Widziałam ją w domu Seweryna i Marty pierwszego dnia, już po porwaniu Tymka. Rozumiecie?

Beata wyglądała na bardziej zaskoczoną niż Kamil.

— Znowu miałeś rację — zwróciła się do komisarza.

— Niby w czym miałeś rację? — zapytała Milena.

— Parę dni temu Kamil próbował mnie przekonać, że to nagranie dowodzi, iż porywacz związany jest emocjonalnie z chłopcem, jest mu bliski, czyli to ktoś z jego rodziny.

Milena poczuła się mało komfortowo. Z nią nie podzielił się tym spostrzeżeniem.

Kamil poklepał się po kieszeniach, jak gdyby szukał papierosów.

— Skąd wiesz, że to jest właśnie ta maskotka? Przecież takich miśków jest pełno.

— Ta czerwona kokardka... — Milena wyciągnęła wskazujący palec w stronę obrazu zatrzymanego na monitorze. — Widziałam, jak Marta zdejmuje ją z szyi misia i wiąże mu ją w pasie.

Pamiętała to bardzo dobrze, jak gdyby miała w głowie odtwarzacz filmów, który w tej chwili się uruchomił i prezentował wybrane fragmenty. Różowy miś leży na taborecie w kuchni. Najpierw podnosi go Ramira i przytula do twarzy, potem odkłada na stół. Po jakimś czasie miś trafia do rąk Marty, a ta gniecie go nerwowo. W końcu jednym szarpnięciem zrywa kokardkę z szyi i energicznie przewiązuje nią misia w pasie. Na pewno ścisnęła go bardzo mocno, jak to widać na monitorze.

— Które z nich najbardziej podejrzewasz? — zapytał Kamil.

— Rodziców.

— Też myślę, że to oni — odezwała się Beata. Zaczęła otwierać teczki z dokumentacją. — Sprawdziliśmy sytuację finansową Majów. Nie jest najlepsza. Mam tu raport. — Znalazła dokument i podała go Kamilowi. — O ile pamiętam, Marta ma dwie karty kredytowe, na obu dług w wysokości pięciu tysięcy złotych, a Seweryn nie zapłacił pensji pracownikom za ostatni miesiąc. Zalega też z opłatami do ZUS-u.

Milena miała w pamięci ten raport. Sytuacja finansowa Majów nie wydawała się jej aż tak beznadziejna, przynajmniej nie na tyle, żeby skłonić ich do

porwania własnego dziecka. Wiedziała jednak, że ludzie są zdolni to najokropniejszych rzeczy, by zdobyć pieniądze.

Kamil przerzucał kartki raportu.

— No to co, zaplanowali porwanie własnego syna, żeby wyłudzić kasę od Roberta. Wiedzieli, że bez mrugnięcia okiem zapłaci. Tylko nie rozumiem, dlaczego Seweryn po prostu nie poprosił brata o pożyczkę.

Beata się uśmiechnęła.

— No właśnie, sam sobie odpowiedziałeś. Pożyczkę trzeba oddać. — Policjantka zaczęła przerzucać dokumenty w teczce, po chwili wyjęła jedną kartkę. — Mam tu moją notatkę z wędrowki po sklepach. Myślałam, że to było na darmo, bo udało mi się jedynie ustalić, że w jednym ze sklepów taką koszulkę, w jakiej Tymek jest na nagraniu, sprzedano sześć dni przed uprowadzeniem i zapłacono gotówką. Teraz myślę, że Marta mogła przygotować małemu wyprawkę na czas porwania.

Kamil wyciągnął notes i długopis. Zaczął energicznie pisać. Milena domyśliła się, że kreśli nowy plan śledztwa.

— Już na początku mieli sporego pecha, no bo przecież nie planowali śmierci matki. Z tym się chyba wszyscy zgadzamy? — Kamil spojrzał na nie pytająco, a one zgodnie kiwnęły głowami. — Nie planowali też śmierci gościa, który na ich polecenie porwał dziecko i miał odebrać okup. Stary Maj wyświadczył im niedźwiedzią przysługę. Pieniądzy nie dostaną, bo okup wróci do Roberta, dzieciaka też nie ma. Mam tylko nadzieję, że rodzice wiedzą, gdzie jest Tymek, i w tej chwili zastanawiają się, jak go sprowadzić do domu, nie wzbudzając podejrzeń. Gdybyśmy wtedy, pierwszego dnia, bardziej ich przycisnęli... Teraz musimy dobrze rozegrać ostatnią partię.

Kamil zatrzymał wzrok na Milenie. Wyglądało na to, że oczekuje od niej spektakularnego posunięcia, a ona poza wezwaniem na przesłuchanie całej rodziny Majów nic lepszego nie była w stanie wymyślić.

— Zacznijmy od przeszukania domu Seweryna i Marty. Przede wszystkim będziemy szukać różowego misia, bo może ten tutaj — Kamil wskazał na monitor — nie jest misiem Majów. Chodzi mi o to, że taki zwyczaj przewiązywania maskotek w pól może mieć więcej osób. Będziemy też szukać telefonu komórkowego, musieli się jakoś kontaktować ze współnikiem, a raczej nie robili tego ze swoich aparatów, bo te mamy dobrze prześwietlone. — Podniósł się, był pobudzony, chciał już działać. — Wystaw mi nakaz przeszukania — zwrócił się do Mileny. — Zaraz ściągnę Rumuna, pomoże mi w przeszukaniu, on umie to robić jak nikt inny w naszej firmie.

Komisarz wsunął notes do kieszeni. Stał przed nimi przystojny i męski, emanował magnetyczną siłą i opanowaniem. Obie patrzyły na niego

z zachwytem.

## *Dzień dziesiąty, popołudnie*

Niebo było szare, podobną barwę miała woda w rzece Elbląg, ale za to trawa odzyskała zielony kolor, a przede wszystkim powietrze stało się rześkie. W końcu można było oddychać. Elblążanie, którzy chronili się przez ostatnie dni przed upałem w domach, teraz wylegli na miasto. Bulwar Zygmunta Augusta przemierzały dwie kategorie spacerowiczów: emerycy oraz nastolatki. Ci drudzy za parę dni mieli wrócić do szkół, korzystali więc z ostatnich dni wolności, przechadzając się powoli, wpatrzeni w ekrany smartfonów.

Rumun stał przed budynkiem prokuratury i przyglądał się ludziom. Czekał na nakaz przeszukania domu Majów, miał być gotowy za dziesięć minut. Tak mu powiedziała prokurator Łempicka, gdy zajrzał do jej gabinetu. Spojrzała na niego trochę zaskoczona, chyba myślała, że to komisarz przyjedzie po dokument. Rumun już dawno zauważył, że Milenie Kamil się podoba. Nie była w tym odosobniona, wszystkie kobiety w firmie były pod jego męskim urokiem. Beata otwarcie głosiła, że komisarz w jej osobistym rankingu zawsze będzie na pierwszym miejscu, nawet wtedy, gdy straci zęby w potyczce z chuliganami. Aspirant był ciekaw, czy Kamila i Milenę coś łączy. Wiedział, że z Beatą komisarz nie sypiał, chociaż nieraz go kusilo. Obawa, że potem w pracy kochanka będzie wchodzić mu na głowę, była silniejsza. Zapewne miał rację. Beatą trudno się sterowało, była w końcu córką komendanta, a gdyby została jeszcze dziewczyną najlepszego śledczego i przyszłego naczelnika wydziału... O sierżant Gryś nieraz rozmawiali przy piwie, ale o związek z Mileną nigdy nie zapytał, w końcu chodziło o przełożoną. Może komisarz nie miałby ochoty się chwalić, a byłoby czym. Łempicka to może nie piękność, ale była dziewczęcą delikatną i miała silny charakter. Czyniło to z niej najbardziej pociągającą kobietę, jaką znał. Zazdrościł trochę Kamilowi, że prokurator jest nim oczarowana.

Zerknął na zegarek, jeszcze pięć minut. Czeka ich pracowity wieczór, Majowie mieli spory dom. Opracował już wstępny plan przeszukania, zaczną od sypialni. Jeżeli kobiety chcą coś ukryć, robią to najczęściej w tym pomieszczeniu, przy czym za najlepszą skrytkę uznają szuflady z bielizną. Z kolei mężczyźni chowają ważne rzeczy w piwnicy albo na strychu.



Aspirant mimowolnie zarejestrował, że widzi znajomą sylwetkę. Czarne spodnie, rozpięta bluza w pasy, siwe, sportowe obuwie na białych podszewkach. Patryk Lasocki. Tego chłopaka widywał przynajmniej raz w tygodniu na strzelnicy. Od paru lat obserwował jego postępy w strzelaniu i był pod wrażeniem. Miał bardzo pewną rękę, płynnie naciskał spust i przede wszystkim trafiał.

Patryk go dostrzegł i teraz szedł w jego stronę.

— Pan tutaj? Na pewno czeka pan na panią prokurator. Ja też do niej przyszedłem, a właściwie po nią. Mamy razem zjeść obiad. Zarezerwowałem stolik w restauracji „Przy bramie”.

Chłopak wyglądał na wyluzowanego nastolatka, który przechwala się, że jada obiady z jedną z najważniejszych osób w mieście. Patrzył teraz aspirantowi prosto w oczy i się uśmiechał. Rumun nie mógł oprzeć się wrażeniu, że zachowanie Patryka jest udawane. Odgrywał nonszalancję, a tak naprawdę był spięty, o czym świadczyły jego dłonie: zaciśnięte i mocno wsunięte w kieszenie bluzy. Jeszcze kilka miesięcy temu był nieśmiałym, skromnym chłopcem, który grzecznie stał pod ścianą strzelnicy i czekał na wolne stanowisko. Na aspiranta Nowaka, najlepszego strzelca, patrzył z podziwem. Wszystko się zmieniło, gdy zatrzymali jego ojca, sędziego Lasockiego, pod zarzutem popełnienia morderstwa. Od tego momentu starał się udowodnić, że nic sobie z tego nie robi, jest silny i odważny, a przede wszystkim normalny. Rumun nawet rozumiał te pozy, bo kto chciałby chodzić z piętnem ojca mordercy. Było jednak coś jeszcze, co sprawiało, że nie był w stanie patrzeć na Patryka jak na zwyczajnego nastolatka. Podejrzywał, że rok temu zastrzelił on w Bazantarni kolegę z klasy, a potem upozorował jego samobójstwo.

Z budynku prokuratury wyszła Milena. Posłała Patrykowi szeroki uśmiech. Gdyby nie było świadków, może nawet matczynym gestem potargałaby włosy chłopca.

Podążyła aspirantowi nakaz przeszukania i życzyła powodzenia, po czym oddaliła się z młodym Lasockim w stronę bramy targowej. Aspirant patrzył za nimi, zaskoczony zachowaniem Łempickiej. Ostatniej nocy, gdy okazało się, że zamiast zatrzymanego kidnapera mają trupa z odstrzeloną głową, ta szczupła kobieta emanowała siłą i opanowaniem. Z podziwem patrzył, jak w świetle policyjnych reflektorów kieruje oględzinami i pewnie porusza się po miejscu zdarzenia. Nawet komisarz posłusznie wykonywał wszystkie jej polecenia. Tym bardziej zastanawiająca była uległość, którą wyczuł przed chwilą w zachowaniu Mileny, a którą okazywała Patrykowi. Co to miało być? Wyrzuty sumienia, że zamknęła jego ojca? A może niezaspokojony instynkt macierzyński? Przecież

nad kobietami największą władzę mają ich dzieci. Milena straciła swojego syna, a Patryk to prawie sierota. Czyżby zaczęła mu matkować?

Aspirant Nowak wrócił na Tysiąclecia. Oddał komisarzowi kierownicę i zaczął przeglądać postanowienie o przeszukaniu. Wśród przedmiotów, które trzeba odnaleźć, na pierwszym miejscu prokurator Łempicka wymieniła różowego misia. Od Kamila wiedział, że jeżeli maskotka się nie znajdzie, będzie to ważny dowód, iż to Majowie stoją za porwaniem własnego syna. Nie chciało mu się wierzyć, żeby to było możliwe. Trochę poznał tych ludzi, spędził w ich domu kilkadziesiąt godzin. Owszem, zauważył, że Seweryn ma coś do ukrycia, a Marta była zbyt spokojna jak na matkę porwanego dziecka. Ale stawiałby raczej na to, że Majowie domyślają się, kto uprowadził Tymka, i mają poczucie winy, bo w niezamierzony sposób się do tego przyczynili. Ale że sami to zorganizowali, żeby wyłudzić kasę od Roberta — tę wersję byłby skłonny wykluczyć.

Zaparkowali oba samochody na Konopnickiej. Z drugiego wozu wysiadła Beata z kamerą na ramieniu. Miała minę, jak gdyby co najmniej trzymała kałacha i od niej zależało powodzenie akcji. Towarzyszyło jej trzech funkcjonariuszy. Cała czwórka patrzyła na komisarza, byli gotowi wykonać każde jego polecenie. Kamil miał posłuch w wydziale. Nawet gdyby kazał im teraz odjechać, wykonaliby polecenie bez słowa protestu, może jedynie Beata okazałaby niezadowolony, ale też wróciłaby na komendę.

Rumun zadzwonił do drzwi. Czuł podniecenie. Lubił przeszukania, zwłaszcza takie, gdy właściciel lokalu patrzył mu na ręce. Niekiedy przeszukania były jak zabawa, ludzie coś chowali, a on miał tę rzecz znaleźć. Zwykle szybko się orientował, które miejsca są gorące, wystarczyło obserwować reakcje osób obecnych przy przeszukaniu. Dwa lata temu weszli do mieszkania kobiety podejrzanej o paserstwo, właścicielka usiadła w fotelu i oznajmiła, że mogą szukać w całym mieszkaniu. Kazał jej wstać z fotela i nożem rozpruł tapicerkę, po czym wyjął dwa woreczki z numizmatami. Zdumienie w oczach kobiety było najlepszą nagrodą.

Otworzył im Seweryn. Na widok sześciu funkcjonariuszy uniósł ręce w górę. Nie odpowiedział na powitanie. Może nie dosłyszał szybkiego „dzień dobry”, bo akurat na sąsiedniej posesji zaczęła warczeć kosiarka spalinowa. Rumun podniesionym głosem oznajmił, w jakim celu przyszli, i zażądał wydania wszystkich znajdujących się w domu telefonów komórkowych, nośników pamięci oraz różowego misia. Podsunął pod oczy Maja prokuratorowski nakaz przeszukania. Tamten przecząco pokręcił głową. W korytarzu pojawiła się Marta, najpierw się uśmiechnęła, a potem jej usta otworzyły się w niemym krzyku.

— Nie, nie przynosimy złych wieści o Tymku — zapewnił prędko Rumun i pokazał Marcie polecenie przeszukania, po czym powtórzył żądanie wydania

przedmiotów.

Wyglądała na bardziej zaskoczona niż mąż.

— O co chodzi? — zapytała cicho.

— To ma związek z porwaniem waszego syna, dlatego dobrze by było, abyście z nami współpracowali — oznajmił aspirant. — Czy chcecie wyznaczyć postronną osobę, która będzie obecna przy przeszukaniu?

Marta spojrzała na męża. Oczekiwała, że to on podejmie decyzję albo chociaż jakoś skomentuje sytuację. Seweryn stał wystraszony i patrzył na swoje stopy.

— Co za absurd — mruknął w końcu.

— Proszę o kluczyki do waszych samochodów — zażądał aspirant. — Auta również musimy przeszukać.

Seweryn już go nie słuchał, odwrócił się i ruszył do salonu. Marta patrzyła za nim zakłopotana. Prawdopodobnie innego zachowania oczekiwała od męża. W jej niebieskich oczach pojawiły się łzy, usta drgały. Po chwili wahania poszła za mężem.

W holu na półce znaleźli kluczyki do forda, drugą parę wyjęli z torebki Marty. Rumun wysłał dwóch funkcjonariuszy do sprawdzenia samochodów, trzeciego policjanta zostawił z małżeństwem Majów, aby zgodnie z procedurami miał na nich oko. Sobie przydzielił komisarza, liczył na jego śledczy zmysł, Beata z kamerą miała iść z nimi.

Poszli do sypialni. Panował tu względny porządek, kilka ubrań przewieszonych przez poręcz łóżka, szklanka po kawie i ulotki na parapecie, na lustrzanych drzwiach szafy odcisnięte małe czerwone usta i niezdarnie namalowane pomadką serce. Rumun domyślił się, że to dzieło córki Majów. Wsunął na dłonie lateksowe rękawiczki. Pora na szukanie ukrytych skarbów. Dreszcz oczekiwania zamienił się w skupienie i spokój. Przystąpił do metodycznej pracy, do badania przestrzeni kawałek po kawałku, centymetr po centymetrze. Zaczął tradycyjnie od obmacania materacy. Pod jego palcami ugięły się sprężyny, a mózg rejestrował każdą wypukłość. Niczego w nich ani pod nimi nie znalazł. Następnie położył się na podłodze i ręką sprawdzał, czy coś nie jest przyklejone do łóżka od spodu. Znowu nic.

Przeszli do szafy, była duża, najpierw zaczął od rzeczy na wieszakach. Interesowały go głównie kieszenie, wkładał rękę do każdej. Większość była pusta, ale znalazł też parę drobiazgów, między innymi klucze i pilniczek do paznokci. Mimowolnie rejestrował zapachy wydobywające się z szafy. Większość ubrań pachniała proszkiem do prania, ale z niektórych unosiła się też woń perfum.

Czuł obecność komisarza i sierżant Gryś. Byli jak publiczność czekająca na kulminacyjny moment, który zmieni bieg wydarzeń. Słyszał ich oddechy i szum

kamery. Niewiele się odzywali, właściwie tylko Rumun mówił, informował Kamila o kolejnych czynnościach, a ten notował wszystko w protokole.

Aspirant przyklęknął. Na dole szafy znajdowały się kartony, a w nich buty. Kilka par stało bez pudełek. Od nich zaczął, potem otworzył pierwszy karton — dwa buty narciarskie. Powoli wsunął dłoń do pierwszego. Coś tam było. Przyjemny dreszczyk znowu przeszył jego ciało. Był blisko, zaraz coś znajdzie. Już przeczuwał, co wyciągnie, choć jeszcze tego nie widział. Beata i komisarz przysunęli się do niego. Na ich twarzach pojawiło się zaciekawienie.

— Rozpakuj to — polecił Kamil.

Powoli wyjął z reklamówki komórkę starego typu, kilka kart SIM oraz baterię. Spojrzał na komisarza i sierżant Gryś. Oboje wyglądali na poruszonych.

— No to chyba ich mamy — mruknął Kamil.

Do Rumuna dopiero teraz dotarło, że ten ukryty telefon może świadczyć o udziale Majów w porwaniu syna. Ta sprawa znajdzie się w kontrze do policyjnych statystyk. Do tej pory porwań dzieci dla okupu dokonywali znajomi, sąsiedzi, krewni, ale żeby rodzice... Coś takiego zdarzało się rzadko. Położył znalezisko na podłodze, umożliwiając Beacie nagranie ważnego dowodu. Potem podyktował Kamilowi parametry telefonu, po czym zapakował całość do plastikowego pudełka i oznaczył je metryczką.

Majowie nie byli zawodowymi przestępcami. Żadnych skrytek w podłodze czy futrynach, tutaj nie trzeba było rozkręcać rur i opukiwać młotkiem ścian. Przeszukanie sypialni poszło im więc bardzo szybko.

Rumun uchylił drzwi do pokoju dziecinnego. Spodziewał się, że zobaczy córkę Majów. Pokój był jednak pusty. Weszli. Aspirant szybko przesunął zabawki na półce, upewniając się, że duża maskotka nie zasłania różowego misia. Zajrzał pod łóżeczka, pusto. Zajrzał pod kanapę. Zobaczył niewielką kartkę, wyciągnął ją. Widniało na niej dziewięć cyfr zapisanych niebieskim długopisem, numer telefonu.

Spojrzał na komisarza.

— Interesuje nas to?

Kamil zwrócił się do Beaty:

— Sfotografuj tę kartkę. Sprawdzimy, czyj to numer.

W pokoju dziecinnym nie znaleźli różowego misia. Zanim wyszli, Rumun zatrzymał się na moment przy małym stoliku. Kolorowa okładka rysunkowego bloku przyciągała wzrok. Przerzucał szybko kartki. Ktoś miał dobrą rękę do rysunku. Dominowały koniki, pieski, kotki, ale były też dziecięce postaci. W jednej z naszkicowanych dziewczynek rozpoznał córkę Majów.

— Rumun, idziesz? — zawołał komisarz.

Zamknął blok i wyszedł z pokoju.

Po schodach ktoś szybko szedł, za chwilę zobaczyli uśmiechniętą twarz sierżanta Pociuchy. Kamil gestem nakazał Beacie wyłączyć kamerę, po czym zapytał:

— Co ty tu robisz?

— Przyszedłem pomóc. Chłopaki sprawdzili już samochody i kuchnię. Pytają, czy mają się brać za salon.

Aspirant wziął od sierżanta protokół z przeszukania kuchni i zaczął go przeglądać.

— Nie sprawdzili śmietnika.

— To lecę im powiedzieć, żeby poprawkę zrobili.

— Sam sprawdzę śmietnik, oni niech już robią salon.

Beata na polecenie Kamila poszła nagrywać mniej doświadczonych w przeszukaniach funkcjonariuszy, a oni zeszli do kuchni. Rumun wyciągnął kubek spod zlewu. Rozłożył na podłodze folię i zaczął układać na niej śmieci. Za nim stali komisarz z protokołem i sierżant.

— No dobra, Pociucha, gadaj, co znaleźliście — zagadnął Kamil.

— Samochód, którym prawdopodobnie poruszał się sprawca, ford mondeo. Stał w Druzieńskiej Karczmie, z bagażnikiem na dachu. Jeden gościu z Dłużyny nam potwierdził, że na dachu tego wozu widział kajak. Ford został wypożyczony w Gdańsku wczoraj rano na nazwisko niejakiego Grzegorza Zalewskiego. Mamy go w swoich kartotekach, notowany za oszustwa. Obejrzałem sobie jego fotki. Skubany ma taką szparę między jedynekami, że wróbel by się przecisnął.

— No to robimy postępy — mruknął komisarz.

— A wy coś ciekawego znaleźliście? To pomysł pani prokurator, żeby rodziców sprawdzić? Czy ona się nie zagalopowała? Jej mężowi odbiło i porwał swojego syna, ale żeby z tego powodu wszystkich rodziców podejrzewać...

— Pociucha, więcej zaufania do prokuratury — odezwał się komisarz. — Bez powodu tu nie jesteśmy. Znaleźliśmy już ukryty w bucie telefon z wyjętą baterią i kilkanaście kart SIM.

— Ja pierdolę! Co za ludzie — skomentował sierżant i pochylił się nad kubłem ze śmieciami. — Jeśli masz jeszcze jedną parę rękawiczek, to ci pomogę.

Za chwilę aspirant i sierżant wspólnie grzebali w odpadkach.

— Pociucha, ciebie tu oficjalnie nie ma. Nie wpisałem cię do protokołu — rzucił komisarz.

— Dobrze, szefie, nawet się nie będę odzywał.

Rumun wyciągnął kilka zgniecionych papierków. Zanim je rozprostował, już wiedział, że są to paragony. Jego czujność się wzmogła. Dokumenty fiskalne z dokonanej sprzedaży pograżyły już niejednego przestępcę. Wzrokiem przebiegł pierwszy paragon, adres punktu sprzedaży, numer NIP, numer wydruku, w końcu

informacja, że zakupiona została woda perfumowana. Rzucił paragon na rozpostartą folię i skupił się na kolejnym. Od razu odszukał nazwę towaru i aż mu dech zaparło z wrażenia. Tego właśnie szukali. Spojrzał na datę sprzedaży, trzy dni temu.

— Co tam masz? — zapytał Kamil.

— Paragon na pampersy. Kupili pieluchy cztery dni po porwaniu Tymka.

— To nie musi być ważny dowód. Oni mają jeszcze jedno dziecko, ta mała też może jeszcze chodzić z pieluchą.

— Ale tu jest napisane, że to pampersy mini. Nie znam się na tym, ale wydaje mi się, że mini to dla niemowlaków.

— Łatwo się wytłumaczą z tego paragonu — zauważył Pocięcha. — Matka powie, że kupiła pampersy, bo miała nadzieję, że mały zaraz wróci do domu.

Komisarz pokręcił przecząco głową.

— Niekoniecznie, zależy, jak się ten dowód w przesłuchaniu wykorzysta. Zabezpieczamy go.

Rumun podyktował Kamilowi wszystkie informacje znajdujące się na paragonie, a następnie umieścił go w foliowej torebce. Przejrzał pozostałe wydruki z kasy fiskalnej, ale nic ciekawego już nie znalazł.

Z kuchni przenieśli się na poddasze, gorące i duszne, efekt trzytygodniowego upału zamknięty pod płaszczyzną dachu. Kamil otworzył małe okienko, a Rumun i Pocięcha zmienili rękawiczki na czyste i podeszli do dwóch worków. Gdy je ruszyli, kłęby białawego kurzu uniosły się w górę.

— Nie ma sensu ich sprawdzać — zauważył Pocięcha. — Latami nikt ich nie ruszał, prawie kurzem zarosły.

Rumun sądził podobnie, ale dla pewności otworzył oba worki. Znajdowały się w nich ubrania, głównie zimowe.

Drapało go w gardle, w ustach czuł kurz. Otworzył szafę. Spodziewał się, że tu też będą ubrania. Rzeczywiście wisiały dwie kurtki, ale stały też narty, łyżwy, wędki, a na półce leżało kilkadziesiąt numerów „Playboya”. Sierżant sięgnął po pierwszy egzemplarz i zaczął go przeglądać.

— Szefie, wczoraj nad jeziorem Drużno prokurator nie spuszczała cię z oka. Widziałem, wszyscy widzieli. Rumun, ty też to zauważyłeś?

Aspirant nie odpowiedział, ale faktycznie zwrócił uwagę, że Milena bacznie obserwuje Kamila.

— Komisarzy, ona chyba ma na ciebie ochotę — dodał sierżant.

Kamil przestał pisać i spojrzał na Pocięchę, który właśnie przesuwał palcem po zdjęciu czarnej modelki rozchylającej kusząco poły czerwonego szlafroka.

— Czy ty chcesz koniecznie dostać przeniesienie do drogówki?

— Nie płakałbym, gdybym tam trafił.

Aspirant wyjął z szafy torebkę. W środku było etui od okularów i biała koperta. Otworzył ją. Zdjęcia wysunęły się niemal same. Na pierwszym zobaczył Martę, która wyjmowała piersi ze stanika i kierowała je w stronę obiektywu. Poczł zakłopotanie, bo właśnie weszli z butami w intymne życie małżeństwa Majów, a tego nie wolno im było robić. Przeszukanie powinno jak najmniej godzić w dobra osobiste, a także majątkowe, starał się trzymać tej zasady. Zamknął kopertę. Chciał ją włożyć do torebki, ale ta spadła mu na podłogę, wzbijając w powietrze cząstki kurzu.

— Pokaż mi te zdjęcia jeszcze raz — zażądał komisarz.

Rumun się zawahał. Już parę razy postawił się Kamilowi, teraz też miał taki zamiar. Może Majowie są kidnaperami, kanalami... ale to nie znaczy, że ich małżeńskie igraszki mogą być przedmiotem rozrywki dla policjantów.

— No już, pokazuj te fotki.

— To się nie wiąże ze sprawą — oznajmił Rumun.

— Ze sprawą porwania rzeczywiście nie, ale z inną sędzę, że tak.

Aspirant pojął, że coś w tych zdjęciach zaniepokoiło Kamila. Ponownie wyjął je z koperty.

— Co tam macie? — zainteresował się Pociecha. Stał przy nich z otwartym „Playboyem”. — O! Lepsze niż w gazecie.

Zdjęć było kilkanaście, na każdym Marta. Na ostatnim siedziała okrakiem na krześle, była nago, w ustach trzymała smoczek. Wszystkie fotki robiły wrażenie nieprzyzwoitych, o wiele bardziej wulgarnych niż te w „Playboyu”. Zerknął na czasopismo tkwiące w dłoniach sierżanta. Modelki uśmiechały się bądź posyłały filuterne, zmysłowe spojrzenia. Znowu przesunął wzrok na zdjęcie Marty. Jej niebieskie oczy niczego nie wyrażały. Nieprzytomne spojrzenie i rysy ściągnięte obojętnością, jak gdyby była pijana albo pod wpływem narkotyków.

— Te zdjęcia nie były robione za jej zgodą — zauważył.

— Tak myślisz? — zdziwił się Pociecha.

Rumun spojrzał na komisarza. Czekał na jego opinię.

— Ja też myślę, że ona jest na prochach. Wygląda mi to na przemoc seksualną.

— Niezła rodzinka, zaraz się okaże, że są jeszcze pedofilami — skomentował Pociecha.

Aspirant schował zdjęcia do koperty.

— Co z nimi robimy?

Kamil wahał się przez chwilę.

— Dobra, bierzemy te fotki, w końcu to dowód przestępstwa. Niech Łempicka decyduje, co dalej z nimi robi.

Zeszli na dół. Druga ekipa, pracująca pod okiem kamery trzymanej przez Beatę, właśnie kończyła przeszukiwać łazienkę. W salonie zastali Seweryna

siedzącego przy stole, a Martę wciśniętą w głąb kanapy. Towarzyszący im funkcjonariusz stał przy oknie. Na znak komisarza wyszedł. Małżonkowie mieli spuszczone głowy, gdy je podnieśli, można było wyczytać na ich twarzach przyznanie się do winy. Rumun pomyślał, że przesłuchanie tej dwójki będzie formalnością. Najpóźniej za dwie godziny będą wiedzieć wszystko. Poinformował Majów, jakie przedmioty zabierają, i usiadł przy stole, żeby wypisać pokwitowanie.

Kamil przechadzał się po salonie. Nagle się odezwał:

— Szukaliśmy różowego misia z czerwoną tasiemką, ale go nie znaleźliśmy. Czy ta maskotka jest w waszym domu?

— Po co wam ten miś? — zapytał Seweryn.

— To ważny dowód.

— Dowód? — Seweryn uśmiechnął się jak człowiek, który wie, że nie ma powodu do śmiechu. — Pan żartuje? Przecież miś nie może być dowodem.

— Ta maskotka znajduje się wraz z waszym synem na nagraniu przysłanym przez porywacza.

— To nie może być ten sam miś — oznajmił Seweryn zmęczonym głosem.

— W takim razie pokażcie waszą maskotkę.

Majowie dalej tkwili na swoich miejscach. Kamil zatrzymał się i podniesionym głosem powiedział:

— Ludzie, ruszcie się. Przecież ten miś świadczy o waszym udziale w porwaniu.

Marta niepewnie podniosła się z kanapy.

— To ja pójdę, poszukam.

Czekali w milczeniu. Kamil dalej chodził po salonie. Seweryn i Rumun siedzieli przy stole. Marta wróciła po kwadransie z pustymi rękoma.

— Nie mogę znaleźć tego misia. Nie wiem, gdzie on jest. Może Łucja go zabrała.

Pani Maj uśmiechnęła się przepaszająco i za chwilę wybuchła głośnym płaczem. Seweryn zerwał się z krzesła i z zaciśniętymi dłońmi doskoczył do żony.

— Czego ryczysz. Tymek został porwany, a ty nie beczłaś, a z powodu głupiego misia wyjesz.

Kamil natychmiast znalazł się między małżonkami. Nawet nie musiał nic mówić, samo spojrzenie wystarczyło, żeby Seweryn spuścił głowę i potulnie cofnął się na krzesło. Marta dygotała na całym ciele i wciąż płakała.

— Niech się pani spróbuje uspokoić — odezwał się komisarz. — Ten różowy miś jest bardzo ważny. Proszę mi powiedzieć, dokąd Łucja miałyby go zabrać.



Marta spuściła głowę tak mocno, że prawie brodą dotykała obojczyka. Jej szczupłym ciałem wstrząsały dreszcze.

— Ramira zabrała Łucję na noc — odezwał się Seweryn. — Może mała wzięła tego misia, ale wydaje mi się, że miała tylko lalkę.

— Tak, lalkę — potwierdziła Marta.

— Dobrze, pojedzie teraz pani z sierżant Gryś do Ramiry, sprawdzicie, czy nie ma tam maskotki, potem na komendę na przesłuchanie. Pana zabieramy teraz.

Seweryn od razu wstał i wyciągnął ręce w stronę komisarza, jak gdyby oczekiwał, że ten założy mu kajdanki.

# Rozdział XI

## *Dzień jedenasty, południe*

Seweryn siedział przy kuchennym stole i patrzył na żonę, na jej podbite oko. Ciemnoniebieska plama mocno kontrastowała z białą skórą twarzy, wywołując u niego silny wyrzut sumienia. Poniosło go wczoraj, źle zrobił. Gdy tylko Tymek wróci do domu, stanie się innym człowiekiem, będzie opiekuńczym mężem i cierpliwym ojcem. Obiecał to wczoraj Marcie i słowa dotrzyma.

Zamieszał łyżką w zupie kalafiorowej. Nie był głodny, ale jadł, bo za pół godziny przyjedzie radiowóz, żeby ich zabrać na drugie przesłuchanie. Nie wiadomo, ile ono potrwa, może nawet parę godzin. Wczoraj przesłuchiwali ich do północy, jego komisarz, a Martę pani prokurator. Bardzo się pilnował, żeby nic nie powiedzieć, co mogłoby się obrócić przeciwko niemu. Najbardziej obciążał go telefon znaleziony w narciarskim bucie. Wiedział, że nie może się go wyprzeć, bo są przecież na nim jego odciski palców. Ale na szczęście poprzez ten aparat nie powiążą go z Maksem Kubiakiem. Dobrze pamiętał, że Szczurek, podając mu pakunek, miał na dłoniach rękawiczki. Ten drań dbał o to, żeby nie pozostawić po sobie żadnych śladów. Seweryn był mu za to szczerze wdzięczny. Czuł się teraz w miarę bezpiecznie.

Najwięcej zawdzięczał ojcu. To on usunął człowieka, który mógł go pogrążyć. Gdy tamtego dnia do nich przyszedł, był cały nabuzowany chęcią zemsty. Seweryn dojrzał pod jego koszulą kształt kabury. Wiedział, że będzie dobrze, ale postanowił podsycić w staruszkę złe emocje. Oznajmił, że z chęcią zabiłby tego drania. Może te słowa były impulsem, który skłonił ojca do naciśnięcia spustu. Maks, typując starego esbeka na osobę, która ma przekazać pieniądze, wydał na siebie wyrok.

Ojciec pojechał z okupem, a oni siedzieli w trójkę w salonie — on, Ramira i Robert. Marta czuwała przy Łucji, bo ta, czując napięcie panujące w domu, budziła się co chwilę z głośnym płaczem. W milczeniu czekali na telefon od ojca i patrzyli przez okna na szalejącą burzę. Każdy błysk rozrywający niebo

przyprawiał go o silny atak paniki. Bał się, że nawałnica pokrzyżuje staruszkowi plany. Gdy grzmoty nieco ucichły, ojciec zadzwonił i powiedział:

— Synu, zrobiłem to, odstrzeliłem mu czaszkę.

Seweryna ogarnęła wręcz niebiańska ulga, jak gdyby dostąpił najwyższej łaski. Zagrożenie, które nad nim wisiało w postaci Maksa Kubiaka, zniknęło jak za dotknięciem różdżki. Ten bandyta, morderca jego matki, już go nie wyda, nie zniszczy mu życia, nie będzie go nękał, szantażował. Co prawda pozostawała jeszcze dziewczyna Szczurka, o nią się jednak nie martwił. Nigdy się z nią nie widział, ale na podstawie opowieści Maksa zdołał stworzyć sobie w głowie jej portret. Lubiała łatwe pieniądze, ale też unikała kłopotów, podporządkowana Maksowi, bez niego nie poszłaby na żadne ryzyko. Ze szczęścia aż się popłakał. Łzy lały mu się po policzkach, a ciałem wstrząsały dreszcze. Robert i Ramira stali nad nim przerażeni. Nienaturalnie blade usta bratowej przybliżyły się do jego twarzy. Zapytała, co się stało. Powiedział im, że ojciec zastrzelił kidnapera. Robert zaklął, a potem złapał się za głowę i mamrotał, że są przekłeci, cała rodzina. Ramira próbowała ich pocieszyć. Seweryn zrzucił z ramienia jej dłoń. Jemu pocieszenie nie było potrzebne, on czuł wręcz euforię. Zaczął działać, najpierw zadzwonił do komisarza i powiadomił go o nieszczęśliwym wypadku podczas przekazywania okupu. Bardzo się zdziwił, a nawet lekko zaniepokoił, gdy tamten go powiadomił, że jest już na miejscu. A zatem policja pojechała za jego ojcem. Jak niewiele brakowało, żeby cała sprawa zakończyła się wielką katastrofą. Gdyby gliniarze wkroczyli w porę do akcji i zatrzymali Maksa... Nawet bał się myśleć o konsekwencjach. Kochany staruszek, uratował mu życie. Nie martwił się o ojca, bo przecież ten musiał wiedzieć, jak zabić, żeby nie wzbudziło to podejrzeń. Na pewno nie strzelił Szczurkowi w tył głowy. Da się to przerobić na nieszczęśliwy wypadek, potrzebny im był jedynie dobry adwokat. Zerwał się i zaczął szukać kluczyków, muszą jechać do Raczek Elbląskich, ojciec na nich liczy. Robert bez słowa wyszedł przed dom i stanął w strugach deszczu. Seweryn wyszedł za nim. W blasku ostatniej błyskawicy zobaczył twarz starszego brata. Z białą i lśniącą od deszczu skórą, z wyszczerzonymi zębami wyglądał jak upiór. Seweryn aż się cofnął o krok. Wtedy Robert pełnym nienawiści głosem zapytał:

— A co z Tymkiem?

Seweryna na moment zmroziło, ale nie dlatego, że przeląkł się, co będzie z synem. Przeraził go gniew brata. O co mu chodziło? Czyżby się domyślał, że on stoi za porwaniem Tymka? Że z jego winy nie żyje mama? Najspokojniej, jak potrafił, wyjaśnił, że zabicie kidnapera to dobre rozwiązanie, bo teraz jego współnik na pewno odda Tymusia. Będzie miał już dosyć całego tego porwania i dlatego go im zwróci. Ulewa ustała, z nieba kapały jeszcze pojedyncze krople,

z rynien nadal lała się woda, a oni wciąż stali przed domem i dyskutowali. Robert twierdził, że wspólnik kidnapera zażąda kolejnego okupu albo w ramach zemsty zrobi małemu krzywdę. Seweryn był pewien, że dziewczyna Maksa tak nie postąpi, przecież lubi dzieci i jest troskliwa. Tymkowi miało być u niej jak u matki. Gdy Maks nie wróci do ich kryjówki, zapewne odczeka trochę, może nawet cały dzień, a potem zgłosi się z małym na policję albo zostawi go na przystanku i zadzwoni pod sto dwanaście. Ta druga wersja wydawała mu się bardziej prawdopodobna, dziewczyna Maksa będzie się bała konsekwencji, dlatego się nie ujawni. Tak byłoby lepiej też dla niego, po co mu konfrontacja z tą kobietą.

Odsunął talerz z zupą kalafiorową i wstał. Marta po przeciwnej stronie stołu przykładała do podbitego oka zimny kompres. Pół nocy okładała się lodem, żeby podczas dzisiejszego przesłuchania w miarę dobrze wyglądać. Podszedł do niej i obejrzał siniak. Wyglądał koszmarnie.

— Kochanie, proszę, nie zapomnij się przypudrować, bo jak prokurator Łempicka zobaczy cię w takim stanie, to mnie posadzi, a ja przecież muszę być w domu, bo Tymuś niedługo wróci.

— Dobrze, taką tapetę położę, że nikt niczego nie zauważy.

Marta oparła czoło o jego brzuch, a dłoń z kompresem przycisnęła mu do pleców. Czuł lodowate zimno wchodzące do krzyża.

— Nie martw się, nasz synek już niedługo do nas wróci.

Wczoraj, po powrocie z komendy, doszło między nimi do awantury, właśnie w sprawie powrotu Tymka. Marta zaczęła krzyczeć, że nigdy więcej go nie zobaczą, inna kobieta będzie go tulić, do innej będzie mówił: „Mamo”. Zachowywała się jak histeryczka, nigdy jej takiej nie widział. Próbował ją uspokoić, tłumaczył jak wcześniej Robertowi, że wspólnik porywacza odda im syna. Nie słuchała go, wykrzykiwała mu wprost w twarz, że go stracili. Brzmiało to jak oskarżenie pod jego adresem. Miała do niego żal, że nie zapobiegł porwaniu. Co z niego za ojciec i mąż, skoro nie potrafi zapewnić rodzinie bezpieczeństwa. Gdy po opróżnieniu nosa znowu zaczęła wrzeszczeć, walnął ją pięścią w twarz. Poleciała na szafę, odbiła się od niej i upadła na podłogę. Jakim prawem go oskarżała, przecież to ona go zdradziła, była bardziej winna niż on. Wyszedł z sypialni, wziął prysznic, a potem położył się w salonie na kanapie. Nie mógł usnąć, choć dochodziła już druga. Marta zeszła do niego po godzinie. Nie usłyszał kroków, dopiero zobaczył jej drobną sylwetkę w poświacie lampy ulicznej. Przykucnęła przy kanapie, przyłożyła usta do jego ucha i wyszeptała:

— Przepraszam, bardzo przepraszam.

Miała parzący oddech, z jej ciała biło ciepło. Wyciągnął rękę, szukając małych piersi. Trafił na nie od razu. Przez ciekłą tkaninę dotykał niewielkich wzgórków

zakończonych wyjątkowo podłużnymi i twardymi sutkami. Przypomnił sobie zdjęcia, które kilka tygodni temu znalazł na strychu. Jego piękna i potulna żona wyglądała na nich na wyuzdaną, lubieżną dziwkę. Pamiętał zwłaszcza jedno zdjęcie, na którym Marta ubrana jedynie w biustonosz wkłada sobie palec do pochwy. Ogarnęło go szaleńcze pożądanie, jakiego jeszcze nigdy nie czuł do własnej żony. Podniósł ją do góry i posadził na swoim brzuchu. Nacisk małych, okrągłych pośladków był jak porażenie prądem. Rósł, napierał, wznosił się, zatracał w ciele żony. Ona znowu krzyczała, ale tym razem z rozkoszy. Gdy potem leżała na nim z twarzą schowaną w zagłębieniu jego szyi, oznajmiła poważnym tonem, że chciałaby zadać mu jedno pytanie. Powiedział, że odpowie szczerze, a następnie zapyta ją o coś i też oczekuje szczerzej odpowiedzi. Zgodziła się i zapytała, czy jeżeli Tymek nie wróci, dalej będą rodziną. Zapewnił, że tak. Przesunął dłonie po jej wąskich plecach i zatrzymał je na karku. Chciał wiedzieć, kto jej zrobił te zdjęcia. Zadrżała i mocniej objęła go ramieniem. Potem mu wszystko opowiedziała, a on słuchał z otwartymi z przerażenia oczami i ogromnym współczuciem w sercu.

O trzynastej przyjechał po nich aspirant Nowak. Byli już gotowi do wyjścia. Marta jeszcze raz zerknęła w podręczne lusterko, żeby się upewnić, że nie widać siniaka. Z kolei Seweryn poprawił nerwowo marynarkę. Czuł lekki niepokój. Nigdy nie wiadomo, jak się potoczy przesłuchanie. Policja miała swoje psychologiczne triki zmuszające przesłuchiwanego do powiedzenia prawdy. Komisarz na pewno umiał je zastosować. Wczoraj nie był zbyt natrętny w swoich pytaniach. Nawet o ten telefon znaleziony w narciarskim bucie specjalnie nie dopytywał, jak gdyby uwierzył, że Seweryn znalazł go w parku na ławce i zapomniał odwieźć na policję, a schował go do buta przed Łucją, żeby nie wzięła go do zabawy. Idiotyczne tłumaczenie, ale nie był w stanie wymyślić nic lepszego. Od razu pożałował, że nie wybrał dworca, był przecież bardziej wiarygodnym miejscem do znalezienia aparatu z wyjętą baterią i kilkunastoma kartami SIM. Park przyszedł mu do głowy prawdopodobnie dlatego, że właśnie tam Maks przekazał mu pakunek. Wczoraj po zakończeniu przesłuchania miał wrażenie, że poszło mu dobrze. Kamil Soroka ani razu nie dał mu do zrozumienia, że go podejrzewa, nie podważył też żadnej jego odpowiedzi. A może to właśnie jest policyjna taktyka? Uwierzyć we wszystko podczas pierwszego przesłuchania, a przy drugim dowalić przesłuchiwanemu, wykazać wszelkie nieścisłości i konfabulację?

Stanęli na świątłach na skrzyżowaniu Pułkownika Dąbka i Pionierskiej. Pojedyncze krople deszczu zaczęły spływać po szybie. Młoda kobieta pchająca dziecinny wózek przyspieszyła. Sewerynowi przyszło do głowy, że to współniczka Maksa, wyszła na spacer z ich Tymusiem. Ogarnęła go przemożna

chęć, aby wysiąść i zajrzeć do wózka, ale aspirant właśnie ruszył. Spojrzał na siedzącą obok Martę, miała łzy w oczach. Też patrzyła na kobietę.

Aspirant wysadził go na Tysiąclecia, Martę zawiózł dalej, do prokuratury. Zatem na razie wszystko odbywało się jak wczoraj, jego będzie przesłuchiwał komisarz Soroka, a ją prokurator Łempicka.

Pięć minut później siedział w pokoju z biurkiem i dwoma krzesłami. Myślał, że będzie długo czekał na Kamila Sorokę, że to taka gra mająca nadwyreżyć jego cierpliwość. Ten pojawił się jednak już po chwili. Przyniósł dwie szklanki i butelkę wody. Był bardzo uprzejmy, co Seweryn odebrał jako ciszę przed burzą. Policjant poprosił go o podanie imienia i nazwiska oraz okazanie dokumentu tożsamości. Potem podsunął mu do podpisania oświadczenie, że został uprzedzony o odpowiedzialności karnej za składanie fałszywych zeznań. Poinformował go jeszcze, że przebieg przesłuchania zostanie utrwalony w zapisie cyfrowym, a następnie oparł się wygodnie na krześle i zadał pierwsze pytanie.

— To kiedy znalazł pan aparat w parku Modrzewie? Proszę podać datę.

— Mówiłem wczoraj... To było na początku sierpnia, daty nie pamiętam.

— Często pan sam spaceruje po Modrzewiu?

— Raczej rzadko, nie mam czasu.

— Raz na jakiś czas pozwala pan sobie na relaks i nie pamięta daty.

— Nie pamiętam.

— To ja panu przypomnę. Był pan w Modrzewiu siedemnastego sierpnia, parę minut po ósmej.

Seweryn poczuł, że pot zaczyna mu płynąć po plecach, a oddech niebezpiecznie przyspiesza. Miał ochotę zdjąć marynarkę i sięgnąć po szklankę. Nie, nie może tego zrobić, bo byłoby to jak przyznanie się do winy. Komisarz specjalnie postawił przed nim wodę, żeby zobaczyć, jak wyciąga po nią rękę w momencie największego kryzysu. Wiedział, że dzisiejsze przesłuchanie będzie trudniejsze, ale takiego uderzenia się nie spodziewał, to było jak strzał między oczy. Komisarz podał dokładny czas spotkania z Maksem w parku Modrzewie. Tylko bez paniki.

— Siedemnastego sierpnia — powtórzył, jak gdyby usiłował sobie przypomnieć ten dzień. — To możliwe, to mógł być siedemnasty sierpnia.

— Pomylił się pan aż o dwa tygodnie?

Seweryn wiedział, że policjant chce go zmusić, aby przyznał się do pomyłki. Skoro raz się przyzna, to drugi raz też.

— Powiedziałem tylko, że to możliwe, ale nadal wydaje mi się, że byłem w parku kilka dni wcześniej.

— Był pan tam siedemnastego sierpnia parę minut po ósmej rano, wtedy pana komórka logowała się właśnie w parku Modrzewie.

Seweryn miał wrażenie, że zdjęto mu z klatki piersiowej wielki kamień. Odetchnął z ulgą. Chodziło tylko o logowanie telefonu, a już się bał, że jakiś znajomy go wtedy widział w towarzystwie Szczurka.

— A więc schował pan telefon do buta w szafie, żeby Łucja nie wzięła go do zabawy?

— Tak.

— Spędziłem trochę czasu w waszym domu. Nie zauważyłem, żeby pana córka sięgała po telefon pana żony czy pana bratowej, a leżały one na wierzchu.

— Łucja zna te telefony, nie są dla niej atrakcją, ale gdyby zobaczyła nowy, i to jeszcze z przyciskami...

— Rozumiem, nowa zabawka, ale nie pojmuję, dlaczego pan schował ten telefon do buta w szafie. Nie wystarczyło położyć go gdzieś na półce, przecież Łucja jest mała, nie sięgnęłaby. A pan, mając aparat na oku, nie zapomniałby go przywieźć do nas.

W tej chwili Sewerynowi ukrywanie telefonu w bucie przed córką wydawało się absurdalną czynnością. Nie miał zamiaru wycofywać się z tej wersji, ale postanowił coś jeszcze dorzucić, żeby lepiej umotywować schowanie aparatu. Poprawił rękawy marynarki i przyglądał się im przez chwilę. Chciał, żeby wyglądało na to, że się waha. Nagle podniósł głowę i spojrzał wprost w jasne oczy komisarza.

— Ja ten telefon schowałem też przed żoną, żeby się nie czepiała.

— Że niby służy on panu do kontaktów z kochanką?

— Nie, nie o to mi chodziło. Gdyby Marta zobaczyła aparat, kazałaby mi go od razu odwieźć na policję, a ja nie miałem na to ochoty. Głupio wyszło z tym telefonem. Nie powinienem go brać. Gdy tylko wszedłem do domu, pożałowałem, że go mam. Postanowiłem, że wyrzucę pakunek przy najbliższej okazji do jakiegoś śmietnika na mieście.

Nadal patrzył komisarzowi w oczy, żaden z nich nie mrugnął, wyglądało to jak pojedynek na nieruchome spojrzenia. Seweryn nie chciał wdawać się z komisarzem w jakieś głupie przepychanki, spuścił więc wzrok na własne dłonie i ze zdumieniem spostrzegł, że zacisnął palce na materiale spodni.

— Nadal nie rozumiem, dlaczego schował pan aparat do buta w szafie.

— Ja też nie, ale to zrobiłem.

Te słowa wyrwały się Sewerynowi niemal samoistnie, zabrzmiały jednak dobrze, bardzo naturalnie.

— Dlaczego pan pożyczał pieniądze od matki, a nie od brata? Przecież bratu dobrze się powodzi w interesach.

— To moja prywatna sprawa od kogo pożyczam kasę. Nie ma to związku z porwaniem mojego syna.

— Myli się pan. Chodziło przecież o porwanie dla okupu, dokładnie o czterysta dwadzieścia sześć tysięcy złotych. Tyle Jerzy Maj wiozł w plecaku. A nie zdziwiło pana, że porywacz kazał pana ojcu włożyć do samochodu rower? Skąd wiedział, że ma pan w garażu rower i że zmieści się on do bagażnika?

— Nie wiem, skąd wiedział, może nas obserwował, tak chyba robią porywacze.

— A kiedy ostatni raz jeździł pan na rowerze albo pana żona?

— Nie pamiętam, może w ubiegłym roku latem.

— No to z obserwacji nie mógł wiedzieć, że ma pan rower.

— To może się domyślił, dużo ludzi ma rowery, my też, nawet dwa. Niech pan nie oczekuje, że ja panu wyjaśnię, skąd porywacz wiedział, że mam rower. Sam pan powinien to ustalić, jest pan przecież gliniarzem, przepraszam, policjantem.

Komisarz zaczął wypytywać o różowego misia. Gdzie się mógł podziać? Kiedy go widział ostatni raz? Czy to była ulubiona zabawka Tymka? Seweryn nie rozumiał, dlaczego ta maskotka jest tak ważna. Twierdzenie, że na nagraniu z Tymusiem znajduje się miś z ich domu, było wielką przesadą. Próbował to nawet wytłumaczyć komisarzowi. Przecież takich zabawek jest tysiące, w co trzecim czy co piątym domu można znaleźć różowego misia. To pech, że właśnie z jego powodu zaczęli jego i Martę podejrzewać o udział w porwaniu syna. Kontynuował rozmowę o maskotce, bo czuł, że w ten sposób odciąga uwagę policjanta od telefonu ukrytego w bucie.

W końcu komisarz wyciągnął zdjęcie Maksa Kubiaka, już wczoraj pokazywał je Sewerynowi. Teraz znowu zadał mu to samo pytanie, czy zna tego człowieka. Seweryn zapewnił, że nigdy go nie widział. Policjant oznajmił, że mężczyzna ze zdjęcia przyjechał do Raczek Elbląskich po okup i właśnie jego zastrzelił Jerzy Maj. Nazywa się Grzegorz Zalewski. Seweryn pomyślał, że Maks posługiwał się fałszywymi dokumentami.

— Czy słyszał pan kiedykolwiek o jakimś Grzegorz Zalewskim? — zapytał komisarz.

— Nie przypominam sobie.

— A o Maksymilianie Kubiaku?

— O Maksymilianie Kubiaku? Słyszałem o nim parę dni temu od was. Podobno ktoś taki był u mojego brata w tartaku. Puściliście sekretarce Roberta głos porywacza, a ona rozpoznała głos tego interesanta, Maksymiliana Kubiaka. Dobrze pamiętam?

— Tak, dobrze pan pamięta.

Seweryn musiał się upewnić, ile policja wie na temat tożsamości sprawcy. Potrzebował tego dla własnego spokoju. Patrząc komisarzowi prosto w oczy, stwierdził:



— No, ale ta sekretarka się pomyliła, bo to nie interesant Kubiak, tylko ten Grzegorz Zalewski porwał Tymka, i to on dzwonił w sprawie okupu.

— Prawdopodobnie się nie pomyliła. Pokazaliśmy jej zdjęcie Zalewskiego z policyjnej kartoteki. Twierdzi, że to właśnie on był w tartaku. Zalewski i Kubiak to ten sam człowiek.

Komisarz patrzył na niego, jak gdyby oczekiwał, że Seweryn jakoś skomentuje tę wiadomość, on jednak nie wiedział, co powiedzieć. Milczał więc.

— Nie dziwi pana, że porywacz był u Roberta przed uprowadzeniem pana syna?

— Nie, nie dziwi mnie — odpowiedział, siląc się na spokój.

W samej wizycie Maksa u Roberta nie widział nic niepokojącego. Prawdopodobnie Szczurek planował coś budować na swojej działce w Nabrzeżu i pojechał do najbliższego tartaku.

Komisarz zaczął szybko przewracać kartki w notatniku, jak gdyby szukał jakiejś konkretnej informacji.

— Ja jestem śledczym, moja praca polega na stawianiu pytań i szukaniu odpowiedzi. Moje pytanie brzmi, po co Grzegorz Zalewski spotkał się z pana bratem na cztery miesiące przed porwaniem. Muszę mieć sensowną odpowiedź.

Dopiero teraz policjant podniósł głowę i patrzył na niego z oczekiwaniem rysującym się na twarzy. Seweryn wzruszył ramionami na znak, że nie zna odpowiedzi. Czuł jednak, że to za mało, musi coś powiedzieć, żeby komisarz odzepił się od Roberta.

— Może rozpracowywał moją rodzinę. Przecież porywacze tak robią, sam pan nam to mówił. W kółko pytaliście, czy jacyś podejrzani ludzie nie kręcili się blisko domu i mojego zakładu albo czy nie mieliśmy dziwnych telefonów. A może po prostu ten Zalewski czy Kubiak był klientem tartaku.

— A wie pan, jak ja to widzę? Pana brat chciał wydać sporą kasę, ale tak, żeby żona się nie dowiedziała. Dlatego zaplanował porwanie, żeby zapłacić okup, który później do niego wróci i z którym będzie mógł zrobić, co mu się spodoba.

Seweryn zaśmiał się krótko, ta wersja naprawdę go rozbawiła.

— Mój brat nie musi się kryć przed żoną z wydatkami. Zapewniam pana.

Seweryn sięgnął w końcu po szklankę z wodą. Czuł spory dyskomfort psychiczny, dużo większy teraz, gdy komisarz insynuował, że Robert może mieć coś wspólnego z porwaniem, niż wtedy, gdy jego samego traktowano jako głównego podejrzanego.

— Proszę wezwać mojego brata na przesłuchanie, on na pewno wszystko wyjaśni. Powie panu, o czym rozmawiał z tym Zalewskim, o ile go w ogóle pamięta. Ja tylko mogę ze swojej strony oświadczyć, że całkowicie ufam Robertowi, nie zrobiłby nic przeciwko mnie i moim dzieciom.

## *Dzień jedenasty, popołudnie*

Kamil stał oparty o parapet w swoim pokoju na komendzie i patrzył na mokrą od deszczu aleję Tysiąclecia. Wsłuchiwał się w gwar ulicy i palił fajki Beaty, bo jego już się skończyły. Miały gorzkawy posmak, pozostawiały cierpkość na języku i w gardle. Zaciągał się dalej, bo smak papierosów odpowiadał jego samopoczuciu.

Myślał, że z Sewerynem Majem pójdzie mu łatwiej, ale na razie tylko się upewnił, że tamten sporo ukrywa. Zdradzało go przede wszystkim spojrzenie, ten mozolny wysiłek, żeby patrzeć policjantowi prosto w oczy. Pocił się aż po same buty, ale nadal udzielał wykrętnych odpowiedzi. Było coś, co pozwalało mu trwać w kłamstwie — przekonanie, że Tymek jest bezpieczny i wkrótce wróci do domu, to dodawało mu siły i pewności. Komisarz wiedział, że Maj zacznie mówić prawdę dopiero wtedy, gdy dopadnie go strach o syna, a na to trzeba trochę czasu. Niech posiedzi nad kubkiem kawy w towarzystwie sierżant Gryś. Ona mu przekaze policyjne statystyki z porwań i wyrazi swoje współczucie. Będzie mówiła o Tymku w czasie przeszłym, pocieszała go, zaproponuje wsparcie psychologa. Seweryn na pewno ulegnie sugestiom funkcjonariuszki, zakiełkuje w nim niepokój, a wtedy komisarz przystąpi do kolejnego etapu przesłuchania.

Odezwała się jego komórka. Dzwonił Mikołaj Bukowski. Po chwili przyszedł esemes, dziennikarz pisał, że ma ważnego newsa. Kamil z wahaniem położył palec na zielonej słuchawce. Nie miał ochoty na rozmowę z tym gówniarzem, ale ciekawość zwyciężyła.

— Czego chcesz?

— Komisarzu, trochę uprzejmiej, przecież ja teraz dla ciebie robię.

— Mów, co masz.

— Pokręciłem się trochę po tartaku, pogadałem z ludźmi, z jednym inżynierkiem poszedłem na piwo, no i... Komisarzu, mówię ci, ludziska takie rzeczy opowiadają, że trudno uwierzyć. Skąd oni te rewelacje biorą? Chyba sami je wymyślają. Ale ja jestem rzetelny dziennikarz, każdą informację muszę sprawdzić w co najmniej dwóch źródłach.

— Czego się dowiedziałeś?

— Ciekawych rzeczy o Robercie Maju, ale teraz nie pogadamy, zaraz wchodzę do hotelu Elbląg. Mógłbyś tu wpaść, komisarzu, na spotkanie z faraonem.

— Co ty pierdolisz? Z jakim faraonem?

— Oj nieładnie, widzę, że policja nie jest na bieżąco, nie wie, co się dzieje w mieście. A spotkanie jest z faraonem naszych czasów, co nam ma na Mierzei Kanał Sueski wykopać. Muszę już iść.

Dziennikarz się rozłączył. Kamil zgasił papierosa. Właściwie mógłby się trochę przejść, przewietrzyć szare komórki. Napisał esemesa do Beaty, że wychodzi na godzinę. Odpisała mu, że właśnie tyle czasu potrzebuje, aby popracować nad Sewerynem Majem.

Szedł szybkim krokiem aleją Tysiąclecia. Lubił tę ulicę, bo nie miała w sobie nic pięknego, była taka zwyczajna, na wskroś elbląska — kilka wieżowców z początku lat sześćdziesiątych, budynek komendy, przychodnia i spory ruch uliczny zapewniający hałas i ciągłą woń spalin. Dopiero Milena uświadomiła mu, że na alei znajdują się dzieła sztuki. Prawie ich nie zauważał, dla niego były niczym lampy uliczne. Wiedział, że gdzieś tam stoją, ale jego wzrok się na nich nie zatrzymywał. Milena przeciwnie, bardzo interesowała się formami przestrzennymi. Sprowadziła się do Elbląga z przekonaniem, że będzie mieszkać w mieście, które jest galerią sztuki na świeżym powietrzu. Podobno nawet kupiła kilka koszulek z wizerunkiem metalowych rzeźb i rozesłała je swoim znajomym.

Skręcił w Rycerską. Od trzech dni dość często rozmyślał o Milenie. Podobało mu się, że po wspólnej nocy nie wysłała mu tysiąca esemesów z serduszkami i buziakami, nie stroi min, nie robi słodkich oczu, nie wypytuje o jego poprzednie partnerki, nie oczekuje, że ją zabierze na kolację. Milena okazała się idealną kochanką, zdystansowaną i rozsądną. Najbardziej pociągała go jej trupio biała skóra z nielicznymi sinymi przebarwieniami, zwłaszcza u dołu pleców. Przy odrobinie wyobraźni mogły uchodzić za plamy opadowe. Wczoraj czekał na nią pół godziny pod blokiem, w którym wynajmowała mieszkanie. Był zły na siebie, że stoi pod klatką posłusznie jak uczeń. Już chciał wrócić do domu, ale zatrzymało go wspomnienie chłodnych dłoni Mileny. Przyciskała je płasko do jego bioder, a on czuł, jak płynące z nich zimno przenika jego skórę. Było już po północy, gdy wróciła z prokuratury. Potem siedziała przy kuchennym stole i jadła winogrona, a głowa ze zmęczenia leciała jej na boki. Oboje mieli za sobą dwie nieprzespane noce, jedną spędzili na bzykaniu się, a drugą na oględzinach w Raczkach Elbląskich. Znalazł w szafce kuchennej wino, nalał sobie, zapytał, czy też chce. Powiedziała, że chętnie się napije, i poszła pod prysznic. Wsłuchiwał się w szum wody i zastanawiał się, czy nie wrzucić do jej szklanki jednej tabletki zolpidemu. Delektował się myślą, że po jej spożyciu w ciągu dziesięciu minut zapadnie w głęboki sen. Serce bije, płuca pracują, ale dłonie pozostają bez czucia, biodra nieruchome, sen, namiastka śmierci. Mieć taką Milenę — rozkosz niewypowiedziana. Rano zrobiłby jej śniadanie, a przy okazji mógłby wrzucić do jej kawy flumazenil, aby zniwelować odurzające działanie

zolidemu. Nie może pozwolić, aby następnego dnia czuła się senna i w dodatku miała zawroty głowy, bo się domyśli, że coś jej zaaplikował. Tabletkę nadal tkwiła w jego palcach. Nie potrafił podjąć decyzji, czy ją wrzucić do wina, czy nie. Nie powstrzymywały go bynajmniej dylematy moralne, raczej lęk, że Milena go przejrzy. Może lepiej spróbować przekonać ją, że fantazje nekrofilskie to tylko urozmaicenie życia seksualnego, a nie żadna dewiacja, przecież każdy ma jakieś upodobania. Tak naprawdę jest zupełnie normalny. A potem spróbuje namówić ją do eksperymentu ze środkami nasennymi. Może się uda. W mieszkaniu zapadła cisza, Milena skończyła brać prysznic, zaraz wyjdzie z łazienki. Tabletkę wysunęła mu się z palców i z cichym chlupnięciem wpadła do wina. W napięciu patrzył, jak się powoli rozpuszcza. Milena pojawiła się w drzwiach kuchni, miała na sobie za dużą piżamę w paski. Chyba na całym świecie nie było ubioru nocnego bardziej pozbawionego frywolności, a jednak wyglądała ponętnie. Podał jej szklankę z winem. Pokręciła przecząco głową. Nie będzie pić, bo już umyła zęby. Ziewnęła głośno, zasłaniając dłonią usta, i poszła do łóżka. Wylał wino do zlewu i opłukał szklankę. Wszedł pod prysznic i mył się bez pośpiechu. Miał nadzieję, że Milena zdąży zasnąć. Zostawiła mu na pralce czysty ręcznik i nieużywaną szczoteczkę do zębów. Przyszło mu do głowy, żeby przeszukać szafki i sprawdzić, ile jeszcze zapakowanych szczoteczek przechowuje. Wszedł do pokoju na palcach. Milena leżała z kołdrą naciągniętą na głowę. Ostrożnie położył się obok niej. Nasłuchiwał przez chwilę. Zupełna cisza. Zsunął nakrycie z jej twarzy. Niestety z lekko rozchylonych ust z cichym poświsem wydobywało się powietrze. Uniósł się na łokciu i wpatrywał się w jej bladą skórę, która w świetle padającym z otwartych drzwi łazienki nabrała trupiego, białosiniego odcienia. Próbował ocenić głębokość snu. Nasłuchiwał miarowego oddechu, czy nie zgubi rytmu. Obserwował powieki, czy któraś nie zadrży. Z każdą sekundą Milena stawała się wytworem jego wyobraźni, jej serce przestawało bić, ciało traciło temperaturę i sztywniało. Im bardziej fantazjował, tym silniej rosło w nim podniecenie. Ostrożnie, jedną ręką, rozpiął guziki jej piżamy, potem delikatnie zsunął spodnie z jej bioder. Na ten krótki moment była dla niego martwa, ale gdy tylko opadł na jej ciało, od razu ożyła. Otworzyła szeroko oczy i objęła go ramionami. Godzinę później, gdy znowu przysnęła, wysliznął się z łóżka. Ubrał się w kuchni i wyszedł z mieszkania.

Na Wigilijnej mokra kostka brukowa zaślniła w promieniach słońca. Jeszcze dwadzieścia minut, a po deszczu nie będzie śladu. Niebo było już zupełnie czyste i znowu robiło się ciepło. Nieliczne samochody sunęły jezdnią. W tym miejscu miasto wyglądało na opustoszałe, niedawny deszcz przegonił gości z ogródków restauracyjnych, kilka osób schowało się do wnętrza lokali gastronomicznych. Nagle chodnik zapełnił się barwnym korowodem, który wyłonił się z drzwi

kamienicy. Rozległy się podniesione głosy i stukot obcasów, ktoś się śmiał, ktoś inny robił zdjęcia. Ubiór dwóch osób wskazywał, że jest to orszak ślubny. Kamil zszedł na ulicę, przepuszczając państwa młodych i podążających za nimi gości. Panna młoda była blondynką, a pan młody przyciągał wzrok wszechobecną, głęboką czernią, najbardziej czarną miał twarz. Kamil był pewien, że pośród jego przodków nie było nawet mulata. Młodzi wzbudzali zainteresowanie całej ulicy. Nieliczni goście Chińczyka aż wstali od stolików i przyglądali się orszakowi. Niektórzy nawet robili zdjęcia. Pan młody pokazywał w szerokim uśmiechu lśniące bielą zęby. Wyglądał na szczęśliwego. Kamil w duchu życzył młodemu, żeby jak najszybciej wyjechali do Londynu. Wcale nie obawiał się o zęby pana młodego, które w Elblągu szybko by stracił od pięści jakiegoś „patrioty” o wielkim sercu. Raczej miał na myśli spokój elbląskiej policji. Po co im jeszcze rasistowskie polowania na mieście. Mają swoich wandalów, którzy regularnie rozwalają przystanki autobusowe, spore grono damskich bokserów terroryzujących głównie własne rodziny, paru oszustów okradających starszych mieszkańców z oszczędności życia, od czasu do czasu trafi się coś grubszego, morderstwo czy porwanie, to w zupełności wystarczy.

Na ulicy Stary Rynek w pobliżu ratusza zobaczył radiowóz. Kolejny patrol stał przed czterogwiazdkowym hotelem Elbląg. Funkcjonariusze leniwie przyglądali się pikietującym. Tłumów nie było, ale na pierwszy rzut oka dało się zauważyć aż trzy grupy, które demonstrowały swoje stanowiska. Na prawo od dużych, starodawnych drzwi stało kilkanaście osób. Towarzystwo bardzo zróżnicowane, od rosnących mężczyzn w koszulkach z patriotycznymi emblematami po panie w średnim wieku w pantoflach na wysokim obcasie, a nawet starszych panów w niemodnych od czterdziestu lat, mocno przyciasnych garniturach. Była to pikietka poparcia dla budowy przekopu przez Mierzęję, bo górował nad nią transparent z napisem: „Nie damy się Ruskim”. Lewą stronę od drzwi zajmowało kilku obrońców demokracji, wyglądali na mocno onieśmiałych, a nawet wystraszonych. Przed schodami do hotelu stały jeszcze trzy dziewczyny, plakietki przyklejone do koszulek informowały, że są mieszkankami Krynicy Morskiej. Jedna trzymała transparent, który głosił, że protestują przeciw kosztownym kaprysom polityków. Druga zbierała podpisy pod protestem, podeszła też do komisarza. Wykręcił się, mówiąc, że jest tu służbowo. W gronie pikietujących brakowało mu tylko ekologów, ale może z nimi władza się już dogadała.

Kamil wszedł do hotelu. W recepcji dostrzegł potężne sylwetki ochroniarzy. Ich postawa i zachowanie wskazywały, że są byłymi komandosami wojskowej jednostki do zadań specjalnych. Prawie im współczuł, takie doświadczenie, a teraz pilnują jednego małego polityka. Skręcił w korytarz na prawo, na moment

odwrócił się jeszcze i zobaczył, jak ochroniarz poprawia słuchawkę w uchu i coś mówi. Zapewne poinformował o jego wejściu do hotelu. Przed salą konferencyjną zatrzymał go kolejny były komandos i poprosił o zaproszenie lub legitymację dziennikarską. Kamil pokazał odznakę policyjną.

— Szykują się jakieś kłopoty? — zapytał ochroniarz.

— Tak, na sali jest dziennikarz, który ma w planach jakąś prowokację. Moglibyście go wyprowadzić? Nazywa się Mikołaj Bukowski.

Zaplanował, że popsuje dziennikarzowi robotę. Gówniarz myślał, że może ganiać komisarza policji po mieście. Ochroniarz spojrział na ekran smartfona.

— Rzeczywiście, na sali jest ktoś taki, siedzi w przedostatnim rzędzie. Będziemy go obserwować.

Kamil zaklął w duchu. Liczył na bardziej zasadniczy krok.

— To znany prowokator, urządza dziwne happeningi. Dostaliśmy sygnał z jego redakcji, że planuje zdjąć spodnie i wypiąć się na prezesa. Naczelnny prosił, żeby go powstrzymać. Może lepiej go wyprowadzić?

— Nie możemy. Rozumie pan, wolność mediów. Gdy go wyprowadzimy, dopiero zrobi się heca. Będziemy interweniować wtedy, gdy zaczną zakłócać spokój.

— Jest wolne miejsce obok tego dziennikarza?

Ochroniarz znowu spojrział na smartfona.

— Tak.

— To ja wejdę i usiądę obok niego. To będzie stuprocentowa gwarancja, że nie odważy się na prowokację.

Postąpił dwa kroki do przodu.

— Komisarzu, ma pan broń?

— Tak, oczywiście.

Uniósł bluzę i pokazał kaburę, w której tkwił glock.

— Dobrze, niech pan idzie.

Teraz komandosi będą się bardziej koncentrować na nim niż na Bukowskim. Wszedł na salę, zaledwie połowa krzeseł była zajęta. Kilku fotoreporterów bezszelestnie krążyło z aparatami w poszukiwaniu najlepszego ujęcia. Za stołem konferencyjnym stała jakaś kobieta. Usiadł obok dziennikarza.

— Zdążyłeś, komisarzu, faraon jeszcze nie przemówił.

— Czego się dowiedziałeś o Robercie Maju? Mów.

— Maj sprzedaje tartak.

— I co z tego? To nie przestępstwo.

— Komisarzu, pomyśl, ten tartak przynosi niezłe dochody. Po co go sprzedaje?

— Kurwa, nie wiem, może dostał alergii na pył drzewny. Miałeś coś mieć na Maja. Dawaj mi to, bo jak nie, to będziesz codziennie płacił mandat za jeżdżenie

brudnym rowerem.

W sali rozległ się szmer i nieśmiałe oklaski. Na mównicy stanął prezes. Młody asystent podbiegł do niego niemal zgięty w pół i obniżył mikrofon.

— A ty, komisarzu, jesteś za przekopem czy przeciw?

Siedząca przed nimi kobieta odwróciła się w ich stronę i syknęła:

— Ciszej, prezes będzie mówił.

— A pani może ze świty faraona? — zapytał Bukowski.

W oczach dziewczyny pojawiła się chęć mordy.

— A pana miejsce chyba jest przed hotelem, a nie tutaj.

Odwróciła się z powrotem w stronę mównicy.

— Komisarzu, czy ty sobie wyobrazasz, ilu sługusów faraona dorobi się na tym przekopie? Będzie trzeba powołać ze cztery komisje śledcze, żeby ustalić, gdzie popłynęło te osiemset milionów, ale i tak gówno ustalą.

— Co masz na Roberta Maja? Gadaj.

— Ludzie w tartaku mówią, że to on stoi za porwaniem bratanka, a dokładnie dwóch pracowników tak twierdzi.

— Ludzka fantazja.

— Niekoniecznie. Jeden z tych pracowników ma koleżankę, która uczy się tańca u tej Argentynki. Robiłem z nią kiedyś wywiad, ładna kobieta. W czerwcu oznajmiła kursantom, że od września nie będzie instruktorką. Dziewczyny zaczęły ją podpytywać. Powiedziała, że będzie miała dziecko. Jak to baby, wypytywały dalej, czy jej nie szkoda takiej figury, a ona na to, że z mężem zaadoptują syna, w Buenos Aires. A teraz słuchaj, komisarzu, bo będzie najciekawsze. Wyjęła z torebki zdjęcie i pokazała swoje dziecko, chłopca o jasnych włosach i niebieskich oczach. Ta dziewczyna twierdzi, że to było to samo dziecko, którego zdjęcie wy publikujecie.

— Nazwisko tej dziewczyny i nazwiska tych dwóch pracowników tartaku, którzy ci to powiedzieli.

— Komisarzu, nie słyszałeś nigdy o tajemnicy dziennikarskiej?

— Dawaj mi te nazwiska, przecież i tak je ustalę. Wystarczy, że zadzwonię do szkoły tańca i poproszę o listę kursantów.

— No właśnie powiedziałem tyle, żebyś mógł je sam ustalić. Może teraz posłuchamy, co mówi faraon?

Coraz więcej osób się na nich oglądało. Kamil zauważył kątem oka, że w ich stronę zmierza asystent prezesa, zapewne chciał ich uciszyć. Wstał i ruszył do wyjścia. Odprowadzały go nieliczne oklaski, które rozległy się po słowach faraona: „Polska jest państwem w pełni suwerennym, kończymy z zależnością od Rosji”.

Nie wrócił od razu do firmy. Zatrzymał się w ogródku restauracji Pod Aniołami. Chciał przy kawie przeanalizować rewelacje Mikołaja Bukowskiego. Położył na stoliku notes. Miał zamiar wypisać wszystkie przesłanki przemawiające za tym, że Robert Maj porwał bratanka. Najbardziej obciążała go wizyta w tartaku Maksymiliana Kubiaka, czyli Grzegorza Zalewskiego. Najważniejsze było jednak ustalenie motywu. Dlaczego Maj miałby uprowadzać syna swojego brata? Robert i Ramira nie mogą mieć dzieci, bardzo pokochali Tymka, ale czy to wystarczający powód, żeby go odebrać rodzicom i wyjechać z nim do Argentyny? Czy nie mogli pozostać troskliwym wujostwem? A może po prostu nie pojmował głębi ludzkich pragnień.

Przypomniał sobie spoconą twarz Seweryna, jego nerwowo poruszające się dłonie i wysiłek, aby patrzeć mu prosto w oczy. Podczas całego przesłuchania najbardziej z równowagi wyprowadziła go sugestia, że Robert może stać za porwaniem. Czy przeczuwał, że ta ewentualność jest wielce prawdopodobna? A może wiedział, że tak właśnie jest? Kamil narysował w notesie pionową kreskę, po jednej stronie napisał: „Robert”, a po drugiej „Seweryn”. Pod imionami wypisał stan posiadania obu mężczyzn. Starszy z Majów miał kasę, a młodszy dzieci. Niżej zanotował najpilniejsze, jak mu się wydawało, potrzeby. I znowu te same dwa słowa: kasa i dzieci, tylko zmieniły się ich pozycje. Komisarz oczami wyobraźni zobaczył bardzo wiarygodną scenę. Dwóch braci przy wódce, żalą się sobie nawzajem. Jeden mówi o pięknej i utalentowanej żonie, która pragnie dziecka i zadrećza go tym każdego dnia. Drugi też narzeka na swoją kobietę, że ciągle jej mało pieniędzy i wypomina mu, że jest nieudacznikiem, bo nie potrafi zarobić na rodzinę. Któremuś z nich przychodzi do głowy szaleńczy pomysł, aby dokonać wymiany: dziecko za pieniądze. Ale nie może to być zwyczajna transakcja, bo polskie prawo na to nie pozwala. Ponadto Marta by się nie zgodziła, nie oddałaby syna nawet za miliony. Wymyślili więc porwanie. Już na początku ponieśli klęskę, bo wynajęty przez nich człowiek feralnego dnia zabił ich matkę. To musiał być dla nich potężny cios. Wyznaczyli własnego ojca, by przekazał okup, bo wiedzieli, że ten pomści śmierć żony i zabije kidnapera, usuwając w ten sposób głównego świadka. Syn Majów prawdopodobnie był już zagranicą, może nawet w Buenos Aires. Wywiezienie kilkumiesięcznego dziecka wcale nie jest takie trudne. Robert i Ramira wkrótce do niego dołączą, ale najpierw muszą sprzedać tartak. Oczywiście sporą kwotę zostawią Sewerynowi niby w prezencie, a tak naprawdę będzie to zapłata za dziecko.

Kamil zamknął notes i wstał od stolika, głośno odsuwając metalowe krzesło. Zbliżał się wieczór i w ogródku siedziało już kilkunastu gości. Parę osób spojrzało na niego z lekką dezaprobatą. Ktoś go rozpoznał, bo zawołał:



— Bogu co boskie, cesarzowi co cesarskie, a komisarzowi piwo!

Kamil odszukał wzrokiem autora tych słów. Siwa broda i okulary w niebieskiej oprawce. Kierowany policyjnym instynktem zapisał w pamięci tę twarz. Wyszedł z restauracyjnego ogródka i szybkim krokiem ruszył w stronę alei Tysiąclecia. Napędzał go hipotetyczny ciąg wydarzeń zrodzony w jego głowie, a wymagający potwierdzenia w dowodach i zeznaniach. Musi zakończyć przesłuchanie Seweryna, jakoś go podejść, złamać, a potem wezwać na rozmowę Roberta, albo lepiej Ramirę, ona powinna być słabszym ogniwem.

## *Dzień jedenasty, wczesny wieczór*

W powietrzu unosił się zapach kawy i charakterystyczna woń kanapek z szynką. Dawało się też wyczuć panujące w pomieszczeniu napięcie. Seweryn zdjął marynarkę i powiesił ją na oparciu krzesła. Nie mógł usiedzieć w miejscu, chodził więc po niewielkim pokoju. Denerwowała go funkcjonariuszka, która spokojnie bawiła się smartfonem, jedząc kolejną kanapkę. Za co ona bierze pieniądze? Powinna szukać Tymka, a nie siedzieć na dupie.

Niebawem minie czterdzieści osiem godzin od czasu, gdy ojciec zastrzelił Maksa Kubiaka. Dlaczego współniczka Szczurka jeszcze nie oddała im Tymusia? Przecież miała na to tyle czasu. Coś musiało jej przeszkodzić. Może boi się ujawnić? A może wyjechała z ich synkiem do Niemiec i tam go sprzeda? Taki ładny chłopiec, blond włoski i niebieskie oczy, chętnych by nie brakowało.

Zatrzymał się przed policjantką. Powoli podniosła głowę.

— Tak sobie pomyślałem, że może Tymek został wywieziony za granicę. Sprzedadzą go jakimś bogatym ludziom. Sprawdźcie to? Powiadomiliście policję w Europie Zachodniej?

Funkcjonariuszka patrzyła na niego przez chwilę zaskoczona, jak gdyby zapytał o coś zupełnie nieprawdopodobnego.

— Nie, w tej sprawie nie współpracujemy z zachodnimi służbami. Nie ma przesłanek.

— Jakich przesłanek? Co pani mówi? Mój syn został porwany.

— No właśnie, dla okupu, a nie na zamówienie.

— A jakie to ma znaczenie? Okup nie wypalił, to teraz sprzedadzą Tymusia.

Policjantka westchnęła głośno. Nawet nie ukrywała, że jej przeszkadza.

— Jak pan to sobie wyobraża? Dadzą w internecie ogłoszenie, że mają chłopca do sprzedania, i jeszcze umieszczą jego zdjęcie? To nie jest takie proste.

Sięgnęła po kolejną kanapkę i znowu przesuwała palcem po ekranie telefonu. Seweryn czuł bezsilność. Chciał biec i szukać syna, nie wiedział jednak dokąd. Miał nadzieję, że policja przystąpi do zdecydowanych działań, ale oni tylko czekali, aż współniczka kidnapera odda Tymka. Wydawali się nie pojmować, że minęło już tyle czasu. Skoro ich syn jeszcze nie wrócił, to może ta kobieta wcale nie planuje go oddać. Usiadł z powrotem na krzesło i zaczął się zastanawiać. Musi być jakieś racjonalne wytłumaczenie, dlaczego Tymuś jeszcze do nich nie wrócił. Kolejna myśl była jak ostre szarpnięcie, które pozostawia bolesną ranę w głowie i sercu. Coś mu się stało, on już nie żyje, dlatego dziewczyna Szczurka go nie oddaje. Może po śmierci Maksa wpadła w szok i zabiła dziecko. A może z rozpaczy przedawkowała tabletki nasenne i teraz leży martwa obok zanoszącego się płaczem Tymka. Trzeba go ratować. Dlaczego ta policjantka nadal bawi się telefonem? Dlaczego on sam siedzi tak spokojnie? Powinien krzyczeć, żądać, aby szukali jego syna. Znowu bolało go pod żebrami. Słyszał własny rżący oddech, który dobywał się ze ściśniętego gardła. Przestrzeń wokół aż pulsowała od jego strachu, od panicznego lęku o syna.

— Chcę rozmawiać z komisarzem, chcę mu powiedzieć o ważnych rzeczach — oznajmił.

Policjantka wyczuła powagę jego słów, bo od razu wstała i wyszła z pomieszczenia. Wróciła po minucie.

— Komisarz zaraz będzie. Proszę za mną.

Zaprowadziła go do pokoju, w którym był przesłuchiwany. Kamil Soroka pojawił się po chwili, lekko zdyszany, chyba biegł.

— Komisarzu, musicie szukać mojego synka. Wspólniczka Maksa Kubiaka sama go nie odda. Nie wiem, z jakiego powodu, ale ona go nie odda. Boję się, że coś mu się stało.

Komisarz wskazał krzesło.

— Niech pan siada i się uspokoi.

Seweryn zajął swoje miejsce, a komisarz mówił dalej:

— My go szukamy, zapewniam. Poza tym zbieramy informacje o Grzegorzu Zalewskim. Musimy wiedzieć o nim jak najwięcej, wtedy może uda nam się ustalić, gdzie mógł ukryć Tymka. Ważne jest, kogo znał, z kim się mógł kontaktować.

— Źle robicie, Grzegorz Zalewski to fałszywa tożsamość, na Maksymilianie Kubiaku powinniście się skupić. Kubiak porwał mojego syna. Wiem, bo sam mu to zleciłem. Przyznaję się, to ja...

Nagle gwałtowny szloch wstrząsnął jego ciałem. Nawet nie próbował powstrzymywać łez, bo przynosiły mu ulgę. Wypłakiwał z siebie strach i cierpienie. Teraz będzie lepiej, policja mu pomoże, odnajdą Tymusia. Był wdzięczny komisarzowi, że na razie o nic nie pyta, nie stara się go uspokoić, po prostu daje mu czas na wypłakanie się. Zaczął szukać po kieszeniach chusteczki higienicznej. Ręce mu się trzęsły, gdy ją rozkładał.

— To wszystko przez kłopoty finansowe, nie chciałem brać kolejnego kredytu. I przez te zdjęcia. Wie pan, te zdjęcia mojej żony. Ja myślałem, że ona mnie zdradza. Taka złość mnie dopadła. Nienawidziłem jej i całego świata. Czy uwierzy pan, że miałem ochotę kogoś zabić, kogokolwiek. Wsiadłem w samochód i pojechałem za miasto, w stronę Malborka. Tam jest kręta droga, jechałem jak szalony i czekałem, aż na poboczu pojawi się człowiek, pieszo albo na rowerze. Chciałem go potrącić, zabić. Głupi byłem, że nie zapytałem żony o te zdjęcia. Dopiero wczoraj to zrobiłem.

Umilkł, zdając sobie sprawę, że nie ma prawa mówić za Martę. Tylko ona może wyjawić, co ją spotkało. Jeżeli się na to odważy, będzie ją wspierał.

— Chce pan powiedzieć, że to nie pan zrobił żonie te fotki?

— Nie, to nie ja.

Policjant wyglądał na zaskoczonego.

— Mam nadzieję, że pana żona zgłosi prokurator Łempickiej, że została wykorzystana. Na tych zdjęciach widać, że jest pod wpływem środków odurzających.

— Szkoda, że ja tego nie zauważyłem, wtedy nie doszłoby do tej tragedii. Mama by żyła, ojciec nikogo by nie zabił i przede wszystkim Tymek byłby z nami.

Komisarz trzymał w palcach długopis, przed nim leżał notes. Przypomniał jeszcze, że przesłuchanie jest rejestrowane przez urządzenie audiowizualne, a następnie poprosił o zrelacjonowanie tego, co się stało. Seweryn zaczął opowiadać wszystko, od pierwszej wizyty Maksa w jego zakładzie. Wyliczył spotkania, próbował podawaćienne daty. Na mapie internetowej pokazał działkę, na której się widywali, opisał też miejsce nad Nogatem, gdzie łowili ryby. Usiłował odtworzyć w głowie wszystkie rozmowy, z nadzieją, że policja wyciągnie z nich coś ważnego, co przyczyni się do odnalezienia Tymusia. Dokładnie zrelacjonował opowieść Maksa o pozorowanych porwaniach, na których on i jego dziewczyna nieźle zarabiali. Komisarz przerwał mu, pytając o aparat komórkowy i samochód Maksa. Seweryn przez chwilę usiłował sobie przypomnieć numer telefonu Szczurka, w końcu mu się udało. Następnie opisał dokładnie samochód, granatowy renault megane z czarnymi, mocno wytartymi siedzeniami, aluminiowymi felgami, klimatyzacją i elektrycznymi lusterkami,

lewe było pęknięte w poprzek. Niestety numer rejestracyjny nie utkwił mu w głowie. Komisarz zanotował te informacje, po czym zapytał o dziewczynę kidnapera. Seweryn uświadomił sobie, że praktycznie nic o niej nie wie, choć Szczurek często o niej opowiadał. W jakim była wieku, gdzie pracowała, czy była atrakcyjna, z jakiego miasta pochodziła, gdzie się poznali, gdzie robiła zakupy — wszystko było jedną wielką niewiadomą.

Potem zrelacjonował szczegółowo samo porwanie. Opowiedział, jak stracił kontrolę nad Maksem, jak tamten zaczął rozgrywać sprawę po swojemu. Komisarza najbardziej zainteresowało to, że widzieli się na pogrzebie matki, pod nosem prokurator Łempickiej-Krol. Kazał dokładnie opisać przebieg tego spotkania. Najtrudniej było Sewerynowi mówić o tym, jak ojciec pojechał przekazać okup, znowu musiał kłamać. Zaprzeczył, jakoby wiedział, że ma on przy sobie broń. Gorąco zapewniał, że nie chciał śmierci Maksa. To był wypadek, Jerzy Maj nie planował zabić kidnapera, broń wziął dla własnego bezpieczeństwa. Wreszcie Seweryn zamilkł.

— A jaki udział miał w tym porwaniu Robert? — zapytał komisarz.

— Miał wyłożyć kasę na okup.

Funkcjonariusz patrzył na niego wyczekująco, jakby się spodziewał, że coś jeszcze doda. W końcu zamknął notes i położył na nim dłoń. Tym gestem dał znak, że to koniec przesłuchania.

— Panie komisarzu, czy teraz znajdziecie Tymka?

— Jeżeli powiedział pan prawdę, sądzę, że to kwestia kilku godzin.

Seweryn poczuł, jak napełniają go nadzieja i wdzięczność. Chciał przeprosić za to, co zrobił. Chciał też podziękować policjantowi za wyrozumiałość, za zaangażowanie.

— Czy mogę wam jakoś pomóc w poszukiwaniu mojego syna?

— Niech pan lepiej zadzwoni po adwokata. Właśnie się pan przyznał do porwania własnego dziecka dla okupu, tego nie da się podciągnąć pod uprowadzenie rodzicielskie. Z artykułu 252 Kodeksu karnego grożą panu minimum trzy lata, i to pod warunkiem, że Tymkowi nic się nie stało.

— Trzy lata?

Seweryna przeraził potencjalny wyrok. Nie może iść do więzienia na tak długo, bo ma żonę i dwoje dzieci. Ten czas powinien spędzić z nimi. Nie miał zamiaru unikać kary, zasłużył na nią, ale wyrok w zawieszeniu w zupełności wystarczy. Sąd na pewno to zrozumie.

Gdy komisarz się podniósł, Seweryn też wstał. Myślał, że już może wracać do domu, funkcjonariusz poinformował go jednak, że to jeszcze nie koniec przesłuchania. Dziwne, przecież powiedział wszystko. Czego jeszcze od niego chcą? Policjant kazał mu czekać i wyszedł z pokoju. Seweryn wyciągnął telefon.

Nie miał zamiaru w tej chwili wzywać adwokata, na to będzie jeszcze czas. Teraz musi zadzwonić do Marty, żeby ją uspokoić. Powinna wiedzieć, że policja w ciągu kilku godzin znajdzie ich synka, tak zapewniał komisarz. Oby Tymek był cały i zdrowy. Dopiero w domu przyzna się, że zaplanował całe to porwanie. Przez telefon byłoby mu łatwiej, ale musi zdobyć się na odwagę i powiedzieć jej to prosto w oczy. W pierwszej chwili na pewno go potępi, odrzuci, potem jednak mu wybaczy. Był pewien, że tak właśnie będzie. Znał swoją żonę, dla niej najważniejsza była rodzina. Wybrał numer i wsłuchiwał się w przerywany sygnał. Marta nie odebrała. Na pewno prokurator Łempicka jeszcze ją przesłuchuje. Zupełnie niepotrzebnie, on już wszystko powiedział, jego żonie mogą dać spokój.

Zaczął nerwowo chodzić po niewielkim pomieszczeniu. Zerknął co chwilę na zegarek. Po upływie dwudziestu minut do pokoju przesłuchań wrócił Kamil Soroka. Chyba był zdenerwowany, a może po prostu zły.

— Panie Sewerynie, ja już raz panu mówiłem, co jest naszym głównym celem w tej sprawie, ale przypomnę jeszcze raz: uwolnienie Tymka jest dla nas priorytetem. Ustalenie, kto go porwał i dlaczego, jest kwestią drugorzędną. Rozumie pan?

— Rozumiem.

— No właśnie, mnie dzisiaj mniej interesuje to, że zlecił pan porwanie własnego syna. Tym niech się zajmie prokurator Łempicka-Król, ona będzie pisać akt oskarżenia. Ja chcę znaleźć Tymka, to jest mój cel, tego wymaga ode mnie Kodeks karny, a także sumienie. Dlatego proszę pana, żeby mi pan pomógł.

— Pomogę. Tylko co mam zrobić?

— Powiedzieć prawdę.

— Już to zrobiłem.

— Nie, nie powiedział pan prawdy. Podał pan zmyślane informacje, żeby wprowadzić nas w błąd. Choćby o Maksymilianie Kubiaku, koledze ze studiów, któremu pan zlecił porwanie syna. Już wiemy, że ten Kubiak od sześciu lat leży na cmentarzu komunalnym w Toruniu, bo przedawkował substancję psychoaktywną. Druga kwestia to działka, na której spotykał się pan z rzekomym Maksem Kubiakiem i która miała właśnie do niego należeć. Okazuje się, że jej właścicielem jest pana brat, Robert Maj. A prokurator Łempicka-Król nie potwierdziła tego, że rozmawiał pan z Grzegorzem Zalewskim na pogrzebie matki.

Seweryn starał się poukładać w głowie słowa komisarza, dopasować je do znanych sobie faktów. Miał przy tym wrażenie, że jego umysł wykonuje syzyfową pracę, bo gdy zbliżał się do finału, nagle wszystko się rozsypywało i znowu musiał zaczynać od początku. W końcu uznał, że doszło do pomyłki,

policja musiała popełnić błąd w zbieraniu danych o Szczurku. Mało to Maksów Kubiaków w Polsce? Jeżeli chodzi o działkę, to sam mógł wskazać złe miejsce na mapie internetowej. A to, że pani prokurator nie zauważyła jego rozmowy z Maksem... Przecież o to mu chodziło. Powiedział o tym komisarzowi, ale ten zupełnie go zignorował. Mówił dalej swoje.

— Na co pan liczył? Że nie zweryfikujemy tych informacji? Niech pan pamięta, że świadome wprowadzanie organów ścigania w błąd jest przestępstwem. Zastanawiam się, czym pan się kierował, mówiąc nieprawdę. Najczęstszym powodem jest obawa przed odpowiedzialnością karną, ale to raczej pana nie dotyczy, bo przecież obciążył pan zeznaniami samego siebie. Myślę więc, że zrobił pan to, żeby chronić kogoś bliskiego. Ktoś z pana rodziny zaplanował porwanie, a pan teraz bierze winę na siebie. Proszę powiedzieć, kogo pan chroni.

— Nikogo, to ja, przysięgam, że to ja sam. Proszę, sprawdźcie jeszcze raz Maksa Kubiaka. Nastąpiła jakaś fatalna pomyłka. Ja z nim rozmawiałem, zapewniam, że to był ten Maks, którego cały akademik nazywał Szczurkiem.

— Panie Sewerynie, nie ma mowy o pomyłce. Maksymilian Kubiak, który studiował w Toruniu w tym samym czasie co pan, nie żyje od sześciu lat. Porwanie zlecił pan Grzegorzowi Zalewskiemu, który podawał się za Maksa Kubiaka. Zalewski ma u nas bogatą kartotekę, odsiadywał wyrok za oszustwa, za wyłudzenie pieniędzy.

Seweryn czuł się tak samo jak wtedy, gdy miał pięć lat i Robert powiedział mu, że nie ma Świętego Mikołaja, a prezenty pod choinką kładzie mama. Ta szokująca informacja wywołała w nim bunt. Tupiąc nogami, krzyczał, że Mikołaj istnieje, ale jednocześnie w zakamarkach jego podświadomości zrodziło się przeświadczenie, że Robert może mieć rację. Teraz też miał ochotę zawołać, że to z Maksem rozmawiał, z nim się układał. Jakim prawem komisarz zaprzecza takiej oczywistości. Zarazem instynktownie wyczuwał, że funkcjonariusz mówi prawdę.

Szczurek przyszedł do niego do zakładu, Seweryn w pierwszej chwili go nie poznał, dopiero gdy się uśmiechnął i odsłonił szparę między jedynkami. Znak rozpoznawczy, który sprawił, że stał się najbardziej charakterystycznym studentem. Seweryn z niemałym przerażeniem zorientował się, że rozpoznał diastemę, a nie człowieka. Uświadomił sobie też, że czasy studenckie wspominał głównie on, a nie Szczurek. Kto zaproponował pierwsze spotkanie? Oczywiście, że Maks, już pierwszego dnia rzucił pomysł, że pokaże mu swoją działkę, którą chciał ogrodzić. Szaleństwo. Matrix. Seweryn miał wrażenie, że ktoś mu zaplanował alternatywną rzeczywistość.

Komisarz usiadł za biurkiem i oparł łokcie na blacie.

— No to ustalmy fakty, tak zwane autentyczne, proponuję też zachować chronologię, będzie nam łatwiej zrozumieć ciąg przyczynowo-skutkowy. Wie pan może, które wydarzenie było pierwsze?

Seweryn oddychał płytko i pocił się obficie. Rękawem koszuli wytarł czoło.

— Najpierw ten człowiek, ten Zalewski przyszedł do mnie do zakładu.

— Nie, to nie jest początek. Proszę spróbować jeszcze raz.

Seweryn był zupełnie zdezorientowany. Nie wiedział, o co chodzi komisarzowi.

— Może panu pomogę. Moim zdaniem pierwsze ważne wydarzenie to spotkanie pana brata z Grzegorzem Zalewskim w hotelu Agros w Kętrzynie, gdzie Zalewski pracował przez kilka miesięcy i gdzie Robert Maj nocował w lutym tego roku. Do kolejnego spotkania obu panów doszło na początku maja w tartaku. Potem dopiero Grzegorz Zalewski przyszedł do pana zakładu. Czy dobrze rozumiem, że to Robert Maj znalazł wykonawcę porwania i przysłał go do pana?

Seweryn przymknął oczy. Miał wrażenie, że jego umysł przeciska się przez ciasny tunel, na którego końcu znajdowała się prawda. Czuł niemal fizyczny ból towarzyszący temu procesowi. Czy to możliwe, że został zmanipulowany? Maks pierwszy poruszył temat porwań. Wręcz bombardował go informacjami o pozorowanym kidnaperstwie. Często podpytywał, niby żartem, czy Seweryn nie zna jakiejś rodziny z dziećmi. Wyraźnie dawał do zrozumienia, że jest gotowy wykonać takie zadanie. Rysująca się w jego głowie teoria, że to Robert przysłał do niego Grzegorza Zalewskiego z tożsamością Maksa Kubiaka, zaczęła nabierać niebezpiecznie realnych kształtów. Ale po co miałyby to robić? W jakim celu podsunął mu pomysł porwania syna? To nie ma sensu. Robert nie miałyby żadnej korzyści z uprowadzenia Tymka. Otworzył oczy. Zdawało mu się, że teraz widzi lepiej. Dostrzegał szczegóły, które wcześniej uchodziły jego uwagi. Kant biurka był lekko obity, długopis leżący na otwartym notesie miał zieloną obwódkę, oczy komisarza były nienaturalnie jasne. Dopiero teraz zauważył też na jego twarzy cienką bliznę biegnącą od brody do prawego ucha. Jest tyle ważnych rzeczy wokół, a tak trudno je dostrzec, może podobnie jest z porwaniem Tymka.

— Panie komisarzu, wydaje mi się, że powinien pan wezwać na przesłuchanie mojego brata. I proszę, niech pan znajdzie Tymka jak najszybciej.

*Dzień jedenasty, popołudnie*

Milena trzymała w palcach zdjęcie prezentujące kolejny dowód, paragon z zakupu pampersów. Wydruk fiskalny informował, że pieluchy zostały nabyte cztery dni po porwaniu Tymka. Marta zaprzeczyła, że to ona je kupiła. Nie było takiej potrzeby, bo w szafce w łazience ma jeszcze spory zapas pampersów. Nie potrafiła wyjaśnić, skąd paragon znalazł się w jej koszu na śmieci. Nie miała pojęcia, kto mógł go tam wrzucić. Milena była w stanie uwierzyć, że Marta mówi prawdę, ale dlaczego jest przy tym taka spokojna? W ogóle nie zdumiało jej to, że w jej śmieciach znalazł się dowód zakupu pampersów w wersji mini, takich jak dla Tymka.

Spojrzała na siedzącą po drugiej stronie biurka kobietę. Przesłuchiwała ją już dwie godziny i właściwie niczego istotnego się nie dowiedziała. Marta często wzruszała ramionami, dając do zrozumienia, że niewiele wie.

— Czy to Zuza mogła kupić te pampersy? — zapytała Milena.

— Może, nie wiem.

— Czy ona kiedyś kupowała tego typu rzeczy dla dzieciaków bez twojego polecenia?

— Tak, zdarzało się. Uznawała, że coś jest potrzebne, i kupowała to.

— A czy zapytałaś siostrę wczoraj albo dzisiaj, czy to ona kupiła te pieluchy?

— Nie.

— Dlaczego nie? Czy w ogóle interesuje cię, kto kupił pieluchy dla Tymka cztery dni po jego porwaniu?

— Interesuje — odpowiedziała beznamiętnym tonem.

— No to może już za kilkanaście godzin się dowiesz, kto trzymał ten paragon w ręku. Jutro powinna przyjść ekspertyza daktyloskopijna.

Marta nie okazała większych emocji. Może przez tę grubą warstwę pudru na twarzy wydawała się dzisiaj wyjątkowo obojętna na wszystko.

— Twój mąż ukrył w szafie telefon komórkowy, kilka kart SIM i baterię do aparatu. Jak myślisz, dlaczego to zrobił?

— Nie wiem.

— Nie wydaje ci się to podejrzane?

Marta znowu wykonała wymowny ruch ramionami i powtórzyła:

— Nie wiem.

Milena otworzyła teczkę, w której znajdowały się zdjęcia Marty znalezione na poddaszu. Nie wiązały się one z porwaniem Tymka, dlatego planowała o nie zapytać na samym końcu przesłuchania. Zmieniła jednak zdanie, może te fotki ją odblokują i zacznie więcej mówić. Rozłożyła kilka zdjęć na biurku i spojrzała na drobną blondynkę. Tamta uciekła wzrokiem w bok. Nawet maska z pudru zasłaniająca drobne, zdradliwe mięśnie wokół ust i oczu nie zdołała ukryć jej zdenerwowania.



— Ktoś ci dał psychotropy, a potem zrobił ci sesję. Czy to był twój mąż?

— Nie.

— To może Robert? On już o coś podobnego był oskarżany przez swoją sekretarkę.

— Nie, to nie on.

— To kto?

— To moja sprawa.

— Mylisz się. Przystępców seksualnych ściga się teraz z urzędu. Mam dowód na przestępstwo w postaci tych zdjęć i nie mogę go zlekceważyć, muszę postawić sprawcę przed sądem. Z twoją pomocą byłoby mi łatwiej. Jeżeli nie wiesz, kto cię sfotografował, to może chociaż powiesz, kiedy to miało miejsce i w jakich okolicznościach?

— To nie ma sensu, to będzie trwało całe lata, a na końcu on dostanie wyrok w zawieszeniu, bo to tylko parę zdjęć.

— A czy nie chodzi tu też o szantaż? Bo niby po co dał ci te fotki.

— Przesłał mi je wraz z listem, ale niczego w nim nie żądał. Napisał jedynie, że jak kolejny raz będę w Hiszpanii, to możemy powtórzyć tę zabawę. Dla niego to była zabawa, a dla mnie trauma na całe życie.

— Gdzie jest ten list?

— Wyrzuciłam go.

— A dlaczego nie pozbyłaś się zdjęć?

— Miałam taki zamiar.

Milena zgarnęła fotki i włożyła je do koperty.

— Czyli to się stało w Hiszpanii. Czy on jest może cudzoziemcem?

— Tak, Hiszpanem.

— Skąd wiedział, dokąd wysłać zdjęcia?

— Był pracownikiem hotelu, w którym mieszkaliśmy. Dla mnie to przeszłość... Wcale mi nie zależy, żeby tego przystojniaka ciągać po sądach.

Marta kłamała. Zdradziło ją ostatnie zdanie, a właściwie jedno słowo. Ofiara przestępstwa seksualnego nigdy nie nazwie napastnika przystojniakiem, nawet gdyby był najbardziej atrakcyjnym mężczyzną na świecie.

Milena postanowiła na razie nie kontynuować tego tematu. Spojrzała na plan przesłuchania, który nakreśliła dziś rano. Postawiła wykrzyknik przy pytaniu dotyczącym numeru telefonu zapisanego niebieskim długopisem. Kartkę z numerem znalazł podczas przeszukania aspirant Nowak w dzieciennym pokoju w domu Majów. Nie zabezpieczył jej, jedynie sfotografował. Milena położyła teraz przed sobą zdjęcie owej kartki. Dziewięć cyfr nabrało znaczenia w momencie, gdy okazało się, że żadna z sieci telefonii komórkowych nie miała tego numeru w swoich zasobach. Intrygujące również było to, że nie został on

zapisany ręką żadnego z rodziców Tymusia, co wstępnie ustalił grafolog. Podczas wczorajszego przesłuchania Marta oznajmiła, że nie wie, kto zapisał te cyfry i nic jej one nie mówią. Jeżeli powiedziała prawdę, to znaczyłoby, że nie zostały zanotowane przez żadnego z członków rodziny, bo przecież ich pismo by rozpoznała. A może to nie jest numer telefonu? Kto dzisiaj zapisuje numery na kartkach? Raczej wprowadza się je od razu do aparatu. Co jeszcze oznacza się ciągiem dziewięciu cyfr? Hasło do konta internetowego? Albo bankowego? Nic więcej nie przychodziło jej do głowy.

Podsunała Marcie kartkę i długopis, po czym kazała jej przepisać tajemniczy numer. Może uda się w ten sposób ustalić, czy go zna, czy przepisuje szybko, bez zerkania na wzór, niemal z pamięci. Niestety, ruch ręki Marty, jej miarowo poruszające się źrenice nic Milenie nie powiedziały. Podniosła kartkę, na której tamta napisała dziewięć cyfr, i bez większego zainteresowania rzuciła na nie okiem. Od razu dostrzegła różnicę i aż dech jej zapało. To był inny numer, różnił się dwiema cyframi, trzecią od końca i ostatnią. To, co ona brała za jedyne, Marta zapisała jako siódemki.

Wzięła do ręki telefon i wybrała nowy numer. W słuchawce pojawił się sygnał, a potem miły kobiecy głos informujący, że dodzwoniła się do Laboratorium Badań DNA. Rozłączyła się. Wyglądało na to, że wreszcie na coś trafiła. Przysunęła klawiaturę komputerową i znalazła laboratorium w wyszukiwarce. Już na głównej stronie widniała krzykliwa reklama: „U nas najszybciej sprawdzisz, czy jesteś ojcem dziecka, które wychowujesz”. Akredytowane laboratorium oferowało ekspresowy test na ojcostwo z wynikiem w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. Za badanie można było zapłacić w ratach, otrzymywało się też zestaw do pobrania próbek w domu.

Milena odchyliła się na krześle i spojrzała na wypudrowaną twarz Marty. Jej dolna warga już nie drżała, a oczy były zmęczone.

— Jesteś głodna?

Milena udało się zadać pierwsze pytanie, którym kompletnie zaskoczyła przesłuchiwanego dzisiaj świadka.

— Czy ja jestem głodna? — powtórzyła Marta, wskazując palcem na swoją pierś. — Trochę jestem.

— No to idziemy na obiad.

Milena się podniosła, Marta również, ale z wahaniem, jak gdyby myślała, że prokurator Łempicka zaraz zmieni zdanie i każe jej dalej zeznawać.

Wyszły na mokry od niedawnego deszczu bulwar. Milena podjęła decyzję, że zjedzą w Złotej Arce. W dziesięć minut dotarły na Studzienną. W pierwszej chwili chciała usiąść w restauracyjnym ogródku, ale odstraszyła ją trójka dzieci, z których jedno waliło łyżką w drewniany blat stołu i wrzeszczało. Ruszyły

krętymi schodami na piętro, tu było niewielu klientów. Milena wybrała wnąkę z kanapą i dwoma krzesłami, odosobnione miejsce, prawie jak pokój przesłuchań, tylko wykwintniejszy, z tapetą w kwiaty i mosiężnym żyrandolem. Tutaj będzie mogła zrealizować swój plan przyjacielskiej pogawędki. Usiadły naprzeciw siebie, tylko Milena sięgnęła po menu. Marta oznajmiła, że zje cokolwiek. Bez entuzjazmu zgodziła się na zupę borowikową z kluseczkami oraz smażonego halibuta z frytkami. Milena po długim namyśle wzięła dla siebie na drugie danie pieczonego sandacza z warzywami. Gdy kelner oddalił się z zamówieniem, przez chwilę siedziały w milczeniu.

— Często tu przychodzisz? — zapytała w końcu Marta.

— Tak, lubię ryby.

— Ja też, ale Seweryn nie, dlatego rzadko je robię.

— No to gdy będę następnym razem wybierać się do Złotej Arki, zadzwonię po ciebie. Zwykle sama tu siedzę i jem, w towarzystwie zawsze milej.

— Często się zaprzyjaźniasz z podejrzanymi?

— Z podejrzanymi? Nigdy. Przypominam ci, że przesłuchiwałam cię w charakterze świadka i nie mam zamiaru sporządzać przeciwko tobie aktu oskarżenia. Nie masz nic wspólnego z porwaniem Tymka. Może coś wiesz, czegoś się domyślasz, ale milczysz, bo obawiasz się, że wyjdzie na jaw twoja tajemnica.

— Jaka tajemnica?

— Gwałt i jego konsekwencje.

— To nie był gwałt, jedynie obrzydliwe zdjęcia, i to już nie jest tajemnica. Wczoraj o wszystkim powiedziałam Sewerynowi.

— I co, uwierzył w tę bajkę o pracowniku hotelu w Hiszpanii?

— Uwierzył, bo to prawda. Poza tym on był wtedy ze mną i Łucją na Costa Brava. Pamięta, że zachorowałam. Chciał nawet wzywać do mnie lekarza, ale ja mu powiedziałam, że to od nadmiaru słońca, że mi zaszkodziło, stąd gorączka i uczucie zmęczenia. Trzy dni przesiedziałam zamknięta w pokoju, bo bałam się wyjść, żeby nie trafić na tego obrzydliwego przystojniaka. — Wyjęła z torebki lusterko i zaczęła się przeglądać. — Chyba się za mocno przypudrowałam — mruknęła.

Na stole stanęły dwa talerze z apetycznie wyglądającą zupą. Zaczęły jeść. Gdy skończyły, Milena zapytała:

— Powiesz mi, kto napisał ten numer telefonu, który przed wyjściem z prokuratury poleciłam ci przepisać?

— Już mówiłam, że nie wiem.

— Wiesz, znasz ten charakter pisma, bo przepisałaś wszystkie cyfry poprawnie. Ja myślałam, że siódemka to jedynka. Zadzwoniłam pod ten numer,

no i... to może być nowy trop w śledztwie.

Niebieskie oczy Marty znieruchomiały, a dolna warga ponownie zaczęła drgać.

— W jakim śledztwie? — zapytała przestraszona.

— Mówię o porwaniu Tymka. No i co? Powiesz mi, kto zapisał te dziewięć cyfr?

Kobieta wyjęła z torebki telefon. Milena dobrze wiedziała, że Marta będzie dzwonić pod numer, który przepisywała w prokuraturze. Obserwowała ją uważnie. Nagle niebieskie oczy wypełniły się łzami, a ręka z aparatem opadła. Drobną blondynką, kryjącą twarz za maską z pudru, właśnie skapitulowała. Informacja, że abonentem jest Biuro Badań DNA, zupełnie ją rozbiła.

— Kto zna twój sekret? Powiesz mi? Nie pytam z ciekawości, każda informacja może doprowadzić mnie do twojego syna.

Kelner postawił przed nimi rybę. Milena wbiła widelec w sandacza. Był wilgotny i miękki. Marta nie sięgnęła po sztucce. Przyciskała obie dłonie do piersi, jak gdyby chciała uciszyć rozszalałe serce. Łapiąc ciężko oddech, powiedziała w końcu:

— Zuza, to jej charakter pisma.

— Czyli Zuza podejrzewała, że Seweryn nie jest ojcem Tymka. Jak na to wpadła?

— Nie wiem. Ja jej nic nie mówiłam. Gdyby była starsza, może bym się jej zwierzyła, ale to przecież dzieciak, ona ma dopiero siedemnaście lat.

— Dlaczego nie chciałaś mi powiedzieć, że to Zuza zanotowała ten numer? Tego nie rozumiem. To tak, jakbyś od razu założyła, że twoja siostra ma coś do ukrycia.

— Chyba masz trochę racji. Pamiętam, że gdy mój ojciec przynosił do domu różne rzeczy i chował je po szafach, zawsze zamykałam oczy, żeby nic nie widzieć, żeby nie wiedzieć, że jest złodziejem i właśnie ukrywa fanty. Zuza jest dobra, kochana, ale siedzi we mnie lęk, że któregoś dnia dowiem się o niej coś złego, że handluje narkotykami albo kradnie jak ojciec i brat. Gdy zobaczyłam ten numer zapisany przez nią, pomyślałam, że coś złego się za nim kryje, dlatego milczałam. — Marta schowała telefon do torebki. — Muszę porozmawiać z Zuzą. Chciałabym już iść. Mogę?

— Oczywiście, że możesz, to nie jest przesłuchanie, ale proszę, zostań, zjedz halibuta.

— Straciłam apetyt.

— To może chociaż poczekaj, aż ja skończę jeść. Mówiłam już, że nie lubię sama siedzieć w restauracji.

— Dobrze, poczekam.

Marta ponownie wyjęła telefon i wybrała numer.

— Dzwonisz do Zuzy?

— Tak. Nie odbiera. Gdzie ona się podziewa? Nie widziałam jej już od dwóch dni.

— Chcesz się dowiedzieć, czy udało się jej pobrać próbki i wysłać do tego laboratorium?

— Tak.

— A jeżeli badań DNA nie było, to co? Spróbujesz przekonać siostrę, że Seweryn jest biologicznym ojcem Tymka? Będziesz dalej brnąć w kłamstwo?

— A mam inne wyjście? Straciłam już syna, mam jeszcze stracić męża? Seweryn nie zrozumie, nie wybaczy mi. Pracownika hotelu na Costa Brava jakoś przetrawił, nawet mi współczuł, ale własnego brata... Ja i Robert... To będzie dla niego za wiele.

— Czyli to Robert cię wykorzystał i zrobił ci te zdjęcia. No i to on jest ojcem Tymka.

— Nikt nie może się o tym dowiedzieć, a zwłaszcza mój mąż.

Milena miała ochotę potrząsnąć siedzącą przed nią kobietą. Może nawet by to zrobiła, gdyby miała pewność, że uzyska pozytywny efekt. Przełknęła ostatni kawałek sandacza i zwróciła się do Marty:

— Jesteś ofiarą przemocy i nie mam tu na myśli wyłącznie gwałtu. Ofiarą byłaś już w domu rodziców. Mam rację?

Marta znowu wykonała irytujący gest ramionami oznaczający, że nic nie wie.

— Przypuszczam, że Seweryn też stosuje wobec ciebie przemoc.

Zaprotestowała od razu:

— Nie, on nie, nigdy. Mój mąż kocha mnie i wspiera. Czuję się przy nim bezpiecznie.

— A czy może Seweryn zabronił ci spotykać się z niektórymi członkami twojej rodziny albo kazał ci zerwać kontakt z dawnymi znajomymi? Czy często daje ci do zrozumienia, że coś źle zrobiłaś albo ubrałaś się nie tak, jak by sobie życzył? Czy boisz się zdenerwować własnego męża albo wprawić go w zły humor? To też jest przemoc.

Spuszczona głowa Marty była najlepszą odpowiedzią.

— Potrzebna ci jest terapia psychologiczna, żebyś odzyskała kontrolę nad własnym życiem i nie obwiniała się za krzywdy całego świata. Z policją współpracuje dobry psycholog, który pomaga ofiarom przemocy. Skontaktuję cię z nim. — Milena odsunęła pusty talerz. — Mogę zjeść twojego halibuta?

Marta bez słowa podsunęła jej swoje danie.

— Czy Robert wie, że Tymek jest jego synem? Powiedz mi, to może być ważne. Chyba rozumiesz, że on mógł stać za porwaniem.

— Po co szukasz kolejnego porywacza? Przecież jednego już masz, mój teść go zastrzelił.

Milena wytarła usta serwetką i sięgnęła po frytkę. Niemal zazdrościła swojej towarzyszce, że ta nie musi się martwić o swojego syna. Marta nie trzęsa się ze strachu, bo wiedziała, a może jedynie przeczuwała, że to brat męża stoi za porwaniem.

— Robert sam się domyślił, że jest ojcem? Mam rację?

— Nie, ja mu powiedziałam. Gdy Tymek miał cztery dni, stwierdzono u niego niedokrwistość. Lekarz powiedział mi, że muszą przetoczyć mu krew, a żeby to zrobić, trzeba oznaczyć grupę krwi Tymka i moją też. Potrzebne to było do wykonania próby krzyżowej. Lekarz nie zająknął się o grupie krwi ojca, ale wpadłam w panikę. Byłam przekonana, że Sewerynowi też sprawdzą grupę i wyjdzie na jaw, że nie jest ojcem. Zadzwoiłam więc do Roberta... Tak naprawdę chciałam jedynie zapytać, czy mają z Sewerynem tę samą grupę krwi, ale ostatecznie wyznałam mu, że jest ojcem.

Milena mimowolnie zaczęła liczyć frytki na talerzu. Robert porywaczem, to nie miało sensu. Owszem, mógł pragnąć syna tylko dla siebie. Nie chciał być wujkiem, lecz ojcem. Tę motywację rozumiała. Ale jeżeli porwał Tymka, to co dalej? Nie mógł go po prostu wziąć do swego domu i wychowywać, a wyprowadzka do innego miasta z fałszywym dokumentem adopcyjnym wiązałaby się ze zbyt dużym ryzykiem. Ale gdyby wyjechał z żoną i dzieckiem do jakiegoś egzotycznego kraju, do Nairobi albo Peru, ewentualnie do Argentyny, wtedy mogłoby się udać. Na to jednak musiałyby się zgodzić Ramira. Jak miałby ją przekonać? Co by jej powiedział? Że miał romans z bratową? Zdradę może by mu wybaczyła, ale czy porwanie też? Dziwne to wszystko, ale zarazem prawdopodobne. Ten różowy miś na nagraniu z Tymkiem, z domu Majów mogła go zabrać Ramira. Ona mogła też wrzucić paragon z zakupu pampersów do śmietnika. I jeszcze ekspertyza biegłego psychologa mówiąca, że Tymek znajdował się w pozytywnej relacji emocjonalnej z osobą, która go nagrywała...

Zadzwoiła jej komórka. Odebrała. Kończąc jeść halibuta z frytkami, uważnie słuchała relacji komisarza z przebiegu przesłuchania Seweryna Maja. Po kilku minutach rozłączyła się.

— No to wszystko jasne, właśnie twój mąż przyznał się, że zaplanował porwanie waszego syna. Nie czekaj dzisiaj na niego z kolacją, wróci do domu późno. Możesz zadzwonić i z nim porozmawiać. Dobrze byłoby też, żeby przed kolejnym przesłuchaniem skontaktował się ze swoim adwokatem. Może ten odradzi mu składanie zeznań, Seweryn ma do tego prawo, bo teraz jest podejrzanym.

Do niebieskich oczu Marty znowu napłynęły łzy. Nie próbowała ich powstrzymać, za chwilę zaczęły spływać po policzkach, pozostawiając cienkie strużki w warstwie pudru.

— Przepraszam, powinnam ci to oznajmić delikatniej. Bardzo mi przykro. Wiem, co czujesz. Naprawdę wiem, bo przeszłam przez to samo. Mój mąż też porwał naszego syna. Postaramy się jak najszybciej ustalić, gdzie jest Tymek. Twój mąż tego nie wyjawiał. Twierdzi, że nie wie.

Marta wycierała łzy wierzchem dłoni.

— Mylicie się. Seweryn nie ma nic wspólnego z porwaniem.

— Niestety, twój mąż się przyznał i brzmi to bardzo wiarygodnie. Komisarz jest pewny, że to nie jest fałszywe samooskarżenie się.

— A właśnie, że jest.

Podszedł do nich kelner i zaczął zbierać talerze. Starał się nie patrzeć na płaczącą klientkę. Milena poprosiła o rachunek.

— Muszę wracać do prokuratury. Czy masz mi coś jeszcze do powiedzenia?

Wyjęła z portfela banknot i rozglądała się, wypatrując kelnera. Miała nadzieję, że wygląda na zniecierpliwioną. Marta musi nabrać przekonania, że to ostatnia okazja do wyjawienia prawdy.

— Milena, proszę, zastanów się... Przecież to absurd. Po co Seweryn miałby porywać Tymka?

— Podobno chciał wyłudzić pieniądze od brata. Miała to też być forma zemsty na tobie. Znalazł twoje zdjęcia i pomyślał, że go zdradzasz.

— Seweryn taki nie jest.

— A jaki jest?

— Dobry, uczciwy, sprawiedliwy, zależy mu na nas.

— To dlaczego mu nie powiedziałaś, że zostałam wykorzystana przez Roberta, a Tymek nie jest jego synem? Skoro jest taki dobry, to na pewno by zrozumiał, że jesteś jedynie ofiarą.

Marta znowu wytarła łzy, na jej dłoni pozostały resztki pudru, a pod okiem pokazał się zielonkawy siniak.

— Ten twój wspaniały mąż nieźle ci wczoraj przyłał. Był jakiś konkretny powód?

— To wasza wina. — Pierwszy raz w głosie kobiety pojawił się napastliwy ton. — Powinniście nam pomóc odzyskać dziecko, a wy co? Przeszukujecie nasz dom, urządzaście nam nocne przesłuchania. Kto by to wytrzymał? Seweryn jest wrażliwy, niedawno stracił matkę, i jeszcze Tymek. Wcale się nie dziwię, że się przyznał, ja też się mogę przyznać, do wszystkiego, do porwania Tymka i zabicia teściowej. No, powiedz mi, do czego jeszcze mam się przyznać?

Milena położyła banknot na stole i podniosła się.

— Muszę iść.

Drobna blondynka złapała ją za rękę z wyjątkową siłą.

— Proszę, zostań jeszcze chwilę. Chcę ci coś powiedzieć.

Przysiadła na brzegu kanapy, dając do zrozumienia, że nie ma zamiaru zostać dłużej niż dwie, trzy minuty. Nawet torebki nie odłożyła.

Marta mówiła cicho, wpatrując się we wzór na obrusie.

— To było na chrzcinach Tymka, wtedy Robert pierwszy raz zaproponował mi, żebym mu oddała syna. Chciał, żebyśmy powiedzieli Ramirze i Sewerynowi o chwili zapomnienia. Mieliśmy wszystko zwalić na nadmiar spożytego alkoholu. Naplułam mu w twarz i zagroziłam, że go zabiję, jeżeli cokolwiek powie mojemu mężowi. Strasznie się bałam, że Seweryn się dowie, to byłby koniec naszego małżeństwa, naszej rodziny. Robert szybko wyczuł, co jest moim słabym punktem. Zaczął mnie straszyć, że pogada sobie po męsku z Sewerynem i oczywiście przedstawi mu własną wersję swojego ojcostwa, że niby ja go uwiodłam, że w genach mam kurestwo. Dał mi te zdjęcia i powiedział, że pokaże je Sewerynowi, konkretny dowód na to, że się ożenił z dziwką. Te fotki naprawdę mnie przeraziły. Gdy na nie patrzyłam... sama miałam wrażenie, że jestem kurwą. Gdyby Seweryn je zobaczył... uwierzyłby bratu, nie mnie — Marta umilkła na chwilę, bo podszedł do nich kelner z rachunkiem. Gdy się oddalił, uniosła głowę i spojrzała prokuratorkę Łempickiej prosto w oczy. — Byłam w sytuacji bez wyjścia, w potrzasku, tak wtedy czułam. Życzyłam Robertowi śmierci, marzyłam, że zginie w wypadku samochodowym. Niestety, żył dalej i mnie nękał. Pewnego dnia dał mi nadzieję, że Seweryn się o niczym nie dowie. Jeżeli oddam mu Tymka, to on nic nie powie. Jak niby miałam to zrobić? Wyjść z domu z synem, wrócić sama i powiedzieć mężowi, że ktoś mi dziecko ukradł z wózka? Robert powiedział, że właśnie tak, porwanie to znakomity pomysł. Zaczął układać plan uprowadzenia Tymka. Nie chciałam się zgodzić. Nawet straszenie już tak na mnie nie działało. Robert jest sprytny, bardzo przebiegły. Rzucił haczyk z przynętą, na który się złapałam. Przynętą były niemałe pieniądze. Nam zawsze brakowało, wieczny debet, karty kredytowe, z których nie można korzystać. Seweryn chodził po domu wściekły. Miał do mnie pretensje, że za dużo wydaję, że Zuza jest na naszym utrzymaniu. A ja oszczędzałam, jak tylko się dało. Robert obiecał mi pół miliona. Myślałam tylko o jednym, jak bardzo ta suma poprawiłaby naszą sytuację i samopoczucie mojego męża.

Marta umilkła. Obiema dłońmi zasłoniła usta, jak gdyby wystraszyła się swojego wyznania. Już było za późno na cofnięcie wypowiedzianych zbyt pochopnie słów. Teraz patrzyła na prokuratorkę wzrokiem skazańca czekającego na



ogłoszenie wyroku śmierci. Milena nie potrafiła się powstrzymać od surowej oceny.

— Sprzedałaś syna za pół miliona?

Marta się skuliła. Była jak wystraszone zwierzę, które znalazło się w realnym zagrożeniu. Rozejrzała się, szukając możliwości ucieczki. Nagle się wyprostowała, podjęła decyzję, że będzie się bronić.

— Gdy Tymek miał sześć tygodni, zaczęłam go karmić z butelki. Pamiętam, jak robiłam to pierwszy raz. Włożyłam mu smoczek do ust, a on nagle zaczął krzyczeć. Okazało się, że źle dokręciłam butelkę i mleko wylało mu się na twarz. Patrzyłam na wrzeszczącego synka, na jego oczy i nos zalane mlekiem i myślałam, że dobrze mu tak. Za chwilę zaczęłam go wycierać, całować po buzi i przeproszać. To się powtarzało, uczucie satysfakcji, gdy Tymkowi działo się źle. Gdy płakała Łucja, biegłam do niej od razu. Gdy Tymek zaczynał płakać, wsłuchiwałam się przez kilkanaście minut w jego krzyki. Czułam wtedy jakąś niezdrową przyjemność połączoną z bólem. Potem zawsze łapałam synka na rękę i przytulałam go mocno, i przeproszałam. Gdy Robert zaproponował mi, żebym oddała mu syna, zaczęłam rozmyślać, jak byłoby dobrze, gdyby Tymka z nami nie było. Wtedy byłabym mniej poirytowana, bardziej odprężona i cierpliwa. Kocham syna, ale on zakłócał spokój mojej rodziny. Czułam, że jeżeli z nami zostanie, to któregoś dnia wszystko pęknie, rozsypie się. Szukałam informacji na forach internetowych i znalazłam potwierdzenie moich obaw. Jedna z kobiet nazwała swoje dziecko z gwałtu koniem trojańskim, a inna bombą z opóźnionym zapłonem. Nie jestem wyrodną matką, broniłam rodziny, przede wszystkim Łucji. Chciałam, żeby miała oboje rodziców, szczęśliwy dom. Poza tym miałam oddać Tymka prawowitemu ojcu. Czy to zbrodnia?

Milena wyjęła z torebki chusteczki higieniczne i podała Marcie. Tamta głośno opróżniła nos.

— Co wiesz o samym porwaniu?

— Nic, przysięgam, nic... Ja tylko wyraziłam na nie zgodę. Robert mnie nie informował o żadnych szczegółach, a ja nie pytałam, wolałam nie wiedzieć. Nawet nie miałam pojęcia, którego dnia to nastąpi.

— Gdzie teraz jest Tymek?

— Nie wiem. Od czasu porwania nie zamieniłam z Robertem ani słowa.

— Nie chciałaś się dowiedzieć, jak się czuje twój syn?

— Chciałam, ale nie potrafiłam zapytać. Naprawdę się o niego martwię. Mam nadzieję, że wszystko z nim dobrze.

— Zadzwoń teraz do Roberta i zapytaj o Tymka.

Najpierw się zawahała, przez krótki moment była gotowa zaprotestować, ale po chwili wzięła telefon i zaczęła przeszukiwać kontakty. Przyłożyła aparat do

ucha. Czekala na polaczenie, oblizujac wargi. Z wyraza na ulga szepnela:

— Nie odebral.

— Powinnaś teraz wrócić ze mną do prokuratury i złożyć zeznania.

— Proszę, odłóżmy to na jutro. Muszę się zająć Łucją. Zapewne Ramira zaraz odwiezie ją do domu. Czy mam zapytać Ramirę o Tymka?

— Mam rozumieć, że Ramira wie, iż jej mąż jest ojcem Tymka?

— Tak, od dawna wie. Uwierzyła, że oboje byliśmy pijani.

— A co ona wie o porwaniu?

— Myślę, że ją poinformował, ale czy na pewno...

— Nie pytaj dzisiaj Ramiry o Tymka. Zostaw to nam.

Milenie się spieszyło. Chciała się skontaktować z Kamilem i całym zespołem. Muszą ustalić, co dalej robić. Wezwanie Roberta do prokuratury w celu przesłuchania nie wydawało jej się dobrym pomysłem. Przyjdzie z najlepszym w północnej Polsce adwokatem i do niczego się nie przyzna.

— Masz może maile albo esemesy, w których Robert pisze o porwaniu Tymka albo chociaż nakłania cię, żebyś mu go oddała?

— Nie, bo my na ten temat tylko twarzą w twarz.

— Wracaj do domu. Gdyby Robert dzwonił, nie odbieraj. Czekaj, aż ja się do ciebie odezwę albo komisarz Soroka.

Milena podniosła się, już nie widziała zgarbionej, zapłakanej blondynki. Myślami wybiegała w przód. Zastanawiała się, czy śledzenie Roberta wystarczy. Może lepiej przygotować jakąś prowokację z udziałem Marty?

Tamta nagle zaczęła ją błagać:

— Proszę cię, zostawmy to. Tak jest dobrze. Jeżeli tylko się zastanowisz, przyznasz mi rację. Tymka będzie wychowywać jego ojciec, który go bardzo kocha. A ja zachowam rodzinę, Łucję i Seweryna.

— I pół miliona.

— Tak, pół miliona, jeżeli Robert da mi tę kasę. Proszę, odpuść, nie rujnuj nam życia.

Milena pomyślała, że w takiej sytuacji jeszcze nie była. Kobieta, której porwano dziecko, błaga ją, aby go nie szukać. Parę dni temu łączyła ją z Martą ta sama tragedia, im obu uprowadzono synów. Teraz dzieliła je przepaść.

— Wracaj do domu i nie próbuj uprzedzić Roberta.

Prędkim krokiem ruszyła w stronę schodów. Odprowadzał ją szloch Marty i zaskoczone spojrzenie dwójki gości z sąsiedniego stolika.

# Rozdział XII

## *Dzień dwunasty, przedpołudnie*

Milena siedziała w sali konferencyjnej na komendzie. Po lewej ręce miała aspiranta Nowaka, a po prawej sierżanta Pocięgę. Dołączył do nich naczelnik Kamiński zaniepokojony rozwojem sprawy. Wszyscy byli sfrustrowani, każde z nich zarzucało sobie opieszałość w działaniu. Milena nie mogła przeboleć, że nie podjęła wczoraj decyzji o doprowadzeniu Roberta Maja do prokuratury w celu przesłuchania. Dzisiaj było to już niemożliwe, bo zniknął wraz z żoną.

Robert i Ramira dosłownie zapadli się pod ziemię. O siódmej rano komisarz Soroka zapukał do drzwi ich domu w Dąbrowie. Odpowiedziała mu cisza. Żadne z Majów nie odbierało też telefonu. Drzwi zostały otworzone o ósmej pięćdziesiąt trzy przez ślusarza. W środku nikogo nie było. Kamil wraz z Rumunem przeszli się po wszystkich pomieszczeniach. W kuchni zobaczyli patelnię z podsmażonymi pieczarkami, w sypialni znaleźli dwie komórki, a w niewielkim pokoju przy łazience natknęli się na suszarkę z wilgotnym jeszcze praniem. Aspirant Nowak przy pomocy trzech funkcjonariuszy rozpoczął przeszukiwanie. Interesowały ich głównie ślady obecności kilkumiesięcznego dziecka. W szafie znaleźli płócienną torbę z kilkoma niemowlęcymi ubrankami. Trzy pary śpioszaków, cztery koszulki, jeden sweterek, dwie pary skarpetek, jedna czapeczka, żadna z tych rzeczy nie była używana, nadal miały metki.

Policjanci pilnujący domu Majów zapewniali, że nikt z niego nie wychodził. Na podjeździe stało bmw Roberta, a w garażu toyota Ramiry. Dopiero gdy Rumun zszedł do piwnicy, zorientował się, jak uciekli. Wydostali się przez okienko piwniczne, przeszli przez płot na posesję sąsiadów, a stamtąd bramką na ulicę. Ten sposób opuszczenia domu zastanowił Milenę. Znaczyłoby to, że nie mieli ze sobą Tymka. Dziecko przenoszone przez piwniczne okienko, a potem przez ogrodzenie musiałyby płakać. Do policjantów taki dźwięk nie dotarł, być może byli za daleko albo mieli włączone radio w samochodzie. Sąsiedzi powinni jednak usłyszeć płacz dziecka, a zapewniali, że nie słyszeli.

Milena wodziła wzrokiem za komisarzem chodzącym wzdłuż konferencyjnego stołu. Był wściekły, że pozwolił uciec Robertowi.

— Macie jakiś pomysł, jak namierzyć Majów? — zapytał Kamil.

— Najpierw gadaj, co już zrobiłeś — polecił inspektor Kamiński.

— Standardowe czynności, kontrolujemy lotniska i linie lotnicze, powiadomiliśmy straż graniczną, wszystkie patrole otrzymały zdjęcia tej dwójki. Sprawdziliśmy monitoring na dworcu, tam ich nie było. Skontaktowaliśmy się ze wszystkimi wypożyczalnią samochodów w promieniu stu kilometrów od Elbląga. Ani Robert, ani Ramira nie wypożyczyli wozu w ciągu ostatniego tygodnia. Oni jednak muszą się czymś poruszać. Zakładam, że chcą się dostać za granicę, do Niemiec, może do Holandii, a stamtąd samolotem dalej.

Głos zabrał Rumun.

— Jeżeli to była zaplanowana ucieczka, to Robert Maj mógł kupić samochód trzy dni temu i jeszcze go nie przerejestrować. Mógł też pożyczyć wóz od znajomego. Po samochodzie ich raczej nie znajdziemy.

— Ale po telefonie może się uda — wtrącił się sierżant Pocięcha. — Oni muszą mieć przy sobie jakiś telefon, no bo jak bez telefonu. Trzeba sprawdzić, jakie numery logowały się przez ostatnią dobę w ich domu.

— Beata już się tym zajęła, ale to potrwa. Trzeba zrobić selekcję numerów, bo przy okazji zlokalizowaliśmy też telefony sąsiadów, przechodniów, listonosza i jeszcze paru innych osób.

— A co z tartakiem? Zostawił dorobek życia i zwiął? — zapytała Milena.

— Nie, sprzedał go dużemu przedsiębiorstwu drzewnemu z kapitałem austriackim. Wczoraj podpisał umowę, wczoraj też na jego rachunek bankowy wpłynęło dziewięć milionów. W tartaku o niczym nie wiedzą, wszyscy są zaskoczeni. Owszem, plotki były, ale nikt do końca nie wierzył w tę sprzedaż, przecież ten tartak to kura znosząca złote jajka.

— A może by pani wysłała dyspozycję do banku, żeby mu to konto zablokowali — zaproponował Pocięcha. — Jeśli nie będą mieli kasy, to trudniej im będzie się ukrywać.

— Nie mogę tego zrobić, bo te pieniądze nie pochodzą z przestępstwa. Poza tym lepiej obserwować operacje bankowe Roberta, może w ten sposób trafimy na ich trop.

Do sali konferencyjnej wpadła sierżant Gryś. W przeciwieństwie do nich wyglądała na zrelaksowaną. Milena z zazdrością pomyślała, że ten typ urody tak po prostu ma, zawsze prezentuje się dobrze.

— Mamy ich! — zawołała Beata. — Kupili bilety w Locie na samolot do Londynu, lecą o siedemnastej. Tylko oni dwoje, bez dziecka.

— Nigdzie nie polecą — odezwał się Rumun. — Nie po to nocą uciekali przez piwnicę, żeby teraz oficjalnie wsiąść do samolotu. Chcą, żebyśmy ich tam szukali, a tymczasem wyjadą z Polski w inny sposób.

— Kupili te bilety dzisiaj? — zapytał sierżant Pociecha.

— Tak, przed godziną, i od razu odprawili się przez internet.

— No to wracamy do telefonu, będę się upierał, że jakiś muszą mieć. Daję głowę, że przez internet w telefonie kupili te bilety i przez telefon się odprawili.

— Też tak myślę — komisarz się ożywił. Pojawiła się w końcu realna szansa szybkiego namierzenia Majów. — Trzeba sprawdzić tę transakcję. Jeżeli użyli telefonu, to będziemy mieli jego numer IMEI. Żeby tylko nie wyjęli baterii z aparatu.

Godzinę później Milena siedziała z komisarzem w swoim samochodzie zaparkowanym na policyjnym parkingu. Uchyliła okna, mogli więc delektować się lekkim ruchem powietrza. Każdy jego powiew sprawiał, że czuła zapach męskiej wody toaletowej połączony z wonią dymu papierosowego. Pochyliła się do schowka niemiłosiernie zapchanego książkami, ulotkami i mapami, których nie używała od lat. Wyjęła kopertę i położyła ją na kolanach.

— Dostałam dzisiaj ekspertyzę tego rysunku, który znalazłam w swojej skrzynce na listy.

— No i co?

Wyjęła z koperty ołówkowy szkic twarzyczki Krzysia. Chłopiec z dużymi oczami znowu uśmiechał się do niej z kartki.

— Miałeś rację, tego rysunku nie zrobił mój mąż. Na pierwszy rzut oka portrety Krzysia wydają się identyczne, ale biegły znalazł sporo różnic. Przede wszystkim Paweł miał długą kreskę, a ten, kto robił kopię, ma inną technikę posługiwania się ołówkiem. Poza tym ten ktoś często gumkował, poprawiał swój szkic. Mój mąż tego nigdy nie robił. Jeżeli coś mu nie wyszło, to wyrzucał rysunek i zaczynał kolejny. Ponadto nacisk ołówka na papier też się różni.

— Przykro mi. Zapewne miałaś nadzieję, że to w końcu jakiś konkretny ślad.

Milena usłyszała w głosie Kamila ciepły ton. Współczuł jej, to miłe.

— Liczyłam się z tym, że ekspertyza właśnie to wykaże. — Rzeczywiście zakładała, że dostarczony jej szkic nie został sporządzony przez Pawła. Gdy jednak zapoznawała się z opinią biegłego, poczuła silną frustrację. Znowu nic nie miała. — Pojadę dzisiaj do aresztu śledczego. Chciałam zapytać sędziego Lasockiego, w jaki sposób jego przyjaciele dotarli do oryginalnego portretu mojego syna. Przecież tylko ja mam go w posiadaniu. Włamali się do mojego mieszkania?

Kamil obrócił się w jej stronę. Milena pomyślała, że zaraz wykona jakiś serdeczny gest, pogłaszczę ją po policzku albo chociaż uściśnie dłoń. Niestety,

sięgnął jedynie do tylnej kieszeni spodni i wyjął papierosy.

— Uważaj na sędziego. Prawdopodobnie dalej będzie próbował cię przekonać, że potrafi odnaleźć twojego męża i syna. Powiedz mi jeszcze, co wykazała ekspertyza daktyloskopijna.

— A to akurat jest ciekawe. Autor kopii nie zostawił śladu swoich linii papilarnych, zapewne miał rękawiczki. Ale na rysunku znalazły się odciski palców małego dziecka. Biegły uważa, że mógł je pozostawić dwu, trzylatek.

Kamil się uśmiechnął. Trzymał w palcach niezapalonego papierosa.

— Z tym rysunkiem to właściwie dziwne. Sędzia powinien przewidzieć, że oddasz go do ekspertyzy i będziesz wiedziała, że to żaden dowód.

— To nie miał być dowód na to, że mają kontakt z moim mężem, to miało mnie rzucić na kolana i prawie im się udało. Gdy wyjęłam ten rysunek z koperty... byłam w szoku. W tamtej chwili zrobiłabym wszystko, żeby tylko zobaczyć Krzysia.

Patrzyła na komisarza. Był ubrany w błękitną koszulę pasującą do jego jasnych oczu. Wyciągnęła rękę i przesunęła palcami po jego krótko ostrzyżonych włosach. Odsunął się.

— Idę zapalić.

Wysiadł. Milena poczuła się jak nastolatka starająca się o względy starszego kolegi i obcesowo przez niego odtrącona. No cóż, skoro rzeczywiście zachowuje się jak sentymentalna małolata... Teraz może tylko pokazać Kamilowi, że ma do ich związku duży dystans. Zatrąbiła. Gdy się obejrzał, przesłała mu buziaka. Udało się, uznał to za żart. Widziała, jak się zaśmiewa.

Pierwszy raz miała się znaleźć za murami aresztu śledczego. Nigdy nie przyjeżdżała na Halicką przesłuchiwać podejrzanych, zawsze dowożono ich do prokuratury. Dzisiaj zrobiła wyjątek, bo nie chodziło o przesłuchanie, lecz o prywatną rozmowę. Podała przez okienko legitymację służbową i oznajmiła, że chce się widzieć z osadzonym Edwardem Lasockim. Funkcjonariusz był lekko zdezorientowany, podał jej kluczyk do szafki i zaczął wyliczać rzeczy, których nie wolno jej zabrać na widzenie. W połowie przerwał, dotarło do niego, że ma przed sobą prokuratora. Przez dwie minuty czekała przy windzie na kolejnego pracownika służby penitencjarnej, który zaprowadził ją do pokoju widzeń. Gdy zobaczyła szybę i telefon, oznajmiła uprzejmie, że chce rozmawiać z osadzonym w pomieszczeniu przeznaczonym do przesłuchań. Funkcjonariusz przeprosił ją i wyszedł. Wrócił za moment zakłopotany. Tłumaczył, że pracuje tu od sześciu lat i to pierwsza wizyta prokuratora. Myślał, że tylko najgroźniejsi przestępcy przesłuchiwani są w areszcie, a przecież osadzony Lasocki do tej kategorii nie należy, choć zarzut ma z artykułu 148. Nagle go olśniło, uśmiechnął się szeroko.

— Już rozumiem, pani przyjechała do swojego kolegi, przecież Lasocki to sędzia.

Funkcjonariusz otworzył przed nią drzwi niewielkiego pokoju. Nie było tu wietrzone od kilku tygodni, na stole zalegała cienka warstwa kurzu, na ścianie wisiało godło Polski.

— Oczywiście pani prokurator nie życzy sobie obecności funkcjonariusza przy przesłuchaniu. Tak?

— Tak.

— A mam włączyć kamerę?

Pracownik aresztu śledczego spojrział w oko kamery tkwiące w rogu pokoju.

— Nie, nie trzeba. Protokolanta też nie potrzebuję, sama będę pisać.

Funkcjonariusz wyszedł, a Milena uchyliła okno. Było zakratowane i wychodziło na niewielki spacernik otoczony ze wszystkich stron murem. Gdyby miała się po nim przechadzać, już przy drugim okrążeniu dostałaby napadu klaustrofobii. Usiadła za stołem i wyjęła protokół, wstawiła datę i godzinę, resztę miała już zanotowaną — nie tylko swoje pytania, ale również odpowiedzi sędziego Lasockiego. Przepisała je z poprzednich protokołów. Miało wyglądać na to, że Lasocki podtrzymał swoje wcześniejsze zeznania. Brakowało tylko jego podpisu.

Gdy sędzia wszedł do pokoju przesłuchań, miała ochotę się podnieść. „Proszę wstać, sąd idzie”, ten telewizyjny zwrot pasował idealnie do obecnej sytuacji. Z postawy sędziego Lasockiego bił majestat władzy, a jego posągowa twarz wyrażała surowość i powagę. Ten człowiek nigdy nie przestanie jej zaskakiwać. Przebywał w areszcie śledczym dziesięć miesięcy, był podejrzany o morderstwo, a nadal zachowywał się jak ostoja sprawiedliwości.

— Pani prokurator, miło panią widzieć. — Sędzia się uklonił. — Nowe zwyczaje pani wprowadza w relacji z osadzonymi. Żeby osobiście do aresztu śledczego... Nie spodziewałem się tego po pani.

Sędzia ironizował, ale na jego twarzy malował się wciąż ten sam niewzruszony spokój.

Milena przesunęła kartkę z protokołem po stole, wzniecając niewielki obłok kurzu.

— Proszę podpisać, to jest dzisiejsze przesłuchanie.

Usiadł naprzeciw i zaczął czytać. Zauważyła, że jest elegancko ubrany, biała koszula i grafitowa marynarka. Zaciekawilo ją, czy to jego codzienny ubiór w areszcie. A może przebrał się na spotkanie z nią? Żeby czuć się pewniej, a przede wszystkim pokazać, że nadal jest dumny i silny, a ona nie zdoła go złamać. Podpisał protokół zamaszystym ruchem i oddał go, nie zadając żadnego pytania.

— Jak się tu panu żyje? — zagadnęła, jak gdyby wpadła na towarzyską pogawędkę.

— Dziękuję, w końcu mam czas, żeby poczytać.

— A bierze pan udział w jakichś programach resocjalizacyjnych?

Z pełną świadomością nie przechodziła od razu do sedna. Chciała choć trochę naruszyć jego spokój. Powinien gorączkowo się zastanawiać, z jakim wyrokiem do niego przyszła. Czy go stąd wypuści, czy wyśle za kratki na dwadzieścia pięć lat?

— Nic ciekawego dla siebie nie znalazłem. Nie pociąga mnie ani wizyta w hospicjum, ani spotkanie z kombatanem. Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie wziąć udziału w sprzątaniu cmentarzy, zawsze to praca na świeżym powietrzu, trochę ruchu, ale ostatecznie zrezygnowałem. Nie nudzę się jednak, jest tu dobrze wyposażona siłownia. Poza tym udzielam porad prawnych osadzonym, piszę też w ich imieniu pisma do prokuratury i sądu.

Mówił spokojnie, nie okazując nawet odrobiny zniecierpliwienia.

— A jakieś zajęcia kulturalne, rysunek? Spektakle? — ciągnęła dalej.

— Pani Mileno, ja nie mam takich talentów. No może gdyby akurat wystawiano sztukę, której akcja toczy się w sali sądowej...

Zapytała jeszcze o posiłki, współlokatorów z celi i samopoczucie. Sędzia dostosował się do wymogów towarzyskiej konwersacji i też zadał jej kilka grzecznościowych pytań. Już wiedziała, że nie wyprowadzi tego człowieka z równowagi, przeszła więc do rzeczy.

— Był u mnie pana przyjaciel i złożył mi ofertę. Za pana wolność informacje o moim mężu i synu.

— To również pani przyjaciel. Chcemy pani pomóc.

— Próbuje mnie pan skorumpować. Nie będę twierdzić, że jestem nieprzekupna, bo to zależy od tego, co miałabym dostać. A wydaje mi się, że nie jest pan w stanie dać mi rzetelnych informacji o miejscu pobytu mojego męża i syna.

— Jest pani tego pewna?

Wyjęła z torebki ołówkowy szkic twarzyczki Krzysia i podała sędziemu.

— Po co było wrzucać ten rysunek do mojej skrzynki? Po to, żeby mnie zmiękczyć, osłabić? Nie udało się panu.

— Pani Mileno, domyślam się, że na tym obrazku jest pani syn. Mam rację?

Kiwnęła twierdząco głową.

— I myśli pani, że to mój przyjaciel go podrzucił na moje polecenie? Informuję, że nie mam nic wspólnego z tym rysunkiem. Przedstawiłem pani uczciwą ofertę i nie mam zamiaru zmuszać pani do jej przyjęcia.



— Mam tak po prostu uwierzyć, że odnalazł pan Pawła i Krzysia? Przecież ja ich szukam od czterech lat i nic, jak kamień w wodę. A panu się udało? Jakim cudem?

— Pani się wspiera policją, a ja służbami specjalnymi, tam mam przyjaciół.

Milena poczuła ogromny przyływ nadziei, miała wrażenie, że sędzia właśnie wyciąga ją z głębokiej wody. Chciała jednak usłyszeć więcej, niech jeszcze rzuci jej koło ratunkowe, które pozwoli jej dopłynąć do brzegu.

— Co ustalili pana przyjaciele? Proszę mi coś dać, bo inaczej uznam, że pan blefuje.

— Nie składałbym pani takiej propozycji, gdybym nic nie wiedział. Musi mi pani zaufać.

— Mam zaufać mordercy?

— Ja tego mężczyzny nie zabiłem.

— A to już ustali sąd na podstawie dowodów. Pana pistolet, z pana liniami papilarnymi na spuście...

— Przed tym też chciałem panią uchronić.

— Niby przed czym?

— Przed błędem, przed posłaniem do zakładu karnego niewinnego człowieka i przed pozostawieniem na wolności prawdziwego sprawcy, który na pewno zabije po raz kolejny. Pani prokurator, mówię pani, że to mój syn zastrzelił tego człowieka. Zabrał broń z mojego biurka, chciał zabić mnie, ale się pomylił i strzelił do tamtego. Przypuszczam, że to nie było jego pierwsze morderstwo. Sądzę, że zastrzelił też swojego kolegę z klasy i upozorował jego śmierć na samobójstwo.

Sędzia mówił spokojnie, jak gdyby przemawiał na sali sądowej. Na jego twarzy nie drgnął żaden mięsień, nawet źrenice pozostały nieruchome. Z kolei Milena miała wrażenie, że w jej wnętrzu eksplodowała bomba wściekłości. Lasocki próbował ją przekupić, może nawet oszukać. Nie wzbudzało to w niej negatywnych emocji. Rozumiała, że szuka sposobu, by uniknąć kary. Ale oskarżanie własnego dziecka... Tego było za wiele. W wyobraźni ujrzała twarz Patryka Lasockiego, jego ciemne, duże oczy podobne do oczu jej syna. Tyle było w nich serdeczności, a także smutku. Patryk miał nadzieję, że ona doprowadzi do skazania jego ojca. W tej nadziei musiał też tkwić lęk, obawa przed tym, że sędzia może uniknąć kary. Wtedy los Patryka byłby nie do pozazdroszczenia. Życ pod jednym dachem z ojcem, który jest pozbawionym uczuć potworem i mordercą, makabram. Nie, ona tego Patrykowi nie zrobi.

Podniosła się, z hałasem odsuwając krzesło.

— Dziękuję za rozmowę. Nie przyjmuję pana oferty.

Ruszyła w stronę drzwi. Wiedziała, że stoi za nimi funkcjonariusz.

— Pani syn chodził przez cztery miesiące do szkoły w Falun.

Stanęła z ręką wyciągniętą w stronę klamki i na moment straciła oddech. Przyszło jej do głowy, że tylko martwi nie mają nadziei.

— Proszę nie przeglądać szkolnych stron w tym mieście, nie znajdzie go pani na żadnym klasowym zdjęciu. Żaden z tamtejszych dzieciaków na swoim profilu nie ma też fotki pani syna. Ojciec musiał go dobrze wyszkolić, skoro chłopcu udało się uniknąć obiektywu.

— Czy to sprawdzona informacja? — zapytała drżącym głosem.

Wciąż stała tyłem do sędziego. Bała się, że ten przestanie mówić, gdy ona się odwróci.

— Jest jednak jedno zdjęcie, na którym może pani zobaczyć męża i syna. Musi pani wejść na stronę klubu kibiców skoków narciarskich w Falun i przejrzeć fotografie zrobione na tamtejszej skoczni w styczniu ubiegłego roku. Pani mąż zabrał syna na konkurs skoków, tam zostali sfotografowani. Trudno ich rozpoznać, mają na twarzach wymalowane szwedzkie barwy, ale to są na pewno oni. Dziesięć miesięcy temu zniknęli z Falun.

— Wie pan, gdzie są teraz?

— Skończymy tę rozmowę później, na wolności. Tylko od pani zależy, czy będzie ciąg dalszy.

Sędzia się podniósł, wyminął ją przy drzwiach i wyszedł na korytarz. Za chwilę do pokoju zajrzał funkcjonariusz.

— Czy mam odprowadzić osadzonego do celi?

— Tak, proszę.

Milena chciała jak najszybciej usiąść przed komputerem i odnaleźć zdjęcie, na którym był jej ukochany syn. Musiała jednak czekać, aż przyjdzie po nią pracownik służby penitencjarnej i zwiezie ją windą na parter. Chodząc po korytarzu, uruchomiła internet w komórce i zaczęła szukać. Z niemałym trudem odnalazła stronę prowadzoną przez fanów skoków narciarskich z Falun. Otworzyła pierwsze zdjęcie i wtedy funkcjonariusz zaprosił ją do windy. Przycisnęła telefon do piersi, zaraz zobaczy swojego synka, pierwszy raz od czterech lat. Czy go pozna? Zdjęcie zostało zrobione dwa i pół roku po zniknięciu. Na pewno go pozna, nawet gdyby minęły dwie dekady, też by go rozpoznała. Postanowiła nie jechać ani do domu, ani do prokuratury. Przejrzy galerię zdjęć w telefonie, nie szkodzi, że ekran jest malutki. Musi go zaraz zobaczyć, nie da rady dłużej czekać. Zdjęła marynarkę, rzuciła ją na tylne siedzenie i usiadła za kierownicą. Pierwszym zdjęciom przyglądała się długo, skupiając się na analizie widzianych twarzy i sylwetek. Dominowały nordyckie rysy, u mężczyzn mocne żuchwy i długie nosy, u kobiet wąskie usta i szerokie kości policzkowe. Niekiedy pojawiały się też osoby o urodzie orientalnej

i słowiańskiej. Potem Milena szybciej przesuwała zdjęcia, zatrzymując wzrok na fotografiach tylko przez sekundę, może dwie. W końcu ich zobaczyła. Stali na drugim planie, przed nimi trzy roześmiane blondynki i to im fotograf robił zdjęcie. Ich głowy były lekko zwrócone w lewo. Zapewne obserwowali skaczącego zawodnika. Na ich policzkach widniały niebieskie prostokąty z żółtymi krzyżami. To byli oni, nie miała żadnych wątpliwości. Buzia Krzysia nieco się wydłużyła, znikło dziecięce zaokrąglenie podbródka, ale oczy były te same, duże i ciemne. W twarzy Pawła dawało się zauważyć zawziętość, chyba przez te ściągnięte brwi. Milena ciężko oddychała, brakowało jej powietrza, uchyliła okno. Krzysiu żyje, miała na to dowód, na taką informację czekała prawie cztery lata. I co teraz? Starła się myśleć rozsądnie, nie jak zdesperowana matka, ale jak prokurator. Paweł i Krzysiu zniknęli z Falun, ale musiał pozostać po nich jakiś ślad, przecież jej syn chodził tam do szkoły. To by znaczyło, że znał szwedzki, a więc musieli długo przebywać w tym kraju. Powinna jechać do Szwecji i przy pomocy tamtejszej policji rozpocząć poszukiwania. Zdawała sobie sprawę, że sukces nie jest wcale pewny, poza tym ten sposób poszukiwania może się ciągnąć latami.

Spojrzała na dawne pruskie więzienie, obecnie areszt śledczy. Za tymi murami przebywał człowiek, który mógł wiedzieć więcej o jej ukochanym chłopcu. Sędzia Lasocki czerpał informacje od kogoś ze służb specjalnych. To by znaczyło, że polski kontrwywiad miał na celowniku jej męża. Dlaczego? Co on takiego zrobił? Czy wiedzą, że Paweł jest chory?

Powiększyła zdjęcie na ekranie i z czułością musnęła palcami twarz Krzysia.

— Znajdę cię, kochanie — szepnęła. — Obiecuję.

## *Dzień dwunasty, wczesny wieczór*

Prom Stena Spirit prezentował się bardzo okazale. Była to jedna z największych jednostek pływających po Bałtyku, mieszcząca aż tysiąc siedemset osób. Robert nie mógł się doczekać, kiedy zaczną wpuszczać na pokład. Chodząc nerwowo po terminalu, patrzył na statek podobny do wieżowca. Gdy tylko się na nim znajdą, będą bezpieczniejsi. Łudził się, że policja nie będzie brała pod uwagę drogi morskiej jako sposobu wydostania się z kraju. Potem tylko muszą dojechać do Sztokholmu, a stamtąd jutro o czternastej mają samolot do Buenos Aires. Zastanawiał się też, czy nie jechać rozsypującą się skodą

pożyczoną od pracownika tartaku do samej Szwecji, przez most z Kopenhagi do Malmö. Obawiał się jednak, że wtedy mogą nie zdążyć na samolot. Zobaczył, że jego żona odkłada gazetę i chwyta torbę. Pozostali pasażerowie też się ożywili. Robert odetchnął z ulgą, mogli w końcu wejść na pokład.

Rampa doprowadziła ich do recepcji znajdującej się na szóstym pokładzie. Tam odebrali kartę magnetyczną, po czym weszli w wąskie korytarze i zaczęli szukać kajuty. Szedł za Ramirą, ona lepiej znała ten statek, miała na nim pokazy taneczne w zeszłym roku latem. Widział, jak nieliczni mężczyźni kręcący się po pokładzie patrzą na jego żonę. W ich spojrzeniach kryły się zachwyt i tęsknota. Bez wątpienia Ramira była kobietą marzeń. Szła pełnym wdzięku krokiem, kołyszając lekko wąskimi biodrami. Miała na sobie czarne obcisłe spodnie, pantofle na wysokim obcasie i białą bluzkę w czarne serca. Strój pasujący idealnie do jej egzotycznej urody, podkreślający oliwkowy odcień skóry i wydobywający głębię czarnych oczu i włosów. Ubranie kupiła przed kilkoma godzinami w Galerii Bałtyckiej. Gdy opuszczali dom przez piwniczne okienko, miała na sobie dzinsy i zwykłą, bawełnianą koszulkę. Bardzo ubolewała nad tym, że nie może ze sobą zabrać swoich sukien do tańca.

Gdy wczoraj po odwiezieniu Łucji wróciła do domu z informacją, że prokurator Łempicka już wie, bo Marta wyznała jej prawdę, podjął decyzję w ciągu pięciu minut. Musi uciekać. Dał żonie wybór. zaproponował, żeby została, dobry adwokat poradzi sobie ze wszystkimi zarzutami, jakie prokuratura mogłaby jej postawić. Potem jako niewinna osoba dołączy do niego za granicą albo uda się do dowolnego miasta na świecie. Oczywiście zabezpieczy ją finansowo. Spojrzała na niego ciemnymi oczami, w których widać było zaskoczenie i dezaprobatę dla jego propozycji. Wybaczyła mu wszystkie kobiety na boku, również romans z bratową, zgodziła się wychowywać jego syna, który był owocem zdrady. A teraz miałyby od niego odejść? Zaczęła się od razu pakować, do torby podróźnej włożyła swoją najnowszą suknię do tańca standardowego, ozdobioną kryształkami Swarovskiego i strusimi piórami. Spokojnie jej wyjaśnił, że nie biorą ze sobą żadnych bagaży, bo muszą po cichu opuścić dom, i to zaraz.

Był wdzięczny żonie, że teraz z nim jest. Właściwie trudno byłoby jej podjąć inną decyzję. Poza nim nie miała przecież nikogo. Owszem, jakąś daleką rodzinę w Argentynie, ale słabo ich pamiętała. Wyjechała stamtąd w wieku siedemnastu lat. Gdy go poznała, była dziewiętnastolatką. Domyślał się, że też go zdradzała, gdy wyjeżdżała na te swoje taneczne turnieje, ale były to tylko przygody, a on był jej ostoją. I wcale nie chodziło o pieniądze, o wysoki standard życia, o możliwość kupowania sukien za kilka tysięcy dolarów. Taka kobieta jak Ramira mogła znaleźć sobie jeszcze bogatszego sponsora. Była z nim, bo go kochała, bo się do

niego przywiązała, on do niej też. Ta piękna brunetka o pogodnym usposobieniu była częścią jego życia, gdyby odeszła, byłoby mu ciężko, czułby jej brak każdego dnia.

Weszli do kajuty, tak ciasnej, że z trudem się wymijali. Podręczne torby kupione w Galerii Bałtyckiej nie chciały się zmieścić między drzwiami a piętrową koją. Ramira oznajmiła, że idzie pod prysznic. Zaczęła się rozbierać w kajucie, bo łazienka była zbyt mała. Postanowił zrobić jej więcej miejsca, udał się więc do bufetu. Mocny drink dobrze mu robi, ukoji nerwy. W końcu dzisiaj, w wieku trzydziestu siedmiu lat, zaczyna nowy etap życia. W Buenos Aires czekała go wielka niewiadoma. Owszem, miał kasę, ale za słabo znał argentyńskie realia, żeby robić tam biznes. Czy to było rozsądne, ten cały wyjazd do Buenos Aires? Co za pytanie? Zwyczajnie nie miał wyjścia.

Kupił wódkę z sokiem i dwie włoskie kanapki, po czym zajął miejsce w niskim fotelu. Był jedynym klientem. Punkty gastronomiczne zapełnią się dopiero za parę godzin. Po chwili złapał się na tym, że wpatruje się w zegar nad bufetem i stara się wzrokiem pospieszyć ruch wskazówek. Chciał, żeby była już dwudziesta druga, żeby prom odbił od nabrzeża, wtedy policja nie mogłaby wejść na pokład. W lądowanie helikoptera na statku znajdującym się na środku Bałtyku nie wierzył. Nie był aż tak groźnym gangsterem, właściwie nie był żadnym przestępcą. Chciał jedynie mieć przy sobie syna. Za to nie powinno się karać. Niestety, zgodnie z polskim prawem powinien zostać pozbawiony wolności na kilka lat. Bał się więzienia jak niczego innego w życiu. Nie wytrzymałby ani jednego dnia w zamknięciu, w małej celi z piętrowymi pryzkami i wspólnym kibelem, wykonując polecenia głupich klawiszy, a może nawet współwięźniów. Na samą myśl o takim życiu dostawał duszności. Dlatego podjął decyzję o ucieczce do Argentyny. Z trudem przełknął kawałek pieczywa. Aby się nie zakrztusić, popił drinkiem.

Plan porwania wydawał się taki prosty, nawet miał przyzwolenie Marty na zabranie Tymka. Przekłeta kobieta. Pamiętał, jak w jej oczach pojawiła się zachłanność, gdy zaproponował pół miliona za syna. Zwykła suka, sprzedała własne dziecko. Nienawidził bratowej. Miała być tylko jednorazową przygodą, ładną dupcią na jedną noc podczas weekendowego wypadu z bratem do Krynicy Morskiej. Przeleciał ją wtedy w swoim nowym bmw i dał pięć dych na do widzenia. Myślał, że następnego dnia jej nie zobaczy, ale ona zapukała rano do ich apartamentu. Otworzył Seweryn, wręczyła mu bułki, jeszcze ciepłe, przyniesione prosto z piekarni, a ten głupek zaprosił ją na śniadanie. Parę miesięcy później Seweryn i Marta pojawili się w domu jego rodziców na obiedzie. Stali w salonie, trzymając się za ręce i uśmiechając się jak para skretyniałych nastolatków. Jego brat, czerwieniąc się, oznajmił, że się pobierają.

Ramira pogratulowała im serdecznie. Mama wzdychała przez kilka minut, a ojciec rzucił gazetę na stół i wyszedł do toalety, gdzie wyjątkowo długo spuszczał wodę. On sam udał się do delikatesów, wrócił z szampanem i zaproponował toast za zdrowie narzeczonych. Gdy stukał się kieliszkiem z Martą, szepnął jej do ucha: „Dziwka”. Spojrzała na niego zdumiona. Zirytowała go tym kreowaniem się na świętoszkę. Tego samego dnia poszli w czwórkę do klubu muzycznego. Przy barze zaproponował Marcie dziesięć tysięcy, w zamian miała się odczepić od jego brata. Znowu w jej niebieskich oczach pojawiło się zaskoczenie. Głosem niewiniątka oznajmiła, że kocha Seweryna i chce go uszczęśliwić. Zależy jej też na dobrych relacjach z całą rodziną Majów, dlatego powinni zapomnieć o tej krótkiej chwili w jego bmw. Za nisko ją wtedy wycenił, powinien zaproponować dwadzieścia tysięcy. Intuicyjnie czuł, że ta mała blondynka zmieni życie jego rodziny i nie będzie to zmiana na lepsze.

Marta go intrygowała i wciąż pociągała. Miał słabość do kobiet o prezencji skromnych licealistek i rozwiązłym temperamencie, a za taką uważał bratową. Obserwował ją podczas rodzinnych spotkań. Po pewnym czasie zauważył, że nigdy się nie śmieje, nawet podczas zabawy z dzieckiem. Niekiedy kąciki jej ust unosiły się lekko w górę, ale wyglądało to raczej na wymuszony element międzyludzkiej komunikacji. Czy była więc smutna, nieszczęśliwa? Właśnie taką chciałby ją widzieć, uważnie wypatrywał więc wszelkich oznak mogących wskazywać, że małżeństwo jego brata się rozsypuje. Niestety, nic takiego nie zauważył. Seweryn nie miał prawa być szczęśliwy z tą małą szmatą, a ona nie powinna być taka wyniosła i niedostępna. Miał ochotę zerwać z niej tę cnotliwą maskę, zaczął ją więc uwodzić. Głaskał po nogach pod stołem podczas rodzinnych obiadów, szeptał do ucha gorące wyznania. Na początku go unikała, siadała z dala od niego, nie patrzyła nawet w jego kierunku. Gdy była sama, nie wpuszczała go do domu, ale z czasem dała się wciągnąć w flirt. Zaczęła przy nim karmić piersią Łucję, pokazując przy tym więcej biustu, niż wymagała tego ta czynność. Gdy go mijała, ocierała się o jego nogi albo plecy. Podczas sylwestrowego wyjazdu do Zakopanego wręcz go prowokowała. Wynajęli wtedy w czwórkę dom z jedną łazienką. Rano wziął prysznic i nago stał przy umywalce, tyłem do drzwi, golił się. Nagle zobaczył w lustrze Martę, opierała się o futrynę i wpatrywała się w jego gołe plecy i pośladki. Nie ruszył się. Czekał na jej kolejny krok. Weszła do łazienki i zaczęła czegoś szukać w kosmetyczce, ale głowę miała obróconą w jego stronę. Na kafelki poleciały kosmetyki, schyliła się, żeby je zebrać, wciąż na niego patrzyła, teraz z dołu. Gdy się odwrócił, wybiegła z łazienki. Po powrocie do Elbląga zaproponował jej spotkanie w wynajętym mieszkaniu. Podał adres i godzinę. Czekał do późnego wieczoru, nie przyszła. Wtedy wpadł na pomysł, żeby dać jej pieniądze, ale nie tak zwyczajnie. To miało

być jak przynęta, obietnica, że będzie więcej. Pierwsze banknoty włożył jej ukradkiem do torebki, kolejne do skrytki w samochodzie, następne wsunął do pantofla stojącego w korytarzu. Za każdym razem dawał więcej. Nigdy tego nie skomentowała, nie próbowała też oddać mu kasy. Pieniądze były jej potrzebne, nie tylko na drogie kosmetyki czy ubrania, ale także na prowadzenie domu. Seweryn nie miał talentu do robienia interesów, tonął w długach.

Robert dobrze pamiętał tamte dni. Coraz bardziej się niecierpliwił. Trwało to już wiele miesięcy, nie miał zamiaru dłużej bawić się z bratową w kotka i myszkę. Chciał finału, chciał udowodnić całemu światu, że Marta jest tylko i wyłącznie dziwką. Jego rozdrażnienie spotęgowała jeszcze obecność Zuzy. Nagle zaczął ją zauważać, już nie była dzieckiem płaczącym się bez celu po domu jego brata. Była kopią Marty, tak samo wyniosła, z brodą zadartą jak u angielskiej królowej i z tyłkiem zawsze wypiętym, jak gdyby mówiła: „Przeleć mnie”. Nie lubił tej zarozumiałej małolaty, ale zarazem przyciągała go jak magnes. Zaproponował jej pracę u siebie w domu, miałyby przychodzić raz na tydzień i sprzątać. Obiecał wysoką stawkę. Gdy przyszła pierwszy raz, akurat pił z żoną piwo na tarasie, zaprosił ją więc na jeden kufel. Zgodziła się chętnie. Przykucnęła przy Ramirze i objęła szczupłe, opalone nogi ramieniem. Rozmawiali o tańcu i diecie. Na niego nawet nie spojrziała. Gdy skończyła czyścić wannę, zawołał ją do swojego gabinetu. Weszła zadyszana i lekko spocona, jasne włosy miała przyklejone do czoła. Patrzyła mu prosto w oczy. Jej spojrzenie było zaczepne i wrogie. Chciał ją poprosić, żeby umyła podłogę, ale zamiast tego wyciągnął z szuflady broń i zapytał, czy wie, na czym polega różnica między rewolwerem a pistoletem. Myślał, że jej zaimponuje i trochę ją wystraszy. Ramira bała się broni palnej, miał nadzieję, że Zuza też. Na jej twarzy nie dojrzał jednak niepokoju. Z głośnym świstem wypluła gumę na jego biurko i odwróciła się, żeby odejść. Przy drzwiach podciągnęła koszulkę i podrapała się po plecach. Obróciła głowę i wysyczała, żeby sobie popatrzył, bo taki stary przyk jak on tylko na tyle może liczyć. Klął przez kilka minut, najpierw pod nosem, potem coraz głośniej. Był wściekły. Gdyby nie jego brat, to ta gówniara żyłaby w nędzy, kawałek parówki byłby dla niej luksusem, a zamiast perfum musiałaby wachać poalkoholowe wymiociny swoich rodziców. Zuza i Marta żyły w komfortowych warunkach dzięki jego rodzinie, między innymi dzięki pieniądзом jego matki. Dobrze wiedział, że daje Sewerynowi niemałe kwoty, choć oficjalnie była to wielka tajemnica. Miał dosyć obu sióstr, postanowił się ich pozbyć. Gdy tylko Seweryn się dowie, że Marta jest dziwką, pogoni ją z domu.

Dwa dni później poleciał do Girony. Na lotnisku w Hiszpanii wynajął samochód i ruszył w drogę do Blanes. Tam w hotelu Stella Maris jego brat z żoną i córką oraz rodzicami spędzał urlop. Martę zastał siedzącą na leżaku przy

basenie. Wyglądała oszalamiająco w skąnym niebieskim bikini pasującym do koloru oczu. Gawędziła z jakimś Latynosem. Zastanawiał się w jakim języku, przecież nie znała żadnego. Gdy go zobaczyła, naprawdę się zmieszala. Stał przed nią i powiedział, że chciał z nią poważnie porozmawiać i nie mógł z tym dłużej czekać. Włożyła na siebie koszulę i zaczęła ją szybko zapinać. Zaproponował, żeby pojechali samochodem w jakieś ustronne miejsce. Zgodziła się z nim pomówić, ale tylko w hotelowej restauracji. Dał do zrozumienia, że nie chciałby się spotkać z bratem ani rodzicami. Uspokoiła go, cała trójka wraz z Łucją pojechała do Barcelony i wróca późnym wieczorem. Był zachwycony, nie mógł lepiej trafić. Marta pobiegła do pokoju się ubrać, a on udał się do restauracji. Kupił dwa drinki, dla bratowej niebieski, żeby pasował do koloru jej oczu. Wrzucił do niego tabletkę i obserwował, jak się powoli rozpuszcza. Marta pojawiła się po kilku minutach, klucz od pokoju położyła na stole i smukłymi palcami objęła oszronioną szklankę. Wyglądała na zdeterminowaną, a nawet lekko zaniepokojoną. Nie chciała wiedzieć, co ma jej do powiedzenia. Nie powinien przyjeżdżać i mieszać jej w głowie. Ona ma męża, tylko Seweryna kocha, a do niego nie czuje nic wyjątkowego. Przytakiwał i nic nie mówił, zrobił jedynie zbolalą minę. Wtedy zaczęła go przeproszać za to, że go odrzuca. Niezdarnie składała słowa w zdania, uciekała wzrokiem na boki i czerwieniła się jak nastolatka na pierwszej randce. Zastanawiał się, jak to możliwe, że jego brat ożenił się z tak głupią kobietą. Gdy zaczęła mamrotać, a głowa poleciała jej w dół, wziął ją pod ramię i wyprowadził z sali restauracyjnej. Była bezwolna, duchem nieobecna. Gdy ją wepchnął do pokoju, potknęła się i upadła. Zaskoczyło go, że nie wydała z siebie żadnego dźwięku. Podniósł ją i obrócił w swoją stronę. Dmuchnął jej w oczy, nie przymknęła powiek. Jej ciało nie stawiało żadnego oporu, na szczęście mózg przyjmował polecenia. Gdy kazał jej rozpiąć bluzkę, palce zaczęły szukać guzików. Wyciągnął telefon i przystąpił do robienia zdjęć. Myślał, że będzie się dobrze bawił, tak jednak nie było. Obecna sytuacja różniła się od obmacywania bratowej pod stołem podczas obiadu. Wtedy było zabawnie, mało poważnie, a teraz zrobiło się niebezpiecznie. Czuł, jak wraz z podnieceniem ogarnia go lęk i obrzydzenie. Pomyślał, żeby przerwać sesję i wyjść z pokoju. Zmysły mu na to nie pozwoliły, stał się ich niewolnikiem, musiał patrzeć, dotykać, wąchać i smakować. Pochłonęło go uległe ciało Marty, wciągnęła go słodka i ciepła woń wydobywająca się z jej skóry.

Gdy wychodził z hotelu, nic nie czuł, żadnej satysfakcji. Dobrze wiedział dlaczego. Bo przecież nie uwiódł bratowej, nie udowodnił, że jest rozwiązłą szmatą. Pewien rodzaj zadowolenia ogarnął go wiele tygodni później, gdy Marta i Zuza znowu zaczęły zachowywać się jak arystokratki. Gdy jego matka ze łzami w oczach wyznała mu, iż żona Seweryna zwróciła jej uwagę, że nie powinna brać



się za robienie prania u niej w domu, a przecież ona chciała jedynie pomóc, bo Łucja zabrudziła kocyk i sukieneczkę, wtedy postanowił wykorzystać zdjęcia. Gdy pakował je do koperty i pisał adres, czuł wręcz chłopięcą radość, w końcu poskromi niewdzięczną bratową. Nie wysłał ich jednak, słusznie przeczuwając, że będą mu potrzebne przy innej okazji. Potem dowiedział się, że jest ojcem Tymka i dosłownie świat przekreślił mu się do góry nogami jak przy skoku na bungee, kiedy to pod stopami miał niebo. Pokochał syna miłością szczerą i głęboką, nawet mu nie przeszkadzało, że Marta jest jego matką. Chciał go mieć tylko dla siebie, Tymek powinien kochać tylko jego i ewentualnie Ramirę, ale nie Seweryna i Martę. Ogarnęła go obsesja, dniem i nocą myślał o tym, jak odzyskać dziecko. Najprostsze rozwiązania są najlepsze, uznał więc, że powinni powiedzieć Sewerynowi i Ramirze, że to on jest ojcem. Marta się nie zgodziła, wtedy wysłał jej zdjęcia. Była przerażona. Fotki dowodziły, że zdradziła męża. Tak właśnie by je zinterpretował Seweryn. Nadal jednak mówiła nie, choć już mniej stanowczym głosem. Złamała się, gdy zaproponował pół miliona.

Robert wyszedł na pokład i stanął przy barierce. Wraz z innymi pasażerami patrzył, jak cysterny i tiry wjeżdżają przez furtę dziobową do wnętrza statku. Wsłuchiwał się w komentarze ludzi zastanawiających się, co by się stało z promem, gdyby jedna z tych cystern wybuchła w połowie drogi do Karlskrony. Machinalnie rozejrzał się w poszukiwaniu łodzi ratunkowych, dostrzegł kilka, ale mimo to ogarnął go silny atak strachu. Miał ochotę zejść ze statku. Co się z nim dzieje? Przecież nie jest panikarzem. To chyba efekt kilkudniowego stresu i ciągłego lęku o Tymka. Poczuł, że ktoś kładzie mu dłoń na ramieniu. Odwrócił się i zobaczył Ramirę. Miała wilgotne włosy i pachniała tanim mydłem. Zapewne użyła tego z pojemnika pod prysznicem.

— Właśnie minęłam kapitana, szedł do recepcji, poznał mnie, niesamowite, prawda?

Kiwnął głową, choć go to nie zdziwiło, przecież mężczyźni, którzy raz widzieli jego żonę, już o niej nie zapominają. Była piękna, ale to określenie nie oddawało w pełni jej urody. Nie miała w sobie nic filmowego, nie przypominała modelek z pierwszych stron gazet. Niezwykłe rysy upodobały ją raczej do postaci z dawnych obrazów. Był wdzięczny żonie, że mu teraz towarzyszy. Bez niej czułby się przeraźliwie samotny. Stracił już matkę, ojca też, bo ten na pewno się go wyrzeknie, gdy się dowie, że mama zginęła pośrednio z jego powodu, bo to on zlecił porwanie. Brat również mu nie wybaczy. Jest jeszcze Tymek, ukochany synuś, sens jego życia. Niestety, jego też już nigdy nie ujrzy, nie ukocha. Z tym nie potrafił się pogodzić.

Ramira dotknęła jego policzka.

— Martwisz się o Tymka?

— Chciałbym, żeby był teraz z nami.

— Kochanie, ten pomysł z porwaniem nie był dobry. Mówiłam ci, żebyś pogadał z Sewerynem. Na początku byłby wściekły, ja też byłam zła, jak mi wyjawiał prawdę.

Ramira od początku sprzeciwiała się porwaniu, ale on uznał, że to najlepsze rozwiązanie. Do tego kroku namawiał go też poznany w Kętrzynie pracownik tamtejszego hotelu, Grzegorz Zalewski, obiecywał nawet pomoc i zarysował bardzo sensowny plan samego porwania. Robert nie mógł uwierzyć, że zaufał zupełnie obcemu człowiekowi. Musiał jednak przyznać, że tamten miał dar przekonywania, nie narzucał się ze swoim zdaniem, podsuwał jedynie koncepcję i pozwalał swojemu rozmówcy ją rozwinąć, zarazem umiał wyciągnąć najpotrzebniejsze informacje. Teraz wiedział, że zbyt wiele wyjawił temu człowiekowi. Swoje zrobiła też pocziwa twarz Zalewskiego z pokazną szparą między jedynkami. Przypominał mu pewnego bardzo sympatycznego gościa, Maksymiliana Kubiaka, z którym jego brat mieszkał w akademiku.

Odwrócił się z powrotem w stronę wody. Na rampę wjeżdżały ostatnie ciężarówki. Żurawie portowe pogrążyły się w wieczornej ciemności. Nagle poczuł na swoim ramieniu mocny uścisk palców Ramiry.

— Posłuchaj mnie, policja nie będzie szukała Tymka, właśnie to sobie uświadomiłam.

Zobaczył na twarzy żony niepokój, ale jeszcze nie docierało do niego, o co jej chodzi.

— Oni myślą, że Tymek jest z nami. Nie powiedziałam wczoraj Marcie, że my go nie mamy.

— Nie powiedziałaś — powtórzył machinalnie.

— Nie, nie powiedziałam! — krzyknęła, aż stojący w pobliżu pasażerowie się obejrzel. — Gdy Marta mi wyznała, że powiadomiła prokurator Łempicką, że to ty stoisz za porwaniem, od razu wybiegłam od niej. Chciałam jak najszybciej cię o tym powiadomić.

Ramira miała rację, policja nie będzie szukać dziecka, lecz ich. Szkoda, że wcześniej mu o tym nie powiedziała. Wszedłby w Gdańsku do jakiejś kafejki internetowej i napisał do Marty, że porywacz przed swoją śmiercią nie zdążył mu przekazać Tymka. Powinien ją teraz o tym powiadomić, a ona komisarza Sorokę. Wyjął telefon z kieszeni. Nawet nie zdążył go odblokować, bo żona złapała go za rękę.

— Nie dzwoń teraz do Marty, bo nas namierzą. Damy jej znać później.

— Nie będę ryzykował życiem mojego syna. Policja musi go szukać, ważne mogą być godziny. Nawet jeżeli nas namierzą, to już nie zdążą zatrzymać. Prom

odbija za kilka minut. W Szwecji też nas nie zaaresztują, do tego potrzebne są procedury, a one wymagają czasu. Nie martw się, zdążymy wsiąść do samolotu.

Ramira cofnęła dłoń. Zaklął cicho, nie miał zasięgu na pokładzie.

— Muszę zejść na brzeg, stąd nie da się zadzwonić.

Ruszył szybkim krokiem. Ramira biegła za nim.

— Robert, nie zdążysz wrócić. Zostań, *por favor*. Zadzwonisz, gdy będziemy na morzu, wtedy włączą sieć.

Zbliźali się już do recepcji, nagle się zatrzymali, jak gdyby wyrosła przed nimi szklana ściana. Przy kontuarze stało trzech mężczyzn. Jednym z nich był kapitan statku, towarzyszyli mu komisarz Soroka i aspirant Nowak. Mają go. Teraz musi przygotować sobie jak najlepszy grunt do obrony. Szepnął do Ramiry, żeby poszła do kajuty po ich bagaże i zaraz tu wróciła. Sam pewnym krokiem podszedł do policjantów.

— Dobrze, że jesteście, właśnie miałem do was dzwonić.

— Też się cieszymy, że pan jest — odezwał się komisarz. — Nie trzeba będzie przeszukiwać statku, a już negocjowaliśmy z kapitanem, aby wstrzymać wypłynięcie promu o pół godziny. Proszę powiedzieć, gdzie jest pana żona i Tymek?

— Żona poszła do kajuty po bagaże. Zrezygnowaliśmy z tego rejsu. Postanowiłem, że się zgłoszę na policję. Życie Tymka jest dla mnie najważniejsze. Chciałbym pomóc w jego poszukiwaniach. Niestety z nami go nie ma.

Powiedział tyle, ile zamierzał, więcej zezna w obecności adwokata.

Na twarzach funkcjonariuszy pojawiły się ironiczne uśmiechy. Chyba mu nie uwierzyli.

— Wiemy, że nie weszliście na pokład z chłopcem, ale przypuszczamy, że on tu jest. — Komisarz obrócił się w stronę recepcjonistki. — Ile kilkumiesięcznych dzieci jest na statku?

— Tylko troje.

— Proszę o nazwiska osób, które weszły na pokład z tymi dziećmi.

# Rozdział XIII

## *Dzień trzynasty, przedpołudnie*

Robert pojawił się w budynku prokuratury w obecności adwokata. Obaj w szarych garniturach i białych koszulach zasiedli za stołem naprzeciw prokurator Łempickiej-Krol. Wyglądali na bardzo spokojnych.

Milena odchrząknęła i wstała. Oficjalnym tonem odczytała postanowienie o przedstawieniu zarzutów. Gdy skończyła, na twarzy Roberta pojawiła się wyraźna ulga. obrońca również wyglądał na zadowolonego. Długo zastanawiała się nad właściwym sformułowaniem zarzucanych czynów. Na razie zrezygnowała z oskarżenia o gwałt, bo zeznań Marty nie miała zaprotokołowanych, rozmawiały przecież w restauracji, a same zdjęcia to trochę za mało. Nie przedstawiła też zarzutu oszustwa, bo przecież podejrzany nie próbował wyłudzić żadnych korzyści, sam wyłożył pieniądze na okup. Oskarżyła więc Roberta Maja o uprowadzenie małoletniego Tymoteusza Maja i narażenie go na niebezpieczeństwo, ale skoro był jego ojcem, nie nadała temu czynowi charakteru kryminalnego, lecz proponowała rozważenie tej sprawy w oparciu o przepisy prawa rodzinnego. Podejrzanemu groziły więc maksymalnie trzy lata, a ze względu na wcześniejszą niekaralność mógł liczyć na dużo łagodniejszy wyrok. Postanowienie o przedstawieniu zarzutów było na pewno bardzo rozsądnie przygotowane, ale też korzystne dla podejrzanego.

Milena przystąpiła do sporządzenia protokołu przesłuchania. Zaczęła od standardowych pytań — o stan cywilny, miejsce pracy, osiągnięte dochody, stan zdrowia, przebyte choroby psychiczne, leczenie odwykowe. Robert odpowiadał zwięźle i szybko. Zawahał się jedynie, gdy zapytała o dzieci pozostające pod jego opieką. Oznajmił, że ma syna, ale oficjalnie jest bezdzietny.

Przyszedł czas na kluczowe pytanie, czy podejrzany przyznaje się do stawianych mu zarzutów. Maj spojrzał na adwokata. Zapewne przed wejściem do budynku prokuratury ustalili, do czego wolno mu się przyznać, ale chciał się jeszcze upewnić, czy strategia nie uległa zmianie. obrońca kiwnął głową i dopiero wtedy przyznał się do uprowadzenia Tymoteusza Maja, ale nie do

narażenia go na niebezpieczeństwo. Takiej odpowiedzi Milena właśnie się spodziewała. Adwokat powiedział, że jego klient chce złożyć wyjaśnienie. Robert się podniósł i przez kilka minut mówił głównie o swojej miłości do syna. Wyraził żal z powodu tragicznych konsekwencji, które wynikły z porwania, zwłaszcza ubolewał nad śmiercią matki. Zaznaczył przy tym, że ta tragedia jest największą karą za czyn, którego się dopuścił. Oznajmił też, że chce pomóc policji w odnalezieniu syna. Jego wypowiedź nic nie wniosła w kwestii wyjaśnienia samego porwania, a jedynie pokazywała go jako kochanego tatusia, który pragnie szczęścia dla swojego dziecka.

Robert nie zdążył jeszcze usiąść, a Milena już zadawała mu pierwsze pytanie:

— Gdzie po porwaniu miał być przetrzymywany Tymoteusz Maj?

— Nie wiem.

— Mam uwierzyć, że nie ustalił pan miejsca pobytu syna?

Głos zabrał obrońca:

— Mój klient odmawia udzielenia odpowiedzi na to pytanie.

— Czy dobrze rozumiem, że ufał pan Grzegorzowi Zalewskiemu, że ten zapewni bezpieczeństwo pana synowi?

— Tak, zaufałem mu.

— Proszę opisać wszystkie swoje kontakty z Grzegorzem Zalewskim już po porwaniu Tymka.

— Po porwaniu tylko raz się widzieliśmy, to było na pogrzebie mojej matki.

— A kontakty telefoniczne?

— Nie dzwoniliśmy do siebie, uznaliśmy, że tak będzie bezpieczniej.

— Dla kogo bezpieczniej? Dla Tymka? Nie chciał pan wiedzieć, co z synem?

— Mój klient odmawia udzielenia odpowiedzi na to pytanie — odezwał się obrońca.

— O czym rozmawialiście na pogrzebie?

— Właściwie wtedy nie rozmawialiśmy. Podszedł do mnie i mojej żony niby z kondolencjami i tylko powiedział, że wszystko idzie zgodnie z planem.

— Z jakim planem, proszę go przedstawić?

— Plan był taki, że on miał porwać Tymka, potem zadzwonić po okup. Pieniądze z okupu miały być dla niego, zapłata za robotę.

— Na jaką kwotę się umówiliście?

— Na sto tysięcy. Gdy Zalewski zażądał miliona, byłem w szoku.

— I nadal pan mu ufał? Wciąż pan wierzył, że Tymek ma dobrą opiekę?

Milena wiedziała, że na to pytanie odpowiedzi nie usłyszy, bo adwokat nie pozwoli swojemu klientowi na wypowiedź. Musi unikać pytań, którymi sugeruje Robertowi, że narażał życie Tymka. Najważniejsze jest ustalenie miejsca pobytu chłopca i na tym powinna się skoncentrować.

- Wie pan, gdzie mieszkał Grzegorz Zalewski?
- Nie wiem.
- W Elblągu? Za miastem?
- Nie mam pojęcia.
- Zalewski miał współnika czy współniczkę?
- To była kobieta.
- Widział się pan z nią?
- Nie.

Robert zaczął zerkać na mecenasa. Czuł, że źle się prezentuje. Z udzielanych przez niego odpowiedzi wynikało, że jest zimnym, wyrachowanym typem, który nie zatroszczył się o bezpieczeństwo syna.

— Co pan może nam powiedzieć o tej współniczce? Musimy ją znaleźć. Niech pan się zastanowi, co pan o niej wie.

- Tylko tyle, że lubi dzieci.
- Miała własne? Pracowała w przedszkolu?
- Nie wiem.

— Jak o niej mówił Zalewski? Używał jakiegoś imienia? Jakiegoś pieszczotliwego zwrotu?

Robert zastanawiał się przez chwilę, potem pokręcił przecząco głową.

— „Moja dziewczyna”, tak o niej mówił.

— Czy Zalewski jej ufał? Kochał ją? Niech pan spróbuje sobie przypomnieć, jakim tonem o niej mówił. Czy ona była zrównoważona? Czy jest możliwe, że po jego śmierci się pogubiła?

Robert oparł łokcie o stół i wpatrywał się w ścianę. Między jego brwiami pojawiła się głęboka zmarszczka dowodząca, że dokonywał analizy minionych dni, wydarzeń i rozmów. Milena spokojnie czekała. Widziała, że podejrzany zaczyna się zmieniać. O ile na początku chciał przede wszystkim dobrze wypaść, to teraz kluczowe stało się dla niego udzielanie konkretnych informacji, które będą pomocne w odnalezieniu Tymka.

— Pamiętam, że Zalewski parę razy powiedział: „Zapytam moją dziewczynę”.

— O co?

— Tego to już nie pamiętam, ale teraz mi się wydaje, że w ich związku ona miała więcej do powiedzenia, on jej słuchał, o wszystko ją pytał. Tak sobie myślę, że to ona mogła kierować tym porwaniem. Ona podjęła decyzję, że wyciągną ode mnie więcej kasy.

— A to nagranie przysłane przez porywacza jako dowód życia, kto je zrobił?

— Zalewski albo jego dziewczyna.

— A nie pan? Nie Ramira?

— Nie, my od porwania nie widzieliśmy Tymka.

— Panie Robercie, biegły stwierdził, że dziecko było emocjonalnie związane z osobą, która go nagrywała. To wskazuje na pana albo pana żonę.

— To nie my. Może Tymek polubił dziewczynę Zalewskiego. Parę razy mówił mi, że ona ma dobrą rękę do dzieci.

— Kiedy mieliście dostać Tymka?

— Gdy wszystko ucichnie, gdy policja odpuści... Zalewski sugerował, że to może potrwać nawet dwa miesiące. Przekazanie miało nastąpić we Frankfurcie. Mieli go tam zawieźć samochodem, stamtąd od razu planowaliśmy lecieć do Argentyny.

— A jak chcieliście z nie swoim dzieckiem przejść przez odprawę celną?

— Nawet pani nie przypuszcza, jakie to proste.

— Mój klient odmawia udzielenia odpowiedzi na to pytanie — odezwał się nagle obrońca. — Do próby wywiezienia dziecka z obszaru Unii Europejskiej nie doszło. Mój klient nie powinien odpowiadać za sam zamiar.

Milena się uśmiechnęła.

— Umówmy się więc, że odpowiedź na to pytanie nie znajdzie się w protokole.

Mecenas kiwnął głową, pozwalając Robertowi mówić.

— Jakaś daleka kuzynka Ramiry urodziła dziecko kilka miesięcy temu. Miała z nim przylecieć do Niemiec, potem zostawić swojego syna gdzieś w sklepie we Frankfurcie. Do Buenos wróciłaby z moim Tymkiem, tym samym lotem co my. Dostałaby za to pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Okrutne, wiem, ale ona i tak chciała oddać swojego syna do domu dziecka. Może lepiej więc, żeby trafił do niemieckiego niż argentyńskiego, a potem do jakiejś porządnej niemieckiej rodziny.

— Czy pan wie, że pana brat też się przyznał do uprowadzenia Tymoteusza Maja?

Robert spojrział na mecenasa, potem pokręcił przecząco głową. Był wyraźnie zdezorientowany, sens usłyszanej informacji zapewne wymykał mu się z racjonalnej analizy. Adwokat również wyglądał na zaskoczonego.

— Nie rozumiem. Chciał wziąć moją winę na siebie? Myślałem, że on ma żal, że mi nigdy nie wybaczy.

— Nie, to nie tak. Seweryn naprawdę planował porwanie Tymka, żeby wyłudzić od pana okup. Wynajął do tego niejakiego Maksymiliana Kubiaka. Tak się dziwnie składa, że tym nazwiskiem posługiwał się Grzegorz Zalewski.

Robert podniósł się raptownie. Milena widziała, jak jego usta układają się do wulgaryzmów. Już myślała, że zaraz wyrzuci je z siebie. Powstrzymał się jednak. Opadł na krzesło i oddychał ciężko, jak gdyby przebiegł właśnie tysiąc metrów.

— To ja powiedziałem Zalewskiemu, że jest podobny do Maksymiliana Kubiaka, kumpla mojego brata. Tylko nie rozumiem, dlaczego zaplanował jeszcze porwanie wraz z Sewerynem. Przecież więcej by nie zarobił. I tak chodziło o te same pieniądze, które ja miałem wyłożyć. Bez sensu.

Milena przesłuchiwała Roberta Maja jeszcze trzy godziny, potem odczytała protokół. Na szczęście obrońca nie złożył wniosku o sprostowanie którejś z wypowiedzi swojego klienta. Obaj panowie mogli więc podpisać się pod protokołem i wyjść z sali. Gdy zamknęły się za nimi drzwi, zdjęła marynarkę i rozprostowała ramiona.

Robert Maj nie wiedział, gdzie jest jego syn. Milena mu wierzyła. Obaj bracia wykazali się dużą lekkomyślnością, obdarzając zaufaniem Grzegorza Zalewskiego alias Maksymiliana Kubiaka. Ten człowiek musiał mieć ogromny dar zjednywania sobie ludzi. Kim jednak była kobieta, która za nim stała, która wpadła na pomysł uprowadzenia Tymka? Odpowiedź okazywała się nad wyraz prosta. Wystarczyło przyjrzeć się obecnemu finałowi tej sprawy, a tożsamość sprawczyni sama nasuwała się na myśl.

Dwóch braci dokonuje tego samego przestępstwa, każdy z nich porywa swojego syna i jest to ten sam chłopiec. Obaj kończą jednakowo, bo zarówno Robertowi, jak i Sewerynowi postawi zarzut uprowadzenia dziecka. To samo przestępstwo, ta sama wina i identyczna kara, a jest nią przede wszystkim utrata dziecka. Robert i Seweryn mogą się teraz tylko zamartwiać o Tymka, a jeżeli ten się nie znajdzie, to obaj będą mieli wyrzuty sumienia do końca życia. Wygląda to na znakomicie zaplanowaną zemstę na obu braciach. Kto tak bardzo ich nienawidzi?

Marta, drobna blondynka, cicha, lękliwa, nieśmiała, zahukana, a tak naprawdę niezwykle sprytna. Nawet ją, prokuratora, zdołała oszukać i wciągnąć w swoją rozgrywkę z rodziną Majów. Wtedy w restauracji zapewne każde słowo miała dobrze przemyślane, zręcznie wystawiła Roberta jako głównego podejrzanego.

Starszego z braci ukarała za gwałt, a Seweryna za co? Może za to, iż przez całe lata musiała udowodniać, że jest godna być jego żoną, za psią uległość i konieczność wyrzeczenia się własnych rodziców, za płaszczenie się przed jego rodziną i za to, że nigdy nie stanął w jej obronie. Wręcz przeciwnie, prawdopodobnie nieraz jej przylał, ten siniak przykryty pudrem, który miała podczas ostatniego przesłuchania, zapewne nie był pierwszym dziełem Seweryna. Urazy nagromadzone przez lata w końcu wybuchły. Skrzywdzona kobieta potrafi się zemścić. Marta rozprawiła się z rodziną Majów perfekcyjnie, wszystkich ukarała, nawet teścia, z którego uczyniła mordercę. Niby dlaczego Grzegorz Zalewski zażądał, aby okup dostarczył Jerzy Maj. To musiała być jej decyzja. Zapewne przeczuwała, że teść weźmie broń i zastrzeli porywacza.



Za sprawstwem Marty przemawiał różowy miś na nagraniu i sam materiał filmowy, na którym uśmiechnięty Tymuś wyciąga ręce do nagrywającej go osoby. Za kamerą stała jego matka, to na jej widok się cieszył. To jednak tylko poszlaki, nic więcej na nią nie mieli. Milena nie mogła przestać myśleć o Marcie z podziwem. Tak makiawelicznego przestępcy jeszcze nie ściagała.

Wybrała numer komisarza Soroki i długo czekała na połączenie. Kamil nie odebrał. Zadzwoiła więc do aspiranta Nowaka i poprosiła, żeby na komendzie zebrał się zespół do sprawy porwania Tymka. Przygotowała kopię protokołu z przesłuchania Roberta Maja i piętnaście minut później była już na Tysiąclecia. Nie kryła zaskoczenia, widząc w sali konferencyjnej tylko Rumuna.

— Gdzie jest reszta?

— Beata i Pocięcha są w szkole na spotkaniu z dziećmi, za pół godziny powinni być. A Kamil... nie mam pojęcia, gdzie on jest.

Podala Rumunowi protokół z przesłuchania Roberta i czekała kilkanaście minut, aż się z nim zapozna. Gdy odłożył dokument na stół, zaczęła mówić o swoich podejrzeniach wobec Marty. Nie przerywał jej. Milczał nawet wtedy, gdy skończyła.

— Powie pan coś?

— Zastanawiam się, czy wyjaśnienie tej zagadki nie jest prostsze.

— Niby jakie? Słucham.

— Może to tylko intuicja Grzegorza Zaleskiego zaprowadziła go do Seweryna. Dowiedział się, że jest podobny do jego kolegi z czasów studenckich, i postanowił to wykorzystać. Może chciał ciągnąć kasę od obu braci. Skąd niby miał wiedzieć, że Seweryn ma głównie kredyty. Na pewno wiedział o domu i zakładzie produkującym ogrodzenia.

— A nagranie, na którym Tymek się uśmiecha, i ten różowy miś, to przemawia za którymś członkiem rodziny. Robert go nie nagrał, bo w innym razie by się do tego przyznał, miałby dowód, że kontrolował bezpieczeństwo syna po porwaniu.

Aspirant potarł czoło grzbietem dłoni.

— Dobrze. Przyjmijmy, że ma pani rację. Ale w takim razie Zalewski oprócz pani Maj musiał mieć jeszcze jednego współnika, bo przecież ktoś go zabrał samochodem z Lasu Kadyńskiego, gdy goniliśmy go z Pocięchą. No i ktoś musi w tej chwili siedzieć z dzieciakiem.

— No właśnie, to teraz musimy obserwować Martę. Ciekawe, co robi. Może jeszcze trochę potrzyma w niepewności Seweryna i Roberta, a potem każe współnikowi oddać Tymka.

— Pani prokurator, wydaje mi się nieprawdopodobne, żeby tak wszystko zaplanować i potem spokojnie wykonać plan. Spędziłem sporo czasu w domu Majów, obserwowałem ich oboje, Marta była taka... — Rumun przymrużył oczy,

szukając odpowiednich słów. — Ona była jak cień, zawsze blisko, ale też na dystans, nie zadawała pytań, nie stawiała żądań, tylko się nam przyglądała.

— No właśnie, niech pan się zastanowi, czy tak się zachowuje zrozpaczona matka, która nie ma pojęcia, gdzie jest jej dziecko.

Rumun się rozejrzył, jak gdyby czegoś szukał.

— Myślę, że najważniejsza będzie obserwacja pani Maj i namierzenie telefonu, za którego pomocą kontaktuje się ze współnikiem, ale ja bym też zaryzykował jakąś zręczną prowokację. Co pani o tym sądzi?

— Jestem za, tylko niech mi pan przedstawi plan tej prowokacji, i proszę pamiętać, że mamy do czynienia z niezwykle sprytną osobą. W ostateczności pozostaje nam kolejne przesłuchanie, już bym nie była dla niej taka łaskawa. Chciałabym jednak wcześniej coś na nią mieć, co by przemawiało za jej winą. Pomyślałam, że pójdę do jej fryzjera, u którego była w dniu porwania. Może tego dnia zachowywała się w salonie jakoś inaczej, rozmawiała z kimś przez telefon.

Milena usłyszała przytłumiony sygnał swojej komórki. Wiedziała, że to dzwoni Kamil Soroka, do jego numeru przypisała dźwięk skrzeczącej sroki. Zrobiła to dla żartu, ale teraz, wystawiona na przenikliwe spojrzenie czarnych oczu aspiranta, poczuła się głupio. Otworzyła torebkę i szukała aparatu. Zsunął się na samo dno, zasłaniały go inne rzeczy, zaczęła więc je wykladać na stół, portfel, jakieś papiery, cukierki miętowe, w końcu wydostała telefon. Gdy w słuchawce rozległ się głos Kamila, poczuła ciepło rozlewające się od jej ucha aż po podbrzusze. Wibrująca zmysłowością nuta płynęła wraz ze słowami wypowiedzianymi przez komisarza. W taki sposób do niej jeszcze nie mówił. Poinformował go, że jest na naradzie z aspirantem Nowakiem, który przekaze mu wszystkie ustalenia. Rozłączyła się i zaskoczona zobaczyła, że Rumun trzyma w dłoni kartkę, którą wyjęła z torebki. Był nią bardzo zainteresowany.

— To pani dzieło? Ładne.

Podsunał jej pod oczy rysunek przedstawiający buzię jej syna.

— Nie, ja nie umiem rysować. Mój mąż był dobry w tym fachu, ale tego obrazka akurat nie zrobił. To kopia portretu naszego syna, ktoś mi go podrzucił do skrzynki na listy.

Rumun spojrzał uważnie na kartkę, obejrzał ją też z drugiej strony.

— Dziwne — mruknął i po chwili dodał: — Ja już widziałem ten obrazek, i to niedawno.

Poczuła napięcie: w mięśniach, narządach wewnętrznych i głowie.

— Gdzie? Kiedy? — zapytała drżącym głosem.

— W domu Majów, w bloku rysunkowym leżącym w pokoju dzieciennym. Dlatego zapytałem, czy to pani dzieło, bo jak tyle czasu pani spędziła u nich, to pomyślałem, że była okazja...

Milena uśmiechnęła się.

— Nie rozumiem — szepnęła.

Rzeczywiście niewiele z tego pojmowała. Rumun właśnie jej powiedział, że ołówkowy portret Krzysia widział u Majów. Rozum mówił jej, że to niemożliwe, ale podświadomość już analizowała zasłyszaną informację. Ekspertyza wykazała, że na rysunku znajdują się linie papilarne małego dziecka, dwu, trzyletniego. Musiały to być palce Łucji.

Zaczęła pakować do torebki swoje rzeczy, po czym wstała i bez słowa ruszyła do drzwi.

— Dokąd pani idzie?

— Do Marty. Ona narysowała mojego synka i podrzuciła mi portret do skrzynki. Zrobiła to, aby wyprowadzić mnie z równowagi. Chcę jednak wiedzieć, jak dotarła do oryginalnego rysunku. Ja go trzymam w szufladzie i niewielu osobom pokazywałam. Proszę, niech pan przejdzie się do tego fryzjera Marty i z nim pogada, ja na to nie będę miała czasu. I napiszcie z komisarzem nowy plan śledztwa, chcę go mieć za trzy godziny na biurku. Jeszcze dzisiaj trzeba rozpocząć obserwację Marty.

Wybiegła z sali konferencyjnej. Na szczęście nie było korków, największa zaleta zamieszkiwania w Elblągu. Szybko znalazła się na Konopnickiej.

Okna w domu Majów były pozasłaniane. Zadzwoiła. Nikt nie otworzył. Zaczęła walić pięścią. W końcu drzwi się uchyliły i zobaczyła Seweryna. Miał opuchniętą twarz, czerwone oczy, spierzchnięte usta, chwiały się na ugiętych nogach. Uderzyła w nią woń przetrawionego alkoholu i kwaśnego potu. Zapytała o Martę. Kazał jej spierdalać. Cofnął się o krok, żeby móc zatrzaskać drzwi. Wtedy wsunęła się do środka. Na szczęście nie próbował jej zatrzymać. Zajrzała do kuchni. Pusto. W salonie na kanapie leżała skotłowana pościel, na podłodze wały się butelki, głównie po piwie. Wbiegła na piętro. W sypialni nie było nikogo, dziecienny pokój również był pusty. Na stoliku leżał blok rysunkowy. Położyła na nim dłoń. Krew pulsowała jej w skroniach. Czuła niepokój, niepotrzebnie, przecież chodziło tylko o ołówkowy szkic twarzyczki Krzysia, a nie o jego życie. Na pierwszej kartce zobaczyła dwa kotki przytulone do siebie, potem dominowały pieski. Już na szóstej kartce zobaczyła buzię swojego syna, szkic nie był ukończony. Ktoś starał się zrobić idealną kopię, prób było aż sześć. Z blokiem w ręku zeszła na dół. Seweryn był w toalecie. Czekala w korytarzu. Nie wychodził, więc zapukała. Otworzył drzwi i patrzył na nią zdumiony. Rozporek miał rozpięty, spodnie nieco opuszczone.

— Już się bałem, że to moja żona — wybełkotał.

Pokazała mu otwarty blok.

— Kto to narysował?

Pochylił się, żeby lepiej widzieć.

— A co to jest?

Beknął głośno.

— Proszę mi powiedzieć, kto to narysował. Marta?

— Marta? Moja żona? Ona nie umie rysować, ona tylko umie dawać dupy. Mój brat powiedział, że wcale jej nie zgwałcił. Ja kiedyś miałem normalną rodzinę.

W głosie Seweryna pojawił się płaczliwy ton. Nie miała ochoty wysłuchiwać pijackich żalów.

— Czy Marta to narysowała? — zapytała ponownie.

— Moja żona rysuje jak Picasso. — Seweryn zachichotał. — Ale Zuza... ta to jest zdolna. Matka i ojciec patologia, siostra też, ale ona ma talent.

— Zuza to narysowała?

— No przecież mówię.

Seweryn odwrócił się do niej bokiem i zgiął się w pół. Z jego ust wypłynęła struga wymiocin i wpadła do zlewu, rozpryskując się na boki. Milena odskoczyła z obrzydzeniem.

Opuściła dom Majów, zabierając blok rysunkowy. Wsiadła do samochodu i znowu zaczęła przeglądać kartki, tym razem na spokojnie, od pierwszej do ostatniej. Szybko znalazła odpowiedź na nurtujące ją pytanie. Już wiedziała, w jaki sposób Zuza dotarła do oryginalnego portretu jej synka. Odłożyła blok na siedzenie pasażera i przekręciła kluczyk w stacyjce.

Gdy wysiadała obok hotelu Pod Lwem, była prawie zrelaksowana. Zaraz miała się spotkać z człowiekiem, którego bardzo lubiła. Wolnym krokiem dotarła do kamienicy, z której dziesięć miesięcy temu policja wyprowadziła sędziego Edwarda Lasockiego. Weszła do chłodnej i cichej klatki schodowej. Patryk był w domu. Zaskoczyła go. Przez chwilę stał w otwartych drzwiach, dopiero gdy zapytała, czy może wejść, zaprosił ją do środka. Usiedli naprzeciw siebie w salonie.

— Zrobić pani kawę?

— Nie, dziękuję, nie mam zbyt dużo czasu.

Patryk był spięty, wprawdzie się uśmiechał, ale jego nozdrza lekko drżały, a klatka piersiowa poruszała się szybko.

— Domyślasz się, z czym przychodzę?

— Nie.

Otworzyła blok rysunkowy i pokazała mu szkic twarzyczki Krzysia.

— Wiesz, kto to narysował?

Patryk wciągnął głęboko powietrze w płuca. Przez chwilę wydawał się mocno zmieszany, ale szybko się opanował.

— Moja koleżanka, Zuzia.

— Ty jej dostarczyłeś oryginalny portret mojego syna?

— Tak. Zapamiętałem, że trzyma go pani w trzeciej szufladzie. Gdy była pani w kuchni, wyjąłem go i sfotografowałem. Zrobiłem to podczas ostatniej wizyty.

— Po co to wszystko?

— Bo była pani smutna. Chciałem dać pani nadzieję, że on żyje i któregoś dnia wróci. Powiedziała mi pani kiedyś, że czeka na jakiś znak od niego. No to pomyślałem, że dam pani ten znak, a pani się ucieszy.

— To ty wrzuciłeś do mojej skrzynki pocztowej ten rysunek?

— Tak.

Milena czuła, jak powoli się uspokaja. Kwestia portretu Krzysia w końcu się wyjaśniła.

— Nie pomogłeś mi tym rysunkiem.

— Przepraszam, to było głupie.

Patryk pochylił pokornie głowę. Wyglądał na skruszonego i niewinnego. Nie potrafiła się na niego gniewać.

— Skąd znasz Zużę?

— Chodzimy do tej samej szkoły. Jest rok młodsza ode mnie.

— Lubisz ją?

Milena zadała mu pytanie, jakie zwykle formułują matki dorastających synów. Machnęła ręką na znak, że nie musi odpowiadać. Parę dni temu przyszło jej do głowy, że powinna poznać ze sobą tę dwójkę, Patryka i Zużę, a tymczasem oni już się znali. Miała nadzieję, że się polubili i dobrze się czują w swoim towarzystwie.

— Skąd pani wiedziała, że to moja sprawka? — zapytał, wskazując palcem na blok rysunkowy leżący na jej kolanach.

Przerzuciła kilka kartek i odnalazła jego portret.

— Ciebie też narysowała.

Patryk pochylił się i z zaciekawieniem patrzył na szkic swojej twarzy.

— To ja jestem taki brzydki?

Dobrze udawał oburzenie, zademonstrował nawet nadąsaną minę. Młody mężczyzna o chłopięcej urodzie z dużymi ciemnymi oczami, które mogły sprawić, że rozkocha w sobie niejedną nastolatkę. Zuzia na pewno była pod jego urokiem, skoro poświęciła aż kilka stron bloku na szkic jego twarzy.

Patryk się podniósł.

— Zrobię pani kawę.

— Siadaj. Już mówiłam, że nie mam czasu na kawę.

Opadł lekko na kanapę. Szarość jego koszulki ponownie zlała się z szarością obicia. Czarne, krótko przystrzyżone włosy odcinały się od białej ściany.

— Wiesz, że poznałam Zużę?

— Tak, wspomniała mi o porwaniu siostrzeńca. Już się znalazł?

— Jeszcze nie.

— No tak, przecież Zuzia przysłałaby mi esemesa, gdyby się znalazł.

— Patryk, muszę ci powiedzieć coś ważnego. — Nie próbowała szukać wygodnych słów, oznajmiła wprost. — Twój ojciec uniknie kary, niedługo wyjdzie z aresztu.

Najpierw na jego twarzy pojawiło się zdumienie. Patrzył na nią z otwartymi ustami.

— Jak to możliwe? Przecież on zabił, zastrzelił.

Chciała mu powiedzieć, że się złamała, dała się przekupić, wolność sędziego Lasockiego za kolejne informacje o Pawle i Krzysiu. Nie potrafiła jednak się do tego przyznać. Ten młody człowiek tak bardzo w nią wierzył.

— Nie mamy dość mocnych dowodów — mruknęła.

— Co pani mówi? Przecież macie jego pistolet, na którym są jego odciski palców. Czego jeszcze trzeba?

— Nie mamy motywu, śladów GSR ani traseologicznych.

— Przecież najważniejsze jest narzędzie zbrodni.

— Patryku, w tej sprawie jest sporo wątpliwości — powiedziała łagodnie, aby go uspokoić. Wywołała jednak przeciwny efekt.

— Wątpliwości? Jakich? — krzyknął.

Nie mogła mu powiedzieć, że do broni miały dostęp inne osoby, jego siostra, gosposia, on sam, że sędzia właśnie na niego próbuje zrzucić winę.

Strach zniekształcił rysy Patryka, nadając mu upiorny wygląd. Siedział blady, z wyszczerzonymi zębami i cały czas mrugał, jak gdyby chciał powstrzymać łzy.

— Nie musisz z nim mieszkać, masz osiemnaście lat. Gdy twój ojciec wróci, mógłbyś przeprowadzić się do siostry, poza tym za rok wyjedziesz na studia. O pieniądze się nie martw, sędzia musi cię utrzymywać, a jeśli nie będzie tego robił, podasz go o alimenty.

Patryk opuścił ramiona, ale to był tylko chwilowy gest rezygnacji. Za chwilę w jego dużych chłopięcych oczach pojawiła się zawziętość. Milena patrzyła na to z ulgą. Już wiedziała, że Patryk nie podda się ponownie tyranii ojca.

## *Dzień trzynasty, popołudnie*

W salonie fryzjerskim panował harmider, w powietrzu unosiła się nieznana Rumunowi woń chemikaliów. Wszystkie fryzjerki były zajęte, pochylały się nad głowami klientów. Cztery osoby siedziały w rogu salonu, oczekując na swoją kolej.

— Umówiony pan? — zawołała jedna z fryzjerek w jego stronę.

— Nie.

Dziewczyna podeszła do blatu i otworzyła zeszyt. Trzymała wycelowane w niego nożyczki.

— Mogę pana wpisać na jutro. Szesnasta pasuje?

Któraś z fryzjerek włączyła suszarkę. Rumun się ucieszył, przynajmniej klienci nie będą słyszeli, o czym rozmawia.

— Jestem z policji. Chciałem zapytać o Martę Maj.

Pokazał legitymację. Fryzjerka obróciła się w stronę koleżanek, zapewne z zamiarem poinformowania ich o niecodziennej wizycie. Rozmyśliła się jednak.

— To moja klientka. Z internetu wiem, że jej dziecko jeszcze się nie znalazło. Jeżeli mogę jakoś pomóc...

— Chciałbym wiedzieć, co się działo podczas ostatniej wizyty pani Maj. Strzygła ją pani, farbowała?

— Proszę mi przypomnieć, kiedy to było.

Rumun podał datę, a fryzjerka przerzuciła kilka kartek w zeszycie.

— Pani Marta miała podcinane i układane włosy. Umówiona była na dziewiątą piętnaście. Pamiętam, że przyszła z córeczką. Śliczna dziewczynka, jak mama, a jaka grzeczna.

— Często przychodziła tutaj z dziećmi?

— Zdarzało się, ale nigdy z dwójką naraz.

Rumun zapisywał odpowiedzi, miał przy tym wrażenie, że to przesłuchanie do niczego nie prowadzi. Przeszedł więc szybko do najważniejszego pytania.

— Czy pani Maj tamtego dnia była zdenerwowana?

Dopiero teraz fryzjerka odłożyła nożyczki na ladę i podparła się pod boki. Wyglądało to na gest tryumfu.

— A jednak ją podejrzewacie. Ja też się nad tym zastanawiałam, czy ona czasem nie ma coś wspólnego ze zniknięciem dziecka.

— Czy to znaczy, że pani Maj sprawiała wtedy wrażenie zdenerwowanej? Może z kimś rozmawiała przez komórkę? A może sprawdzała co chwilę, czy dostała esemesa?

— Nie, zdenerwowana na pewno nie była. A z tym telefonem... nie pamiętam. Może z kimś rozmawiała, ale na pewno nic ważnego nie mówiła, bo by mi to w głowie utkwilo.

Huk suszarki ustał, osoby czekające na swoją kolej zaczęły zerkać w stronę policjanta i fryzjerki. Rumun przyciszył głos.

— W takim razie, dlaczego pomyślała pani, że ona może mieć coś wspólnego z porwaniem swojego syna?

— Przecież to oczywiste, po tej sprawie z małą Madzią z Sosnowca teraz każda matka jest podejrzana.

Rumun zamknął notes i podziękował za rozmowę. Po wyjściu z salonu stanął na chodniku i się rozejrzał. W dniu porwania, gdy rozpoczynali pościg za sprawcą, przejeżdżali właśnie przez tę ulicę. Skręcili z Podgórnej w Wiejską i z piskiem opon przejechali obok zakładu fryzjerskiego, w którym siedziała wtedy Marta.

Ruszył w stronę samochodu zaparkowanego w zatoczce przeznaczonej dla mieszkańców niewielkiego bloku. Słyszał kroki za sobą. Wyglądało na to, że ktoś próbuje go dogonić. Włożył kluczyk do zamka i miał się właśnie odwrócić, ale ten ktoś stał już obok niego.

— To policyjny wóz czy pana prywatny?

Pytanie padło z ust kilkuletniego chłopca. Rumun miał wrażenie, że już go widział, całkiem niedawno, poza tym to miało miejsce w jakichś ważnych okolicznościach.

— Pan mnie nie poznaje? — dalej zagadywał go chłopiec.

— A powinienem?

— Gliniarze powinni wszystkich zapamiętywać, co nie? Ja takim psem będę, wszystkich ludzi zapamiętam i potem jak zobaczę portret pamięciowy, to będę kumał, kto to jest.

— Dobra mały, mów, gdzie się widzieliśmy.

Chłopiec kiwnął głową w stronę ulicy Podgórnej.

— Tam. Pana kolega próbował mi wmówić, że jest pan pedofilem. Chciał mnie nastraszyć, ale mu się nie udało. Strzeliłem wam wtedy fotę, no bo gdyby jednak pan był tym pedofilem...

Rumun otworzył drzwiczki i pochylił się, aby wsiąść do samochodu.

— Powinniście o nagrodzie napisać — oznajmił stanowczym tonem chłopiec.

— O jakiej nagrodzie?

— No tak jak w filmach, za informację o bandytach. Na waszej stronie jest zdjęcie poszukiwanego, tego porywacza ze szparą między zębami, ale nie ma informacji o nagrodzie.

— On już nie jest poszukiwany.

— No przecież wiem. Zabiliście go. — Chłopiec wyglądał na zniecierpliwionego. — Ale chcecie wiedzieć, gdzie był widziany ten ze szparą.



Rzeczywiście, od wczoraj na stronie komendy wisiało zdjęcie Grzegorza Zalewskiego z apelem o kontakt, bo policja próbuje ustalić jego ostatnie miejsce pobytu. Był to pomysł Beaty, miała nadzieję, że w ten sposób zawęzą poszukiwanie współniczki porywacza do kilku ulic, a może nawet jednego bloku.

— Chcesz mi powiedzieć, że widziałeś Grzegorza Zalewskiego, tak?

— Nawet mu fotę strzeliłem moim fonikiem.

— Pokaż.

Chłopiec zaczął przesuwać palcem po ekranie smartfona i po chwili podał aparat policjantowi. Rumuna aż zatkało, ten dzieciak naprawdę sfotografował Grzegorza Zalewskiego. Zdjęcie mówiło bardzo dużo, bo obciążało jeszcze jedną osobę, a mianowicie kobietę o jasnych włosach. Ją obiektyw uchwycił fragmentarycznie, obcinając jej kawałek głowy i jedno ramię. Obrócona była tyłem i trochę profilem. Brała śmiejące się dziecko z rąk Grzegorza Zalewskiego. Był to prawdopodobnie Tymoteusz Maj, chociaż tego aspirant nie potrafił stwierdzić na sto procent. Zalewski został sfotografowany en face. Chyba coś mówił, bo miał otwarte usta, diastema była doskonale widoczna. Można było odnieść wrażenie, że jest to sympatyczna rodzinna fotografia. Rumun wysłał zdjęcie na swoją komórkę i służbową pocztę. Prokurator Łempicka miała więc rację, Zalewski działał na zlecenie Marty Maj, bo zapewne ta blondynka na fotografii to ona. Udało mu się znaleźć dowód, który byłby mocnym argumentem przy kolejnym przesłuchaniu Marty. Na szczęście na zdjęciu miała odsłonięte ucho, to biegłym powinno wystarczyć do identyfikacji, ponadto będą mieli jeszcze do analizy kontur głowy i ramienia. Aspirant zajrzał w szczegóły cyfrowej fotografii. Kolejne zaskoczenie. Została zrobiona w parku Modrzewie na dzień przed porwaniem Tymoteusza Maja. Marta oswajała więc synka z nowym opiekunem.

Oddał aparat chłopcu.

— Jak się nazywasz?

— Adaś Krasowski.

— Dlaczego zrobiłeś zdjęcie tym ludziom?

Chłopak wzruszył ramionami.

— Bo wszystkim robię. Mam dużo fajnych zdjęć, w te wakacje strzeliłem fotę strażakom, jak rozwalali gniazdo os w parku. Chce pan zobaczyć?

— Innym razem. Twój numer telefonu już mam, podaj mi jeszcze adres.

— A nagrodę dostanę?

— Tak, dostaniesz, podziękowanie na piśmie. Załatwię to od ręki.

Chłopiec się skrzywił, ale kartkę z podziękowaniem przyjął.

Rumun, zanim ruszył, zadzwonił do prokurator Łempickiej. Nie odebrała. Wybrał numer Kamila. Poinformował go, że znalazł coś ważnego i właśnie jedzie

do firmy. Był blisko alei Tysiąclecia, gdy coś sobie przypomniał. Stojąc na światłach, wziął komórkę i spojrzał jeszcze raz na zdjęcie. Widoczna na nim blondynka miała dość długie włosy, sięgające mocno poniżej ramion. O ile dobrze pamiętał, Marta była krócej ścięta. Zgadza się, przecież zdjęcie zostało zrobione dzień przed porwaniem, dopiero następnego dnia poszła do fryzjera podciąć włosy.

# Rozdział XIV

## *Dzień czternasty, południe*

Komisarz Soroka stał na balkonie swojego mieszkania na Zawadzie. Trzymał w ustach niezapalonego papierosa, a w palcach najnowsza zapalniczkę, prezent od prokurator Łempickiej-Krol. Srebrne cacko ozdobione na froncie wypukłą czaszką. Ciekawe, czy ten emblemat to aluzja do jego nekrofilskich zamiłowań, czy tylko przypadek. Zastanawiał się, czy nie powinien odwdzińczyć się Milenie jakimś prezentem. Nie, na pewno nie będzie biegał po mieście w poszukiwaniu biżuterii czy perfum. Nie da się wciągnąć w rygor męsko-damskich relacji.

Odpalił zapalniczkę. Syknęła przyjemnie i pojawił się jasny, cienki płomień. Wpatrywał się w ogień, czuł jego ciepło na twarzy i palcach. Z dołu dobiegały głosy dzieciaków kopiących piłkę na placu zabaw, na wysokości szóstego piętra krążyły z krzykiem mewy, a on rozmyślał o tym, że finał porwania Tymoteusza Maja zależy wyłącznie od niego, bo jako jedyny miał kompletną wiedzę. Tylko on zdawał sobie sprawę, kto tak naprawdę stoi za porwaniem.

Gdy Rumun pokazał mu wczoraj zdjęcie będące rzekomo potwierdzeniem współpracy Marty z porywaczem, od razu się zorientował, że kobieta z fotografii nie jest panią Maj. Widział tylko ramię i kawałek twarzy uchwycony z niewyraźnego profilu, ale tyle mu wystarczyło. Jego uwagę zwróciły na początku jasne, dość długie włosy, w dodatku rozpuszczone, takie nosiła Zuza. Potem skupił się na kształcie ramienia. Było zbyt szczupłe, zbyt kanciaste jak na drobną, ale niepozobawioną krągłości sylwetkę Marty. Za to jej młodsza siostra wyróżniała się nastoletnim ciałem o ostrych konturach. Na fotografii wraz z Zalewskim i Tymkiem znajdowała się więc Zuza, to ona była tajemniczą współniczką porywacza.

Gdy przez ostatnie dni wpadała do domu Marty i Seweryna, zawsze się spieszyła. Teraz wiedział dlaczego. Chciała jak najszybciej wrócić do dziecka, którym pod jej nieobecność zajmował się Zalewski. Przychodziła niby po to, żeby się upewnić, czy może w czymś pomóc, a tak naprawdę sprawdzała, na jakim etapie śledztwa jest policja.

Kamil był już przekonany co do udziału Zuzy w porwaniu, ale potrzebował jeszcze jakiegoś dowodu, choćby wykluczenia innych podejrzanych. Wsunął do kieszeni zapalniczkę, a wyjął telefon. Wybrał numer sierżant Gryś. Gdy odebrała, zapytał o identyfikację linii papilarnych zabezpieczonych na paragonie z zakupu pampersów. Miał nadzieję, że laboratorium kryminalne przysłało już wynik. Beata kazała mu chwilę poczekać, a potem przymilnym głosem odczytała ekspertyzę. Tak jak się spodziewał, nie były to odciski palców ani Marty, ani Seweryna, nie należały też do Roberta i Ramiry. Mogła je pozostawić Zuza, kupiła siostrzeńcowi pieluchy, a podczas wizyty w domu Marty opróżniła kieszenie i wyrzuciła paragon do śmieci. Nie pobrali od niej odcisków palców do ekspertyzy porównawczej, bo nie znajdowała się w kręgu podejrzanych. Podczas porwania rodzina zawsze jest na celowniku policji, oni sobie jednak odpuścili siedemnastolatkę. Nikomu nie przyszło do głowy, że ta dziewczyna może mieć coś na sumieniu.

Patrzył na dziesięciopiętrowy blok z wielkiej płyty, bliźniak tego, w którym sam mieszkał. Machinalnie zaczął liczyć uchylone okna. Czasami tak robił, swoisty prolog do analitycznego myślenia. Zastanawiało go, jaki udział w porwaniu miała Zuza. Czy Zalewski ją zwerbował, gdy miał już zlecenie od Roberta? Prawdopodobnie było inaczej. Przez ostatnią godzinę przeglądał profil dziewczyny na portalu społecznościowym. Nie znalazł nic, co mogłoby wskazywać na jej wcześniejszy związek z porywaczem. Zaczął się więc interesować koleżankami Zuzy i szybko trafił na ciekawą rzecz, a mianowicie na zdjęcia zrobione w hotelu Agros w Kętrzynie. Tam pracował Grzegorz Zalewski i tam w lutym Zuza spędziła weekend z koleżanką i jej rodzicami. Wtedy mogła go poznać, prawdopodobnie utrzymywali kontakt internetowy. Gdyby miał jej laptopa, mógłby to sprawdzić. Potem musiała się dowiedzieć, że Robert wyjeżdża do Kętrzyna i będzie nocował właśnie w tym hotelu. Dała znać Zalewskiemu. Już wtedy wiedziała, a może dopiero podejrzewała, że starszy z braci Majów jest ojcem Tymka. Postanowiła tę wiedzę wykorzystać. Nie rozumiał jedynie, dlaczego wciągnęli w zlecenie porwania Seweryna. Żeby narobić zamętu w rodzinie Majów? A może Zuza z jakiegoś powodu nie lubiła szwagra i takim sposobem się na nim odegrała?

Ponownie odpalił zapalniczkę, przez chwilę wpatrywał się w płomień, po czym przytknął ogień do papierosa i się zaciągnął. Szukał nieścisłości w przyjętej hipotezie. Co przemawia za tym, że to jednak nie Zuza? Na razie wszystko świadczyło o jej udziale w porwaniu, na pewno film będący dowodem życia i ten różowy miś, poza tym to, że od trzech miesięcy miała prawo jazdy, mogła więc przyjechać po Zalewskiego do Lasu Kadyńskiego. Nawet przesłuchanie Marty, jakie przeprowadziła dziś rano prokurator Łempicka, zdawało się potwierdzać

winę Zuzy. Gdy pani Maj zobaczyła fotografię swojego syna znajdującego się między mężczyzną z diastemą a kobietą o blond włosach, odmówiła składania zeznań. Zapewne rozpoznała na zdjęciu swoją siostrę. Nic nie powiedziała, bo nie chciała jej pogrążyć. Nabrała też pewności, że Tymkowi nie może się stać nic złego pod opieką Zuzy. Dlatego spokojna opuściła budynek prokuratury i pojechała do marketu na zakupy.

Przesunął wzrokiem po balkonach bloku naprzeciwko. Na szóstym piętrze stała kobieta z niemowlęciem na ręku. Za chwilę obok niej pojawił się mężczyzna. Podała mu dziecko i weszła do mieszkania. Tak samo przy Tymku zmieniała się Zuza z Zalewskim. Nie mogli jednocześnie opuszczać swojej kryjówki. Kamil przygryzł papierosa. Właśnie znalazł niespójność w logicznym argumentowaniu mającym dowieść udziału Zuzy w porwaniu. Ona i Zalewski byli razem na pogrzebie Bogumiły Maj. Kto w takim razie został z Tymkiem? Czyżby była jeszcze trzecia osoba?

Rozległ się dzwonek do drzwi. Zgasił papierosa w popielniczce stojącej na parapecie i niespiesznie wszedł do mieszkania. Zdziwił się, gdy ujrzał dwóch mundurowych.

— Co jest?

— Komisarzu, sąsiedzi się skarżą na pana.

— No to wypiszcie im mandat.

Żart zadziałał. Obaj mundurowi zachichotali.

— Niech pan nie wychodzi na dymka na balkon. Po co panu konflikt z sąsiadami?

— Kto dzwonił?

Mundurowy się zawahał, ale jednak wskazał na lokal nad mieszkaniem Kamila.

— Mówią, że mają w pokojach siwo od dymu. Zajrzeliśmy do nich. Przesadzają.

— Wyjaśniliście im, że balkon nie jest miejscem publicznym?

— Tak. Powiedziałem też, że mogą złożyć na pana skargę u administratora budynku.

— No to zrobiliście, co do was należało. Możecie się zabierać.

— Komisarzu, ta kobieta wyglądała na zawziętą. Powiedziała, że wystawi na balkon wiadro z własną kupą, bo to nie jest miejsce publiczne i jej wolno. A wtedy pan już na pewno nie zaciągnie się fajeczką na swoim balkonie. Dodała jeszcze, że ma rozwolnienie.

Kamil nie potrafił powstrzymać się od śmiechu.

— Dobra, chłopaki, dzięki za ostrzeżenie. Będę uważał na sąsiadkę.

Gdy wrócił do mieszkania, nadal był w wesołym nastroju. Już dawno powinien się stąd wyprowadzić, najlepiej do jakiegoś domu za miastem. Gdyby tylko było go stać. Wyjął z lodówki piwo i ponownie wyszedł na balkon. Białe skrzydła mew odcinały się od granatowego nieba. Zaraz będzie padać. Dzieciaki grające w piłkę zaczęły zadzierać głowy i też wypatrywały deszczu.

Kamil powrócił myślami do sprawy porwania. Najważniejsze było ustalenie, gdzie przebywa Zuza. Jeżeli ma przy sobie swój oficjalny telefon, to znajdzie ją w kilkanaście minut, przynajmniej jej przybliżoną lokalizację. Prawdopodobnie zatrzymała się ze współnikiem w mieście, skoro wpadała do domu siostry przynajmniej raz dziennie. Od śmierci Zalewskiego nie pojawiła się ani razu. Właściwie dlaczego jeszcze nie oddała Tymka? Być może jest wystraszona, w końcu jej kompan został zastrzelony. Może boi się gniewu siostry i szwagra albo odpowiedzialności za swój czyn, czyli pobytu w poprawczaku. Jest jeszcze jedna możliwość, Zuza zamierza dokończyć pierwotny plan, zechce dostać okup za dziecko.

Piwo przyjemnie spływało do żołądka. Chłodziło go od środka i skutecznie studziło emocje.

Telefon zawibrował mu w kieszeni. Gdy przesunął słuchawkę, usłyszał przejęty głos Roberta.

— Komisarzu, dostałem wiadomość. Znowu chcą pieniędzy za Tymka. Czy to się kiedyś skończy? Przecież mówiliście, że współniczka porywacza odda mojego chłopca. A tu wszystko od nowa.

Kamil nie mógł uwierzyć, Zuza wybrała ostatnią opcję z tych, które przed chwilą rozważał.

— Jaką wiadomość pan dostał?

— Esemesem, i jeszcze zdjęcie, wy to nazywacie dowodem życia.

— Proszę mi to zaraz przesłać.

Kamil wrócił do mieszkania i usiadł przy stole. Za moment czytał esemesa: „Oddam dziecko za pół miliona. Tylko bez powiadamiania policji. Załatwmy to szybko”. Ciarki przeszły mu po plecach.

Do tej pory nikomu nie powiedział, że współniczką Zalewskiego nie jest Marta, lecz jej młodsza siostra. Wolał tę wiedzę spożytkować dla siebie. Czekał na okazję i właśnie się pojawiła. Jego celem była kasa Roberta, pół miliona, nie pogardzi taką sumą. Okup za dziecko trafi w jego ręce, a nie do siedemnastoletniej dziewczyny. Musi podejść do tej sprawy bardzo rozsądnie.

Nie miał żadnych wątpliwości, że autorką esemesa jest Zuza. Sprawcy zwykle wysyłają groźby, straszą rodzinę, a tu nic z tych rzeczy. Przekaz był maksymalnie informacyjny, brak niezdecydowania, autor był nastawiony na osiągnięcie celu. Druga wiadomość zawierała zdjęcie. Zobaczył buzię chłopca, pozostała część

ciała przykryta była płachtą gazety informującą o zastrzeleniu mężczyzny w Raczkach Elbląskich. Zuza przystąpiła więc do działania. Dobrze. Teraz tylko musi wykorzystać jej plan. Powinien zachować ostrożność, bo dziewczyna nie jest głupia. Przede wszystkim nie zna reguł, jakimi zwykle kierują się porywacze, co sprawia, że może stać się nieprzewidywalna.

Powiadomił aspiranta Nowaka, następnie wyciągnął z szafy pas z kaburą i zapiął go na biodrach. Pół godziny później zaparkował samochód przed domem Roberta Maja w Dąbrowie. Rumun już na niego czekał. Efektowna przesuwna brama otworzyła się i obaj wjechali na posesję.

Robert zaprowadził ich na taras. Na stoliku stał dzbanek z kawą. Ramira bez pytania napełniła cztery filiżanki. Majowie byli zdenerwowani, ale zarazem prezentowali się jak serialowa para. On wsparty o barierkę w czarnej koszuli i w ciemnych okularach, ona siedząca po turecku na terakocie, ubrana w jasną tunikę.

Kamil wziął filiżankę i usiadł na krześle. Miał ochotę wyciągnąć nogi. Co za miejsce, kilka razy większe od jego balkonu i z pięknym widokiem na las, a nie na blokowiska. Jeżeli będzie kupował dom, to tylko z dużym tarasem, takim jak ten tutaj.

— Co teraz zrobicie? — zagadnął Robert.

— To w dużej mierze zależy od pana brata i jego żony — odezwał się komisarz.

— Wiem, o co panu chodzi, oni są rodzicami, im porwano dziecko. Wolałbym jednak, żebyście działali bez konsultacji z Sewerynem. On nie jest teraz w stanie podjąć żadnej mądrej decyzji, mógłby tylko zaszkodzić. A jego żona... sam nie wiem.

Robert poprawił okulary przeciwsłoneczne. Nie włożył ich dla ochrony źrenic przed słońcem, bo to nie było w stanie się przebić przez ciężkie chmury. Ciemne szkła nie były też eleganckim dopełnieniem ubioru. Raczej służyły do ukrycia rozbieganego wzroku.

— My działamy według procedur — zaczął Kamil powoli, żeby nadać odpowiednią rangę swoim słowom. — Procedury wymagają od nas, abyśmy współpracowali z najbliższą rodziną porwanej osoby, przy czym bliscy mają głos decydujący, w każdej chwili mogą zrezygnować z naszej pomocy. W kwestii naszej współpracy z pana bratem i bratową pojawił się pewien problem.

— Chce pan powiedzieć, że ja też jestem jego najbliższą rodziną i mam prawo decydować — wtrącił się Robert.

— Nie, dla policji ojcem nadal jest Seweryn. Chodziło mi o to, że trudno nam teraz rozmawiać z Sewerynem i Martą, bo on nie trzeźwieje, a ona jest główną podejrzaną.

Ramira odsunęła filiżankę od ust i spojrzała pytająco na męża.

— Marta główną podejrzaną? Kochanie, wytłumacz mi, o co panu komisarzowi chodzi.

— Nie wiem — mruknął Robert i po chwili dodał: — Przyznaję, że Marta wiedziała o moich planach uprowadzenia syna i wyraziła na to zgodę.

— Sądzymy, że udział pana bratowej w porwaniu jest dużo większy. Wiemy, że spotkała się z Grzegorzem Zalewskim na dzień przed porwaniem Tymka. Przypuszczamy, że to ona jest jego współniczką. Niewykluczone, że całe to porwanie jest jej pomysłem, a pan został w nie wciągnięty, podobnie jak Seweryn.

Maj wyglądał na mocno zaskoczonego. Zerkał na aspiranta Nowaka, jak gdyby oczekiwał, że ten zaprzeczy słowom komisarza.

— Ale to ja znalazłem tego człowieka, ja mu złożyłem propozycję.

— Nie wiemy, kiedy Marta włączyła się do gry, ale na pewno kontaktowała się z Zalewskim przed porwaniem. Rozumie pan, że teraz nie możemy ustalać z nią, co dalej w sprawie uprowadzenia jej syna, co z przekazaniem kolejnego okupu, bo prawdopodobnie to ona stoi za tym dzisiejszym esemesem.

— Ale panowie, moja bratowa taka nie jest. Nie chodzi mi o to, że jest uczciwa. Przeciwnie, cała jej rodzina to margines, a ona nie lepsza, ale brakuje jej przebiegłości. To prosta kobieta, nie potrafiłaby czegoś takiego zaplanować.

— A jednak — powiedział Rumun tak stanowczo, jak gdyby wypowiadał słowo „amen” po zakończonej modlitwie.

Komisarz nie chciał pozwolić, aby Majowie zaczęli się zastanawiać nad obecną sytuacją, bo wtedy mógłby stracić kontrolę nad ich decyzjami. Powinni myśleć to, co on im zasugeruje. Patrząc na Roberta, mówił dalej:

— Skoro rodziców wykluczylismy ze współpracy, to pozostaje nam pan. To nie do końca zgodne z procedurami, ale nie mamy innego wyjścia.

Komisarz spojrział na aspiranta Nowaka, ten kiwnął głową. Właśnie o to mu chodziło, zabrał ze sobą Rumuna, żeby mieć świadka, który potwierdzi, że starał się trzymać regulaminu i przede wszystkim kierował się dobrem dziecka.

Na sąsiedniej posesji odezwała się kosiarka, w oddali zaszczekał pies.

— Przedstawię teraz panu trzy możliwości reakcji na ostatnie żądanie okupu. Razem się zastanowimy, które wybrać.

Robert kiwnął głową.

— Po pierwsze, możemy nic nie robić, nie reagować na esemesa. Możemy sobie na to pozwolić, bo Tymkowi nic nie grozi, w końcu jest w rękach własnej matki. Prędzej czy później będzie musiała go uwolnić. Po drugie, może pan przekazać okup pod naszym nadzorem. Po kasę nie przyjdzie Marta, ma jeszcze jednego współnika, który teraz zajmuje się Tymkiem. To prawdopodobnie on podejmie okup. Zatrzymamy go na tej czynności i postawimy przed sądem wraz



z główną sprawczynią. Jest jeszcze jedna możliwość... — Kamil dolał sobie kawy z dzbanka. Ta pauza była potrzebna, żeby zaakcentować, że ostatnia propozycja jest najlepsza. — Może pan przekazać okup bez naszego udziału, po prostu zapłacić bratowej za dziecko. Wydaje mi się, że w takim wypadku Marta będzie bardzo wdzięczna i pozwoli panu wychowywać syna.

Robert odwrócił się do nich tyłem i patrzył na las. Ramira pierwsza przerwała milczenie.

— Dlaczego do niej nie pojedziecie i nie zażądacie, aby przestała się wygłupiać? Niech odda Tymka, bo inaczej ją zamkniecie.

— Prokurator Łempicka przesłuchiwała dzisiaj panią Maj. Niestety, podejrzana utrzymuje, że nie ma nic wspólnego z porwaniem.

Ramira była coraz bardziej rozdrażniona.

— Ale wy macie dowód, że to ona. Sam pan mówił. Dlaczego nic nie robicie?

— Mamy jedynie zdjęcie, które potwierdza, że pani Maj spotkała się z Grzegorzem Zalewskim na dzień przed porwaniem. To jeszcze nie świadczy o tym, że miała coś wspólnego z samym porwaniem.

Piękna brunetka się roześmiała.

— Pan sobie żartuje.

— Nie śmiałbym, sprawa jest zbyt poważna. Poza tym nie mamy pewności, czy biegły potwierdzi, że na zdjęciu jest Marta Maj. Może się więc okazać, że nie mamy żadnego dowodu przeciwko niej.

Robert odwrócił się w ich stronę. Trzymał w dłoni okulary przeciwsłoneczne, jego spojrzenie było niespokojne.

— Chcę mieć syna przy sobie jak najszybciej. Dam jej te pieniądze. Tak naprawdę na tyle się z nią umówiłem, obiecałem jej pół miliona za Tymka. Miałem jedynie nadzieję, że po prostu wyjawi wszystko Sewerynowi, przekona go do wzięcia kasy i oddania mi chłopca, ale ona nie chciała załatwić tego w ten sposób.

Ramira poderwała się tak gwałtownie, że aż kolczyki w jej uszach zadźwięczały.

— Kochanie, skąd wiesz, że ona ci go teraz odda? Nie lepiej, żeby policja ją zatrzymała podczas przekazywania okupu? Ją albo tego jej współnika? Gdy Martę zamkną, dopiero wtedy będziesz mógł być ojcem. Ktoś przecież będzie musiał zająć się Tymkiem.

Kamil się nie odzywał. Miał nadzieję, że Maj postawi na swoim i przekaże okup bez policyjnego zabezpieczenia. Wtedy on miałby większe pole manewru, mógłby bez zbędnych komplikacji przejąć kasę. Niestety, Rumun włączył się do wymiany zdań między małżeństwem Majów.

— Pana żona ma rację. Nie wiadomo, czy Marta po otrzymaniu okupu pozwoli panu spotykać się z chłopcem. Może nawet sędownie panu zabronić go widywać, ma mocne argumenty, w końcu zaplanował pan porwanie syna i naraził go na niebezpieczeństwo.

Robert nie namyślał się dłużej, skinął głową, zgadzając się na policyjne zabezpieczenie przekazania okupu.

Dwie godziny później komisarz siedział na komendzie i kierował pracą zespołu. Przede wszystkim monitorowali połączenia z telefonem Roberta. Był też w stałym kontakcie z funkcjonariuszami prowadzącymi obserwację Marty. Wiedział, że nic ona nie da, ale musiał trzymać się oficjalnej wersji śledztwa zakładającej sprawstwo pani Maj. Milena przyjechała do firmy, czuła, że są blisko zamknięcia tej sprawy. Wolałby, żeby wróciła do domu. Pod jej czujnym spojrzeniem trudniej było mu realizować prywatny plan, a trochę miał do zrobienia, przede wszystkim powinien ustalić miejsce pobytu Zuzy. Niestety, wyjęła baterię z oficjalnego telefonu. Pozostawało mu czekać, aż skontaktuje się z Robertem. Zrobiła to przed dwudziestą. Chwilę później wiedzieli, że jej telefon logował się na Bema. Wysłał tam trzy patrole i polecił przejrzeć miejski monitoring. Kazał rozglądać się za kimś podejrzanym, za osobą, która odwraca głowę na widok wozu policyjnego.

Tak naprawdę już go nie interesowało, gdzie jest Zuza. Ważniejsze były wskazówki, jakie przysłała esemesem Robertowi. Był pod wrażeniem jej przebiegłości. Ciekawe, czy działała sama, może jednak oprócz Zalewskiego ktoś jeszcze jej pomagał.

— Niezły pomysł — skomentowała Milena, widząc treść esemesa na monitorze komputera.

Kamil już analizował wytyczne do przekazania okupu, zastanawiał się, jak przechytrzyć Zuzę oraz swoich kolegów i zgarnąć kasę Roberta, całe pół miliona.

Zuza poleciła przygotować pieniądze w dziesięciu paczkach po pięćdziesiąt tysięcy złotych i wysłać je do paczkomatów znajdujących się na terenie Elbląga. Podała adresy wszystkich punktów. Na jej numer telefonu miały przyjść kody do odbioru paczek.

Domyślał się, że nie będzie próbowała podjąć wszystkich pieniędzy. Prawdopodobnie narobi zamieszania, przekazując kody przypadkowym osobom, na przykład bezdomnym, z prośbą, aby za nie wielką kwotę odebrali dla niej paczkę.

Kamil połączył się z aspirantem Nowakiem, który został w domu Majów.

— Jak to rozpracujemy? — zapytał bez zbędnych wstępów.

— Proponuję dołączyć nadajnik GPS do każdej paczki. No i musimy obserwować każdy paczkomat. Na odebranie przesyłki są siedemdziesiąt dwie

godziny, będziemy więc musieli trzymać ludzi na mieście trzy doby, ale nie mamy wyjścia. Mam tylko nadzieję, że Marta albo ten jej wspólnik nie będą zbyt cierpliwi i szybciej przyjdą po okup. W ogóle to sędzę, że ona nie ruszy się z domu. Przecież wie, że ją podejrzewamy. Myślę, że musi mieć kogoś zaufanego, kogoś z rodziny. Zuzy by w to raczej nie wciągała, za młoda, ale ma jeszcze brata, chyba siedział za kradzieże. Musimy objąć go obserwacją, bo to on może odebrać paczki.

Rumun miał rację w kwestii zaufanej osoby. Zuza może kogoś takiego mieć i może to być właśnie brat. Jeszcze dziś zarządzi jego obserwację. Żeby tylko za szybko nie wpadli na ślad Zuzy i Tymka, bo wtedy nie dojdzie do przekazania okupu i minie go szansa na zarobienie sporych pieniędzy.

— Zaraz przyślę ci Beatę i jeszcze ze dwóch młodych do pomocy. Spiszecie numery z banknotów i zapakujecie do pudełek z nadajnikami.

— Ty nie przyjedziesz?

— Nie, ja muszę się zastanowić nad przebiegiem akcji. Spróbuję ustalić, czy już ktoś w ten sposób przekazywał okup, no i co nam da współpraca z firmą od tych paczkomatów.

Rozłączył się. Stała przed nim Milena. Była bardziej niż zwykle blada, jej mlecznobiała cera nabrała sino-trupiego wyglądu. Przesunął palcami po jej skroni, a potem kości jarzmowej. Uśmiechnęła się. Wzięła jego gest za pieszczotę. Cofnął dłoń.

# Rozdział XV

## *Dzień piętnasty, rano*

Wilgotne powietrze wydawało się nieruchome, żaden listek nie ośmielał się drgnąć. Była szósta piętnaście, Kamil właśnie pokonywał swoją codzienną trasę, pięć kilometrów żółtym szlakiem na Górę Chrobrego, a potem powrót niebieskim szlakiem. Nogi miał dzisiaj wyjątkowo ciężkie, a mięśnie karku napięte, efekt nieprzespanej nocy i kilku wypitych piw.

Milena zaprosiła go wczoraj wieczorem do siebie. Odmówił grzecznie, żeby jej nie urazić, a przede wszystkim nie wzbudzić podejrzeń. Powinien nadal uchodzić za funkcjonariusza bezgranicznie zaangażowanego w śledztwo. Noc chciał spędzić samotnie, aby móc zaplanować przejęcie okupu. Zdawał sobie sprawę, że ma mało czasu, tylko kilka godzin. Udało się, o czwartej rano miał w głowie całą koncepcję, która jednak teraz zaczęła się nieco rozsypywać. Może powinien nad nią trochę dłużej popracować, wymyślić coś pewniejszego.

Ujrzał dwie kobiety w średnim wieku zbliżające się z naprzeciwka, biegły obok siebie. Od pewnego czasu spotykał je podczas joggingu w Bażantarni. Kiwnął im głową, odpowiedziały na powitanie. Po chwili usłyszał za sobą charakterystyczny dźwięk, szum, a właściwie świst przerywany zgrzytnięciami metalu. Był to odgłos jadącego z dużą prędkością roweru. Wyglądało na to, że Mikołaj Bukowski poważnie potraktował jego zaproszenie na wspólną rekreację w miejskim lesie.

Dziennikarz zrównał się z nim i zwolnił.

— Komisarzu, nie masz litości, szósta rano. Nawet śniadania nie zjadłem. Dobrze, że chociaż zdążyłem opróżnić pęcherz. Co pan ma dla mnie?

Kamil milczał. Czy to dobry pomysł, żeby wciągać Bukowskiego w sprawę zagarnięcia okupu? Znienawidzony dziennikarz jego współnikiem? Na pewno musi kogoś mieć, sam nie zdoła przejąć paczek z kasą. Bukowski się do tego nadawał, bo był bystry i odważny. Ponadto nic tak nie uzależnia od siebie ludzi jak wspólne przestępstwo. Na razie to on musiał się liczyć z dziennikarzem, bo

tamten miał na niego haka. Jeżeli wciągnie Bukowskiego w przejście okupu, to też na niego coś będzie miał. Dając mu tę robotę, zapewnia sobie spokojny sen.

Ścieżka stawała się coraz bardziej stroma. Kamil zwolnił, a dziennikarz zsiadł z roweru, teraz szli obok siebie.

— No i co? Chce pan, żebym poruszył w gazecie jakiś temat?

Kamil poprawił kaburę pod pachą i starał się uspokoić oddech.

— Chcesz zarobić?

— Zarobić? W jakim sensie?

— Jeszcze jedno głupie pytanie, a nie będę z tobą gadać.

— Aha, bez głupich pytań, w takim razie ile mogę zarobić?

— Sto tysięcy, pasuje ci?

— Sto patoli, serio? Przepraszam, miało nie być głupich pytań.

W milczeniu pokonali ostatnie sto metrów prowadzących na szczyt Góry Chrobrego. Słońce było coraz wyżej, robiło się ciepło. Kamil rozpiął bluzę. Wpatrzył się w miasto położone dziewięćdziesiąt metrów niżej. Było lekko zasnutę poranną mgłą, z której wydostawały się jedynie wieżowce i kościelne wieże. Za chwilę dołączył do niego Bukowski.

— Moja babcia często mawiała, że nie kupuje się kota w worku. To była mądra kobieta. Ja zawsze pamiętam, żeby obejrzeć dokładnie kocura. No to co, komisarzu, dasz mi zajrzeć do worka?

Kamil zdawał sobie sprawę, że musi sporo dziennikarzowi wyjawiać. Powinien mieć świadomość, co to za robota, bo może czeka go improwizacja podczas akcji, a bez wiedzy, w czym się uczestniczy, byłoby to niezwykle trudne.

— Jest okup do przechwycenia.

Dziennikarz gwizdnął.

— Okup za tego porwanego dzieciaka z Konopnickiej?

— Tak.

— Nie żebym jakoś bardzo kochał dzieci, ale co z nim będzie, gdy my ten okup weźmiemy?

— Spokojnie. Już wiemy, kto chłopca porwał. Chcemy jednak, żeby doszło do przekazania okupu, wtedy porywaczowi więcej dowalą w sądzie.

Na Górę Chrobrego wpadł czarny kundel i zaczął się do nich łąsić. Po chwili pojawił się zasapany właściciel psa i rzucił się na trawę niedaleko nich.

— Domyślam się, że to ja mam wziąć okup i nic mi nie grozi, bo to pan będzie zabezpieczał akcję.

Dziennikarz mówił przyciszonym głosem, zerkając na leżącego opodal mężczyznę.

— Tak, jesteś mi potrzebny do tego, żeby przejąć kasę. Ja pokieruję policyjną akcją, ale nie będę sam, ponad trzydziestu funkcjonariuszy będzie brało w tym

udział.

— Aż tyłu? Kim jest ten porywacz, że tak na niego polujecie?

— Nie chodzi o sprawcę, tylko o sposób przekazania okupu, w dziesięciu paczkach po pięćdziesiąt tysięcy rozmieszczonych w całym mieście.

Kamil mówił niemal szeptem, dziennikarz nachylał się do niego, żeby lepiej słyszeć. Zaintrygowało to właściciela psa, bo podparł się na łokciu i spojrzał w ich stronę.

— Dziesięć razy po pięćdziesiąt tysięcy to pół miliona. O kurwa, ale kasa.

Rozemocjonowany Bukowski podniósł głos. Leżący na trawie mężczyzna chyba coś usłyszał, bo bardziej wyciągnął głowę. Komisarz wyjął legitymację służbową i podszedł do niego.

— To pana kundel? — zapytał, pokazując blachę i na wszelki wypadek zasłaniając palcem dane identyfikacyjne.

— Tak, mój, ale to nie jest kundel.

— Zgodnie z przepisami w lesie pies nie może być puszczany luzem. Wie pan o tym?

Mężczyzna wstał i otrzepał się z trawy.

— Jakimi przepisami? Co pan?

— Ustawa o lasach z dnia 28 września 1991 roku.

— Panie, na polowaniu pan nigdy nie był, przecież tam psów...

— Dla polowań ustawodawca zrobił wyjątek. Mandat się panu należy. Jeszcze nie ma siódmej, a już pan stracił parę setek.

— Co pan, pan nie może, bez munduru.

— Jeśli pan nie zabierze z lasu tego psa, to zaraz zadzwonię po kolegów.

— Dobra, już idę. Za ściganie bandytów byście się wzięli, a nie... Zwyczajny kundel im przeszkadza.

Mężczyzna zagwizdał na psa i szybko się oddalił.

— Teraz nie będziemy musieli szeptać — oznajmił Kamil.

Dziennikarz stał odwrócony do niego plecami i patrzył na miasto. Kamil zdążył już zauważyć na jego twarzy zachłanność i niemal dziecinny entuzjizm, ale chyba jeszcze go nie przekonał. Nie pozostało mu na to wiele czasu, jakieś dwadzieścia minut, potem musi wracać do domu i firmy.

— Komisarzu, pan rejestruje naszą rozmowę. Szepty mogłyby się źle nagrać, dlatego pogonił pan tego gościa. — Bukowski patrzył mu zuchwale prosto w oczy. — Nie mam żalu, a nawet pana rozumiem. Jeśli pan wyciągnie kiedyś kwity na mnie, to ja sięgnę po te na pana. Tak naprawdę dopiero teraz będziemy się chronić nawzajem, jak bracia.

— Dobra, bez tych mądrych pogadarek. Mów lepiej, czy bierzesz tę robotę.

— Tak, biorę.

Kamil poczuł ulgę. Było to wręcz fizyczne doznanie, jak gdyby ktoś zdjął mu z ramion ciężki worek. Gdyby Bukowski się nie zgodził, musiałby zrezygnować z przejęcia okupu. Nikomu innemu nie mógłby powierzyć tej roboty, bo nikt nie jest tak przebiegły jak ten gówniarz.

— Paczki z kasą trafią do dziesięciu paczkomatów. Twoim zadaniem będzie odebrać okup przed sprawcą. Każda paczka będzie miała zainstalowany nadajnik GPS, tym się jednak nie zajmuj. Problemem będzie monitoring, paczkomaty mają swój, ale my zainstalujemy jeszcze nasze kamery, żeby mieć większą kontrolę nad przekazem obrazu. Musisz się porządnie zamaskować, żeby cię własna matka nie poznała. Czapka z daszkiem, zasłonięte uszy, okulary, makijaż, ale pamiętaj, żebyś nie przesadził, bo wtedy niepotrzebnie skupisz na sobie uwagę. Masz wyglądać zwyczajnie. Niech ci siostra pomoże, przecież to ona podmieniła na przystanku tramwajowym teczkę z dokumentami. Była wtedy znakomicie zamaskowana. Pamiętaj, że identyfikujemy ludzi nie tylko po gębie, także po sylwetce, ruchach czy nawet po ubraniach. Poćwicz przed lustrem, zgarb się, podciągnij ramiona do góry. Oczywiście założysz rękawiczki, mam dla ciebie kilka par w bagażniku.

Dziennikarz słuchał go z opuszczonymi powiekami i intensywnym skupieniem na twarzy. Co jakiś czas kiwał głową, dając znać, że wszystko doskonale rozumie.

— W jaki sposób przekaże mi pan kody do odebrania paczek?

— Esemesem. Dostaniesz też dzisiaj telefon komórkowy z baterią i kartą SIM. Zniszczysz go po zakończeniu akcji. Już wiemy, że paczki z kasą do paczkomatów trafią jutro. Gdy tylko to nastąpi, wyślę ci pustego esemesa i od tej pory masz być gotowy, masz stać w butach, zamaskowany i czekać na kolejną wiadomość, w której przyślę ci kody. Przygotuj się na to, że będziesz musiał czekać nawet kilkadziesiąt godzin.

— Po co? Przecież mamy być pierwsi, przed sprawcą.

— Choćby po to, żeby uśpić czujność moich kolegów, po dwudziestu czterech godzinach spadnie im koncentracja. Postaram się wybrać dla ciebie najlepszy moment. Może być tak, że sprawca przyjdzie po okup o drugiej w nocy, wtedy ja wysyłam ci sygnał, a ty zapierdalasz do paczkomatów, żeby zdążyć przed tamtym.

Bukowski zakołysał się na ugiętych nogach, przez chwilę patrzył na swoje buty, potem wolno uniósł głowę. Po raz pierwszy na jego twarzy pojawiło się z wątpienie.

— Komisarzu, to się nie może udać. Przecież przy każdym paczkomacie będą psy. Zgarną mnie od razu, gdy tylko wezmę paczkę.

— Pamiętaj, że to ja kieruję akcją. Nie wsadzę cię na minę, bo za dużo mam do stracenia. Ty wpadniesz, to ja mogę zakładać sobie sznurek na szyję.

— No to jak pan chce wykiwać swoich kumpli?

— Tak naprawdę naszym przeciwnikiem będzie tylko jeden człowiek, aspirant Nowak, jego musimy oszukać.

— Nie może pan go tego dnia wysłać w jakąś delegację albo inaczej spacyfikować?

— Mógłbym, ale chcę, żeby patrzył mi na ręce podczas akcji, żeby potem potwierdził, że wszystko robiłem zgodnie z wymogami dobrej policyjnej roboty. Kumasz?

— Może i kumam, ale nie wiem, czy chcę tak ryzykować.

— Nie będę cię zmuszał, sam podejmiesz decyzję, ale najpierw posłuchaj, jaki mam plan.

Komisarz mówił, a twarz dziennikarza się zmieniała. Na koniec wyglądał tak, jak gdyby już przechytrzył całą elbląską psiarnię.



# Rozdział XVI

## *Dzień szesnasty, popołudnie*

O siedemnastej trzydzieści trzy przyszło pierwsze powiadomienie, że paczka czeka na odbiór w paczkomacie przy ulicy Warszawskiej sto trzydzieści pięć. Do wiadomości dołączony był kod odbioru. Sześć cyfr niczym pieczętka odbiło się w głowie komisarza. Ponad trzydziestu funkcjonariuszy zgromadziło się w sali konferencyjnej. Żaden nie usiadł, adrenalina trzymała ich w pionie. Kamil rzucił krótkie polecenie i pierwsza para policjantów udała się na zabezpieczenie punktu przy Warszawskiej. Następnich dwanaście godzin spędzą w samochodzie. Z każdą godziną, potem minutą ich koncentracja będzie malała. Górę wezmą senność i znużenie. O piątej rano zmieni ich kolejna ekipa.

Pół godziny czekali na następne powiadomienie. Tym razem przesyłka trafiła do paczkomatu przy ulicy Panieńskiej siedemnaście. Potem informacje zaczęły nadchodzić w większym tempie, o dziewiętnastej czterdzieści osiem przyszło ostatnie powiadomienie o paczce czekającej na odbiór w punkcie przy Okulickiego szesnaście.

W sali konferencyjnej panował półmrok rozświetlany jedynie blaskiem dziesięciu monitorów, przed którymi siedzieli funkcjonariusze. Wpatrywali się w obraz przekazywany przez kamery policyjne zainstalowane przy każdym paczkomacie. Beata zajęła miejsce przed komputerem, na który spływały informacje z firmy kurierskiej oraz od operatora telefonii komórkowej. Punktualnie o dwudziestej poinformowała wszystkich, że telefon sprawcy zalogował się w parku Kajki. Patrole znajdujące się w pobliżu otrzymały polecenie skierowania się w tę okolicę.

Komisarz czuł, że adrenalina mu skoczyła do niespotykanego poziomu. Zuza uruchomiła telefon, a więc była już w posiadaniu kodów. On też musi zacząć działać. Bez słowa wyszedł z sali i ukrył się w toalecie. Stojąc w jednej z kabin, pisał do Bukowskiego esemesa. Umówił się z nim, że paczkomaty oznaczy literami, G. to paczkomat przy Grunwaldzkiej, W. przy Warszawskiej, D. przy Pułkownika Dąbka. Teraz szybko wypisywał litery, a przy każdej sześciocyfrowy

kod. Nie miał problemu z przypomnieniem sobie pierwszych kodów, ale przy siódmym musiał na parę sekund przymknąć oczy, żeby odtworzyć w pamięci sześć cyfr. W końcu nacisnął przycisk „wyślij”. Przez chwilę czekał na esemesa zwrotnego. Umówił się z dziennikarzem, że ten wyłącznie w sytuacji ekstremalnej mu odpisze, na przykład, gdy zrezygnuje z przejęcia okupu. Wiadomość nie nadeszła, schował więc komórkę, spuścił wodę i wyszedł z toalety.

W sali panowała cisza zakłócana jedynie szumem komputerów, dziesięciu funkcjonariuszy nieruchomo wpatrywało się w monitory, jak gdyby za chwilę miał się pojawić na nich sprawca. Kamil uległ tej atmosferze i zaczął się wolno przesuwając wzdłuż stanowisk, wpatrując się w wyświetlane obrazy. Zastanawiał się, kiedy Zuza wkroczy do akcji, powinna poczekać przynajmniej dobę, żeby ich zmęczyć, ale przecież ona nie działa profesjonalnie. Jest nastolatką, którą mogą ponieść emocje.

Na jednym z monitorów pojawiła się sylwetka dziewczyny w okularach przeciwsłonecznych. Był to obraz z paczkomatu na stacji paliw Lotos w pobliżu Zielonych Tarasów. Komisarz przysunął się do siedzącej przed monitorem funkcjonariuszki, żeby lepiej widzieć przekaz. Jego uwagę zwróciły duże, ciemne okulary, było już po dwudziestej, zapadał zmrok. Po co więc te okulary? To nie była Zuza, co do tego miał pewność, ale przecież mogła po paczkę wysłać koleżankę. Krople potu spływały mu po plecach, krew pulsowała w skroniach. Powinien zapanować nad emocjami. Przecież po drugiej stronie ringu stoi siedemnastolatka, zapewne zagubiona i przestraszona. Wpadła na ciekawy pomysł przekazania okupu. Może widziała to w jakimś amerykańskim filmie. Nie znaczy to jednak, że jest zdolna do opracowania wyrafinowanego sposobu odbioru pieniędzy.

Dziewczyna w dużych ciemnych okularach włożyła rękę do schowka i wyjęła pakunek niewielkich rozmiarów. Kamil wypuścił powietrze z ulgą, to nie okup.

Do sali konferencyjnej wszedł Rumun, nawet nie zerknął na monitory. Kiwnął na Kamila. Gdy ten podszedł, zaczął relacjonować:

— Marta jest teraz w domu z mężem i córką, a jej brat na stadionie. Nie mogę tylko zlokalizować Zuzy. W hotelowcu na Łęczyckiej jej nie ma. Rodzice nie wiedzą, gdzie się podziewa. Telefon ma wyłączony. Najciekawsze jest to, że od tygodnia trwa rok szkolny, a ona nie pojawiła się na lekcjach. Wiesz, co myślę?

— Myślisz, że Zuza zajmuje się teraz Tymkiem?

Rumun przytaknął.

— Wiedziałaś, że Zuza sprzątała w domu Roberta?

— Nie.

— Sprzątała, od półtora roku. Dobrze jej płacili, ale jakieś pięć miesięcy temu przestała nagle przychodzić. Wiem to od Ramiry. Przypuszczam, że Zuza może być jego ofiarą.

— Czyją? — zapytał zaskoczony komisarz.

— Kurwa, Kamil, ocknij się, jesteśmy w środku akcji. Mówię, że Zuza może być ofiarą Roberta. Sekretarka oskarżała go o molestowanie, zgwałcił Martę. Myślisz, że odpuściłby atrakcyjnej nastolatce? Tym bardziej że miał ją w domu na wyciągnięcie ręki. Szacowny pan biznesmen. Niby po co płacił jej więcej niż wynosi stawka za sprzątanie? Wygląda na to, że całe to porwanie to zemsta obu siostr. Masz jakiś pomysł, jak szybko znaleźć Zużę?

— Skontaktuj się z jej koleżankami, może któraś coś wie. Wyślij też zdjęcie Zuzy wszystkim patrolom i sprawdź monitoring w okolicach parku Kajki, tam zalogowała się komórka sprawcy, może jakaś kamera ją złapała i da się ustalić, dokąd poszła.

Gdy aspirant Nowak wyszedł, Kamil usiadł z kubkiem kawy w najciemniejszym kącie sali. To nie miało większego znaczenia, że Rumun wpadł na trop Zuzy. Kasa znajdowała się już w paczkomatach, nikt nie zdołał przeszkodzić mu w jej przejęciu. Jutro koło piętnastej, gdy w mieście będzie największy ruch, da sygnał Bukowskiemu, żeby zaczął opróżniać paczkomaty. Chyba że Zuza przystąpi do akcji wcześniej, wtedy oni też wystartują.

## *Dzień szesnasty, popołudnie*

Mikołaj Bukowski leżał z szeroko otwartymi oczami i wpatrywał się w sufit. Wiedział, że nadchodzi ważny czas dla niego i Kasi. Słyszał, że siostra kręci się po kuchni. Obiecała przygotować makaron z łososiem i parmezanem. Właśnie coś spadło na podłogę. Chyba ręce jej się trzęsą ze strachu.

Wczoraj w świetle lampki nocnej wtajemniczył ją we wszystko, zrelacjonował całą rozmowę z komisarzem. Siedziała w kucki na pościeli, opierając brodę o kolana. Już wcześniej mu wyjawiała, że boi się Kamila Soroki. On ci nie daruje, że go szantażowałaś. Dlaczego wybrał ciebie? Obawiała się, że to jakaś pułapka. Mikołaj był jednak pewien, że komisarz w nic go nie wpakuje, miał za dużo do stracenia. A jeżeli cię zastrzelą w trakcie przejmowania okupu, gdybyś na przykład uciekała? Tłumaczył jej, że w tym kraju policja tak szybko nie strzela. Kasia przymykała oczy i kiwała się w przód i tył, a wraz z nią na ścianie poruszał

się jej cień. Wiedział, że siostra ma teraz pod powiekami pliki banknotów, dziesięć paczuszek po piętnaście tysięcy złotych, sto pięćdziesiąt tysięcy zarobione jednego dnia. Długo targował się z komisarzem, chciał połowę okupu, całe dwieście pięćdziesiąt tysięcy. Przekonywał, że więcej ryzykuje. Pies jednak był uparty, w końcu z wielką łaską dorzucił mu pięćdziesiąt tysięcy.

Mikołaj lubił kasę, Kasia też. Parę dni temu mieli w posiadaniu esbeckie papiery na senatora Lisa. Liczyli na spory zarobek, niestety nie wyszło. Na szczęście wygląda na to, że obejdzie się bez oskarżenia o oszustwo, a to dzięki Soroce. Przypomniał to Kasi. Nadal się upierała, że komisarz ich zniszczy. Mikołaj dał za wygraną. Wziął komórkę, żeby zadzwonić do Soroki i poinformować go, że nie przejmie okupu. Kasia rzuciła się na niego i wyrwała mu telefon. Weźmiemy całe pół miliona i wyjedziemy z tej wiochy. Mikołaj się uśmiechnął. Jego mała siostra była taka jak on. Też myślał o tym, żeby wykiwać psa. Tamten uprzedził go jednak, że gdyby... to on go znajdzie nawet na końcu świata i zabije. Mikołaj nie wątpił, że komisarz dotrzyma słowa.

Kasia weszła do pokoju, niosąc dwa talerze.

— Siadaj i jedz. Nie wiadomo, kiedy będziesz musiał jechać, może jeszcze dzisiaj. Nie możesz być głodny.

Wczoraj w końcu zgodziła się pomóc mu przygotować się do przejęcia okupu. Rano pojechali do wynajmowanego przez nią mieszkania i zabrali potrzebne rzeczy, głównie kosmetyki, ale też trochę ubrań i perukę, którą kupiła w Berlinie w sklepie ze starociami.

Trzymał talerz w ręku, makaron parzył go w usta. Jadł pospiesznie, jak gdyby zaraz miał otrzymać esemes z wezwaniem do rozpoczęcia akcji. Postanowił wziąć jeszcze prysznic. Gdy mydlił ciało, Kasia zaczęła walić pięścią w drzwi łazienki.

— Dostałeś pustą wiadomość!

Komisarz dał mu znać, że ma być gotowy, bo do pierwszego paczkomatu trafiła przesyłka. Wycierał się pospiesznie, na końcu ręcznikiem przetaił lustro i zobaczył swoją twarz z rozszerzonymi od podniecenia źrenicami. Włożył slipy i wyszedł z łazienki. Kasia rozkładała już na biurku kosmetyki. Kazała mu usiąść w fotelu i wygodnie oprzeć głowę. Najpierw wydepilowała mu brwi, zamieniając je w cienkie łuki, następnie przykleiła rzęsy. Zamknął powieki, żeby mogła położyć cienie i tusz. Makijaż oczu był gotowy, przyszedł czas na usta. Kredką nakreśliła kontur warg, a potem wypełniła go pomadką. Odsunęła się na dwa kroki i pokiwała głową z uznaniem dla swojej pracy. Jeszcze tylko puder i szkła kontaktowe zmieniające kolor tęczówek, ale to przed samym wyjściem. Rzuciła mu wypchany biustonosz i majtki z silikonowymi wkładkami na pośladkach. Włożył jedno i drugie. Poczul się jak pajac, pomyślał nawet, że przebieranie się

za kobietę to kretyński pomysł. Każdy zauważy, że jest facetem. Dopiero, gdy założył bluzkę z niewielkim dekoltem i spodnie, Nabrał pewności, że jest dobrze. Kasia zapięła mu na szyi wisiołek i nałożyła perukę.

— Przejdź się! — poleciła.

Poszedł do kuchni, otworzył lodówkę i wyjął mleko. Nalał sobie całą szklanekę. Starał się poruszać jak kobieta.

— Musisz chodzić naturalniej. Nie udawaj kobiety, tylko nią bądź. I się nie schylaj, robisz to jak chłop, lepiej przykucnij.

— W czasie akcji nie będę się schylał.

— Skąd wiesz? A jak ci wypadnie paczka z kasą? A poza tym schowki w paczkomatach ciągną się prawie do samej ziemi. Może ci się otworzyć ten na samym dole. No, przejdź się jeszcze raz!

Wracając do pokoju, starał się iść lekkim krokiem, ale już bez tego nadmiernego kołysania biodrami. Kasia rzuciła mu zielone, haftowane w kwiatki tenisówki. Umiał chodzić w szpilkach, ale ustalili, że założy wygodne buty na wypadek, gdyby przyszło mu uciekać. Przeszedł się jeszcze raz, tym razem w tenisówkach. Ponownie wszedł do kuchni i schował do lodówki mleko, lekko uginając nogi w kolanach.

— Dobrze jest — skomentowała Kasia. — A teraz idź i zobacz w lustrze, jaka z ciebie dupa.

Stał w łazience i wpatrywał się z niedowierzaniem w swoje odbicie. Był kobietą. Brązowe włosy do ramion i makijaż diametralnie zmieniły jego wygląd. Wydawało mu się, że ma drobniejszą twarz, łagodniej zarysowany podbródek, większe oczy i usta. Metamorfozie uległy też jego ramiona, teraz w długich rękawach zielonej bluzki zdawały się szczuplejsze, a także szyja, która dzięki dekoltemu i srebrnemu wisiorowi w kształcie łezki stała się smuklejsza. Zyskał nawet wcięcie w tali. Komisarz go nie pozna, on sam siebie by nie rozpoznał na mieście. Uśmiechnął się i w tej samej chwili ujrzał w lustrze swoją dawną twarz. Musi zachować powagę, żadnych grymasów, bo mimiki nie da się oszukać, nawet puder jej nie przysłoni.

Kasia zawołała, że dostał esemes. Odczytał go z niepokojem i nadzieją. Soroka mógł przecież zawiadamić go, że odwołuje akcję. Na szczęście przysłał kody do odbioru paczek i numer telefonu adresata, niezbędny do odbioru przesyłek. Mikołaj usiadł na fotelu, założył nogę na nogę i zaczął się uczyć wszystkich zestawów cyfr.

Zbliżała się dwudziesta. Komisarz ostrzegł go, że prawdopodobnie będzie musiał czekać w gotowości kilkanaście godzin.

# Rozdział XVII

## *Dzień siedemnasty, popołudnie*

Znowu powrócił upał. Aspirant Nowak czuł, że koszula klei mu się do pleców. Wpadł do ciemnej klatki i biegł po schodach, pokonując po dwa stopnie naraz. Na szczęście temperatura była tutaj niższa o co najmniej dziesięć stopni. Wytarł rękawem pot z czoła. Miał nadzieję, że zaraz znajdzie Zużę i Tymka. Odbył już rozmowę z jej koleżankami. Dziewczyny były skrepowane wizytą policjanta w ich domu. Odpowiadały niechętnie, krótkimi zdaniami. Żadna z nich nie wiedziała, jaka jest przyczyna nieobecności Zuzy w szkole, ale domyślały się, że to z powodu porwania jej siostrzeńca. Próbowaly się z nią kontaktować, ale bez skutku. W końcu jedna z dziewczyn wyjawila, że w czerwcu widziała Zużę w lodziarni, była z kolegą ze starszej klasy, Patrykiem Lasockim. Rumun instynktownie czuł, że to dobry trop. Lasocki od czasu aresztowania sędziego mieszkał sam, a więc jego mieszkanie było znakomitą kryjówką.

Aspirant zapukał do drzwi. Patryk otworzył od razu, jak gdyby stał za drzwiami i czekał na przybycie policji.

— Już jej u mnie nie ma — zakomunikował.

— Kogo u ciebie nie ma?

— Zuzi, w jej sprawie pan przecież przychodzi. Wyszła jakieś pół godziny temu, razem z małym. Właśnie chciałem do was zadzwonić. Martwię się o nią, żeby coś głupiego jej do głowy nie strzeliło.

Chłopak w jednej sekundzie zrobił zatroskaną minę, jak gdyby sobie przypomniał, że słowa, aby były wiarygodne, powinny być poparte odpowiednią mimiką. Rumun go wyminął i wszedł do mieszkania. Najpierw zajrzał do salonu, potem do gabinetu sędziego i pokoju Patryka. Nigdzie żadnych śladów bytności dziewczyny i dziecka. Otworzył drzwi do ostatniego pokoju. Jego policyjne oko wprawione w przeszukiwaniach od razu uchwyciło wgniecenie w poduszce i okruszki na ciemnej kanapie. Skierował się do szafy. Jak podejrzewał, znalazł w niej paczkę pampersów, różowego misia przewiązanego czerwoną tasiemką, kilka sztuk dziecięcych ubrań i trochę kosmetyków.

— Prosiłem ją, żeby odwiozła małego do jego rodziców, ale nie chciała.

Patryk stał w progu pokoju. Ręce skrzyżował na piersiach, głowę pokornie skłonił. Rumun nie potrafił dostrzec szczerości w jego słowach i gestach. Cyniczny nastolatek, który zapewne dobrze się bawił, chadzając na obiady z prokurator Łempicką i grając kluczową rolę w prowadzonym przez nią śledztwie.

— Jak długo u ciebie mieszkała?

— Przyszła z małym tego dnia, kiedy został porwany. Chciała pogadać, no to ją wpuściłem. Po dwóch godzinach pomyślałem, że powinna już iść, ale ona dalej siedziała. W końcu mi powiedziała, że zabrała dziecko, bo rodzice źle je traktowali. Potem o porwaniu przeczytałem w internecie. Kazałem jej odwiedzić małego. Płakała. Żal mi się jej zrobiło.

— Ktoś ją tu odwiedzał?

— Nie, ale ona czasami wychodziła i małego zostawiała ze mną.

— Widziałeś kiedyś gościa ze szparą między jedynekami? Niski, wysportowany, koło trzydziestki.

— Nie, chyba nie.

Aspirant wyciągnął telefon i odszukał zdjęcie Grzegorza Zalewskiego z panią Maj i Tymkiem. Podsunął je pod oczy chłopaka.

— O niego pytam.

— Nigdy go nie spotkałem. To wspólnik Zuzi?

— Dlaczego uważasz, że miała wspólnika? Wspominała o nim?

— Nie, nie wspominała, ale skoro jest z nim i z małym na jednym zdjęciu...

Aspirant wskazał na blondynkę znajdującą się na fotografii.

— To jest Zuza? Jesteś pewien?

— No, chyba ona. A kto, jeśli nie ona? Przecież trzyma Tymka.

Rumun ponownie przyjrzał się kobiecie na zdjęciu. To rzeczywiście mogła być Zuza. Jasne, dość długie włosy by na to wskazywały.

— Dokąd ona poszła? Na spacer? Po zakupy? Mów!

— Nie wiem, ale już tu nie wróci, bo ją wyrzuciłem. Miałem dosyć jej i małego. Płacz, smród i pieluchy. Nie jestem niańką.

Rumun był pewien, że Patryk jest bardziej zamieszany w sprawę porwania, niż to przedstawiał. Nie trzymałby u siebie dziewczyny z dzieckiem przez ponad dziesięć dni tylko z tego powodu, że było mu jej żal. Chyba nie chodziło również o to, że mu się podobała. Okup raczej też go nie pociągał, szybciej możliwość brania udziału w czymś złym, perfidnym.

— Co wiesz na temat odbioru okupu?

— Nic, zupełnie nic. W ostatnich dniach domyślałem się, że to może chodzić o porwanie dla okupu, a nie dla dobra małego.

— Słuchaj, Patryk, prawdopodobnie zostaniesz oskarżony o współudział, ale jeżeli teraz powiesz mi, gdzie jest Zuza, to może ci się upiecze.

— Też chciałbym wiedzieć, gdzie ona jest. Teraz żałuję, że ją wyrzuciłem. Zachowałem się jak głupek.

Patryk spuścił wzrok i w geście zakłopotania włożył dłonie pod koszulkę.

— Masz dwie minuty na to, żeby mi powiedzieć, co wiesz.

Rumun odwrócił się do chłopaka plecami i zaczął fotografować znalezione w szafie rzeczy. Gdy skończył, skierował się do wyjścia.

— Czekaj na policję — rzucił przez ramię.

Trzymał już klamkę, gdy Patryk się odezwał:

— Proszę, niech pan poczeka.

Rumun się odwrócił.

— No to gdzie ona jest?

— Nie wiem. Chciałem tylko powiedzieć, że Zuzia ma przy sobie broń, rewolwer. Właśnie o ten rewolwer się dzisiaj pokłóciliśmy. Wymachiwała nim jak miotłą. Wyobraża pan sobie? Zabrała go ze sobą. Żeby tylko jej nie przyszło do głowy, żeby się zastrzelić.

Spojrzał na chłopaka wzrokiem, który miał mówić: Wiem o tobie wszystko.

— Zuza miała by się zastrzelić jak twój kolega rok temu?

Patryk zacisnął palce na pasku od spodni, jego twarz jednak się nie zmieniła, panował nad sobą.

— To było dziesięć miesięcy temu, nie rok. Właśnie się obawiam, że ona zrobi to samo.

— Skąd wzięła rewolwer? Mówiła ci?

— Z domu jakiegoś ważniaka, u którego sprzątała. Nie wiem, kto to jest, ale go nie lubiła, bo mówiła o nim z pogardą.

Aspirant wyszedł z mieszkania Patryka Lasockiego i wybrał numer Roberta Maja. Gdy tamten odebrał, poprosił go o sprawdzenie, czy w jego biurku nadal znajduje się rewolwer. Słyszał w słuchawce kroki, otwieranie drzwi, wysuwanie szuflady, a potem pełen zdumienia głos informujący, że broni nie ma. Brakowało też amunicji w pudełku. Zapytał jeszcze, czy Zuza miała klucze do jego domu. Robert potwierdził, że dysponowała jednym kompletem, ale go oddała kilka miesięcy temu.

Rumun czuł, że powinien się spieszyć. Sytuacja wydawała mu się bardzo niebezpieczna. Zdesperowana dziewczyna z porwanym dzieckiem i naładowanym rewolwerem krążyła po mieście, a w paczkomatach czekało na nią pół miliona okupu. Muszą ją znaleźć, zanim dojdzie do tragedii.



## *Dzień siedemnasty, popołudnie*

Dziesięć monitorów, a przed nimi funkcjonariusze z zaczerwienionymi oczami. Mieli już za sobą dziewięć godzin wpatrywania się w ekran. Teraz niecierpliwie zerkali na zegarki i odliczali czas do końca zmiany. Wszyscy byli zmęczeni, ich koncentracja mocno spadła. O ile wcześniej pracowano w ciszy, to w tej chwili toczyły się całkiem swobodne rozmowy, chętnie wymieniano opinie o osobach odbierających paczki, żartowano. Ktoś nawet szeptem zauważył, że taka intensywna obserwacja to duża nadgorliwość, bo gdy okup zostanie podjęty, to firma kurierska ich o tym natychmiast poinformuje, a oni wtedy cofną nagranie ze wskazanego punktu i zobaczą sprawcę.

Kamil już nie chodził za plecami funkcjonariuszy i nie przyglądał się sylwetkom oraz twarzom pojawiającym się na monitorach. Usiadł w rogu sali konferencyjnej i pił kawę. Udawał znudzonego, a tak naprawdę napięcie powodowało, że dygotał w środku. Finał się zbliżał, zaraz rozpocznie swoją akcję. Jeszcze kilka minut i wyśle esemesa do Mikołaja Bukowskiego. Treść wiadomości będzie bardzo krótka, tylko jedna litera: S jak start. Dziennikarz zacznie działać i już nie będzie odwrotu. Kamil nie zdoła go zatrzymać, bo umówili się, że tamten nie weźmie komórki, żeby uniknąć ewentualnego namierzenia.

Spojrzał na sierżant Gryś, szukała czegoś w torebce. Inna funkcjonariuszka przeciągała się, założywszy ręce za kark. Komisarz wyjął komórkę. Nikt teraz na niego nie patrzył. Zawahał się na moment. Może lepiej zrezygnować z przejęcia okupu? Pieniądze nigdy nie były jego celem. Owszem, lubił wygodne życie, ale bardziej go podniecały praca, pozycja, stanowisko. Chciał być najlepszym śledczym, wzbudzać respekt, sam do siebie jednak go nie czuł, gdy wsiadał do dziesięcioletniej audicy. Już dawno powinien kupić porządny wóz, przede wszystkim nowy.

Usłyszał pospieszne kroki na korytarzu. Podziały na niego jak elektryczny impuls wywołujący drganie mięśni. Palec niemal sam stuknął w przycisk „wyślij”. Zrobione. Schował telefon do tylnej kieszeni.

Do sali konferencyjnej wszedł Rumun. W jego ruchach dało się zauważyć gotowość do działania, a w oczach niespokojne podniecenie.

— Mamy problem — oznajmił nieco zdyszany.

Kamil poczuł ciarki na plecach. Bał się, że Rumun zaraz pokrzyżuje mu plany, na przykład zażąda, aby firma kurierska zablokowała możliwość odebrania okupu.

— O co chodzi?

— To Zuza ma Tymka.

— Skąd wiesz?

— Mieszkała z dzieckiem u swojego kolegi. A wiesz u kogo? U syna sędziego Lasockiego, czyli dobrze nam znanego Patryka. Właśnie od niego wracam. Powiedział, że dzisiaj ją wyrzucił. Najgorsze jest to, że ona ma rewolwer. Zabrała go z domu Roberta Maja. Myślę, że to wszystko ją przerosło. Może planuje kogoś zabić, może nawet siebie.

Komisarz czuł, jak na moment powraca do niego względny spokój. Wszystko zaczynało się układać. Rumun zaangażował się w odnalezienie Zuzy i Tymka. Znakomicie, ktoś przecież musiał się tym zająć. On przez ten czas będzie kontrolował przejmowanie okupu przez Mikołaja Bukowskiego.

— Sprowadź psychologa i zapoznaj go ze sprawą. Zadzwoń też do Marty Maj i zapytaj, czy jej siostra umie posługiwać się bronią. Beata zaraz prześle zdjęcie Zuzy ekipom zabezpieczającym paczkomaty, niech wypatrują, czy nie kręci się w pobliżu. Ja będę czekał na nią tutaj. — Wskazał monitory.

Aspirant kiwnął głową i wyszedł. Kamil miał nadzieję, że kolega odebrał jego polecenia jako dowód profesjonalizmu.

Nie mógł się oprzeć, żeby nie wpatrywać się w obrazy z kamer zainstalowanych przy paczkomatach. Zaraz na jednym z nich pojawi się Mikołaj Bukowski. W pierwszej kolejności miał odebrać okup w paczkomacie przy Okulickiego, a następnie udać się do punktu przy centrum handlowym na Pułkownika Dąbka. Dokładnie omówili całą trasę, choć dziennikarz miał prawo ją zmienić, gdyby poczuł, że bezpieczeństwo akcji tego wymaga.

Kamil czuł ból w karku z powodu długotrwałego napięcia mięśni. Jego oczekiwanie osiągało właśnie moment kulminacyjny.

Do paczkomatu na Okulickiego podeszła kobieta. Była spocona, grzywka przykleiła się jej do czoła. Niespiesznie wystukała kod, odebrała paczkę i się oddaliła.

Nagle w sali rozległ się okrzyk Beaty:

— Przyszło! Jest Potwierdzenie odbioru paczki, na Okulickiego!

Na sali podniósł się szmer. W końcu zaczęło się coś dziać, funkcjonariusze skupili się na wpatrywaniu w monitory z nadzieją, że zaraz ujrzą sprawcę. Kamil był zdezorientowany, bo to nie Bukowski odebrał paczkę. Po cofnięciu nagrania znowu zobaczyli na monitorze kobietę z ciemnobrązowymi włosami do ramion. To też nie była Zuza. Aż taka metamorfoza w wyglądzie jest niemożliwa.

Policjanci zabezpieczający paczkomat przy Okulickiego nie zdążyli zauważyć, w którą stronę kobieta się udała. Po prostu nagle znikła. Na szczęście mieli sygnał GPS. Komisarz podał rysopis sprawczynie wszystkim ekipom, a Beata

wysłała im film z monitoringu. Następnie oboje w napięciu obserwowali przemieszczanie się nadajnika GPS. Punkt na ekranie kierował się w stronę centrum handlowego na Pułkownika Dąbka. Kamil mimowolnie skierował wzrok na monitor, na którym powinna się pojawić kobieta. Zanim ją zobaczył, otrzymał informację od policjantów zabezpieczających ten punkt, że już ją widzą. Podjechała granatowym seicento. Podali numer rejestracyjny. Beata go sprawdziła. Fałszywy. Kamil nie mógł uwierzyć, wszystko szło zgodnie z planem, tylko zamiast Bukowskiego pojawiła się jakaś panienka. Kamil uznał, że to siostra Bukowskiego, tylko jej by zaufał. Dziennikarz powinien jednak uprzedzić go o tej zmianie, to ważna modyfikacja ich planu.

Tym razem ruchy kobiety były szybsze, bardziej nerwowe. Opuściła też mocno głowę, jak gdyby wiedziała, że jest podglądana. Wzięła paczkę i się oddaliła. Za kilka sekund przyszło potwierdzenie odbioru przesyłki. Komisarz polecił śledzić kobietę, w żadnym wypadku nie zatrzymywać, bo powinna ich doprowadzić do prawdziwego sprawcy i do porwanego Tymoteusza Maja. Bezpieczeństwo i wolność dziecka były najważniejsze.

Gdy stanęła przy trzecim paczkomacie zlokalizowanym na stacji paliw przy Pułkownika Dąbka, dało się zauważyć, że jest mocno zdenerwowana. Jej klatka piersiowa unosiła się i opadała w szybkim tempie.

Plan był realizowany, ale komisarz i tak odczuwał rosnący niepokój. To był przecież najłatwiejszy etap przejmowania okupu. Trudniejsze będzie pozbycie się policyjnego ogona. Gdy kobieta odchodziła od czwartego paczkomatu przy ulicy Teatralnej, zaczęło się przysłowiowe trzęsienie ziemi, a mianowicie nadeszły dwa potwierdzenia odbioru przesyłki, najpierw z Teatralnej, a kilkanaście sekund później z Warszawskiej. Kamil, przeklinając w duchu, wywołał policjantów zabezpieczających punkt za rzeką. Na monitorze widział już cofnięty obraz z nagrania. Na Warszawskiej paczkę odebrał mniej więcej pięćdziesięcioletni, łysiejący mężczyzna. Chyba pierwszy raz obsługiwał paczkomat, bo najpierw przyjrzał się urządzeniu, robiąc wymowne miny, a potem zerkając na kartkę trzymaną w dłoni, wolno wprowadzał cyfry. Gdy skrytka się otworzyła, uniósł zdumiony brwi. Mężczyzna się nie spieszył. Policjanci znajdujący się na miejscu zdążyli go zauważyć, zanim odjechał. Ruszyli za nim, informując, że jest to taksówkarz, i podając numer wozu oraz nazwę korporacji. Po trzech minutach Kamil znał już jego dane personalne. Na tylnym siedzeniu taksówki znajdowała się pasażerka w okularach przeciwsłonecznych i kapeluszu. Nie dało się ustalić, czy to Zuza, ale Kamil czuł, że to ona. Co za pech, że właśnie w tej chwili wkroczyła do akcji. Gdyby poczekała chociaż pół godziny, to siostra Bukowskiego zdążyłaby jeszcze opróżnić co najmniej dwa paczkomaty.

Przejmowanie okupu się skomplikowało, ale komisarz nie stracił głowy. Nieoczekiwane trudności zmobilizowały go. Zaczął się zastanawiać, jak wykorzystać tę sytuację dla przykrycia swojego planu. Postanowił skupić uwagę wszystkich na taksówkarzu i jego pasażerze. Powiadomił aspiranta Nowaka. Ten powinien być blisko taksówki na wypadek, gdyby trzeba było wyeliminować ryzyko użycia przez Zuzę rewolweru. Poinformował też policjantów śledzących taksówkę, że pasażerka może mieć broń. Niewykluczone, że w samochodzie znajduje się również porwany chłopiec.

Szybko stało się coś, czego Kamil się spodziewał. Taksówka podjechała pod paczkomat przy ulicy Odzieżowej, gdzie minutę wcześniej okup odebrała siostra Bukowskiego. Taksówkarz ponownie przystąpił do wprowadzania kodu, tym razem szło mu szybciej. Zdumiał się, gdy na ekranie pojawiła się informacja o błędzie i o tym, by podjąć kolejną próbę. Mężczyzna odwrócił się, jak gdyby chciał odejść. Zrezygnował jednak i jeszcze raz zaczął wystukiwać numer. Skrytka się nie otworzyła. Machnął ręką i odszedł od paczkomatu.

— Rozumiesz coś z tego? — zapytała Beata.

Kamil się nie odezwał. Wolał nie komentować tego, że okup odbierają dwie osoby niewspółpracujące ze sobą.

## *Dzień siedemnasty, popołudnie*

Mikołaj Bukowski jak mantrę powtarzał w myślach wszystkie kody do paczkomatów. Zapamięta je do końca życia. Za pięćdziesiąt lat będzie umierał, mając pod powiekami dziesięć zestawów po sześć cyfr. Poprzedniego wieczoru poszedł spać wcześniej, było jeszcze widno. Chciał być dzisiaj wypoczęty i mieć świeży umysł. Niestety spał tylko ze trzy godziny, pozostałą część nocy spędził, balansując na granicy jawy i snu. Słyszał szum w rurach, samochody za oknem i oddech skulonej obok Kasi. Ponadto jak tu spać w tenisówkach i biustonoszu. Zdjął tylko perukę. Prawdopodobieństwo, że komisarz rozpocznie akcję w nocy, było niewielkie, ale Mikołaj był przygotowany na tę ewentualność.

Rano wypił dwie mocne kawy i zjadł resztę wczorajszego makaronu. Nie odzywali się do siebie z Kasią. Jakakolwiek rozmowa i tak sprowadzałyby się do jednego tematu. Siostra znowu mówiłaby o swoich obawach i lękach, jakie budził w niej komisarz Soroka, a on zaczęłyby rozważać, co może pójść nie tak podczas przejmowania okupu.

O dwunastej w południe Kasia poprawiła mu kontur ust i położyła grubą warstwę pudru. Włożył perukę i szkła kontaktowe, które nadały jego tęczęwkom zielonkawą barwę. Sam siebie nie poznałby na ulicy. Trzy godziny później nadszedł esemes wzywający go do rozpoczęcia akcji. Wziął worek na kasę i torebkę, do której schował ostry nóż, i wyszedł z mieszkania. Miał już wsiadać do windy, gdy na klatkę schodową wypadła Kasia. Kazała mu oddać komórkę. Już popełnił pierwszy błąd, odruchowo zabrał aparat, na który Soroka wysyłał esemesy. To mógłby być przysłowiowy gwóźdź do trumny dla niego i komisarza.

Wyszedł z bloku i lekkim, kobiecym krokiem ruszył w lewo. Wypatrywał granatowego seicento na fałszywych blachach, które wczoraj podstawił Soroka. Odetchnął z ulgą, widząc wóz. Wsiadł i ruszył w stronę Zawady. Zaczął się już komunikacyjny szczyt, Robotniczą samochody sunęły jeden za drugim. Zaczął nucić pod nosem:

— Czego może chcieć od życia taki gość jak ja. Tralala. Wypijmy za błędy, za błędy na górze, niech wyjdą na dobre zmęczonej naturze...

Nigdy sobie nie podśpiewywał, a teraz jak jakiś niewyżyty chórzysta, i jeszcze w dodatku śpiewa o błędach, cholerna podświadomość.

Zaparkował na Okulickiego w pobliżu marketu. Wszedł do sklepu, pokonał całą jego długość i wyszedł z drugiej strony, wprost na paczkomat. Powoli wprowadził numer telefonu i kod. Bał się, że mimowolnie będzie szukał wzrokiem kamery. Na szczęście nie kusiło go. Obiema rękami wyjął paczkę ze skrytki. Spodziewał się, że będzie większa i cięższa, a tu zaledwie połowa kartonu po butach. Do samochodu wrócił, przechodząc ponownie przez market. Soroka zapewnił, że nikt go nie zatrzyma, będzie mógł spokojnie opróżnić dziesięć paczkomatów, a oni dadzą mu jedynie ogon, aby ich doprowadził do porwanego dziecka. Mimo to szedł z duszą na ramieniu. Wydawało mu się, że zaraz dopadnie go kilku napakowanych gości, rzucą go na glebę, wykręcą ręce i zacisną bransoletki na nadgarstkach.

Wsiadł do wozu, paczkę położył sobie na kolanach, wyjął z torebki nóż, wbił jego czubek w miejsce, gdzie stykały się dwa skrzydła zamykające pudełko, i sprawnym ruchem rozpruł pakunek. Westchnął na widok banknotów. Sięgnął po worek leżący na podłodze i przełożył do niego pieniądze. Pusty karton z ukrytym nadajnikiem GPS rzucił na tylne siedzenie.

Ruszył. Niestety klimatyzacja w granatowym seicento nie działała, otworzył więc okno, ale za chwilę je zamknął, bo podmuchy powietrza sprawiały, że kosmyki włosów zakrywały mu oczy. Pocił się niemiłosiernie z gorąca i strachu. Bluzkę miał już mokrą na plecach i pod pachami. Z niemałym trudem wsunął dwa palce pod biustonosz i się podrapał.

Na Pułkownika Dąbka musiał czekać w kolejce na swoje miejsce przy paczkomacie. Z otwartych drzwi centrum handlowego wypadła dziewczyna z wypchanymi reklamówkami. Przebiegła tuż obok i nagle się zatrzymała, jak gdyby ktoś ją zawołał. Odwróciła się i wbiła w niego wzrok. Mikołaj miał wrażenie, że właśnie wycelowano w niego pistolet i zaraz ktoś pociągnie za spust. Za chwilę ta dziewczyna wskaże go palcem i zawoła: „Patrzcie, to ten dziennikarz, Bukowski”. Czuł rosnące zdenerwowanie. Już wiedział, dlaczego ona się w niego wpatruje. Wyczuła w nim śmierzącego męskim potem samca. Zdradził go zapach, a raczej smród. Postanowił wrócić do samochodu. Zrobił już dwa kroki, ale w tej chwili zwolniło się miejsce przy paczkomacie. Podszedł więc i odebrał kolejną część okupu. Dziewczyna wciąż się w niego wpatrywała, zapewne szukała fizycznych oznak męskości. Pocieszał się, że widziała jedynie przebranego za babę chłopca, a nie dziennikarza Mikołaja Bukowskiego.

Gdy wsiadł do wozu, znowu rozpruł paczkę i przełożył kasę do worka. Drugie pudełko z nadajnikiem wylądowało na tylnym siedzeniu. Jechał do następnego paczkomatu również zlokalizowanego na Pułkownika Dąbka. Na światłach uchylił nieco okno. Wypatrywał ciągnącego się za nim ogona. Zdawało mu się, że śledzi go czarny seat, ale nie był pewien. Rozległ się zgrzyt przejeżdżającego obok tramwaju i głośny klakson stojącego za nim forda. Za bardzo skupił się na patrzeniu w lusterko i przegapił zmianę świateł. Nacisnął pedał gazu.

Zaparkował na stacji paliw i wysiadł. Starał się iść lekkim krokiem, machając kluczykami, jak to robią kobiety. Miał świadomość, że w którymś z samochodów siedzą psiarze i go wypatrują, bo już wiedzą, jak wygląda osoba odbierająca okup. Szybko wystukał numer na klawiaturze i wyjął paczkę ze skrytki, po czym wrócił do wozu. Sprawnie powtórzył czynność z wypakowywaniem pieniędzy.

Teraz ruszył do paczkomatu na Teatralną. Wszystko szło zgodnie z planem komisarza, ale Mikołaj wiedział, że najgorsze dopiero przed nim. Zdenerwowanie go nie opuszczało, męczył go też upał. Musiał się powstrzymać przed wytarciem twarzy rękawem bluzki. Szkoda, że nie wziął butelki z wodą. Marzył o zimnym piwie. Chwilę później na tylne siedzenie rzucił czwarte pudełko. Teraz przyszedł czas na paczkomat przy Odzieżowej. Gdy tam dojechał, musiał szukać miejsca do zaparkowania, bo klienci Biedronki zajęli wszystkie. Trudno, będzie musiał kawalek podejść. Tenisówki Kasi zaczynały go cisnąć. Sądził, że noszą ten sam numer. Okazało się jednak, że jego stopy były odrobinę większe.

Miał już zaliczonych pięć paczkomatów, w worku znajdowało się dwieście pięćdziesiąt tysięcy, z czego siedemdziesiąt pięć należało do niego. Poczł dreszczyk podniecenia. Nic go tak nie ruszało jak kasa. Do wzięcia pozostała jeszcze połowa okupu. Odetchnął głęboko i ruszył w stronę Pocztovej, następnie

przejechał Rycerską i przedostał się na drugą stronę rzeki. Był już na Warszawskiej, tutaj paczkomat znajdował się przy salonie meblowym. Mikołaj wprowadził numer telefonu, a następnie kod. Komunikat o błędzie był jak uderzenie w potylicę. Pomylił się? Niemożliwe. Jeszcze raz odtworzył w pamięci szósty zestaw cyfr. Znowu błąd. Co się dzieje? Może komisarz, spiesząc się z wysłaniem esemesa, przestawił cyfry. Istniała jeszcze jedna możliwość, o której wspominał Soroka. Do akcji mógł wkroczyć porywacz i to on odebrał już okup. W takim wypadku teraz zacznie się wyścig. Kto pierwszy przy paczkomacie, ten lepszy. Mikołaj poczuł, jak uaktywnia się w nim pierwiastek rywalizacji. Już stracił pięćdziesiąt tysięcy, nie miał zamiaru oddawać ani złotówki więcej.

Skierował się na most, a potem wjechał na ulicę Panieńską. Jak na złość tutaj przy paczkomacie stał jakiś człowiek. Mikołaj musiał czekać na swoją kolej. Przyszło mu do głowy, że to porywacz właśnie opróżnia paczkomat z kolejnych pięćdziesięciu tysięcy. Szeroki kark i łyśca czaszka, pasował na bandziora. Tamten wyjął przesyłkę ze skrytki i od razu schował ją do reklamówki, po czym się rozejrzał, jak gdyby chciał sprawdzić, czy ktoś go obserwuje. Na moment zatrzymał wzrok na dziennikarzu, a potem odszedł parę kroków. Mikołaj zbliżył się do paczkomatu i w skupieniu wprowadzał cyfry. Spodziewał się kolejnej informacji o błędzie. Na szczęście skrytka się otworzyła. Nagle poczuł na pośladku wielką, męską łapę. Kark stanął za nim i wydyszał mu do ucha:

— Może pomóc.

Mikołaj nie miał zamiaru zdradzać, że ma jaja. Nie zapomniał, że patrzy na nich oko policyjnej kamery. Wziął przesyłkę i szybko wrócił do samochodu.

Teraz skierował się na Tysiąclecia, minął komendę. Na liczniku miał siedemdziesiątkę, ale nogi z gazu nie zdjął, emocje pchały go do przodu. Znowu zobaczył w lusterku czarnego seata, wygląda na to, że to jednak ogon.

Na Grunwaldzkiej zatrzymał się na stacji paliw i odebrał kolejną paczkę. Z ulgą przyjął fakt, że skrytka się otworzyła. Znowu nacisnął pedał gazu, ale zaraz zwolnił, a nawet stanął, bo na Grunwaldzkiej wyłączyli jeden pas ruchu z powodu remontu mostu nad Kumielą. Dotarł w końcu do Media Expert i odebrał przesyłkę. Został mu tylko jeden paczkomat, na Broniewskiego, zawrócił, musiał pokonać spory kawałek. Coraz bardziej się denerwował, bębnił palcami w kierownicę. A co jeżeli prawdziwy porywacz już wpadł i wskazał miejsce pobytu dziecka? Policja nie będzie miała żadnego powodu, żeby go dalej obserwować, będą mogli go zatrzymać. Mikołaj wierzył, że komisarz na to nie pozwoli. Da mu uciec, nawet gdyby miał za to zapłacić awansem na stanowisko naczelnika.

Mikołaj wprowadził numer telefonu i kod do ostatniego paczkomatu. Skrytka otworzyła się z cichym zgrzytem. Wyjął przesyłkę i wrócił do wozu. Sprawnym

ruchem rozciął paczkę i przełożył banknoty do worka. Dziewiąte pudełko z nadajnikiem GPS wylądowało na tylnym siedzeniu. Teraz zaczynała się najniebezpieczniejsza część akcji. Musiał się urwać śledzącym go policjantom.

Gdy komisarz przedstawiał mu plan, miał wrażenie, że to będzie proste, ale teraz zwątpił. Soroka zapewniał go, że ogon będzie w znacznej odległości. Sam poleci funkcjonariuszom, żeby trzymali się z dala od niego, nie zgubią go, bo przecież mają sygnał GPS. Mikołaj jechał wolno w stronę Jaru i patrzył w lusterko. Szukał wzrokiem czarnego seata albo innego podejrzanego wozu. Jego uwagę zwróciło czarne audi, chyba na Grunwaldzkiej też za nim jechało. Czy wszystkie nieoznakowane wozy policji są czarne? Powinien to wcześniej ustalić z komisarzem. Mikołaj jedną ręką schował nóż do torebki, a jej pasek przerzucił przez ramię. Przyciągnął do siebie worek z pieniędzmi. Był już nad Jarem, skręcił w osiedlową uliczkę, wyjechał na Tuwima i dodał gazu, znowu skręcił, i jeszcze raz. Zahamował i stanął obok niebieskiego opła astry zaparkowanego w niewielkiej zatoczce u szczytu bloku. Na szczęście nie kręcił się tu żaden człowiek. Wskoczył z samochodu, zostawiając kluczyki w stacyjce. Wyciągnął kolejne kluczyki z kieszeni i otworzył nimi bagażnik stojącego obok opła, po czym wrzucił do niego worek z kasą. Zamknął bagażnik i szybko ruszył za róg bloku. Dobiegł do klatki schodowej, otworzył drzwi i wpadł do środka. Dyszał ciężko, ale był już bezpieczniejszy, bo zniknął z oczu policji. Usłyszał kroki, ktoś schodził z góry. Lepiej, żeby nikt go tu nie widział, złapał za kłamkę od drzwi piwnicy. Zamknięte. Jakiś nastolatek przeszedł obok niego i wyszedł na zewnątrz. Mikołaj wbiegł na pierwsze piętro. Musi się ukryć w mieszkaniu, zanim ktoś jeszcze go zobaczy. Włożył klucz do zamka i obrócił go najciszej, jak potrafił. Żeby tylko sąsiadom właśnie teraz nie przyszło do głowy zerknąć przez wizjer. Otworzył ostrożnie drzwi, wszedł do środka i zamknął je za sobą. Osunął się na kolana, drżał na całym ciele. Zdjął perukę i przycisnął ją do piersi. Udało się, przejął okup.

Niebieski opel astra, do którego schował worek z pieniędzmi, należał do emerytowanego policjanta. Mieszkanie również było jego. Gościu bawił teraz wnuki w Anglii, a lokalem opiekował się komisarz Soroka. Zapewne wpadał raz na tydzień podlać kwiatki.

Prawdopodobnie funkcjonariusze już znaleźli granatowe seicento z rozprutymi pudełkami, w których pozostały jedynie nadajniki GPS. Nikomu nie przyjdzie do głowy, żeby zajrzeć do bagażnika stojącego obok opła. Skoncentrują się na poszukiwaniu kobiety o brązowych włosach, może nawet przetrząsną każdy blok na Tuwima, każdą piwnicę. Za parę godzin Soroka podejmie decyzję o sprowadzeniu psa tropiącego z Gdańska. To duże ryzyko dla nich, ale komisarz twierdził, że potrafi je zniwelować.



Mikołaj wszedł do łazienki. Wczoraj po południu wpadła tutaj Kasia, żeby zostawić mu ubranie. Uśmiechnął się na widok swoich dżinsów leżących na pralce. Zaczął się rozbierać. Z ulgą zdjął tenisówki i biustonosz, pozbył się lateksowych rękawiczek. Umył twarz zimną wodą i odkleił sztuczne rzęsy. Resztki rozmazanego makijażu nadal oblepiały mu oczy. Kasia na szczęście dostarczyła waciki i olejek do zmywania kolorowych kosmetyków. Dziesięć minut później stał w łazience w swoich spodniach, T-shircie i butach. Okularami przeciwsłonecznymi zasłonił wydepilowane brwi. U jego stóp leżał worek z kobiecym przebraniem. Komisarz miał się zająć sprzątnięciem tych rzeczy. Mikołaj napił się jeszcze wody z kranu. Zanim wyszedł z mieszkania, sprawdził przez wizjer, czy nikogo nie ma na klatce schodowej. Było pusto, otworzył więc drzwi.

Na Tuwima stało już kilka wozów policyjnych, ulica była zablokowana. Piesze patrole zatrzymywały przechodniów. Mikołaj szedł wolno, trzymając ręce w kieszeniach. Podeszedł do niego funkcjonariusz i podsunął mu pod oczy zdjęcie.

— Widział pan tę kobietę?

Mikołaj zobaczył siebie w peruce stojącego przed którymś z paczkomatów. Pokręcił przecząco głową. Chciał rozbawić policjanta jakimś zręcznym żartem, ale zrezygnował, lepiej nie prowokować losu.

Ruszył w stronę przystanku tramwajowego. Był zmęczony i głodny. Miał nadzieję, że Kasia przygotowała coś smacznego.

## *Dzień siedemnasty, popołudnie*

Zuza poprawiła plecak i machnęła ręką na taksówkę. Nie zatrzymała się. To już drugi taksówkarz, który ją olał. Miała ochotę wyciągnąć rewolwer i strzelić za nim. Może by się nauczył, że kobietę z dzieckiem się zabiera.

Szła w stronę placu Słowiańskiego, niosła Tymka. Był ciężki jak diabli. Bolały ją ramiona i kręgosłup, w dodatku żar lał się z nieba. Łatwo jej nie będzie, musi się przemęczyć, ale później to już tylko długie, luksusowe wakacje.

Tymek wypluł smoczek. Wytarła mu buzię. Nieważne, że ją obślinił i ciążył na ręku, jej maleńki chłopczyk, dla niego jest gotowa znosić największe tortury. Przesunęła ustami po jaśniutkich włoskach. Kochała go mocno, tylko ona się nim zajmowała. Była dla niego matką bardziej niż Marta, bo tamta nie reagowała na płacz synka, nie tuliła go, nie przemawiała do niego pieszczotliwie. Zuza na

początku nie mogła pojąć tej obojętności, ale z czasem rozkminiła w czym rzecz. Tymuś, jej ukochany chłopczyk, był synem tego fiuta. Nienawidziła Roberta Maja. Brud, upokorzenie, manipulacja, pogarda, lepkie łapy i bezczelna mordą, to był cały on. Bolało ją, że odnosił sukcesy, miał kasę i piękną żonę. Nie zasługiwał na to wszystko, chciała go widzieć pokonanego, przestraszonego, z błagalnym spojrzeniem.

Nie planowała oddawać Tymka. Chciała wyjechać z nim i Grześkiem do Meksyku, a potem może nawet do Stanów. On miał załatwić papiery dla całej trójki, staliby się rodzicami Tymusia. Gdy poznała Grześka w Kętrzynie, wydawał się odpowiedzialny i rozsądny. Był też czuły i namiętny, cudowna odmiana po obleśnym Robercie i kilku niewprawnych rówieśnikach podrywających ją na dyskotekach. Grzesiek miał gorący język, który przesuwał cierpliwie po jej skórze, delikatne palce, którymi pieścił ją całą. Uwielbiała przyciskać się do jego szczupłego i muskularnego ciała. Czuła się wtedy bezpieczna. Spędzili trzy dni na polowym łóżku rozstawionym w hotelowym kantorku. Po jednej stronie mieli kilka połamanych krzeseł, po drugiej wiadra i mopy, a jej się wydawało, że jest w pałacu. Z ustami przy jego uchu, wtulona w silne męskie ramiona, opowiedziała mu o swojej rodzinie, o wiecznie pijanej matce, o ojcu, który ukradł jej pieniądze przeznaczone na zieloną szkołę, o bracie, który kochał jedynie Olimpię Elbląg. Na telefonie pokazała zdjęcie swojej sprytniej siostry, która usidliła dzianego gościa i teraz nie musiała pracować. Niczego jej nie brakowało, miała francuskie kosmetyki i markowe ciuchy, a urlopy spędzała na tureckiej albo hiszpańskiej riwierze.

Grześ słuchał jej z uwagą, głaszcząc po pośladkach. Była szczęśliwa, że trafiła na kogoś, kto przejmuje się jej losem. W końcu wyjął jej z dłoni aparat. Myślała, że chce go odłożyć, aby znowu mogli się pieprzyć. Zaczął jednak oglądać pozostałe zdjęcia. Zainteresowały go te z domu Roberta Maja. Meble jak w rezydencji amerykańskiego milionera, łazienka z jajowatą, wielką jak basen wanną i piętrowy szklany barek z butelkami, które równie dobrze mogłyby się znaleźć w muzeum. Przymknęła oczy i zaczęła Grzesiowi opowiadać o podłości, jakiej doświadczyła w tych pięknych wnętrzach. Robert Maj, najbogatszy mieszkaniec miasta, gardził kobietami, upokarzał je, pod tym względem nie oszczędzał nawet swojej żony. Filantrop i zбочeniec, dżentelmen i manipulator, umiał złamać człowieka, wykorzystać, a potem wykopać za drzwi. Tak właśnie zrobił z nią rok temu. Najpierw dał jej poczucie, że ma nad nim władzę. Ona, szesnastolatka, mogła mieć na usługach trzydziestoparoletniego mężczyznę, wielkiego właściciela tartaku. Wystarczyłoby, żeby kiwnęła małym palcem, a kupiłby jej wszystko. Napomknęła, że chciałaby zrobić prawo jazdy, a on od razu dał jej dwa tysiące. Mogłaby dostać o wiele więcej, ale musiała też dać coś

od siebie. Wydawało jej się, że jest sprytna, przecież wie, jak uzależnić od siebie mężczyznę. Robert nie chciał wiele, szanował to, że jest nieletnia. Powiedział, że z seksem poczeka, aż skończy osiemnaście lat, a na razie mogłaby mu zrobić łaskę. To nic takiego, przekonywała samą siebie, musiałyby tylko zaangażować swoje usta i język, trwałoby to kilka minut, a korzyści mogłyby być ogromne. Niestety, jej nastoletnia wyobraźnia nie sięgnęła rzeczywistości. Niemądra dziewczuszka, naiwny dzieciuch, taka wtedy była. Zgodziła się i jeszcze tego samego dnia doświadczyła najbardziej obrzydliwego kontaktu fizycznego. Myślała, że po wszystkim wyrzyga własny żołądek, myła zęby co kilka minut i tak długo używała płynu do ust, aż na dziąsłach porobiły jej się rany. Ale najgorsze dopiero nadeszło. Robert zaczął ją traktować jak szmatę. Kazał oddać klucze, oznajmiając, że dziewczka nie będzie sprzątać w jego domu. Szok odebrał jej świadomość, nawet zdolność odczuwania. Dopiero wiele tygodni później zaczęła narastać w niej nienawiść i chęć zemsty. Po miesiącu odważyła się ponownie pojechać do Dąbrowy i wejść do pustego domu. Zdążyła dorobić sobie klucze, wiedziała, jak wyłączyć alarm, bo Ramira kiedyś jej pokazała. Chodziła po wytwornych wnętrzach i zastanawiała się, co by tu zniszczyć, może potłuc te efektowne butelki z alkoholem albo wbić nóż w kanapę. Uśmiechnęła się na myśl, jaką minę zrobiłby Robert. Może by się nawet posrał ze strachu albo wściekłości. Zaczęła przeglądać jego biurko. Szybko trafiła na zdjęcia Marty. Były ohydne, aż żołądek jej wykręciło. Żonę brata też wykorzystał, nie miał żadnych zasad.

Od tamtego dnia zaczęła obserwować siostrę. Szybko dostrzegła jej złężnione spojrzenie, gdy Robert pojawiał się w pobliżu. Pewnego dnia usłyszała urywek ich rozmowy i aż ją ścięło z nóg. Czy to możliwe, że Tymek nie jest synem Seweryna? Postanowiła to sprawdzić. W internecie znalazła laboratorium badań DNA i zgodnie z instrukcją wysłała do nich dwie próbki pobrane od siostrzeńca i szwagra.

Plan porwania Tymka przyszedł jej do głowy niespodziewanie podczas pisania testu z biologii. Filogeneza i antropogeneza, na chuj jej wiedzieć, co oznaczają te terminy. Mogliby w końcu zacząć uczyć w szkole czegoś, co się przydaje w życiu, choćby tego, jak domowym sposobem wyprodukować piwo albo jak skutecznie zjeść komuś życie. Nagle spłynęła na nią łaska sensownego myślenia. Z testu dostała jedynkę, ale znalazła słaby punkt Roberta Maja. Tymek, jego syn, powinna uderzyć w dziecko, a dosięgnie ojca. Oczywiście nie miała zamiaru zrobić krzywdy Tymusiowi, kochała go. Pomyślała, żeby go gdzieś ukryć na parę dni. Potem poszłaby do Roberta i oznajmiła, że wie, gdzie jest jego syn. Jeżeli ładnie ją poprosi, to być może mu go odda. Oczami wyobraźni

widziała ich rozmowę. Ona siedzi na jego fotelu i trzyma nogi na biurku, a on stoi przed nią ze spuszczoną głową i skamle o wybaczenie.

Grześ się śmiał, gdy przedstawiła mu plan swojej zemsty na Robercie. „Ty naiwny dzieciaku”, powiedział do niej i położył sobie na genitaliach jej dłoń. Zaczęli się kochać z takim zapałem, że aż łóżko polowe pękło z głośnym trzaskiem. Ktoś zapukał do kantorka. Grześ uchylił drzwi i tłumaczył się gorączkowo, a ona na kolanach po ciemku szukała majtek. Znalazła je i ze zdumieniem przyjęła fakt, że są w strzępach. Dopiero następnej nocy Grześ przedstawił jej swój plan dokopania Robertowi. Ucieszyła się, że w ogóle o tym pomyślał. Siedząc mu na kolanach, słuchała o porwaniu Tymka dla okupu. Była zachwycona, wyciągnąć kasę od tego nadętego fiuta, genialne. Tak się szczycił swoimi pieniędzmi. Nawet gdy dawał na hospicjum lub inny szlachetny cel, to w taki sposób, aby pokazać, że ma forszę. Teraz będzie musiał wszystko, co do grosza, oddać jej.

Cudowny weekend w Kętrzynie się skończył. Wróciła do Elbląga gotowa działać, niestety, z każdym dniem plan porwania Tymka odpływał w sferę fantazji. Ale potem podsłuchiwała, jak Robert mówi Sewerynowi, że wyjeżdża do Kętrzyna na jakąś konferencję i będzie nocował w hotelu Agros. Przecież tam pracował Grześ. Dała mu znać.

Kolejne tygodnie pamiętała jako stan nadziemskiej euforii. Grześ rzucił robotę w hotelu i przyjechał do Elbląga. Spotykali się prawie codziennie w wynajętym przez niego mieszkaniu, aby się pieprzyć i dopracować plan porwania Tymka. Wtedy pierwszy raz się przekonała, jakie to wygodne pochodzić z patologicznej rodziny. Nikt się nie interesował, gdzie znika na całe dni. Marcie mówiła, że idzie do koleżanki albo do rodziców na Łęczycką. Tamta nie dopytywała o szczegóły.

Pewnego dnia Grześ wyjawiał jej coś, co ją przeraziło. Robert chce uprowadzić Tymka, żeby z nim i żoną uciec zagranicę. Stała na miękkich nogach i przyciskała dłonie do ust. Ten fiut chce zabrać jej kochanego chłopczyka. Już nigdy go nie zobaczy, nie przytuli. Zaczęła błagać Grzesia, żeby przyspieszyli realizację swojego planu. Muszą pierwsi porwać Tymka. Zobaczyła szeroki uśmiech, odsłaniający szparę między jedynekami. Śmiał się z niej. Uderzyła go pięścią w klatkę piersiową. Złapał ją za nadgarstki i popychał tak długo, aż oparła się plecami o zimną ścianę. Trzymając usta przy jej czole, mówił, że Robert właśnie jego wynajął do porwania Tymka, a okup ma być zapłatą za robotę. Od razu zrozumiała, że to idealne rozwiązanie. Zleceniodawca będzie ich krył, bo jeżeli oni wpadną, to on też. Patrzyła na Grzesia z podziwem, był wyjątkowo przebiegły. Odsunęła biodra od ściany, żeby mógł ściągnąć jej dzinsy. Trochę

zabolało, gdy brutalnie się w nią wciskał, ale nie przejmowała się tym, bo szeptał jej do ucha, że już za miesiąc będą z Tymkiem siedzieć na plaży w Meksyku.

Jakiś czas później znowu ją zaskoczył, oznajmiając, że Seweryn również wynajął go do uprowadzenia Tymusia. W pierwszej chwili pomyślała, że to żart, wybuchła szczerym śmiechem, wypływając kawałek pizzy. To jednak nie był żart. Grzesiu poszedł do zakładu jej szwagra i podał się za jego kolegę z akademika. Potem spotkali się parę razy i ostatecznie umówili się na porwanie dziecka. Nie kumała, po co jej szwagier miałby porywać Tymka, bezsens. Grześ jej wytłumaczył, że Seweryn chce w ten sposób wyłudzić kasę od brata, bo tonie w długach. Te kłopoty finansowe też ją zaskoczyły. Myślała, że dobrze im się powodzi, przecież Martę było na wszystko stać. Jej zdumienie przerodziło się w złość. Lubiła Seweryna, nie chciała go w to mieszać. Poza tym wydawało się jej, że Grześ za dużo kombinuje. To może się obrócić przeciwko nim. On jednak zapewniał, że teraz są kryci w stu procentach. Ani Robert, ani Seweryn nie zawiadomią policji, bo będą się bali, że ta wpadnie na ich trop. A jeżeli psy i tak się dowiedzą o porwaniu, to obaj Majowie postarają się, aby doszło do bezpiecznego przekazania okupu.

Plan to coś, co później wygląda absolutnie inaczej — podobno ktoś mądry wypowiedział tę myśl. Niestety miał rację. Ich plan wyjechał się już pierwszego dnia.

Czekała na Grzesia i Tymka w Suchaczu, mieli jechać do Kątów Rybackich i tam przez parę dni odgrywać rolę młodego małżeństwa z dzieckiem na urlopie. Oczywiście codziennie dojeżdżałaby do Elbląga, aby sprawdzić, jak idą przygotowania do przekazania okupu. Nigdy nie zapomni tamtego telefonu od Grzesia, kiedy krzyczał, że psiarze go gonią. Oblał ją zimny pot, zaczęła płakać. Do dziś nie wie, jakim cudem zdołała wsiąść do wozu i jechać po niego do Lasu Kadyńskiego. Jeszcze bardziej zadziwił ją fakt, że znalazła go w tym lesie. Grześ ją pochwalił za opanowanie. Wtedy ostatni raz usłyszała od niego dobre słowo, potem było już tylko gorzej.

W Kątach dowiedzieli się, że Bogumiła Maj nie żyje. Zuza była przerażona, a Grześ wściekły. Wydzierał się na nią, że na morderstwo się nie umawiali. Popchnął ją, gdy próbowała go objąć. Wzięła Tymka na ręce i wybiegła z wynajmowanego mieszkania. Autobusem wróciła do Elbląga. Wiedziała, że nie może iść do domu siostry i tak po prostu oddać dziecko. Po zamordowaniu matki Seweryna już nie mieli odwrotu, musieli kontynuować swój plan.

Poszła do Patryka Lasockiego. Nawet go dobrze nie знаła, ale mieszkał sam, u niego byłaby więc w miarę bezpieczna. Na szczęście pozwolił jej zostać parę dni. Grześ zadzwonił do niej po kilku godzinach i oznajmił, że będzie żądał okupu, a ona ma się nie wychylać z dzieckiem, dopóki on nie dostanie forsy. Zależało

mu tylko na pieniądzech, ona i Tymek zupełnie się nie liczyli. Szybko się przekonała, że żadnego wyjazdu do Meksyku nie będzie. Prawdopodobnie nie dostanie też ani grosza z okupu. Kontaktowała się z Grześkiem głównie telefonicznie, dwa razy się z nim spotkała na mieście. Był nieprzyjemny, a nawet agresywny. Chciało jej się płakać, nie wiedziała, co robić. Zastanawiała się, czy nie podrzucić gdzieś Tymka tak, żeby go policja znalazła i odwiozła do domu. Grzesiek się domyślił, że ma to w planach, bo ostrzegł ją. Jeżeli zrobi coś głupiego, to wystawi ją psom, a sam zniknie.

Któregoś wieczora powiedziała o wszystkim Patrykowi. W szkole mówiono o nim, że jest popierdolony, syn mordercy nie może być normalny. Rzeczywiście był dziwny. Nie zadzwonił do psiarni ani nie wyrzucił jej z mieszkania. Długo patrzył na nią w milczeniu, a potem oznajmił, że jej pomoże. Zaczęli się zastanawiać, jak przechytrzyć Grześka. Nic mądrego im nie przychodziło do głowy. Patryk w desperacji nawet oświadczył, że go zastrzeli, umie przecież posługiwać się pistoletem, tylko akurat żadnym nie dysponuje. W końcu ona wpadła na pomysł, jak skutecznie pozbyć się Grześka, aż ją przeraziła jej własna bezwzględność. Jeszcze się wahała, ale Patryk ją przekonał, że nie mają innego wyjścia. Zadzwoniła więc do wspólnika i powiedziała, żeby na osobę przekazującą okup wyznaczył Jerzego Maja. Plotła do słuchawki, że Seweryn nie da rady, że ze strachu dostał sraczki, a w ogóle coś mu odjechało, bo ciągle gada do siebie. Grzesiek, niczego nie podejrzewając, się zgodził. Trafnie przewidziała finał. Stary Maj miał w domu broń i kipiał nienawiścią oraz chęcią zemsty, bez wahania rozwaliby mordercę swojej żony.

Gdy przeczytała w internecie, że nad jeziorem Družno został zastrzelony mężczyzna podejrzewany o porwanie kilkumiesięcznego dziecka, dostała dziwnego ataku. Cała zesztywniała, nie mogła niczego utrzymać w dłoniach ani zgiąć nóg w kolanach, poza tym zaczęła szczękać zębami. Jeszcze parę dni temu oddałaby życie za Grześka, a teraz sama doprowadziła do jego śmierci. Patryk zaparzył jej melisę i owinał ją kocem, zajął się też Tymkiem. Następnego dnia stała się innym człowiekiem. Już nie była przestraszoną dziewczynką. Znalazła się w stanie wielkiego wkurwienia. Postanowiła zażądać półmilionowego okupu, a potem z kasą i Tymkiem wyjechać na drugi koniec świata. Wpadła na pomysł przekazania pieniędzy za pośrednictwem paczkomatów. Za namową Patryka pojechała do domu Roberta Maja i zabrała rewolwer, może się przydać, a przede wszystkim doda jej pewności siebie. Rzeczywiście czuła się lepiej, mając broń za paskiem spodni.

Była już na placu Słowiańskim. Tymek zaczął się kręcić w jej ramionach. Przycisnęła go mocniej do siebie i uspokajająco pogładziła po plecach. Minęła ją grupa rowerzystów, wszyscy w identycznych żółtych kamizelkach, większość

w jej wieku. Młodzi ludzie spędzający miło czas w słoneczny wrześnieowy dzień. Też by tak chciała, mieć wszystko w dupie i dobrze się bawić. Ma dopiero siedemnaście lat, zasługuje na normalne życie. Niech tylko weźmie pół miliona okupu, jej i Tymkowi niczego nie zabraknie, przede wszystkim spokoju.

Na postoju stało pięć taksówek. Nie pojazd był dla niej ważny, lecz kierowca. Potrzebowała kogoś, kto grzecznie wykona jej prośbę. Ewentualnie zareaguje uległością na wymierzony w siebie rewolwer. Wybrała łysiejącego mężczyznę, lekko po pięćdziesiątce. Wyglądał łagodnie, trochę tatusiowato. Powinien pozytywnie odnieść się do dziewczyny z dzieckiem. Wsiadła do białego merca i zaszczębiotała, że gorąco, że zmęczona, że mały ciężki. Na końcu poprosiła, aby ją podwiózł pod sklep meblowy na Warszawskiej.

— Chce pani łóżeczko kupić czy co?

— Nie. Muszę coś tam odebrać.

— To pani dzieciaczek?

— Mój.

— A ile pani ma lat? Sorki, że pytam, ale na mamuszkę pani nie wygląda.

— Dwadzieścia.

— No to dobry wiek na dzieciaczka, zdąży pani jeszcze wnuki przypilnować.

Taksówkarz się roześmiał, uznając swoją ostatnią wypowiedź za dobry żart.

Gdy zatrzymali się przed sklepem meblowym, podała mu kartkę z numerem telefonu oraz kodem i uprzejmie poprosiła, aby odebrał dla niej przesyłkę z paczkomatu.

— A pani nie może sama? Poczekam i nawet postojowego nie policzę.

Wskazała Tymka przysypiającego na jej rękę. Kochany chłopiec robił dokładnie to, czego od niego oczekiwała.

— Nie chcę go obudzić. Bardzo pana proszę.

— Ale ja nigdy tego nie robiłem.

Wsiadła do taksówki starego pierdziela i teraz ma problem. Miała ochotę kopnąć w siedzenie kierowcy, ale zamiast tego z uśmiechem ponowiła swoją prośbę i zapewniła, że korzystanie z paczkomatu nie jest trudne. Mężczyzna wziął od niej kartkę i wysiadł. Wrócił po dwóch minutach uradowany. Podał jej pakunek.

— Fajna rzecz ten paczkomat, prawie jak bankomat. Czego to człowiek nie wymyśli, ale przyznaję, przydatne, wygodne. A co pani dostała w tej paczce? Sorki, że tak wypytuję.

— Kosmetyki, proszę teraz jechać na Odzieżową.

Ruszyli, a ona uważnie rozglądała się wokół. Nie wypatrzyła niczego podejrzanego, nikt za nimi nie jechał. A zatem Robert nie zawiadomił policji, tego właśnie się spodziewała. Postanowił sam zakończyć sprawę porwania, żeby

pokazać wszystkim, jaki jest skuteczny, i przy okazji zagłuszyć wyrzuty sumienia, o ile w ogóle je miał.

Wyjęła z plecaka nożyczki zabrane z domu Patryka i niezdarnie zaczęła rozcinać paczkę. Musiała się upewnić, że w środku jest kasa. Odetchnęła z ulgą, pieniądze wypełniały całe pudełko. Wzięła w dwa palce kilka banknotów i dokładnie je obejrzała, uważając, aby kierowca nie widział, co robi.

Gdy zatrzymali się na Odzieżowej w pobliżu Biedronki, podała taksówkarzowi kolejną kartkę z kodem i poprosiła o odebranie następnej paczki.

— Sporo pani tych kosmetyków kupiła, a może to nie kosmetyki, tylko jakieś niedozwolone substancje i wciąga mnie pani w handel nimi.

— Ma pan rację, że handel, ale kosmetykami. Jeśli pan chce, mogę panu sprzedać kremy do twarzy. Kupi pan dla żony?

— Ona nie potrzebuje.

Kierowca ruszył w stronę paczkomatu. Gdy zobaczyła, że wraca bez przesyłki, rozgniewała się.

— Gdzie jest paczka? — wrzasnęła.

Tymek się obudził i zaczął płakać.

— Czego pani krzyczy? Dzieciaczek się przestraszył. A paczki nie ma, bo ten numer jest zły.

Podał jej kartkę z kodem. Wyciągnęła telefon i odszukała esemesa od firmy kurierskiej. Sześć cyfr się zgadzało, dobrze je przepisała.

— Niech pan jeszcze raz idzie i dobrze patrzy, co wprowadza.

— Sama pani idzie. Ja tutaj dwa razy próbowałem.

Stary pierdziel usiadł za kierownicą. Wyraźnie dawał jej do zrozumienia, że już do paczkomatu nie pójdzie. Nie planowała osobiście odbierać okupu ze względu na monitoring, ale trudno. Miała nadzieję, że duży płócienny kapelusz z opadającym rondem i okulary przeciwsłoneczne pomogą ukryć jej tożsamość. Położyła Tymka obok na siedzeniu i otworzyła drzwiczki. I wtedy go zobaczyła. Jego czarne oczy znalazły się na wprost niej. Cofnęła się do wnętrza samochodu i rozejrzała zaniepokojona. Nikogo nie było, a przecież go widziała, była pewna, przez ułamek sekundy mignęła jej przed oczami jego śniada twarz, ale nie miała pojęcia gdzie. Może w przejeżdżającym samochodzie? To był ten pies, który przez parę dni warował w domu jej szwagra. Uroda jak u Araba, tylko bez brody, i te czarne, świdrujące oczy.

— Jedź! — wrzasnęła.

— Dziewczyno, co ty?

— Kurwa, jedź!

Ogarnęła ją wściekłość. Robert zawiadomił psiarnię. Nie dorwą jej. Wyszarpnęła zza paska rewolwer i przyłożyła do karku taksówkarza.



— Jedź, bo cię zastrzełę.

Ruszył z piskiem opon.

— Ja pierniczę, a jednak narkotyki...

Był przerażony.

— Zamknij mordę i jedź.

Miała ochotę strzelać na oślep przez okno taksówki, chciała widzieć kawałki rozpryskującego się szkła, a potem walić kierowcę kolbą po głowie, żeby czuć ciepłe krople krwi. Wypełniająca ją furia szukała ujścia. Teraz liczyło się tylko niszczenie. Nie daruje mu tego, że ją zgnoił, zrobił z niej dziwkę, przez niego nie może się pozbyć uczucia oblepiającego ją brudu. A teraz nasłał jeszcze na nią psiarnię, chce ją wpakować do pierdła. Zamorduje go, zastrzeli, ale najpierw na jego oczach zabije mu syna, robi to, a na końcu rozwali łeb sobie. Niech nie myśli, że ona pójdzie siedzieć, a on będzie szczęśliwym tatuśkiem.

Wciąż przyciskała lufę rewolweru do karku kierowcy, a Tymek zanosił się płaczem.

— Dokąd jedziemy?

Pytanie taksówkarza zmusiło ją do rozejrzenia się. Byli na Browarnej.

— Na Rubno! — wrzasnęła.

Miała nadzieję, że zastanie Roberta w tartaku. Jeżeli nie, to każe mu tam przyjechać. Na pewno przypęłźnie, przyczołga się, przestraszony i przepraszający, a ona strzeli prosto w tę jego paskudną gębę.

Zawyły policyjne syreny. Zabrzmiały jak alarm, nadchodził jej koniec. W pierwszym odruchu skuliła się. Dopadną ją, zakują w obrączki, zamkną do celi. Zaczęła płakać. Opuściła dłoń z rewolwerem.

— Ja pierniczę, dają znać, że mam się zatrzymać.

Taksówkarz zwolnił, wjeżdżając na Mazurską, a ją ogarnęła nowa fala złości. Wydarła się najgłośniej, jak potrafiła:

— No jedź, kurwa!

Nacisnął pedał gazu, samochodem zarzuciło, otarli się o krawężnik. Wóz policyjny trzymał się tuż za nimi, kolejny z włączonym kogutem pojawił się z przodu. Wyglądali teraz jak kolumna rządowa.

Zuza wyjęła z plecaka chustę i przewiązała ją sobie wokół bioder oraz przez ramię. Do zrobionej w ten sposób kołyski włożyła płaczącego Tymka. Teraz miała wolne ręce, a Tymuś był bezpieczny. Nawet jeżeli zacznie się kręcić, wrywać, to i tak nie wypadnie. Wcisnęła pakunek z pieniędzmi do plecaka, dłoń zacisnęła na pistolecie. Była gotowa.

Minęli jednostkę wojskową. Widziała zaskoczone twarze kierowców jadących z naprzeciwka.

— Jedź do tartaku!

Taksówkarz skręcił w prawo. Eskortujący ich z przodu radiowóz pojechał prosto. Gdy się odwróciła, zobaczyła, że zawraca.

— Stop! — wrzasnęła.

Zahamował. Walnęła głową w przednie siedzenie, na szczęście Tymek tkwił bezpiecznie przytwierdzony do jej tułowia. Otworzyła drzwiczki i wyskoczyła. Gnała ją wściekłość. Za sobą słyszała pisk opon i wołanie policjantów. Biegła dalej, najpierw wzdłuż suszarni, potem wpadła między halę a kotłownię. Zdyszana minęła grupkę ludzi. Kątem oka zobaczyła, że odskakują pod ścianę. Zapewne przestraszył ich widok pistoletu. Rozglądała się za jakąś kryjówką. Musi się szybko schować. Tymek wrzeszczał i się wyrywał. Dopadła do wiaty, były tu kilkumetrowe bale, ułożone jedna na drugiej tworzyły schody. Bez namysłu zaczęła się po nich wspinać. Łapała palcami obłe kawałki drewna, wbijała w nie paznokcie, stopami szukała oparcia. Znajdowała się już jakieś dwa metry nad ziemią, gdy do wiaty dopadli psiarze.

— Zuza, proszę, zejść.

Głos policjanta był spokojny, wręcz przyjacielski. Kusiciel, zły pies... Gdyby zeszła, nie byłby już taki miły, rzuciłby ją na ziemię, wykręcił ręce do tyłu, bo tak się traktuje przestępców, porywaczy małych dzieci.

Kolejny bal, kolejne zagłębienie, w które można wcisnąć dłoń, podciągała się do góry, jeszcze cztery, pięć prowizorycznych schodów i będzie na szczycie. Tam się położy i odpocznie, a jeśli ktoś będzie chciał wejść, zacznie strzelać.

— Zuza, chcemy ci pomóc. Proszę, zejść. Nie będziesz odpowiadała za porwanie. Nie ty jesteś winna.

Pies dalej kuśił. Była pewna, że to ten z czarnymi oczami, o urodzie Araba. Zdawało się jej, że ktoś zaczyna się za nią wspinać. Nie mogła się obejrzeć.

— Spierdalajcie, bo puszcze małego!

Zachwiała się. Myślała, że to już koniec, zaraz runie w dół, zginie, i Tymek też, a Robert będzie dalej żył, będzie gwałcił, opluwał, obryzgiwał brudem, a przy okazji dobrze się bawił. Nienawidziła go. Nienawiść dodawała jej siły. Była już na samej górze drewnianej piramidy, zdjęła plecak i położyła się, układając sobie Tymka na brzuchu. Odpoczywała chwilę, oddychając ciepłym, żywicznym powietrzem. Nad jej głową zwisał czarny, tłusty pajak, kołysał się na niewidocznej nici. Zdziwiła się, że nie czuje na jego widok obrzydzenia.

Docierały do niej przyciszone głosy. Psy układały plan, jak ją dopaść. Wrzasnęła, że jeżeli ktoś będzie próbował wejść na stertę bali, to zacznie strzelać. Bała się, że nie potraktują tej groźby poważnie, wyjęła więc rewolwer zza paska, wymierzyła w drewniany dach wiaty i nacisnęła spust. Huk ją przestraszył, ramię zabolęło, broń omal nie wyleciała z dłoni. Tymek na moment umilkł, a potem na nowo wybuchnął głośnym płaczem. Stała na czworakach i zaczęła się

przesuwać dalej, popychając plecak przed sobą. Tymek kołysał się w chuście pod jej tułowiem. Dotarła do zagłębienia, wyglądało, jak gdyby ktoś wyjął stąd kilka bali. Zsunęła się tam. Dygotała jak w gorączce. Usiadła, opierając się plecami o bale i uginając nogi w kolanach. Tymuś był teraz zwrócony buzią do niej. Biedaczek wyglądał na przerażonego. Pocałowała go w główkę. Prawą dłoń miała zakrwawioną. Ostre drzazgi tkwiły w palcach i pod paznokciami. Otworzyła plecak i wyjęła telefon. Gdy go włączyła, od razu zaczął dzwonić. Odebrała, wiedząc, że usłyszy kuszący głos psa.

— Zuza, wiem, że jesteś ofiarą. Tak naprawdę nie chcesz zrobić nic złego, chcesz, żeby było dobrze, normalnie.

— Pierdol się.

Łzy spływały jej po policzkach. Dłoń kleiła się od krwi, telefon też. Z trudem wybrała numer Roberta. Odebrał natychmiast, jak gdyby czekał na kontakt od niej.

— Zawiadomiłeś psiarnię — powiedziała spokojnie, choć gniew tętnił w każdej komórce jej ciała.

— Zuza?

Wypowiedział jej imię z takim niedowierzaniem, jak gdyby właśnie zmartwychwstała.

— To ja, twój upiór, twoje przekleństwo.

— Nie pierdol. Mów, czy to Tymek płacze? Jego słyszę?

— Tak, to ja go porwałam.

— Ty głupia cipo, ty i twoja siostrunia jesteście głupimi cipami, żeby was... Zapłacicie za wszystko.

— Marta nic nie wie, to tylko ja, za to, że mnie zgwałciłeś.

— Co ty pierdolisz? Ja cię zgwałciłem? Ciebie, głupia cipo?

— Zapłacisz za to, zabiję cię, zajebię! — zaczęła wrzeszczeć do słuchawki, żeby zagłuszyć rzucane przez niego wyzwiska.

Rozmowa została przerwana, to nie ona się rozłączyła, prawdopodobnie Robert nie chciał więcej słuchać jej krzyków. Nie zdążyła mu powiedzieć, żeby przyjechał po Tymka. Chciała ponownie wybrać numer, ale znowu zadzwonił zły pies o łagodnym głosie. Nie dała mu dojść do słowa, sama zaczęła mówić, że odda Tymka tylko Robertowi. Ma tu przyjechać po syna, w innym razie zastrzeli dziecko i siebie. Znowu krzyczała do słuchawki, Tymek też się wydierał. Miała wszystkiego dosyć, z rezygnacją i złością walnęła aparatem o drewniane bale.

## *Dzień siedemnasty, wczesny wieczór*

Kilkunastu funkcjonariuszy otaczało wiatę, pod którą ukryła się Zuza z dzieckiem. Stali w odległości piętnastu kroków od siebie. Rumun nie widział potrzeby tworzenia bardziej zwartego kordonu, bo niby kto miałby chcieć się przez niego przedrzeć. Pracownicy tartaku zebrali się w dużej odległości od nich, by obserwować policyjną akcję. Nie codziennie mieli okazję oglądać równie interesujący reality show, i to ze znanymi bohaterami w roli głównej. Chodziło przecież o najbliższą rodzinę niedawnego właściciela. Rumun usłyszał parę komentarzy, gdy kwadrans wcześniej obchodził wszystkie budynki. Najczęściej powtarzała się opinia, że Maj sprzedał ich Austriakom, aby zapłacić wielomilionowy okup za bratanka. Pod ścianą kotłowni kuczał pracownik z papierosem w zębach i mamrotał do siebie, że żadnego porwania nie było, po prostu Maj nie chciał płacić podatku od sprzedaży tartaku, dlatego wymyślił to wszystko. Ci, którzy widzieli biegnącą dziewczynę z dzieckiem, dziwili się, że taka młoda. Mówili między sobą, że to jakaś dupa szefa, którą porzucił, a ona teraz się zemściła, porywając mu bratanka.

Rumun stał oparty o bale i nasłuchiwał. Kilka minut temu Tymek przestał płakać. Co teraz? Jak ściągnąć z góry zdesperowaną, owładniętą chęcią zemsty dziewczynę? Czy czekanie, aż się zmęczy i wyciszy, jest dobrym pomysłem? Znajdujący się w drodze do Elbląga policyjny negocjator twierdził, że nie, bo sprawczyni ma dopiero siedemnaście lat, a to oznacza, że jej psychika jest jeszcze nieukształtowana i może ulec załamaniu. Prawdopodobieństwo, że zabije dziecko i siebie, jest ogromne.

Rumun wyszedł spod wiaty. Przed budynkiem biurowym przechadzał się Robert. Miał na sobie jasny garnitur i białą jak śnieg koszulę. Wyglądał jak ruchomy cel.

— Co pan robi? Niech się pan schowa, zanim Zuza pana zobaczy.

— Przecież ona nie umie strzelać. Z takiej odległości nie trafi.

— Ale może strzelać na oślep i zabije któregoś z moich ludzi.

— Nie macie kamizelek kuloodpornych? Chciałbym, żebyście dali mi jedną, założę ją i wejdę tam na górę.

— Za duże ryzyko. Zuza może celować w głowę.

Obaj weszli do biura. Na stojącym pośrodku krześle siedziała Marta Maj. Wyglądała jak skazaniec, opuszczone ręce i głowa, łzy spływające po policzkach, rozbiegane, półprzytomne spojrzenie. Straciła dotychczasowy spokój. Wcześniej jakoś się trzymała, bo wierzyła, że Tymek jest bezpieczny.

Uniosła głowę i spojrzała na nich. Maj się cofnął, przeczuwając, że nienawiść w jej oczach nie przyniesie mu nic dobrego. Zerwała się i z wyjątkową zwinnością rzuciła do przodu. Rumun zdążył zasłonić Roberta. Poczł ból w okolicach obojczyka, gdzie zdołała wbić ostre paznokcie. Złapał ją za nadgarstki i popchnął w stronę krzesła. Wrywała się i krzyczała. Posadził ją i nadal przytrzymał. Z jej ust wypadały krople śliny i nienawistne słowa skierowane do Roberta. Groziła mu, że jeżeli Zuzi coś się stanie, to ona go zabije, rozerwie gołymi rękami, zatłucze pięściami. Bała się bardziej o siostrę niż o syna.

Ruchem głowy kazał Robertowi iść na piętro. Tamten z wyraźną ulgą usunął się bratowej z oczu. Zbliżyła się do nich prokurator Łempicka i położyła dłoń na ramieniu Marty. Pomogło. Kobieta zaczęła się uspokajać.

— Pozwólcie mi wejść na tę stertę drewna. Porozmawiam z nią. Mnie posłucha.

Prokurator spojrzała na aspiranta Nowaka. Chciała wiedzieć, co o tym myśli. Pokręcił przecząco głową. Nie mógł jej tam puścić. Próba telefonicznego kontaktu obu sióstr skończyła się krzykami Zuzy i kolejnym wystrzałem w dach wiaty. Wolał nie myśleć, jak mogłaby zareagować na niechciany bezpośredni kontakt.

Marta zerwała się i w bojowym geście położyła dłonie na biodrach.

— Róbcie coś. Dlaczego nic nie robicie? Na co czekacie?

Zadziwiła go metamorfoza tej kobiety. Jeszcze wczoraj cicha, zahukana, pięć minut temu załamana, bezradna, teraz agresywnym tonem stawiała żądania.

— Zapewniam panią, że pracujemy nad tym, żeby bezpiecznie ściągnąć z góry zarówno pani siostrę, jak i syna. Chcemy, żeby Zuza zeszła stamtąd dobrowolnie.

— Jak pan to zrobi?

— Negocjator już tu jedzie. Nawet jeżeli Zuza nie odbierze telefonu od niego, to i tak go wysłucha. Będzie mówił do niej przez megafon. Chodzi o to, żeby ją uspokoić, przekonać, że Robert poniesie karę, a jej nic nie grozi.

— Czy ja też bym mogła powiedzieć parę słów przez ten megafon?

— Myślę, że to dobry pomysł. Tylko proszę pamiętać, że musi pani zachować spokój. Emocje się udzielają, a Zuza ma ich w nadmiarze.

Rumun wyszedł przed budynek biurowy. Nadal było ciepło, ptaki śpiewały w pobliskim lesie, wokół roznosił się słodki zapach żywicy. Sielankową atmosferę zakłócała obecność funkcjonariuszy ubranych w kombinezony i hełmy, jak gdyby polowali na narkotykowego bossa.

Milena stanęła obok niego.

— Kiedy przyjedzie komisarz?

— Nieprędko, ma na głowie zatrzymanie kobiety, która odbierała okup z paczkomatów. Sami musimy sobie tutaj poradzić.

— Jeżeli negocjator nie pomoże... ma pan jakiś inny plan?

— Tak, granaty hukowe i gaz łzawiący.

— Żartuje pan? To niebezpieczne, Zuza może się przestraszyć i spaść, a Tymek razem z nią.

— Po granatach hukowych ludzie zwykle nie zrywają się do ucieczki. Odruchowo się kulą. — Wskazał na wiatę. — Osiem sekund nam wystarczy, żeby się tam wdrapać. Zuza nie zdąży wyjść z oszołomienia, a my już będziemy przy niej. Wezmę sześciu chłopaków, zajdziemy ją z każdej strony.

— Wolałabym, żeby zeszła stamtąd z własnej woli.

— Ja też, trzymajmy więc kciuki za negocjatora.

Patrzył na profil Mileny. Wyglądała bardzo zwyczajnie bez makijażu, z gładko przyczesanym włosami. Twarz miała pospolitą, ale wyrażającą ogromną siłę charakteru. Zdecydowanym ruchem obróciła głowę w stronę wiaty. Uśmiechnęła się delikatnie. Właśnie rozważała jakiś plan. Minęła jeszcze minuta, nim wyjawiała swój pomysł.

— Ściągniemy tu Patryka Lasockiego. Myślę, że Zuza go posłucha, ukrywała się u niego, zapewne dobrze się rozumieją. Gdy powie jej, żeby sobie odpuściła tę dziecianną zemstę i zeszła z Tymkiem na dół, ona to zrobi.

Nie patrzył już na Milenę, lecz na ich długie cienie. Jeden z nich się poruszył i jeszcze bardziej wydłużył. Prokurator obróciła się w jego stronę.

— Nie podoba się panu ten pomysł. Mam rację?

— Tak. Uważam, że młody Lasocki jest... — umilkł, szukając odpowiedniego słowa. — On jest nieprzewidywalny.

— Jak każdy młody człowiek — skomentowała. — Patryk powie Zuzce tylko to, na co mu pozwolimy. Przygotujemy go do tej rozmowy.

— Nad słowami najtrudniej zapanować. Da mu pani komórkę albo megafon, a on wykrzyczy do Zuzy, żeby się zastrzeliła.

— Co pan? Przecież Patryk by tego nie zrobił.

— Rok temu w jego obecności kolega z klasy strzelił sobie w głowę.

— A pan dalej uważa, że to Patryk go zabił, choć nie ma na to żadnych dowodów.

— Może rzeczywiście nie on strzelił, może go jedynie namówił do samobójstwa. Raz mu się udało, dzisiaj może spróbować drugi raz. Jeżeli negocjator nie pomoże, proponuję granaty hukowe i gaz łzawiący. To pewniejsze.

To on dowodził akcją, ale Milena była prokuratorem, miała decydujący głos, bo na niej spoczywała większa odpowiedzialność.

Wsunęła dłonie do kieszeni spodni.

— Niech pan wyśle kogoś po Patryka. Jeżeli negocjatorowi nie uda się ściągnąć jej na dół, to wtedy jego włączymy do akcji.

Nie próbował dalej przekonywać prokurator Łempickiej. Jediną osobą, która mogłaby teraz wpłynąć na zmianę jej decyzji, był komisarz, ale jego tutaj nie było.

## *Dzień siedemnasty, wieczór*

„Zbrodnia”, „morderstwo”, „zabójstwo”, Patryk Lasocki lubił te słowa, wymawiał je, stojąc pod prysznicem. Postanowił dobrze się przygotować do kolejnego ważnego dnia w swoim życiu. Pierwszy krok to czystość fizyczna, musi się też odpowiednio ubrać, najlepiej na czarno, wyciągnął z szafy dzinsy i koszulę w tym kolorze. Dzisiaj znowu stanie się wielki i wyjątkowy, znowu zabije. Dokona rzeczy, o której inni ludzie mają tylko odwagę marzyć.

Chodził po mieszkaniu i nucił: „Do domu wrócimy, w piecu napalimy, nakarmimy psa”. Czekał na wezwanie. Był pewien, że zadzwonią, a potem po niego przyjadą.

Telefon odezwał się o dziewiętnastej pięć. Dość szybko. Gotów był czekać dłużej. W słuchawce usłyszał głos prokurator Łempickiej. Pokrótce nakreśliła mu sytuację. Zuza z Tymkiem schroniła się w tartaku. Siedzi na składowanych pod wiatą balach i nie chce zejść. Trzeba ją przekonać, żeby to zrobiła. Czy on mógłby z nią porozmawiać? Oczywiście, że mógłby. Nie zapomniał wyrazić swojego zaniepokojenia o bezpieczeństwo koleżanki i chłopczyka. Rozmawiał z Łempicką, przeglądając się w lustrze. Podobało mu się to, co w nim widział, na jego twarzy malowały się jasność i euforia.

Pokiwał głową, jak gdyby chciał powiedzieć: Wiedziałem, że tak będzie, wszystko idzie zgodnie z planem. Zbrodnia kojarzyła mu się z grą w szachy. Jeden dobrze wykonany ruch pionkiem może w finale doprowadzić do zbitcia najważniejszej figury. Gdy tamtego dnia zobaczył w drzwiach swojego mieszkania Zuze z porwanym siostrzeńcem, zaczął planować. Pierwszym ruchem na szachownicy było zaopiekowanie się dziewczyną i dzieckiem. Zdobył jej zaufanie, po dwóch dniach słuchała go we wszystkim. Najtrudniej było ją przekonać, żeby poszła do domu Roberta Maja i zabrała jego rewolwer. Mówiła, że się boi, a on tłumaczył, że to dla jej bezpieczeństwa, z bronią w ręku będzie mogła więcej dokonać, a przede wszystkim zyska pewność siebie. Pistolet to kluczowy element jego planu, musiał go zdobyć za pośrednictwem Zuzy, na szczęście się udało.

Zbiegł po schodach. Przyjechało po niego dwóch funkcjonariuszy, usiadł na tylnym siedzeniu. O nic nie wypytywał, oni też się nie odzywali. Czuł w sobie ogromną energię, chciał działać, najchętniej usiadłby za kierownicą i nacisnął pedał gazu. Nieświadomie zaczął stukać butem o podłogę. Przestał, gdy funkcjonariusz się obejrzał.

Wprowadzili go do budynku, w którym przy biurku siedziała prokurator Łempicka. Przedstawiła mu grubego mężczyznę w policyjnej koszuli, starszy aspirant Edward Kuntz, negocjator. Następnie poinformowała, że Zuza zagroziła zastrzeleniem Tymka i siebie samej, jeżeli ktokolwiek będzie próbował wejść na stertę bali. Patryk wiedział, że ta groźba musiała się pojawić, w innym razie by po niego nie posyłali.

Prokurator Łempicka spojrzała na Edwarda Kuntza, dając mu znać, że może mówić. Grubas wziął kartkę i długopis, po czym zaczął wyklądać zasady rozmowy z Zużą, jednocześnie notował najważniejsze kwestie. Patryk przysunął się z krzesłem do biurka i z uwagą słuchał oraz śledził zapisywane punkty. W sumie było ich sześć. Po pierwsze, Zuza ma się dowiedzieć, że bliskie osoby niepokoją się o nią i czekają na jej powrót. Po drugie, trzeba ją przekonać, że jest dobrą i wartościową dziewczyną. Po trzecie, Tymek nie może płacić własnym życiem za winę dorosłych. Czwarty punkt był najistotniejszy, bo na sugestię, że zachowuje się dziecinnie i głupio, może zareagować agresją. Piąty punkt mówił o tym, że mądrzej zrobiłaby, stając twarzą w twarz z Robertem Majem w sądzie. Tu należy podkreślić, że pieniądze tamtemu nie pomogą, a ona będzie miała wsparcie rodziny i prokurator Łempickiej. Szósty punkt dotyczył zapewnienia, że ona sama nie zostanie pociągnięta do odpowiedzialności za porwanie siostrzeńca. Negocjator wypisywał całe zdania, którymi Patryk powinien się posłużyć. Dodał też kilka słów, które zwykle dobrze wpływają na psychikę ludzi osaczonych, z dużym poczuciem winy, owładniętych chęcią zemsty.

Prokurator Łempicka zapytała, czy chce przeciwyczyć tę rozmowę. zaproponowała, że wcieli się w rolę Zuzy. Patryk pokręcił przecząco głową i nawet się uśmiechnął.

Usiadł wygodniej, opierając się łokciami o blat. W dłoni trzymał swoją komórkę, a przed sobą miał kartkę z wytycznymi Kuntza. Czekając na połączenie, ciężko oddychał. Na szczęście Zuza odebrała.

— Patryk?

— Tak, to ja.

Spojrzał na wyrażającą napięcie twarz prokurator Łempickiej. Negocjator wyglądał na bardziej opanowanego.

— Mała, jak się czujesz?



Tego pytania nie było w zestawie zaproponowanym przez grubasa, ale chyba mu się spodobało, bo podniósł kciuk w górę.

— Chujowo — odpowiedziała cichym głosem Zuza.

— A Tymek, co z nim? Śpi?

— Tak, usnął.

Prokurator Łempicka pokiwała z uznaniem głową, a Patryk pożałował, że rozmowa rejestrowana jest tylko przez dyktafon. Powinni jeszcze włączyć kamerę, żeby pozostał dowód na to, że się starał, bardzo chciał pomóc i nawet na początku dobrze mu szło.

— Martwię się o ciebie. Twoja siostra też się niepokoi i rodzice również.

— Ja pierdołę, co za wspaniała rodzina, wszyscy się martwią, wreszcie coś nowego.

Zuza zaśmiała się ponuro.

— Łucja na ciebie czeka, podobno jakąś bajkę jej czytałaś i nie skończyłaś.

— Bajkę? Nie, nie czytałam, tylko rysowałam jej tę bajkę. Rzeczywiście nie skończyłam.

Przez minutę ciągnął jeszcze temat zaniepokojonej o jej los rodziny, potem zaczął ją przekonywać, że jest wspaniałą dziewczyną. Nagle zapytał:

— Wiesz, gdzie teraz jestem?

— W domu?

— Nie zgadłaś. Jestem bardzo blisko ciebie.

— Gdzie?

— W tartaku.

— Co ty tu, kurwa, robisz?

— Prokurator Łempicka po mnie posłała, bo wie, że się przyjaźnimy.

Tego fragmentu rozmowy negocjator nie zaplanował. Teraz patrzył na niego zaniepokojony. Żeby przywołać go do porządku, postukał palcem w trzeci punkt na kartce.

— Współpracujesz z psiarnią! — zawołała oburzona Zuza.

— No co ty? Jestem tutaj, bo się o ciebie martwię. Chcę, żebyś stamtąd zeszła razem z Tymkiem. Czy on musi przez to wszystko przechodzić? Jest jeszcze taki mały. Dlaczego mu to robisz? — Po drugiej stronie słuchawki zapadła cisza. Patryk czekał w napięciu. Bał się, że Zuza powie, iż zaraz zejdzie, a przecież nie to było jego celem. — Boisz się zejść? — zapytał takim tonem, jak gdyby oczekiwał potwierdzenia.

— Tak, kurwa, boję się.

— Chcesz, żebym po ciebie przyszedł?

Prokurator Łempicka dawała mu znak, że się na takie rozwiązanie nie zgadza.

— Tak, przyjdź po mnie.

— Nie będziesz do mnie strzelać?

— Nie.

— Zaraz u ciebie będę.

Zuza się rozłączyła, a on zerwał się z krzesła z głośnym okrzykiem tryumfu.

— Hura! Udało się! Zgodziła się zejść! Muszę tylko po nią pójść.

— Patryk, ja cię nie puszczę.

Spodziewał się, że Łempicka może być przeszkodą. Od kilku miesięcy trochę mu matkowała. Teraz się wystraszyła, że może mu się coś stać.

— Pani Mileno, przecież pani sama słyszała, Zuza chce zejść. Nawet lepiej, że jej pomogę, żeby się nie potknęła, nie pośliznęła.

— Zadzwoń do niej jeszcze raz i powiedz, że wejdzie po nią aspirant Nowak. Ona go zna.

Patryk gorączkowo rozważał, jak postawić na swoim. Niespodziewanie z pomocą przyszedł mu negocjator.

— Pani prokurator, ona się zgodziła, żeby chłopak po nią wszedł. To jest pewnego rodzaju umowa, on nie może jej złamać. Jeżeli teraz zadzwoni i powie, że zamiast niego pójdzie policjant... dziewczyna może się zdenerwować, że nie dotrzymał słowa, i znowu zacznie grozić śmiercią dziecka i swoją.

Prokurator Łempicka się zgodziła. W parę minut ubrali Patryka w kamizelkę kuloodporną i podprowadzili pod wiatę. Zaczął się wspinać.

Bale były ułożone na wysokość czterech metrów. Musiał uważać, ostrożnie stawiać stopy, mocno łapać dłońmi drewno. Czuł siłę i spokój. Wiedział, co ma robić. Nie może tego zepsuć. Był już na szczycie. W ciemności pomiędzy dachem a składowanym drewnem szukał wzrokiem Zuzy. Zdziwił się, że widzi tylko jej głowę. Po chwili dotarło do niego, że pozostała część ciała dziewczyny schowana jest w miejscu, gdzie brakuje kilku bali. Zaczął się do niej zbliżać, zgięty niemal w pół, żeby nie uderzyć głową w dach wiaty. Dostrzegła go już, uniosła rękę w górę, przywołując do siebie. Ona, nic nieznacząca ofiara, i on, człowiek wyjątkowy, odważny, silny, zaraz się spotkają, spojrzą sobie w oczy. Ogarniało go coraz większe podniecenie, coraz głębszy mrok.

Już był przy niej.

— Cześć.

Zdumiał się, słysząc swój nieco piskliwy głos. Chyba z emocji struny głosowe mu się ścisnęły.

Zuza siedziała oparta o bale, obok niej zawinięty w chustę leżał Tymek. Spał. Kawałek dalej Patryk dojrzał pampersa. Zobaczył też mokrą plamę. Zapewne w tym miejscu Zuza się wysikała. Smród uderzył w jego nozdrza dopiero wtedy, gdy zsunął się w zagłębienie, aż go zemdlilo. Przyklęknął przy dziewczynie.

Wzrokiem szukał rewolweru. Nigdzie go nie było. Poczul przyływ niepokoju.

— Gdzie jest broń?

— Tutaj.

Zuza sięgnęła ręką do plecaka i wyjęła rewolwer. Odetchnął z ulgą. Będzie mógł zrealizować swój plan.

— Ale się popierdoliło... — Po brudnej twarzy Zuzy zaczęły spływać łzy. — Mam już dosyć. Chciałabym do domu.

— Zaraz cię tam zabiorę — zapewnił i przysunął się do niej bliżej.

— Co ty pierdolisz? Gdzie mnie zabierzesz? Przecież ja nie mam domu.

Położył rękę na jej dłoni, w której trzymała broń. Powoli przesunął palec dziewczyny na spust, a potem nakrył go swoim palcem. Na rewolwerze zostaną tylko jej linie papilarne. Jakie to szczęście, że zdobyła broń, której nie trzeba odbezpieczać. Wystarczy nacisnąć spust i następuje wystrzał. Niby nic, ale ten szczegół daje mu ogromną szansę na dokonanie zabójstwa idealnego. Powie, że groziła, iż się zastrzeli, chciał ją powstrzymać, próbował wyrwać jej broń, ale niestety nie zdążył.

Gdzieś w głębi lasu odezwał się pojedynczy ptak, w gałęziach narastał szmer, poza tym zupełna cisza. Przekręcił rękę Zuzy, by skierować lufę na jej czoło. Jęknęła. Chyba zabolął ją nadgarstek. Delektował się chwilą, pragnął ją przedłużyć. Zabić nie w walce czy samoobronie, lecz z wyboru — to potrafią tylko wielkie jednostki. Zuza zaczęła ciężko oddychać, jej usta zadrżały, jak gdyby miała się rozpłakać. Widział żyłkę pulsującą na jej skroni i pot lśniący na czole. Już pojęła, co ją czeka, bo łzy popłynęły z jej oczu, a usta wykrzywiły się w upiornym grymasie. Próbowała jeszcze skierować lufę w bezpieczną stronę, ale on mocno trzymał jej dłoń. Co za rozkosz mieć władzę nad czyimś życiem, móc je odebrać niczym Bóg. Odchylił się, żeby krew i skrawki mózgu go nie ochlapały, i zaczął przyciskać palec Zuzy do spustu. Czekał na huk, ale zanim go usłyszał, najpierw rozległ się płacz Tymka.

## *Dzień siedemnasty, wieczór*

Karabin snajperski Sako TRG leżał jeszcze w futerale transportowym. Rumun uważał, że jest to wyjątkowo celna broń, wygrał kilka zawodów, strzelając właśnie z tego modelu. Wsunął do magazynka dziesięć naboju 7,62 milimetra i zamontował celownik optyczny. Długo się zastanawiał, w którym miejscu się ustawić. Zrezygnował z okna budynku biurowego, wprawdzie widział stamtąd

Zużę, ale pod niewielkim kątem, co w wypadku konieczności oddania strzału mogło mieć ogromne znaczenie. Zdecydował się na drugą wiatę, oddaloną o trzydzieści metrów, pod którą również suszyło się drewno budowlane. Z karabinem na plecach zaczął się wspinać po balach. Nie chciał, żeby Zuza go dostrzegła. Gdy znalazł się na szczycie, przeczołgał się na krawędź sterty. Podparł się na łokciach, próbując przybrać najbardziej stabilną pozycję do strzału. Wyregulował długość kolby i spojrzął przez lunetę optyczną.

Zuza siedziała oparta o bale. Widział jej profil, opuszczoną głowę i nogi ugięte w kolanach. Coś koło niej leżało, ciemny niewielki kształt, może plecak, może Tymek. Niestety pod wiatę wpadało za mało światła, by mógł zobaczyć to dokładnie. Skupił się na dłoniach dziewczyny, trzymała je na brzuchu. Rewolweru nie widział, ale niewykluczone, że zasłaniała go dłońmi.

Włożył słuchawkę do ucha, przy ustach umieścił mikrofon i uruchomił radiotelefon. Czekał. Wkrótce otrzymał informację, że Patryk Lasocki został przywieziony do tartaku. Dwadzieścia pięć minut później Zuza uniosła rękę z telefonem do ucha, Rumun przełączył się na podsłuch ich rozmowy. Zaklął pod nosem, słysząc, jak chłopak wymusza na dziewczynie, aby pozwoliła mu wejść na stertę bali. Był pewien, że prokurator Łempicka się na to nie zgodzi. Włosy stanęły mu dęba na głowie, gdy otrzymał komunikat, że Patryk prowadzony jest właśnie pod wiatę. Dał znać, żeby go zatrzymali, to zbyt niebezpieczne. Niestety, za późno, Patryk już się wspinał.

Rumun czuł, że napinają mu się wszystkie mięśnie, a kark sztywnieje. Patrzył nieruchomym wzrokiem przez lunetę. Już nie słyszał szumu lasu, nie widział wydłużających się cieni drzew, nie czuł chłodnego powiewu na plecach. Skupiony był wyłącznie na mrocznej przestrzeni między stertą bali a dachem wiaty. Tam za chwilę mogła się rozegrać tragedia, której tylko on jest w stanie zapobiec.

Zobaczył Patryka, jak mocno pochylony zbliża się do Zuzy. Zanim zsunął się w zagłębienie, w którym siedziała, zatrzymał się na moment i chyba coś do niej powiedział.

Rumun czuł narastającą irytację. Funkcjonariusz, któremu przekazał dowodzenie akcją, właśnie popełnił błąd. Puścił chłopaka bez pluskwy. Nie usłyszą, co się dzieje pod dachem wiaty. Dostał nieme kino i będzie musiał się bawić w psychologa, odczytującego intencje bohaterów z ruchu ciała.

Odbezpieczył karabin i dalej obserwował Zużę i Patryka. Chłopak coś do niej mówił, pochylając się do przodu i nieco ją zasłaniając. Nagle w jej dłoni pojawił się rewolwer. Rumun poczuł, jak adrenalina zaczyna mu pompować krew w zawrotnym tempie. Powinien strzelić pierwszy, zneutralizować niebezpieczeństwo, nie może pozwolić, aby nacisnęła spust. Wymierzył w jej

dłoń, trochę powyżej nadgarstka. Jeżeli strzeli, dziewczyna będzie miała do końca życia niesprawną rękę. Karabin Sako TRG to nie zabawka, zostawiał sporą dziurę, roztrzaskiwał kości. Mimo wieczornego chłodu strużka potu spłynęła mu po karku. Jak trudno oddać strzał do siedemnastolatki. Już teraz pociągnąć za cyngiel? Nie, jeszcze chwila, raz, dwa, trzy, machinalnie odliczał sekundy. Nagle Patryk złapał dziewczynę za dłoń, w której trzymała rewolwer. Wyglądało to tak, jak gdyby chciał ją powstrzymać przed oddaniem strzału. Potem jednak wolno wymierzył lufę w jej głowę. Rumun ujrzał niebezpieczeństwo w całej jego grozie. Wstrzymał oddech i ustawił celownik na przedramię Patryka. Nie miał wątpliwości, że trafi, z tego karabinu można było strzelać do obiektu oddalonego o osiemset metrów. Już miał nacisnąć spust, ale Patryk się poruszył. Chyba dziewczyna próbowała wyrwać dłoń z jego uścisku. Rumuna ogarnęła trwoga, ułamki sekund mijały, powinien już strzelić, wahał się jednak. Jeżeli tamci będą się dalej szarpać, może trafić Zużę. Ponownie wycelował, tym razem w ramię chłopaka. Trudno, najwyżej rozwali mu bark. Pierwszy strzał musi być idealny, bo drugiego nie będzie, nie zdąży przeładować. Patryk pochylił się do przodu, a potem nagle się wyprostował. Do uszu Rumuna dobiegł huk wystrzału. Głowa Zuzy odskoczyła w nienaturalny sposób jak u manekina, u którego poszczególne części ciała połączone są sprężynami.

— Kurwa, zastrzelił ją! — wrzasnął do mikrofonu.

W odpowiedzi usłyszał rozkaz: „Wchodzimy”.

Nie miał zamiaru spokojnie przyglądać się, jak jego ludzie dopadają Patryka. Chciał jak najszybciej znaleźć się pod tamtą wiatą. Zabezpieczył karabin, w pierwszej chwili pomyślał, żeby go zostawić, ale nawyki wyrabiane przez lata wzięły górę. Przerzucił broń przez plecy i zsunął się ze sterty bali. Klął, słowa wypadały z jego ust w sposób niekontrolowany. Nawalił, stchórzył, nie strzelił, Zuza nie żyje, to jego wina.

Dochodziły do niego okrzyki funkcjonariuszy i wrzask dziecka. Puścił się biegiem, mignęła mu przed oczami przerażona twarz prokurator Łempickiej. Drewniane bale, jeden, drugi, trzeci, niemal się od nich odbijał jak kozica na skałach. Był już na samej górze. Zobaczył policjantów stojących na mocno ugiętych nogach, z pochylonymi głowami dotykającymi dachu. Gdy się zbliżył, rozstąpili się.

Patryk Lasocki leżał na brzuchu z rękami założonymi na karku i rozsuniętymi nogami. Uniósł głowę.

— Zastrzeliła się. Nie zdążyłem jej powstrzymać.

Krzyk Tymka zagłuszał jego słowa.

— Kłamiesz.

— Nie kłamię.

Patryk mówił płaczącym tonem, cała krew odpłynęła mu z twarzy, a oczy wydawały się jeszcze ciemniejsze.

— Kłamiesz. Obserwowałem was przez lunetę z wiaty naprzeciwko. Wycelowałeś lufę w jej głowę.

Wargi Patryka zadrżały.

— To nie tak, to ona sama sobie w głowę. Chciałem jej wykręcić rękę, ale nie dałem rady. Boże! Jaką ona miała siłę, jakby coś w nią wstąpiło.

Patryk się rozplakał. Rumun nie dał się zwieść tym łzom.

— Na kolana i łapy nadal na karku! Tym razem się nie wywiniesz.

# Rozdział XVIII

## *Dzień dwudziesty trzeci, wieczór*

Tymek wypluł smoczek, Seweryn włożył mu go z powrotem do buzi. Patrzył na syna z czułością. Nie potrafił o nim myśleć jako o dziecku Roberta, Tymus należał przede wszystkim do niego, chociaż do nich obu będzie mówił tato.

Marta pochyliła się nad małym i zaczęła wciągać mu spodenki w granatowo-białą szachownicę, prezent od Roberta. Wczoraj jego brat przywiózł mnóstwo zabawek i kilka sztuk ubrań, wszystko dla obojga dzieci. Łucja do późnego wieczora biegała po domu z nową lalką, ubrana w sukieneczkę z piórkami.

Seweryn parę dni temu postanowił, że nigdy więcej nie zamieni z bratem słowa, nie poda mu ręki. Planował też, że pošle go za kratki. Szybko odstąpił od tego zamiaru, a to za sprawą Marty.

Po pogrzebie Zuzy schowała się w łazience i płakała, siedząc na brzegu wanny. Wszedł do niej i oznajmił, że Robert poniesie karę za gwałt i porwanie Tymka, osobiście tego dopilnuje. Objęła go w pasie i dalej szlochała. Głaskał ją po plecach i obiecywał, że jeszcze będą szczęśliwi. Potem, gdy brał prysznic, Marta nagle otworzyła drzwi do kabiny. Wystraszyła go. Pomyślał, że coś się stało któremuś z dzieci. Zapewniła, że z nimi wszystko dobrze, wyglądała jednak na zdenerwowaną. Seweryn zakręcił kran i spokojnie zapytał, co się dzieje. Znowu się rozplakała. Wszedł spod prysznic i objął ją. Za chwilę jej sukienka była zupełnie mokra. Wzięła dwa głębokie oddechy i wyznała, co ją gryzie.

Tymek zapewne któregoś dnia się dowie, że Robert jest jego ojcem, takie tajemnice zawsze wychodzą na jaw. Próbował ją uspokoić, zapewniał, że wyjadą, zerwą kontakt ze wszystkimi, którzy znają prawdę. Kręciła przecząco głową. To się nie uda, przecież nie mogą zostawić jego ojca, są jeszcze jej rodzice, bez jej pomocy zginą. Spojrzała mu prosto w oczy i powiedziała, że nie mają innego wyjścia, sami będą musieli powiedzieć Tymkowi, kto jest jego biologicznym ojcem. Zgodził się, żeby ją uspokoić.

Spali wtuleni w siebie. Zostawili otwarte drzwi do sypialni i dziecinnego pokoju, żeby usłyszeć płacz Tymka. Marta i tak wstawała co godzinę, aby

sprawdzić, czy ich ukochany chłopczyk śpi. Gdy o czwartej rano zaczęła się podnosić, powstrzymał ją, mówiąc, że teraz jego kolej. Poszedł do dzieci, przez chwilę wsłuchiwał się w niespokojne posapywanie Tymusia. Gdy wrócił do łóżka, Marta od razu się do niego przytuliła. Żadne z nich nie mogło ponownie usnąć. Ona pierwsza zaczęła rozmowę. Tymuś dowie się, że Robert jest jego ojcem, ale nigdy nie mogą mu wyjawić, że jest dzieckiem z gwałtu, bo to może źle wpłynąć na jego psychikę. Muszą zadbać, żeby nigdy nie poznał całej prawdy. Seweryn obiecał, że postarają się o to. Myślał, że Marta przysnęła, bo oddychała równo i spokojnie. Ona jednak ponownie się odezwała. W takim razie nie mogą oskarżyć Roberta o gwałt i doprowadzić do skazania go na pobyt w zakładzie karnym, bo wtedy trudno będzie im ukryć bolesną prawdę. Nie mógł się pogodzić z tym, że jego brat mógłby uniknąć kary. Gdy powiedział to żonie, ta od razu zaproponowała, że mogą ukarać Roberta w inny sposób, bardziej dotkliwy. Gdy zapytał jak, nie potrafiła nic wymyślić. Dopiero następnego dnia przy śniadaniu, jedzonym wyjątkowo w dzieciennym pokoju, napisała na kartce wyrwanej z bloku rysunkowego córki, że wpadła na dobry pomysł. Domyślał się, na czym on będzie polegał. Karmiąc Tymka, wolną ręką niewyraźnie napisała, że zażądają od Roberta odszkodowania, a w zamian ona odstąpi od oskarżenia o gwałt, a w wypadku śledztwa z urzędu zaprzeczy, że została zgwałcona.

Seweryn milczał. Patrzył, jak Marta na prośbę Łucji kroi kanapki w trójkąty i jednocześnie pieszczotliwie zagaduje do Tymka. Miał rozsądną żonę, dalekowzroczną i bardzo troskliwą. Musi te jej cechy codziennie sobie powtarzać, żeby w nie głęboko uwierzyć, bo w innym razie zacznie myśleć, że jest wyrachowana, zachłanna i całkowicie pozbawiona dumy.

Nie potrafił zadzwonić do brata, kilka razy sięgał po telefon. Bał się, że słysząc jego głos, wybuchnie, zacznie go wyzywać. Na szczęście miał żonę, która lepiej panowała nad nerwami. Zaproponowała, że zadzwoni i przedstawi pomysł finansowej rekompensaty. Robert odniósł się pozytywnie do ich propozycji. Nic dziwnego, dawali mu przecież szansę na normalne życie. Umówili się na spotkanie w cztery oczy, na dzisiaj.

Wziął na ręce Tymusia i zszedł z nim do salonu. W sypialni Marta kończyła ubierać Łucję. Za chwilę obie zbiegły po schodach. Trochę się zdziwił, widząc, że jego żona też się przebrała, właściwie wystroiła w błękitną koszulę podkreślającą kolor oczu. Włożyła nawet wisiorek z serduszkiem. Dlaczego tak go to zdumiewa? Przecież będą mieli gości, gospodyni powinna się dobrze prezentować. Ma piękną i zadbaną żonę, wypadaloby, żeby był zadowolony. Z uśmiechem pochwalił jej wygląd. Chyba dostrzegła w jego spojrzeniu coś niepokojącego albo usłyszała w głosie fałszywą nutę, bo zbliżyła się wolnym krokiem i położyła mu obie dłonie na karku. Z jej słodkich ust wypłynęły słowa,



które chciał usłyszeć: nigdy Robertowi nie wybaczy, ale dla dobra Tymusia... Nie skończyła, bo rozległ się dzwonek. Łucja z piskiem pobiegła do drzwi. Marta pocałowała go szybko w usta i poprosiła, żeby wpuścił rodzinę.

Z Tymkiem na ręku powlókł się do holu. Otworzył drzwi i zobaczył brata, samego.

— Ramira pojechała po ojca — wyjaśnił. — Ma jeszcze wstąpić do sklepu. Chciała wam przygotować puchero.

Łucja ciągnęła wujka za spodnie i domagała się prezentu.

Seweryn i Robert unikali patrzenia sobie w oczy. Gdy weszli do salonu, Marta właśnie uruchomiła laptopa.

— Kochanie, biegnij do pokoju i powkładaj klocki do kartonu — poleciła córce.

Łucja koniecznie chciała, aby wujek poszedł z nią. Robert wręczył jej swój zegarek i pokazał, w które miejsce musi przesunąć się dłuższa wskazówka, żeby mógł do niej przyjść.

Usiedli przy stole, Marta i Robert naprzeciw siebie, Seweryn na szczycie. Napięcie stało się niemal namacalne, dusiło i odbierało chęć do rozmowy. Jedyne Tymek wydawał się nie wyczuwać ciężkiej atmosfery. Uderzał dłońmi w blat stołu i pokrzykiwał.

— To dobrze, że postanowiliście się dogadać — zagadnął Robert.

— Dla ciebie na pewno dobrze, nie pójdziesz siedzieć — zauważyła Marta.

Była lekko spięta, ale też pewna siebie, jak gdyby czuła, że w tej rozgrywce ma mocniejsze karty. Seweryn patrzył na nią zdumiony, jego potulna dotąd żona zachowywała się jak profesjonalny gracz.

— Wy też na tym skorzystacie — stwierdził Robert. — No to ile chcecie, słucham.

Marta patrzyła na ekran laptopa, jak gdyby tam szukała odpowiedzi na usłyszane pytanie.

— Milion — oznajmiła, nie odrywając wzroku od ekranu.

Robert się zaśmiał.

— Zabawne.

Seweryna też zaskoczyła ta suma. Miał wrażenie, że Marta przesadziła. Wiadomo, że jego brat tyle nie zapłaci. Prawdopodobnie już na początku negocjacji chciała go zdenerwować.

— Dokonałam wyceny i tyle mi wyszło.

— Wyceny? A mnie się wydaje, że uważasz mnie za naiwniaka, zwyczajnie chcesz mnie okraść. Mogę wam dać sto tysięcy, to i tak dużo.

Marta pokręciła przecząco głową.

— Gwałt to bardzo kosztowne przestępstwo, w Stanach oszacowali je na 87 tysięcy dolarów. Są to takie koszty jak: wizyty u lekarzy, terapia psychologiczna, utrata pracy, gorsza jakość życia... — wyliczała, zerkając na ekran laptopa.

— Co ty pieprzysz? Byłaś na terapii? A może pracę straciłaś? Poza tym nie jesteśmy w Ameryce, tam bym nawet zapłacił milion, ale tam za coś takiego można przekiblować kilkanaście lat. A u nas... dadzą mi dwa lata, jakoś się przemęcę.

Sewerynowi nie podobał się pogardliwy ton, jakim Robert zwracał się do jego żony. Już się podnosił, żeby podać Marcie Tymka, a samemu wystawić brata za drzwi. Tamci jednak pertraktowali dalej.

— Masz więcej do stracenia niż tylko dwa lata za kratkami — mówiła spokojnie Marta. — A reputacja? Jak sobie wyobrażasz powrót do biznesu po wyjściu z więzienia? Możesz też stracić Ramirę. Przecież ona nadal wierzy, że przydarzyła nam się chwila alkoholowego zapomnienia. Ciekawe, czy będzie równie wyrozumiała dla gwałtociela. — Marta wyliczała, prostując palce, teraz pokazywała trzeci. — No i Tymek... Ja się nie zgodzę na wizyty mojego dziecka w zakładzie karnym, przez dwa lata nie będziesz go widział, a potem, jak dorośnie, wytłumaczysz mu, dlaczego siedziałeś.

Seweryn patrzył na żonę z rosnącym zdumieniem. Gdzie się podziała ta cicha, pokorna kobieta?

— Pół miliona — oznajmił Robert. — I ani grosza więcej. Już straciłem jedne pół miliona. Psiarze wtopili mamonę z okupu. Ojciec ma rację, dzisiejsza policja to patałachy.

Seweryn myślał, że Marta przyjmie tę ofertę, pół miliona to przecież mnóstwo szmalu. Ona pozostała jednak nieugięta.

— Załóż policji sprawę, może się uda i odzyskasz pieniądze. My chcemy milion, cały okrągły milion.

Robert spojrział na Seweryna, u niego szukając poparcia.

— To sprawa mojej żony. Ja nie będę wyceniał jej krzywdy. Jeżeli chce milion, to ma być milion.

Robert się podniósł i zaczął krążyć po salonie.

— Jak ja wytłumaczę Ramirze, dlaczego z konta zniknął milion? Ona dobrze się orientuje w moich finansach. Będzie pytać i pytać, nie da mi żyć.

— Zawsze możesz jej powiedzieć, że wpłaciłeś pieniądze na fundację wspierającą ofiary porwań, żeby odkupić własną winę — zaproponowała Marta.

— Będzie chciała zobaczyć przelew.

— No to jej pokażesz. To będzie twoja fundacja, a Tymek będzie pierwszą osobą, którą wesprzesz. Jeżeli się dobrze koło tego zakręcisz, to wpłat będziesz

miał więcej niż wypłat. I pomyśl, jak dobrze taka fundacja będzie wyglądała w sądzie. Czeka cię przecież jeszcze rozprawa w związku z uprowadzeniem syna.

Seweryn był pod wrażeniem tego pomysłu, Robert również. Stał przy oknie i w milczeniu patrzył na ulicę. Zapewne szacował straty i zyski. Odwrócił się i oznajmił:

— Dobra, niech będzie milion.

Marta wskazała palcem na laptopa.

— Teraz przelejesz milion na konto Seweryna.

— Zaraz, przecież mam otwierać fundację, to dobry pomysł, bardzo medialny. Osobiście znam kilku gości, którzy mogą rzucić kasą.

— Posłuchaj mnie do końca. Teraz przelejesz pieniądze na konto Seweryna. Gdy założysz fundację, oddamy ci kasę, żebyś znów mógł ją nam przekazać z rachunku bankowego fundacji. Będziemy ci ją oddawać w ratach, po sto tysięcy. Kolejne sto tysięcy dostaniesz dopiero wtedy, gdy poprzednie przelejesz z rachunku fundacji na nasze konto.

Seweryn patrzył na żonę z podziwem. Była taka sprytna, dalekowzroczna, ostrożna. Robert podszedł do stołu i zdecydowanym gestem zamknął laptopa. Marta otworzyła go ponownie. Wyraz jej twarzy się nie zmienił. Dobrze wiedziała, że jego brat się nie wycofa.

— Zrobię przelew na swoim telefonie — oznajmił Robert.

— Jak chcesz, byle nastąpiło to teraz.

Po schodach zbiegała Łucja, wołała wujka. W wyciągniętej rączce trzymała jego zegarek i pokazywała, że wskazówka już się przesunęła. Marta przekonała ją, aby obie poczekały przed domem na ciocię Ramirę.

Robert pochylił się nad swoim telefonem, a Seweryn zaczął chodzić z Tymkiem po salonie. Jego krok był sprężysty, zdecydowany. Był w dobrym humorze. Najgorszy okres mieli już za sobą, teraz może być tylko lepiej. Jeszcze kilka dni temu myślał, żeby się rozwieść, ale śmierć Zuzy wpłynęła na zmianę tego zamiaru. Nie mógł zostawić Marty w tak trudnym momencie. Teraz wiedział, że dalej będą rodziną, może nawet lepszą niż wcześniej, bo mają za sobą tragiczne przeżycia niosące oczyszczenie.

Stał przy oknie i patrzył na Martę i Łucję. Obie kucąły przy kocie sąsiadów.

Jeszcze godzinę temu dręczyła go myśl, że ożenił się z kobietą, dla której liczy się wyłącznie kasa. Teraz wiedział, że Marta zażądała odszkodowania od Roberta z troski o rodzinę, żeby zapewnić im spokojny byt, a jemu możliwość rozwoju zawodowego. Z taką kasą będzie mógł otworzyć coś z prawdziwego zdarzenia. Od dawna marzył o niewielkiej firmie deweloperskiej. Kupiłby sześć, siedem działek w okolicy i postawił małe ekologiczne domki w stanie surowym. Po ich

sprzedaży zarobioną kasę włożyłyby w kolejne działki i domki. Działalność bez kredytu, który trzeba spłacać, komfort niesamowity.

Wzdrygnął się, słysząc tuż nad uchem głos brata.

— To pierwszy znany mi przypadek, kiedy kobieta zrobiła z męża milionera. Idź sprawdź swoje konto.

Robert wyciągnął ręce po Tymka, teraz miał prawo do syna, bo zapłacił milion za możliwość bycia ojcem z prawdziwego zdarzenia, a nie z za więziennych krat. Seweryn podał mu dziecko, czując, że właśnie pieczętuje dokonaną transakcję. Zalogował się do banku i zajrzał w historię rachunku. Ostatni przelew, jedynka i sześć zer, aż mu dech zaparło i w głowie się zakręciło. Pomnoży te pieniądze, najdalej za trzy lata będzie miał dwa miliony.

Robert z Tymkiem wciąż stali przy oknie. Podszedł do nich.

— Czy wiesz, że pół roku temu proponowałem Marcie pół miliona za Tymka, za to, żebym mógł go wychowywać?

Seweryn pokręcił przecząco głową. Robert mówił dalej:

— Gdyby wtedy twoja żona się zgodziła, mama by żyła i Zuza, a nasz staruszek nie trafiłby za kratki, bo prawdopodobnie to go czeka. Dwa pogrzeby i ojciec w pierdlu, żeby dzisiaj osiągnąć to, co mogła dostać kilka miesięcy temu. Miała tylko z tobą porozmawiać i przyznać się do jednego numerku ze mną. Cena o wiele mniejsza niż to całe porwanie. Nie wiadomo jeszcze, jak nas potraktuje sąd, mogą nam dowalić za narażenie Tymka na niebezpieczeństwo, a tobie dodatkowo za próbę wyłudzenia pieniędzy.

Seweryn się zaśmiał, ale nie był to radosny śmiech.

— Gdyby to było takie proste, porozmawiać... gdyby rozmowa mogła wszystko załatwić... rozwodów by nie było, wojen by nie było, wszyscy byliby szczęśliwi. Kochany braciszku, mylisz się... Gdyby Marta powiedziała mi o wszystkim kilka miesięcy temu, ty byś dzisiaj nie miał syna, Marta pieniędzy, a ja rodziny. Żeby ludzie mogli się dogadać, najpierw muszą doprowadzić do tragedii.

Na posesję wjechał samochód Ramiry. Wysiadła i pomogła wydostać się z niego ich ojcu. Jerzy Maj postarzał się w ostatnich dniach. Czekający go proces odbił się na jego posturze. Szedł zgarbiony, z opuszczoną głową. Za chwilę oboje weszli do salonu. Jerzy surowym spojrzeniem powiódł po synach. Seweryn wbił wzrok w swoje stopy, a Robert kiwnął ojcu głową, tamten nie odpowiedział na powitanie. I tak dobrze, że w ogóle przyjechał zobaczyć wnuka. Jeszcze parę dni temu wyzywał ich od bandytów i morderców. Krzyczał, że przez ich głupotę zginęła matka, a on pójdzie do pierdla. Groził, że się z nimi rozprawi po swojemu.

Jerzy pokazał synowej, żeby wzięła Tymka od Roberta i mu go podała. Ramira posłusznie wykonała polecenie. Wnuk — ściskany i całowany — zaczął się niecierpliwić. Buzia wykrzywiła mu się do płaczu. Gdy na dobre rozplakał się w ramionach dziadka, ten oddał go Ramirze, a ta podała chłopczyka Sewerynowi. Zaniósł syna do dziecinnego pokoju. Długo musiał go uspokajać. Tymek cichł, żeby za chwilę znowu wybuchnąć histerycznym krzykiem. Myślał, że Marta zaraz przyjdzie mu pomóc. Niestety, nie pojawiła się. Gdyby Zuza żyła, przybiegłaby od razu i ukochała Tymka.

# Rozdział XIX

## *Dzień dwudziesty czwarty, popołudnie*

Mewy krążyły po niebie z głośnym krzykiem, jak gdyby chciały zaalarmować ludzi o zbliżającym się niebezpieczeństwie. Żaden przechodzień nie uniósł głowy, żeby sprawdzić, czy na horyzoncie nie czai się coś złego. Prawdziwe powiadomienia znajdowały się w smartfonach, a nie na niebie. Komisarza minęła młoda kobieta pchająca wózek i wpatrzona w wyświetlacz telefonu.

Kamil miał wrażenie, że mewy krzyczą mu prosto do ucha: „Uważaj, uważaj...”. Ścisnął mocniej pasek granatowej torby i rozejrzał się. A jednak instynkt go nie zawiódł, pomyślał, widząc Rumuna. Jeżeli miałyby się teraz kogoś obawiać, to właśnie jego, najuczciwszego policjanta w mieście i kumpla zarazem. Miał nadzieję, że aspirant Nowak nie będzie drążył kwestii tajemniczej kobiety, która ulotniła się z prawie półmilionowym okupem. Tym bardziej że miał na głowie całkowicie spieprzoną akcję w tartaku, z której niebawem przyjdzie mu się gęsto tłumaczyć.

Rumun wskazał dłonią torbę.

— Wyprowadzasz się?

— Tylko na jedną noc, do Mileny.

Kamil pomyślał, że zaraz usłyszy jakiś mocny komentarz, będący zarazem słowami uznania, przecież Łempicka to nie taka zwyczajna kobieta. Ale Rumun milczał.

— Chciałeś pogadać?

Nowak przytaknął.

— Chodź, przejdziemy się, mam jeszcze parę minut.

Ruszyli wolno między wieżowcami w stronę alei Odrodzenia.

— Mów, o co chodzi — polecił Kamil.

— Za tydzień stoję przed komisją dyscyplinarną. Dostałem już wezwanie. Dobrze, że tak szybko, nie mam zamiaru siedzieć na wolnym parę miesięcy.

— Nie martw się. Kamiński nie da ci zrobić krzywdy. W przyszłym miesiącu wrócisz do roboty.

— Do roboty może tak, ale nie wiadomo, czy tutaj. Może na jakąś wiochę mnie rzuca.

— Wszyscy wiedzą, ile jesteś wart. Naganę dostaniesz, na tym będzie koniec.

— Mają przesłuchać każdego funkcjonariusza biorącego udział w akcji.

— Niech przesłuchują, każdy z nich wie, co ma powiedzieć.

Przystanęli blisko osiedlowego stoiska z warzywami. Jakaś kobieta oglądała papryki, inna wybierała jabłka. Sprzedawczyni spojrzała na komisarza.

— Kupi pan dziewczynie kwiat! — zawołała, unosząc najbardziej okazały kalafior.

Już miał podziękować, ale przyszło mu do głowy, że takim prezentem mógłby zakomunikować Milenie, że ich związek nie jest na poważnie. Poszukał drobnych w kieszeni.

— On ją zastrzelił — oznajmił Rumun, a za chwilę dodał: — Tak mi się wydaje.

— Tylko nie mów tego przed komisją dyscyplinarną, bo popłyniesz, a Łempicka z tobą.

— Kamil, czy ty naprawdę masz w dupie to, że Patryk może być mordercą?

— No właśnie, sam mówisz, że może być. Dzisiaj nawet ty, naoczny świadek, nie jesteś pewien, co widziałeś.

— Wiem, co widziałem. Ona trzymała broń, a on ją za rękę, a potem lufa obróciła się w stronę jej głowy. Ale nie mogę kategorycznie stwierdzić, że to on wykręcił jej rękę i to on nacisnął spust, bo tego, kurwa, nie dało się zobaczyć. Powinniśmy zebrać dowody przeciwko niemu.

— Nie ma żadnych dowodów. Konarski nie znalazł na broni linii papilarnych Lasockiego. Gówno mamy i sprawa też w gówno się obróci, jeżeli ją ruszymy.

— To niech Łempicka go jeszcze raz przesłucha. Jeżeli jest winny, musi pęknąć albo zaplątać się we własnych zeznaniach.

— Już go przesłuchiwała. Chłopak trzyma się twardo swojej wersji. Może rzeczywiście Zuza sama nacisnęła spust?

Przy aptece stało trzech mężczyzn wyglądających na miłośników taniego wina. Ich zarośnięte twarze nie wyrażały niczego, ale w oczach widać było pragnienie. Dwóch z nich klepnęło w plecy tego trzeciego, popychając go w stronę policjantów. Tamten postąpił kilka kroków i ochryplym głosem zapytał:

— Kierowniku, złotóweczkę?

Nie było pewne, do którego z funkcjonariuszy została skierowana prośba. Aspirant zareagował pierwszy.

— Spierdalaj — warknął.

Mężczyzna wycofywał się tyłem w stronę swoich kompanów, mamrocząc pod nosem coś o schamieniu społeczeństwa.

Rumun był wściekły.

— To znaczy, że śledztwa w sprawie śmierci Zuzy nie będzie?

— A powiesz w sądzie, że widziałeś, jak Patryk Lasocki wykręcił rękę dziewczynie, a potem nacisnął spust?

— Nie.

— No to nie ma sensu wszczynać postępowania przygotowawczego, tak stwierdziła Łempicka. Oficjalnie Zuza popełniła samobójstwo i tak masz powiedzieć komisji. Jeżeli przyznasz, że wpuściliście pod wiatę mordercę, to masz przesrane. Oddajesz legitymację i idziesz na ochroniarza, a Milena co najwyżej będzie mogła parzyć kawę w prokuraturze. Chcesz tego?

Rumun milczał. W kościele Świętego Wojciecha zaczęły bić dzwony. Komisarz odruchowo zerknął na zegarek, choć dobrze wiedział, która jest godzina.

— Muszę już iść.

Zawrócili raptownie, strasząc stadko gołębi pożywiających się resztkami jedzenia wyrzucanymi z okien wieżowców. Kamil machinalnie przesunął wzrokiem wzdłuż krawężnika. Kości kurczaka, ziemniaki i oczywiście chleb, ptasich odchodów nie widział, ale domyślił się, że też muszą tam być. Dobrze, że nie mieszka na parterze.

— Czy Łempicka nadal wierzy, że Lasocki to niewinny chłopiec? — zapytał Nowak.

— Nie, już nie, teraz ma go za psychopatę. Zastanawia się, jak go skutecznie zneutralizować, żeby ponownie nie zabił.

— Słuchaj, Kamil, mam pewien pomysł, jak dobrać się do Patryka. Jeżeli nie możemy dowieść, że jest mordercą, udowodnijmy mu inne przestępstwo.

— Co? Nie zapłacił może za wycieczkę szkolną?

— Nie, ale też chodzi o pieniądze, o prawie pół miliona.

Komisarz zatrzymał się i zaczął szukać po kieszeniach kluczyków. Rumun rozpoczął temat, którego on wolałby nie kontynuować, nie miał jednak wyjścia.

— Myślisz, że tę kobietę wysłał do paczkomatów Patryk Lasocki?

— A kto inny? Sądzę, że to nie Zuza wpadła na ten pomysł przekazania okupu, tylko on.

Kamil zastanawiał się, w którą stronę pociągnąć rozmowę. Wsuwając kluczyk do zamka, mruknął niby do siebie:

— Przez chwilę podejrzewałem, że to ktoś od nas, z firmy. Kilkanaście osób znało kody do odbioru paczek.

— Nie sądzą, nikt by się nie odważył zrobić takiego numeru tobie pod nosem.

Kamil właśnie to chciał usłyszeć, dezaprobatę wobec podejrzeń pod adresem kolegów policjantów.



Nowak ciągnął dalej:

— Trzeba prześwietlić otoczenie Patryka, może trafimy na trop tej kobiety. Ona nie może być zupełnie obca dla niego, skoro jej zaufał. — Aspirant coraz bardziej się nakręcał. — Macie coś konkretnego? Co Konarski zabezpieczył?

— Przede wszystkim nagranie, ale mamy też włókna, częściowy odcisk buta, no i długi brązowy włos.

— Dasz mi tę sprawę? — zapytał Rumun.

— Przecież jesteś na urlopie. Lepiej się skup na swoim wystąpieniu przed komisją dyscyplinarną, a sprawa okupu jest moja, ja tę kasę straciłem i ja ją znajdę.

Granatową torbę i reklamówkę z kalafiozem rzucił na tylne siedzenie. Usiadł za kierownicą. Spojrzał jeszcze na Rumuna, w jego czarnych oczach nie dostrzegł nic niepokojącego. Ruszył.

Milena już na niego czekała na przystanku autobusowym na Gwiazdnej. Wyglądała bardzo młodo w haftowanych dżinsach i długim białym swetrze.

— Spóźniłem się?

— No, chwilę.

— Szukałem dla ciebie prezentu, zajęło mi to trochę.

— Prezent dla mnie?

Ucieszyła się. Kamilowi zrobiło się głupio. Nie chciał być złośliwy. Musi jakoś zręcznie z tego wybrnąć.

— Podobno kobiety lubią kwiaty. Nie miałem czasu zajść do kwiaciarni. — Sięgnął po reklamówkę z kalafiozem i położył ją na kolanach Mileny. — Obiecuję, że następnym razem będą róże.

Kątem oka obserwował jej reakcję. Chyba się uśmiechnęła. Gdy stanął na światłach, pocałowała go w policzek. Dziwne, ale nie zirytowało go to, choć nie cierpiał kobiet demonstrujących swoje uczucia.

— Zjesz swój prezent dzisiaj na kolację.

— Mogłem ci dać kawałek wołowiny, lepiej bym na tym wyszedł.

Zaparkowali przy katedrze Świętego Mikołaja i wysiedli. Oboje mimowolnie zadarli głowy, żeby spojrzeć na jedną z najwyższych w Polsce wież kościelnych, której miedziany hełm wbijał się w pogodne niebo. Za jakieś dwadzieścia minut Milena stanie na znajdującym się tam tarasie widokowym. Podprowadził ją pod boczne wejście.

— Będę na ciebie czekał w Specjalu.

Zniknęła w ciemnym, chłodnym wnętrzu świątyni, a on wrócił do samochodu. Wyjął granatową torbę i ruszył w stronę południowego mostu.

W pubie na tarasie siedział Mikołaj Bukowski. Sączył sok pomidorowy. Kamil zajął miejsce przy jego stoliku. Torbę położył na wolnym krześle i zamówił piwo.

— Jak to dobrze być policjantem, można pić i prowadzić — zauważył dziennikarz.

— No widzisz, gdybyś się dostał do szkoły policyjnej... a tak jak przedszkolak musisz soczek popijać.

— Masz rację komisarzu. Szkoda, że nie jestem psem. Ten zawód daje duże możliwości, można kogoś bezkarnie okraść albo nawet zabić. Ta bezkarność musi być kusząca. Ciekaw jestem, co jeszcze ma pan na sumieniu.

— Uważaj, żeby ta ciekawość cię nie zgubiła.

— Jestem dziennikarzem, z ciekawości żyję. Teraz ciekawi mnie, co pan przyniósł.

Bukowski sięgnął po granatową torbę. Otworzył ją i zajrzał do środka. Nie ukrywał zdumienia.

— Co to jest?

— Dokładnie to, co widzisz.

— Wydawało mi się, że mówiliśmy o polskiej walucie.

— Chyba za mało filmów oglądasz. Nie wiesz, że policja spisuje numery wszystkich banknotów przeznaczonych na okup? Mógłbyś sobie nimi co najwyżej pokój wytapetować.

— Jak pan to zrobił?

— Wsiadłem w samochód, pojechałem na Litwę i tam w kilku kantorach wymieniłem całą kasę na euro. Za jakiś czas ustalimy, że pieniądze z okupu znalazły się w litewskich kantorach, ale już się nie da nic zrobić.

— Przecież oni muszą tam mieć monitoring.

— Oczywiście, mają, ale żaden zapis nie jest wieczny. Gdy wystosujemy pisemną prośbę o zabezpieczenie nagrań z kantorów, już ich dawno nie będzie. Upływający czas to największy wróg policji i sprzymierzeniec przestępców.

— A jak się jest jednym i drugim, to czas stoi w miejscu?

— Nie, nie stoi, wtedy wystarczy znać się na zegarku.

Dziennikarz przyciskał do brzucha granatową torbę. Wyglądał na zadowolonego i rozluźnionego.

— Komisarzu, przyznaj, że przebranie miałem rewelacyjne. Nawet ciebie nabrałem.

Kamil milczał, patrząc na nieruchomą wodę. Nie miał zamiaru podkręcać próżności dziennikarza. Wolał go trochę nastraszyć, żeby tamten zachował ostrożność.

— Jeszcze się tak nie ciesz, śledztwo dopiero się zaczęło, eksperci wzięli się do roboty, oglądają twoją gębę codziennie. Prawdopodobnie zdołają ustalić, że to facet odbierał okup.

— Niby jak?

— Ty chyba rzeczywiście nie oglądasz amerykańskich seriali. — Kamil puknął się w czoło. — Budowa czaszki, tym się różnimy od kobiet. Teraz się módl, żeby jakość nagrania nie pozwoliła na przeprowadzenie pomiarów antropometrycznych. Dopóki śledztwo nie zostanie zamknięte, nie możesz spać spokojnie.

Dziennikarz nie okazał niepokoju, wyglądał teraz wręcz na lekko rozbawionego.

— Komisarzu, przecież to ty prowadzisz śledztwo. O co mam się martwić? Już się nie mogę doczekać, kiedy zostaniesz naczelnikiem wydziału kryminalnego. Wtedy dopiero zaczniemy kręcić lody. Co nie? — Dziennikarz dopił sok i podniósł się. — Lecę, bo mi zaraz ukradną rower.

Przełożył pasek granatowej torby przez ramię i lawirując między stolikami, zniknął z tarasu. Kamil zamówił kolejne piwo. Postanowił, że po trzecim przekaże kluczyki Milenie. Przymknął oczy i wsłuchał się w odgłos przepływającej motorówki.

## *Dzień dwudziesty czwarty, popołudnie*

Milena weszła do katedry Świętego Mikołaja. Ciemne, surowe wnętrze gotyckiej świątyni napawało ją niepokojem. Zaraz pokona trzysta sześćdziesiąt sześć stopni i stanie twarzą w twarz z człowiekiem, który być może powie jej coś więcej o Krzysiu i Pawle. Nadzieja i strach mieszały się w jej sercu, gdy trzymając się ściany, pokonywała kamienne stopnie. Przez okna wieży wpadał wiatr i wirował w wąskiej przestrzeni, tworząc silny przeciąg. Owinęła się mocniej swetrem i szła dalej.

Myślała, że sędzia Edward Lasocki czeka już na nią na szczycie. On jednak spacerował po pierwszej platformie. Gdy ją zobaczył, podszedł z wyciągniętą ręką. Jego posągowa twarz nie wyrażała żadnych emocji.

— Pani Mileno, przepraszam, że wybrałem to miejsce na rozmowę, raczej powinienem panią zaprosić do dobrej restauracji.

— Nie ma problemu, chętnie się powspynam. Też lubię tarasy widokowe.

— No to idziemy.

Sędzia puścił ją pierwszą do wąskiego korytarza. Teraz szli po krętych stalowych schodach otoczonych metalową siatką, za którą widać było ceglana ścianę stuletniej wieży. Milena miała ochotę przystanąć i chwilę odpocząć, ale

wtedy by się wydało, że z jej kondycją nie jest najlepiej. Weszła na taras lekko zdyszana. Sędzia przeciwnie, wyglądał na pełnego wigoru. Mimo kilkumiesięcznego pobytu w areszcie wciąż miał bardzo wysportowaną sylwetkę. Podczas ich ostatniego spotkania wspominał o dobrze wyposażonej siłowni. Musiał z niej często korzystać, sam spacerownik to za mało.

Stanęli przy barierce i spoglądali na panoramę miasta. Z wysokości ponad sześćdziesięciu metrów elbląskie ulice i dachy wyglądały imponująco. Milena odszukała wzrokiem południowy most — tam, w Specjalu, czekał na nią Kamil. Patrzyła chwilę na zielonkawą rzekę, na której kołysało się kilka jasnych łódek. Potem odwróciła się w stronę sędziego. Trzymał dłonie na barierce, poły jego sztruksowej marynarki trzepotały na wietrze, wpatrywał się w dal. W końcu zauważył, że mu się przygląda.

— Za tym tęskniłem, za widokiem horyzontu.

— Panie Edwardzie, ja się z panem spotkałam tylko w jednym celu. Obiecał mi pan, że gdy doprowadzę do pana zwolnienia, wyjawi mi pan wszystko, co wie o moim synu i mężu.

Poczuła kolejną falę niepokoju. Chciała, żeby Lasocki powiedział jej coś przełomowego, żeby mogła wpaść na trop Krzysia i Pawła, ustalić, gdzie przebywają. Zarazem bała się, że usłyszy coś przerażającego, co ją załamie. Może lepiej, żeby sędzia nic więcej o nich nie wiedział poza tym, co wyjawiał jej w areszcie. Otrzymała dowód, że obaj żyją, są zdrowi, to i tak dużo.

— Nie mam dla pani zbyt dobrych wieści.

Milena wbiła palce w metalową siatkę, serce zaczęło jej walić jak po szaleńczym biegu.

— Proszę mówić.

— Pani mąż stworzył w Szwecji coś w rodzaju sekty. Wyszukuje w internecie ludzi, którzy stracili swoich bliskich, zwykle w wypadkach samochodowych. Odwiedza ich i przekonuje, że to nie był wypadek, lecz morderstwo. Niektórzy zgłosili na policję, że ich nachodził, ale wielu mu uwierzyło.

— Mój mąż jest chory, jeszcze w Polsce widział wszędzie spiski i mafię. Mnie też oskarżył o współpracę ze zorganizowaną grupą przestępczą. Wykrył też sieć pedofilską w Olsztynie, której oczywiście nie było. Wielu nauczycieli miało przez niego poważne kłopoty, a wśród rodziców zapanowała histeria. Udało mi się wtedy całą sprawę wyciszyć, a Pawła przekonałam, żeby zaczął się leczyć. Był nawet u psychiatry na kilku wizytach, a potem zniknął razem z Krzysiem.

— Pani Mileno, ja to wszystko wiem, Szwedzi również, ale to, że pani mąż jest chory, wcale im nie ułatwia sprawy, a nawet ją utrudnia. Choroba sprawia, że jest wyjątkowo ostrożny, wszędzie widzi zagrożenie, już parę razy im się wymknął, jak gdyby znał ich posunięcia. W SAPO nazywają go duchem.

Na taras widokowy weszło kilka osób, dwie kobiety przystanąły obok nich. Milena dopiero teraz poczuła, że cała zeszywniała z zimna. Na tej wysokości temperatura była niższa co najmniej o dziesięć stopni, i jeszcze ten chłodny wiatr. Zaczęła rozcierać dłonie. Gdy w ich pobliżu ponownie zrobiło się pusto, zapytała:

— Dlaczego mnie nie powiadomiono, że oni są w Szwecji? Przecież tamtejsza policja musi wiedzieć, że mój mąż i syn są w Polsce poszukiwani. Policja ma obowiązek zawiadamiać rodzinę.

— Policja tak, ale służby specjalne już nie. SAPO wzięło pani męża na celownik, bo jest cudzoziemcem, a jego działalność ma charakter terrorystyczny.

— Terrorystyczny?

Poczuła silny ucisk w klatce piersiowej. Paweł musiał zrobić coś bardzo złego.

— Sekta pani męża podłożyła ładunki wybuchowe pod dwa szwedzkie posterunki. Zginęło trzech policjantów. Złapali tych ludzi. Oni naprawdę wierzyli, że ich bliscy zostali zlikwidowani przez szwedzką policję, która na polecenie władz usuwa niewygodnych obywateli. Pani mąż ich o tym przekonał i namówił do zamachu.

— Jezus Maria — jęknęła. Właśnie takich wieści się obawiała. Paweł był największym zagrożeniem dla Krzysia. Musi działać, odnaleźć syna, zanim coś mu się stanie. — Czy może mnie pan skontaktować z kimś z SAPO? Mogłabym im pomóc, przecież nikt nie zna Pawła tak jak ja. W każdej chwili mogę pojechać do Szwecji.

— To nie takie proste, informacje, które pani przekazuję, mam od przyjaciół z naszego kontrwywiadu, oczywiście nieoficjalnie. Jeżeli zgłosi się pani do naszych służb czy szwedzkich, prawdopodobnie zaprzeczą, że cokolwiek wiedzą o pani mężu i synu.

— Nie wierzę, przecież Szwedom musi zależeć na tym, żeby Pawła zatrzymać.

— Życzę pani powodzenia w kontaktach z naszymi i szwedzkimi służbami. Może się pani uda przełamać panującą tam barierę poufności. W polskim kontrwywiadzie podobno nawet godzina lanczu jest utajniona.

Znowu zostali sami na tarasie. Chłodny wiatr skutecznie wypłoszył pozostałych amatorów pięknych widoków.

— Nie mogę biernie czekać, muszę ratować Krzysia.

— Rozumiem panią. Ja też bym chciał ratować mojego syna, ale niestety nie jestem w stanie nic dla niego zrobić.

Sędzia zachował kamienną twarz, choć mówił o swoim dziecku.

— Co u Patryka? — zapytała.

— Wyprowadził się wczoraj. Zostawił mi numer konta, na które mam wpłacać pieniądze w ramach alimentów.

— Powinien go pan wysłać na terapię.

— Na terapię? Przecież on jest mordercą, prawdopodobnie seryjnym. Niebawem zabije po raz kolejny. Mogę tylko na to czekać.

Milena skuliła się pod naporem wiatru. Chłopak o ciemnych oczach podobnych do oczu jej syna seryjnym mordercą? Wciąż nie mogła w to uwierzyć. Ogarnęło ją przerażenie, przygniatało ją też poczucie winy. Gdy w tartaku dotarło do niej, że Patryk wszedł na stertę bali tylko po to, żeby zabić Zużę, przeżyła moralny wstrząs i poczuła ogromny wstręt do samej siebie. Ponoсила całkowitą odpowiedzialność za śmierć dziewczyny i za to, że morderca pozostanie na wolności i być może uderzy po raz kolejny.

— Panie Edwardzie, musimy się zastanowić, jak unieszkodliwić Patryka. Zamknięty szpital byłby najlepszym rozwiązaniem.

— Jak pani chce przekonać sąd, aby nakazał przymusowe leczenie?

— Sąd to pana koledzy.

— Ja w pracy nie mam kolegów, jedynie współpracowników. Niech pani się lepiej zastanowi, czy jest pani w stanie oskarżyć Patryka w sprawie któregoś z tych morderstw.

Milena pokręciła przecząco głową.

— Dlaczego nie? Przecież tę dziewczynę zabił pod waszym nosem.

— Tak naprawdę mam jedynie relację aspiranta Nowaka, a sąd może ją równie dobrze zinterpretować na korzyść Patryka.

Milena się odwróciła i zaczęła schodzić. Gdy była w połowie drogi, sędzia ją dogonił. Przed katedrą ponownie stanęli naprzeciw siebie. Pierwsza wyciągnęła do niego rękę.

— Przepraszam. Gdybym wtedy bardziej przycisnęła Patryka, może by się przyznał, że zastrzelił kolegę i upozorował jego samobójstwo.

— Wszyscy popełniamy błędy. Jeżeli chodzi o mojego syna, popełniła ich pani kilka. W jednym ma pani rację, nie można go teraz zostawić samego. Porozmawiam z moją córką i zastanowimy się, co z nim zrobić.

— Panie Edwardzie, może udałoby się przekonać jakiegoś psychiatrę, żeby znalazł u niego chorobę wymagającą wieloletniej hospitalizacji. Przecież znamy takie przypadki. Sama parę lat temu oskarżałam lekarza z Kętrzyna, który zamknął w szpitalu psychiatrycznym na kilka miesięcy swoją zdrową żonę.

Nie wiedziała, czy jej słowa znalazły aprobatę u sędziego Lasockiego, bo żaden mięsień na jego twarzy nie drgnął. Przytrzymał jej dłoń wyjątkowo długo.

— Mam nadzieję, że się wkrótce spotkamy.

Poczuła dreszczyk niepokoju pomieszany z kobiecą satysfakcją. Sędzia, choć już w średnim wieku, był wyjątkowo atrakcyjnym mężczyzną. Jego siła, spokój i przebiegłość miały ogromną moc oddziaływania.

— Muszę już iść — oznajmiła.

— Dobrze, niech pani idzie. Proszę tylko jeszcze przyjąć dobrą radę od starego przyjaciela.

Uśmiechnęła się, słysząc, że Lasocki nazwał się jej przyjacielem. To było nawet miłe.

— Niech pani uważa na komisarza Sorokę.

Drgnęła. W jednej chwili stała się bardzo czujna.

— To dobry śledczy, ale bez zasad moralnych — oznajmił sędzia, po czym ukłonił się i odszedł.

Chciał ją nastawić negatywnie do Kamila, ale uzyskał przeciwny efekt. Milena pomyślała, że musi uważać na Edwarda Lasockiego. Nie był mordercą, ale cechowała go przebiegłość, poza tym lubił podporządkowywać sobie ludzi. Nie może pozwolić, aby wywierał wpływ na jej decyzje, nieważne, zawodowe czy osobiste. Rozpięła sweter i zaczęła biec w stronę pubu, w którym czekał na nią Kamil.

# Epilog

Bartek oparł się łokciami o parapet i uniósł się lekko z wózka inwalidzkiego. Przyłożył do oczu lornetkę. Był poruszony, bo zaraz miał ponownie zobaczyć piękną panią Maj. Od czterech dni znowu wychodziła na spacer ze szczęśliwie odzyskanym synem. Był ciekaw, jak dzisiaj będzie ubrana. Bardzo liczył na krótką spódniczkę, odsłaniającą nie tylko kolana, ale także niezwykle smukłe uda sąsiadki.

Skierował lornetkę w lewo. Przed domem Majów stał siwy mężczyzna. Bartek doskonale widział anatomiczne szczegóły jego twarzy. Uwagę zwracał przede wszystkim długi nos. Dobrze wiedział, że jest to teść pani Maj i dziadek porwanego chłopca. Starszy mężczyzna pochylił ramiona, a dłonie wcisnął w kieszenie spodni, wyglądał groźnie, jak zły pies warujący przy wejściu do domu. Bartek poczuł szybsze bicie serca, bo dojrzał panią Maj. Otworzyła bramkę i próbowała wypchnąć dziecinny wózek. Od razu zauważył, że to inny wózek, ten był zielony. Zapewne kupili nowy, bo tamten przypominał im o tragedii. Pięknej sąsiadce trudno było wyjść na chodnik, gdyż bramka jej się zamykała. Bartek pomyślał, że starszy pan zaraz pomoże synowej, ale ten stał niewzruszony. Prawdopodobnie rola strażnika bardziej mu odpowiadała.

Niestety, pani Maj nie miała na sobie krótkiej spódniczki, ale w granatowych spodniach do połowy łydki też wyglądała zjawiskowo. Minęła teścia i wolnym krokiem ruszyła wzdłuż ulicy. Za chwilę znajdzie się na wprost jego okna. Bartek czekał na tę chwilę w ogromnym napięciu.

Z posesji Majów wyszedł Seweryn z córką. Niósł pod pachą rowerek. Postawił go na chodniku, dziewczynka na niego wsiadła i zaczęła jechać za matką. Mężczyzna nie poszedł za żoną i dziećmi, lecz stanął przy ojcu. Piękna blondynka się odwróciła. Chyba przywoływała męża. Ten machnął ręką, wyglądało to trochę na gest mówiący: „daj mi spokój”, ale zapewne Seweryn chciał uspokoić żonę, żeby nie bała się iść dalej, on i ojciec są blisko i czuwają. Bartek myślał, że dwaj mężczyźni zaczną ze sobą rozmawiać, ci jednak patrzyli w przeciwne strony ulicy.

Od Robotniczej nadjechało bmw i zatrzymało się przed domem Majów. Z samochodu wysiadł mężczyzna w jasnej marynarce. Bartek rozpoznał brata Seweryna Maja. Nieraz widział go przez lornetkę, a także na elbląskich stronach

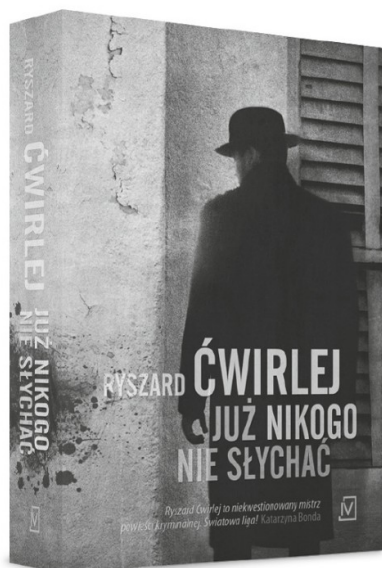


internetowych. Robert kiwnął głową mężczyznom stojącym przed domem, tamci zdawali się go nie zauważać.

Bartek skoncentrował całą swoją uwagę na pani Maj, która właśnie pochylała się nad wózkiem. Błękitny sweterek mocno opinał jej szczupłe ramiona i nieduże piersi. Była cudowna, czarująca i piękna. Miał ochotę do niej biec i ofiarować swoje usługi. Gdyby nie wózek inwalidzki, byłby już przy niej. Nagle do pięknej blondynki podszedł Robert, coś do niej mówił. Chłopak wyteżył słuch, niestety ani jedno słowo do niego nie doleciało... Wyglądało jednak na to, że mężczyzna zapytał, czy może poprowadzić wózek, bo pani Maj odstąpiła mu swoje miejsce. Szli teraz obok siebie, a przed nimi jechała dziewczynka na rowerku. Dobiegł do nich Seweryn. Chyba uznał, że najlepiej zadba o bezpieczeństwo syna, bo odepchnął brata i sam zaczął pchać wózek. Bartek jęknął, widząc, że piękna blondynka obraca się na pięcie i szybkim krokiem kieruje w stronę domu. Spieszyła się, zapewne chciała przygotować obiad dla męża i gości. Jeszcze trzy, cztery sekundy i znikła mu z oczu. Bartek z bolesnym westchnięciem opuścił lornetkę. Trzech mężczyzn po przeciwnej stronie ulicy już nie wzbudzało w nim takich emocji. Bez powiększenia optycznego wyglądali na przypadkowych przechodniów. Seweryn z wózkiem szedł w jedną stronę, jego ojciec oddalił się w przeciwną, a Robert stał pośrodku i nerwowo kręcił głową.

Bartek zamknął okno. Wciąż trzymając w dłoniach lornetkę, myślał, że takich rodzin jak Majowie jest niewiele. Wspierali się w trudnych chwilach, razem czekali na powrót porwanego chłopczyka, a teraz wspólnie wychodzą na spacer, żeby pilnować dzieci. Byli opiekuńczy, ufali sobie nawzajem, a przede wszystkim bardzo się kochali. Idealna rodzina, też chciałby taką mieć.

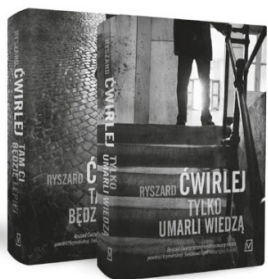




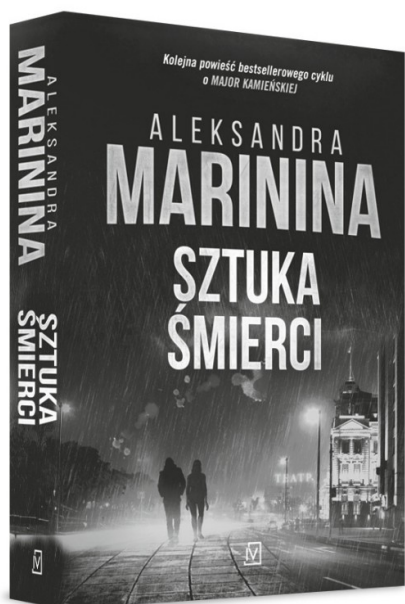
## KRYMINAŁ RETRO NAJWYŻSZEJ KLASY!

Listopad 1926 roku. W Poznaniu krąży pogłoski o spodziewanej wizycie Piłsudskiego. Nad bezpieczeństwem Marszałka ma czuwać komisarz Antoni Fischer. Jednak napięta po przewrocie majowym atmosfera w kraju, narastające nastroje antysemickie oraz ciągle ścierający się bolszewicy i narodowcy nie ułatwiają komisarzowi zadania.

Na domiar złego w mieście dochodzi do zbrodni. Młody praktykant znajduje ciało zastrzelonego właściciela zakładu pogrzebowego, Alojzego Kaczmarkiewicza. Jego siostrzeniec Anastazy Olkiewicz, zastrżony w czasie wojny bolszewickiej przodownik policji, za punkt honoru stawia sobie złapanie zabójcy. Niedługo potem, w podobny sposób, ginie działacz partii narodowej, mecenas Olgierd Witecki. Fischer nie ma ani chwili do stracenia, jak najszybciej musi znaleźć groźnego zabójcę.



Ryszard Ćwirlej perfekcyjnie oddaje atmosferę dwudziestolecia międzywojennego. Jego bohaterowie przechadzają się po uliczkach dawnego miasta, zaglądają do barów, zatęchłych piwnic i cel.

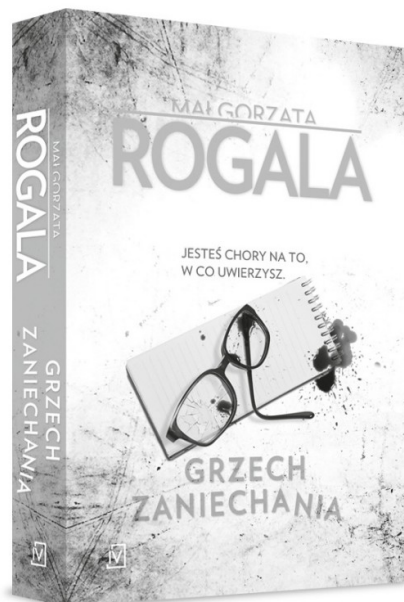


CARYCA  
ROSYJSKIEGO  
KRYMINAŁU  
POWRACA!

W teatrze „Nowa Moskwa” dochodzi do tajemniczego przestępstwa – napadu na L.A. Bogomolova, reżysera i dyrektora teatru. Śledztwo prowadzą Anastazja Kamieńska i jej młody kolega z Pietrowki, detektyw Anton Stazis. Rozpoczęte dochodzenie kieruje ich do zaskakujących rezultatów. Pojawia się wielu podejrzanych, wszyscy kłamią, ale każdy z innego powodu: rodzicielska miłość, ślepa zazdrość, podły szantaż i pragnienie sukcesu, za który zapłacono zbyt wysoką cenę.

Mogłoby się wydawać, że wszystko kręci się wokół teatru, ale jedno małe, z pozoru nieistotne wydarzenie zakorzenione w przeszłości, zbiera śmiertelny plon.

**Nadszedł czas, aby przywrócić  
sprawiedliwość...**



JESTEŚ CHORY NA TO,  
W CO UWIERZYSZ.

Pracownica ośrodka terapeutycznego znajduje leżące na posadzce, zakrwawione zwłoki swojej szefowej – psychiatry Antoniny Brzozowskiej. Na miejsce zbrodni wezwani zostają starsza aspirant Agata Górka i komisarz Sławek Tomczyk. Sprawa z pozoru prosta komplikuje się wraz z przeglądaniem kolejnych akt pacjentów Brzozowskiej. Rozszerza się krąg podejrzanych i trudno jest policjantom znaleźć punkt zaczepienia.

Dochodzenie dodatkowo utrudnia fakt, że Michała Stępnia, byłego partnera Agaty, zamordowano. Policjantka zostaje uwikłana w grę, której reguł nie zna i w której nie obowiązują żadne zasady fair play.

Czy parze śledczych uda się wyjść z kryminalnych porachunków bez szwanku? Czy zdołają złapać mordercę, nim dla wszystkich będzie za późno?

**Mistrzynie kryminału psychologicznego powraca!**